

Zapolska Gabriela

JANKA

I.

Skierko, ja się kocham!... Kocham się w... człowieku!...,
Słowacki.

Janka powoli wysączała rosół, starając się nie dotknąć łyżką dna talerza.

Wreszcie na białem tle porcelany, poza przezroczem rosółu, ukazał się herb, plama błękitna, o złożonych, wyzartych zarysach.

Wówczas Janka położyła łyżkę na talerzu i w herb oczy wlepiła.

Patrzała na niego lat tyle, a przecież codziennie połykała szybko zupe, starając się dojrzeć ten lazurowy punkt, rozszerzony paludaruentem i rozstrzępiony piórami, z hełmu spadającymi.

Znała dokładnie tę motykę, zatkniętą w kupkę ziemi, brunatną, upartą, naiwnie zarysowaną na lazurowym tle pola.

Niemniej przeto wpatrywała się uparcie w dno talerza, bezmyślnie, jak istota pusta, duchowo i fizycznie znużona.

Nagle drzwi od przedpokoju rozwarły się szeroko. Bezwały lokaj, blade, z kosmykiem włosów, spadających na czoło, w surducie, wniósł na srebrnym półmisku czerwawozłotą stertę marchwi.

Zbliżył się do stołu i marchew postawił przed samym panem, który zdawał się drzemać w Wysokiem, poręczowym krześle.

Potem lokaj zbliżył się do siedzących na końcu stołu w jasnej smudze światła dziewcząt i cicho, jak kot układny, talerze od zupy uprzętał,

Pola poprawiła się na krześle i pod stołem chleb gnioła, układając na sukni kółka, róże, liście

Janka znów oczy wlepiła w herb, ciemniejący

na tle płaskiego talerza, który lokaj przed nią postawił.

Wreszcie Podolski rękę w kierunku marchwi wyciągnął i za łyżkę ujął.

— Hm! hm!... — kaszlnął potężnym, lecz przełamanym głosem.

Dużą porcję jarzyny na talerz nakładł i jeść zaczął.

Tronował tam sam, na początku stołu, olbrzymi, pochylony, z głową nad piersiami zwieszoną. Czaszkę miał łysą i świecąca silnie białawymi, dziwacznymi punktami. Czoło olbrzymie, brwi trochę siwych, nos piękny, krogulczy, silnie skórą obciągnięty. Bezzębne usta tonęły w siwej, trochę twardej brodzie i wąsach, od dymu tytoniowego poźółkłych.

Jedynie tylko w tej ruinie twarzy, jak dwa turkusy, w koralową ramę zakrwawionych powiek ujęte, migotały jasne, błękitne źrenice, cudowne do

skonała barwą, niemal niewinne źrenice dziecka, które czasu nie miały spłakać barwy i zepsuć lazurowej głębi. Całość jednak tej twarzy i całej postaci, na brunatnym tle wysokiego oparcia fotelu doskonale zaznaczonej, porywała wspaniałą oryginalnością typu znikającego wielkiego pana, rasowego, jak koń pełnej krwi, o głowie małej, nerwowej i suchych, mocnych kończynach.

Kurtka, którą miał na sobie, myśliwska, szara, z zielonemi potrzebami, obdatra była i świecąca od tłuszczu, jednak odziewała go z butą i fantazją wielką. Koniec serwety, zatkniętej za kamizelkę, czynił jasną plamę, na której wachlarzowato rozkładała się broda szarawa w tem zetknięciu z białością lśniącego adamaszku.

Podolski jadł szybko, prawie żarłocznie, jadł źle, lecz umiejętnie używał widelca. Ręce miał brudne, paznogcie bardzo długie i spiczasto zakończone. Nie mówił nic, chrząka! tylko silnie.

Sterta marchwi szybko znikiała.

Oddzielone od ojca całą długością dwumetrowego stołu, dziewczyny nie miały serwet; obrus cienki i piękny przed fotelem Podolskiego był zastąpiony na końcu stołu kawałkiem brązowej ceraty.

Na tej ciemnej a lśniącej przestrzeni białły silnie talerze i jaśniała, jak bańka, wydęta karafka napełniona wodą. Z weneckiego okna, do którego plecami siedziała zwrócona Pola, płynęła masa światła, nia przyćmionego firankami. Jasna głowa dziewczynki promieniała w tem świetle, jak zjawisko. Drobne,;

kręcone włoski odstawały dokoła, jak złożona au

Dziewczyna była wiernem i doskonałym odbiciem ojca. Ta sama rasowość głowy, krogulcze zagięcie noska, uśmiech nerwowy szarpiących się do dołu ust, cudowny szafir źrenic. Pochylenie głowy na piersi, spadek ramion, zdawały się być skalkowane w odaleniu. Pola miała na sobie szaraczkowy kaftanik z białą pikową kamizelką. Plama serwety i szary ton kurtki powtarzał się tu wiernie, złagodzony w cieniu światła.

Podobieństwo było nadzwyczajne i niezaprzeczone.

Janka nie poruszała się na krześle, siedząc spokojnie przed pustym talerzem. Jej osiemnastoletnie ciało nie chciało gwałtownie strawy i nie miało nerwowych niecierpliwości, które pobudzały Połę do wykręcania z chleba przeróżnych dziwolągów.

Janka, przyzwyczajona już do tej nadzwyczajnej] ciszy, jaka towarzyszyła zwykle obiadom i wogóle obecności ojca, poddawała się spokojnie nużącej jednostajności tej południowej godziny. W smutnej, płaskiej, żółtej barwie ścian błędziła wzrokiem, zatrzymując się chwilami na ciemnej masie kredensu, drzemającej w oddaleniu. Na ojca nie spojrziała nigdy, lękając się i nie pragnąc spotkać jego wzroku, który zawsze przenika! ją do głębi.

Wreszcie drzwi się znów otwały i Antoni wniósł w fajansowej salaterce trochę pływających w sosie cynader. Zbliżył się do kredensu, położył w salaterce łyżkę i postawił wszystko przed Jan

ką. Ta machinalnie nałożyła sobie trochę brunatnych krążków, starając się zakryć nimi herb i podsunęła salaterkę siostrze,!

Pola zacisnęła pod stołem pięście i zagryzła do krwi usta. Odrzuciła salaterkę—zbuntowana.

Codzień, od dziesięciu dni, dawano jej i siostrze cynadry! Tego już było za dużo; pomimo głodu, bo od rana, od dziewiątej, oprócz szklanki miodu nie jadła nic—jednak nie mogła przemódz wstrętu do nienawidzonej potrawy. Tymczasem Antoni przed Podolskim postawił silnie rozgotowany mózg cielecy i zabrał półmisek z marchwią.

Ująwszy już za klamkę, odwrócił się ode drzwi. : .

— Ozy jaśnie pan każe dla jaśnie panicza z#stawić obiad?

Podolski wykrzywił się silnie.

— Nie!...—mruknął pod nosem.

Lecz lokaj porozumiał się oczyma z Janką.

Ta wyraźnie mu powiedziała: tak!

Obiad się kończył w grobowym milczeniu.

Ojciec i córki nie zamienili między sobą ani jednego słowa, jak automaty, w gabinet muzeum wciśnięte.

Czuć było całą moralną lodownię w powietrzu

Wreszcie ojciec wstał, odsuwając ciężkie krzesło. Postąpił chwilę schylony, przeżegnał się i szepnął coś po łacinie. Janka, stojąc za swym krzesłem, przeżegnała się machinalnie, Pola ciągle zbnntawa

na, z ustami odętymi, ostentacyjnie nalewała sobie szklanek wody i piła ją z grymasem. Podolski skierował się ku drzwiom, zamaskowanym starą portyera, prowadzącym do salonu. Posuwał dziwacznie nogi, obute w wielkie filcowe pantofle. Janka i Pola podeszły do niego i pocałowały go w rękaw, on machnął ręką, jakby opędzał muchy i, uuiólszy portyera, zniknął w jej fałdach, jak cień olbrzymi, próchniejący i smutny. Tymczasem Pola rzuciła się do stołu i zaczęła śpiesznie dojadać reszty w srebrnej salatereczce podanego mózgu. Spieszyła się, patrząc z ukosa na drzwi, które miały wejść Antoni.

Janka wzruszyła ramionami.

— Pola!...—wyrzekła przyciszonym głosem — daj pokój, człowiek może wejść lada chwila.

Drzwi się otworzyły, Pola odskoczyła od stołu, silnie zaczerwieniona.

— Niech Antoni sprząta! — wyrzekła, podchodząc do okna, przy którym już stała Janka.

— Wyjdiesz dzisiaj?—spytała siostry.

— Naturalnie.

— Zabierasz Marysię?

— Przecież sama nie pójde!

— Każ iść z sobą kucharcę.

— El... odeślesz mi Marysię, poczekam!

Z fałd portyery wyrzała nagle głowa Podolskiego.

— Cicho być!... — ofuknął zachrypłym głosem — będę teraz spał! żeby mi się żadna nie ruszyła!...

Dziewczyny ucichły i jak dwa clenie, na palcach, wysunęły się do przyległego pokoju.

Był to podłużny rodzaj szuflady o jednym oknie, wychodzącym na dziedziniec.

Kilka drzew, ogrodzonych sztachetami, rrsło pośrodku dziedzińca, stercząc teraz smutnie wśród słoty i wlokącej się jasności jesiennej.

W pokoju dziewczyn dwa łóżka żelazne, przykryte zielonemi, adamaszkowemi kołdrami, ujeterai w białą ramę prześcieradeł, wysuwały się wzdłuż ścian, pokrytych niebiesktem w białe kraty obiciem. Komoda duża, silna, rozrosła, bronzami przepysznie sadzona, przedzielała te dziewczęce posłania, masą ciemną się znacząc. Na grzbiecie marmurowym iiliwosiwym dźwigała dwie małe tualetki, z których jedna miała stłuczone lustro. Ołowiany grzebieś z pękiem jasnych włosów srebrzył się na ciemnym tle pudełka. Nad tualetkami wysoko zawieszony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nieoprawny, naklejony na deszczulce, migotał od małej lampeezki, zwieszającej się na łańcuszkach w powietrza. Czerwonawe szkło tej gwiazdki miało krwawe refleksy kropli krwi, zastygłej w przestrzeni. Była to nieustająca a naiwna adoracya dziewczyn, wychowanych wśród wiejskiej ciszy krzyżów, gterczącyk w łańcach kołyszącego się zboża,

Pola rzuciła się na łóżko i leżała z rękoma podłożonemi pod głowę, z nogami opartemi o pręsy żelazne łóżka, krzyżujące się w ramę, przez którą przebijały jasne trójkąty przestrzeni.

Janka, usiadłszy na krzesle i skrzyżowawszy

ręce na piersiach ulubionym, napoleońskim ruchem, wpatrzyła się znów bezmyślnie w kratę obicia. Boczne światło padło teraz na jej twarz, zaznaczając doskonale nieregularność jej profilu. Była to brunetka, ciemna i piękna, o dużych czarnych oczach i drobnych, trochę zmysłowych ustach. Czoło szczególnie piękne, nisko dość zarosłe równą, dobrą linią gęstych włosów, nosiła odsłonięte, opuszczając natomiast na uszy i na kark dużą falę lekko kręzonych włosów... Uszy miała drobne i szczególnie piękną linię owalu, który się doskonale, lubo dość silnie, zaznaczał na tle białej, pełnej szyi. Gors, wysoko podniesiony, obciśnięty w czarnej, wełnianej sukni, biodra przepysznie zaznaczone pod cienką wełną spódnicy. W nieruchomej pozie, jaką przybrała, ciągle leciwie drzemiąca, prosta i kształtna linia nóg odznaczała się dokładnie, gubiąc się w dole, aby wąską stopą wysunąć się i zabłysnąć lakierem bucika. Cała postać dziewczyny była niezmiernie sugestywną i mówiącą wiele o moralnym uspieniu dachowej części tej wspaniałej istoty. Mimowoli zmysłowa myśl nasuwała się na widok tego ciała, ledwo spowitego w draperyę czarnej wełny. Miała na wygląd długiej, lśniącej, cieplej kotki. Tren sukni leżał obok niej na ziemi i czynił jej rodzaj piedestału, z którego wyrastała. W czarnych oczach dziewczyny nie migotało aie. Były to duże, ciemno piwne źrenice, przyćmione długimi, lekko fryzowanymi rzęsami. Ale w ugiętych drgał jakiś dziwaczny wyraz nieokreślonej iro

nił. Nie było to haczykowane skrzywienie ust P. dołskiego i Poli, lecz jedynie zagadkowe jakieś pytanie, zawieszona, skryształizowana, zastygła bezwiednie widoczną pieczęcią.

Wreszcie Pola zsunęła się z łóżka i na Bioatrę mrugnęła.

— Słuchaj: ja wyjdę pierwsza, wezmę Maryskę i zaraz ci ją odeślę.

— Nie będzie na ciebie czekała?

— Przyjdźcie obie po mnie do Fanshawów...

— Dziękuję!... Tam same studenciki się schodzą...

Pola zaczerwieniła się po same uszy.

— Bardzo szykowne i z dobrych domów chłopcy!

Janka wzruszyła ramionami.

— Żydziaki!

— Nieprawda!... tylko dwóch, i to z nimi nikt nie gada!

— No! żeby się papa nie dowiedział!

— Głupia jesteś... papa do Fanshawów nit chodzi. Chyba, że ty nainstygujesz!

— Idyotka jesteś!

— Ty sama!...

Pola zsunęła pantofle i szybko się ubierać zaczęła. Chodziła w pończochach jak cień, zbierając rozrzucone po kątach rzeczy. W gorsecie i spódnicy stanęła przed lustrem i zaczęła nagarniać na czoło rozstrzępioną grzywkę.

— Po co ty tę hyrę na czoło nasuwasz? — wyszeptła Janka.

— Tak jest ładniej — odparła Poła—oczy się ładniej świecą.

— Czy to Teczka Fanshawe zrobiła to odkry

— Nie... to ja!

— Winszuję!

— Niema czego!

Ubrana już, z najeżoną grzywką, w obcisłym akiecie, kapeluszu kastorowym, posuwała się do wyjścia. Buciki trzymała w ręku. Przechodząc, wzięła stojący w kącie parasol.

Janka porwała się z miejsca.

— Bierzesz parabol?

— Tak, ..deszcz może padać.

— Nie dam go Widzisz ją! a ja zezem pójde?

— Ty masz mufkę... Dawaj!

— Nie ruszaj!

— No! krzyku narobie, papa się zbudzi, i ani ty, ani ja nie wyjdziemy!

Janka zawahała się.

— Na! bierz parasol i wynoś się, nieznośny markulu!

— Wielka dama! Cicho!

— Będę cicho, jak mi się spodoba! I wyszła Iujmb, tryumfująca, unosząc pa

Janka została same.

Powróciła na Trzęsło i usiadła znów w tej samej pozie, z rękoma założonemi na piersiach.

Przez opatrzone już na zimę okna nie dolatywał żaden szmer.

Tylko z dołu, z pierwszego piętra, słycać było miarowy, cichy łoskot gam, granych na fortepianie.

Jance zdawało się, że nie myśli o niczem.

Tymczasem, jak wąż o miedzianych połyskach, tak przez jej głowę pustą i bezdźwięczną przesuwał się cały szereg źle sformułowanych myśli,

Od lat pięciu ze wsi, z gub. Kijowskiej, całe zielonej, przeniesieni do Warszawy, Podolski z synem i córkami wegetował, tonąc w pyłe ślimaczego życia obywatela wiejskiego, na bruk miasta ciśniętego.

Szamacząc się z trudnemi warunkami, schorowany, z imaginacją o sile swej choroby podrażnioną, wypuścił majątki w dzierzawę i spadł nagie, wdowiec, z trojgiem zapuszczonych i zaniedbanych dzieci, w ciasnotę warszawską, pełen niezdrowych zasad kastowych, zastosowując metodę swego życia ze skorupy dworu do warunków miejskich i szerszej, wybijającej się przemocą równości praw życiowych.

rn?

Przeniósł z Basiówki swe cybuchy, talerze herbowe, komody gdańskie, kantorki dziwaczne, fotele o olbrzymich, wysokich poręczach, meble wykładane bronzami, sprowadził charty, które rozdać musiał, lokaja Antoniego i upór zatwardziałego w swych przekonaniach bożka.

Syn, Justyn, maltretowany pozornie, jak r wszystko, co jego własnej osoby nie dotykało, miał jego wielkie przywiązanie, jako spadkobierca na

zwiska. Dziewczyny, Janka i Pola, nie istniały, me liczyły się. Czternasta część, nawet i nie setna, w moralnem tego słowa znaczeniu.

Skazane na stare panieństwo, były dwoma błakającymi się sprzętami, którym skąpiono serwet, lepszych mebli i wykwinniejszej strawy. Nauczyły ię czytać od ciotki, starej panny, która tam, w Baiówce kołatała się w ogromie pokojów, dodzierając stare peleryny babki i stygnąc powoli z twarzą trnpio bladą, ujętą w ramy brudnoblond pe Sama Podolska, jedna z tych dziedziczek, które, jedynaczkami będąc, krociowy posag za sobą wloką, umarła dawno, przesunawszy się przez życie, jak sen szpetny i cichy.

Janka pamiętała matkę, wsiadającą lub zsiadającą z konia, towarzyszącą ojcu na ławce szarabana, otoczoną szarą chmurą chartów i znikającą w mgławicy pół świeżo zżętych. Zimna, spokojna, z niewygasającą prawie iskrą papierosa w ustach, bez pieśczozy dla dzieci, troszczyła się o nie jedynie w chwilach, gdy trzeba było pojechać do miasteczka i kupić im nowe buciki. Zwykle zaś jeździła sama lub polowała z Podolskim, strzelając wybornie, czając się nawet po błotach, pełzając ku głuszcom, o różanych promieniach, uczepionym na zrudziałym pniu drzewa.

Janka, Pola, a nawet Justyn, nie znali nigdy ciepłej dłoni rodziców. Obojętnie traktowani, czuli się gośćmi pod własnym dachem. Szczególnie Pola i Janka instynktownie starały się zabierać jak najmniej miejsca i nie odzywać się nigdy. Wyrosły jak

dziczki, piękne, proste, równe, wybornie na chle bie razowym rozwinięte, % zębami jak perły, z rękoma trochę nabiegłemi krwią gorącą i czerwoną.

Bezwiednie przejęły zasady i zapatrywania się ojca, który, dziwolągiem będąc, podawał dwa, trzy, albo cztery palce witającym się z nim ludziom.

Janka, siedząc tak z założonemi na piersiach rękoma, nie nudziła się wcale. Umysł jej był tak płytki, że nudzić się nawet nie umiał. Mogła tak siedzieć godzinami całemi, jakby w oczekiwaniu na coś, co ją spotkać miało. Wiedziała przecież, że jej nic nie spotka. Razem z godzinami upływającemi uciekało jej życie. Pozwalała na to ze spokojem filozofki. Co począć miała?

Ściemniało się powoli i deszcz siekł teraz szyby suchym, nerwowym łoskotem. Janka obejrzała się na łóżko, miała ochotę owinać się w chustkę wełnianą i położyć — ot... jak pies w dzień słotny, zwinawszy się w kłębek. Wstała jedaak i cicho wysunęła się do jadalni. Sprzątnięty i zsunięty stół czerniał niewielkim kwadratem w środku przestrzeni. Janka otworzyła drzwi do przedpokoju i wązkim korytarzem przesunęła się do kuchni.

Otworzyła drzwi i stanęła w progu.

Na ziemi, koło komina, kucharka Maryanna, mała, czarna, zwiędła kobieta, z powykręcaneimi palcami od reumatyzmów, ze stawami nabrzękleimi i lśniącemi, czyściła cegłą samowar. Tu lampka nat eiana, niewielka, paliła się zawieszona nad łózkami dwoma, zasłanemi białeni prześcieradłem.

W kącie na kufierku, oparty o ścianę, drzemał
Antoni. V lft ri
Janka powstała chwilę w milczeniu.
— Marysia nie wróciła?
— Nie jeszcze.
— Pewnie znów przed bramą stoi!...
— Ale... toć ją panna Pola pognęła aż na Leszno.
— Mogła już dziesięć razy wrócić.
— Aha!., deróżką chyba!..
Janka zmarszczyła brwi i tupnęła nogą.
— Co się Maryanna zuchwali!—zawołała.—Ja wiem, co mówię!..
Drzwi, prowadzące na schody kuchenne, otwarły się nagle.
W ciemnym otworze stanęła Marysia.
— Jestem, proszę panienki.
Dziewczyna była blada, z sinemi plamami pod oczyma. Twarz jej — twarz szesnastoletniego dziecka — miała zestarzałe wygięcie się rysów, dziwne wobec nierozwiniętej i szczupłej objętości ramion.
W rękę, pod chustką, trzymała parasol prawie suchy.
Z chustki lała się woda strumieniem. Włosy dziewczyny i twarz cała były zlane strugami deszczu.
Maryanna podniosła głowę.
— Czemużeś, głupia, parasola nie otworzyła? Marysia zsunęła chustkę z pleców.
— Panna Pola nie kazała.
Drżąc cała, stanęła nagle na środku kuchni

szczupłą, nędzna i drobna, w różowej, perkalowej bluzce.

— Teraz panienkę odprowadzę?

Lecz Janka nie miała ochoty wyjść na taką szarugę; spojrzęła na nogi Marysi, całe rudoszare od błota.

— Nie... nie pójdę, ale ty za godzinę idź na Leszno po pannę Połę.

Marysia miała przez chwilę gest silnego znużenia, wyprostowała się przecież.

— Dobrze, proszę panienki, pójdę... Janka wyciągnęła rękę.

— A oddaj parasol.

Odebrała parasol i wyszła do przedpokoju. Błądziła chwilę, nie wiedząc sama, co począć o tej szarej godzinie, która przerażającą pustką zalegała powoli kąty. Kilkoro drzwi ciemniało wśród klatki przedpokoju. Kuchenne w zagłębieniu kurytarza miały jasną linię oświetlonego wnętrza. Naprzeciw niewielki, pusty pokój, służący do składania bielizny lub do lekcji Justyna, miał także taką samą linię jasną i przezroczą. Janka bezwiednie ujęła za kłamekę, szarpnęła drzwi i weszła, wlokąc za sobą tren sukni.

Przed nią, po za małym, drewnianym stolikiem, siedział młodzieniec o jasnej, srebrnawozłotej głowie. Lampa zapalona oblewała równem, trochę czerwonaświatłem delikatną twarz, kobiecopiękną, okrążoną lekkim, dość rzadkim zarostem. Rysy tej twarzy były doskonale regularne, jakkolwiek czoło zbyt szerokie klóciło się z nagłym zwężeniem policzków i brody. Wyraz ust, dziecięco świeżych,

różowych, atlasowodelikatnych, był łagodny i spokojny. Natomiast oczy, pozbawione prawie brwi, miały w swych ogromnych siwych źrenicach fatalny opór zdeterminowanego człowieka. Patrzyły one w tej chwili na Jankę przenikliwie, z wrodzoną złą obojętnością, mimo to jednak obejmując całą postać dziewczyny jakby uderzeniem bicia, wstrząsającym nerw.

Mężczyzna podniósł się lekko z krzesła i natychmiast usiadł, naciągając na plecy watowane, zielone i zużyte palto. Był blady, i tylko niewielkie plamki różowe wystąpiły mu na wypukłe policzki. Ręce długie i wązkie, zaniedbane, a mimo to bardzo białe, zwinął w kulaki i położył na stole jakimś nerwowym i upartym gestem niezadowolonego człowieka.

Wydał się Jance brzydkim i trywialnym, pomimo delikatności rysów i doskonałej przejrzystości cery.

Chciała odejść, lecz nagle zatrzymał ją głos trochę gardłowy i dziwny w swym dźwięku:

— Czy brat pani dziś nie będzie miał lekcji? Miała zamiar nie odpowiedzieć, lecz bezwłasno wolnie niemal odwróciła głowę w stronę pytającego.

— Nie wiem...

— Czekam od pół godziny; moglibyście państwo kazać już palić... zimno tu.

Janka w tej chwili uczuła przejmujący ją chłód.

— Zimno!—powtórzyła.

Chciała się obrazić za brutalny sposób i ton,

I jakim się odzywał ten nauczyciel świeżo przyjęty, o którym Justyn mówił, śmiejąc się: — Dziwak! Obrzić się jednak nie mogła, nie wiedząc sama dlaczego, powtarzała jego słowa i czuła zimno, które nim wstrząsało. — Nie będę dłużej czekał!—wyrzekł, powstając od stołu.—Niech pani powie bratu, żeby się lepiej godzin pilnował. Stał teraz tuż przed nią i ubierał się bez ceremonii w palto, które miało tu i owdzie przetartą podszewkę. Był olbrzymiego wzrostu, szerokich kościstych pleców i długich rąk. Bardzo chudy, zjedzony widocznie nerwami, pomimo pozornego spokoju, wciągał teraz niciane rękawiczki i zapinał szczelnie guziki palta. Janka z ręką na klamce stała ciągle, jak przykuta, oparta o ścianę, ślicznie zarysowana na tle jasnego obicia. Mężczyzna wziął ze stołu dziwacznej formy kapelusz, o rudych, połamanych blaskach. — Zegnam panią! Ona opamiętała się, drgnęła i ustąpiła mu miejsca, nagle zmieszana i niespokojna.

i Minęli się, spojrzawszy sobie w oczy. Cała masa chłodu uderzyła nagle ze źrenic mężczyzny w oczy Janki. Zdawało się jej, że ktoś nagle zerwał dach nad jej głową, otworzył szeroko okna, i cała ślota październikowa bije jej w twarz iodowa

I ti różgą.

Mężczyzna wyszedł, otworzył sobie drzwi wejściowe i silnie je zatrzasał.
Janca zdawało się, że to ona sama wyszła na schody, zstępuje ze stopni i szamocze się z wichurą i deszczem, pluszczącym na dworze.
Uczuła, jakby jakaś część jej istoty oderwała się i poszła w ciemną przestrzeń, a przed nią szedł jakiś olbrzym pochylony, tajemniczy, cały czarny od napływających ze wszystkich stron nocnych cieni.

II.

— Więc mówisz, że nie flirtujesz?

— Z kim? powiedz sama, któż u nas bywa.

— Zapewne, ale chcącemu niema nic trudnego. I u nas niewiele kto bywa, a ja przecież sobie zawsze jakiś flirt wyszperam!

— A... co innego ty... przecież jesteś na wydaniu!

— No... i ty także!

Janka uśmiechnęła się ironicznie.

— Ja? zapomniałaś chyba, że nie mam ani grosza!...

— A... prawda!...

Minusia Grabowiecka zasunęła się poważnie w róg małego szezlonzka.

— Jednak... — podjęła znowu — nie powinnaś tracić nadziei. Może jeszcze kto się trafi!

Janka machnęła ręką.

— Ja tam się nie łudzę. Przyznam ci się, robię co mogę, kokietuję na prawo, na lewo, sznuruję się tak, że mi brykle pękają...

— I nic?

— Nic, nie mam szczęścia!...

— Cóż znowu? masz szczęście, ale źle się do rzeczy bierzesz. Flirtuj sans consequence} dla przyjemności flirtowania. Może potem co z tego być jeszcze. Qui sat i? Palisz?

— Troche!

— Masz cygaretki, a tu popielniczka. Obie panienki zapaliły papierosy.

— Oświadczył się kto o ciebie od czwartku? — spytała Janka.

— Podobno; prosiłam mamy, aby mi o tem nie mówiła. Nudzi mnie to!

— Dziwaczka!

Wymówiwszy te słowa, doznała nagle Janka olśnienia. Zdawało się jej, że ktoś obok niej stanął i zaciemnił jej przestrzeń z lewego boku. Nie sformułowała sobie w myśli rysów tej mary. Wiedziała jednak, kto prześladował ją tak od kilku tygodni... Uczuła się zmęczona i przymknęła oczy.

Minusia dostrzegła zmianę w twarzy przyjaciółki.

— Co ci to? czy cię co boli? Janka uśmiechnęła się z przymusem.

— Tak!... zęby!...

— A!... to bardzo przykre! Ja, odkąd przestałam jeść mięso, nie cierpię nigdy na zęby. Spróbuj i ty!

— Dziękuję!

Minusia słynęła w okolicy jako ekscentryczka. Od lat siedmiu nie jadała mięsa. Mówiono o niej: „ta Grabowiecka, która nie je mięsa.” Była jedyna

czką, miała dwie wsie w posagu i mogła pozwolić sobie na ten rodzaj sławy. W głębi — poczciwa nie nieznacząca natura, gwałtem pozująca na kokietkę, czytająca niekiedy bezmyślne romaury, w których podjazdowa walka banalnych dwóch istot, przedstawiona w ramie z pluszu i brokateli, błyszczała wabiącym szychem kłamanego celu życia.

Janka czuła się trochę smutną i upokorzoną wobec Minusi. Przychodziła tu wszakże często. Mieszkały w jednym domu i tytułem sąsiadek widywały się kilka razy tygodniowo. Minuska mieszkała z matką, która wzdychała do chwili wydania córki za męża i powrócenia do męża, do którego kaligrafowała listy z wielkim trudem i mozołem.

— Co ty robisz cały dzień, Janka? — spytała Minuska.

— Nic! co mam robić?

— Musisz się nudzić.

— Nie.

— Ja jestem bardzo zajęta. Wychodzimy często z mamą, to znów idziemy do teatru, do znajomych. Do nas tylko mało kto przychodzi, a to przez to, że papa siedzi na wsi, i nie możemy prowadzić domu jak się należy. Za miesiąc papa przyjedzie i wydamy wieczór taneczny. Może ci się uda na nim wydać za męża. Ja o tem pomyślę! Widzisz, ty nie możesz zostać starą panną: lepiej się powiesić! Kobieta stworzona jest na to, żeby poszła za męża. Niech tam... byle jak!... ale niech pójdzie za męża. Niech tam... byle jak!... ale niech pójdzie a męża. Co? prawda, że mam rację?

— Zapewne, ja poszłabym za męża z zawiązą

nemi oczyma, byle kto mnie zechciał. Ale znasz papę!... wiesz, bez tytułu to już chyba nie przystępny do niego, a któż z tytułem taką biedną pannę weźmie, jak ja!

Minuska porwała się na równe nogi.

— Gadanie!... może się znaleźć taki, tylko trzeba się do tego wziąć. Często księżęta żenią się z kucharkami; dlaczego ty, tak dobrze urodzona i spokrewniona, masz mieć mniej szczęścia od kucharki? Tylko flirtuj, błagam cię!... flirtuj!... Jesteś za poważna. Założysz ręce na piersiach i siedzisz jak królowa. Chcesz jeszcze cygaretki?

— Nie... dziękuję!

Janka wstała i zaczęła oczyma szukać swej rotundy.

— Uciekasz? — spytała Minusia.

— Tak!... muszę!...

— Dopiero piąta...

— Władnie...

— Czekasz na kogo?

— Nie!... nie!... ale...

Jąkała się, nie wiedząc, jak usprawiedliwić tę konieczność wyjścia. Od kilku chwil czuła, że jeszcze parę sekund, a prawie bezwłasnowolnie wstanie i wróci do domu, przejdzie przez przedpokój i zatrzyma się koło drzwi małego pokoiku. Nie otworzy ich wszakże, tylko postoi w cieniu, wpatrzona w jasną smugę światła, jak w strzałkę, w czarnej masie zarysowaną.

Później pójdzie do swego pokoju i tam, z czołem przyklepionym do szyby, pozostanie tak wsłuchana w ciszę, dopóki charakterystyczne trzaśnięcia

drzwi wejściowych nie oznajmi jej, że lekcja a brata się skończyła. Wtedy odczuje znów zawsze to samo wrażenie, jakby ona sama szła w ciemnię jesiennego wieczoru, w aleję rewerberów, testonami żółtymi zawieszonych w powietrzu.

Pożegnawszy Minusie, wyszła na schody, nieoświetlone jeszcze, pomimo pomroki, przyćmionej jeszcze przez poszarpaną tafłę kolorowych szybek okna.

Grabowieccy mieszkali na partarze, Podolscy zajmowali całe pierwsze piętro.

Wyszedszy do sieni, spotkała się nagle wyniosłą postacią nauczyciela Justyna, który wszedł z ulicy i drzwi za sobą powoli zamykał.

Doznała dziwnego uczucia, tchu zabrakło jej w piersiach, chciała się cofnąć, lecz on ją dostrzegł i uchylił lekko kapelusza. Nie przemówił ani słowa, lecz grzecznym, całkowicie nie licującym z jego obejściem ruchem usunął się, przepuszczając ją pierwszą. Schody były wyłożone dywanem, kroki ich tonęły w ciszy.

Tymczasem na piętrze przed drzwiami wchodowymi dziwna rozgrywała się scena.

Z ręką na kluczu, włożonym do zatrzasku, stał Justyn, jasny blondyn, o olbrzymich turkusowych oczach ojca i krogulczym kształtnym nosie. Młody, zaledwie dziewiętnastoletni chłopiec, blady, w długim futrze, pokrytem ciemnozielonym sukniem, miał usta spieczone gorączką i lazur oczu dziwnie błyszczący. Usiłował otworzyć drzwi i uwolnić się zarazem od Marysi, która coś mu mówiła cichym, pokornym głosem. Nerwowo drżącą ręką Justyn szar

pał klucz, wreszcie]Mrzwi otworzył, dziewczynę silnie pchnął i, wszedłszy do przedpokoju, rzucił jej przez zęby:

— Idź do dyabła!... Drzwiami trzasnął.

Marysia zachwiała się i osunęła na klęczki, porwała się za głowę i, zdławiona spazmatycznym łkaniem, pozostała tak nieruchoma, cała siną od napływu krwi do żył, rysujących się gwałtownie na skroniach.

— Co to? — zapytał nauczyciel, zmarszczywszy się i, nie zwracając uwagi na Jankę, kilka schodów na raz przeskoczył.

Za chwilę był przy Marysi Pochylił się nad nią.

— Co się to stało?

Lecz ona nie wymówiła ani słowa. Usiłowała się podnieść, lecz sił jej brakło. Osunęła się zupełnie na ziemię; śmiertelnie teraz blada, ze sztywniejącymi rękoma. Janka weszła powoli na schody.

Mężczyzna stał ciągle obok Marysi.

— Ta dziewczyna jest bardzo chora! Janka zmrużyła oczy.

— To Marysia, nasza młodsza. Co ci to? zwichnęłaś nogę?

Marysia nie odpowiadała nic, jakby nagle ogłuchła.

- Trzeba ją podnieść, ocucić!...
- Przecież nie zemdlą!a!
- Nie wiem! niech pani rozepnie jej stanik, ja przyniosę wody.

I Janka wyprostowała się i przygryzła usta. I — Zawołam kucharkę.

[Mężczyzna spojrzal na nią i znów lodowate zimno przebiegło iego żyły.

i — Radziłbym pani nie robić w tej sprawie wiele hałasu. Dziewczyna upadła, popchnięta ręką brata pani.

— Czegóż ona od niego chciała? I — Nie wiem; to rzecz ich obojga! Pani powinna uczynić to, co ci w tej chwili sumienie nakazuje!

i Patrzal na nią uparcie, aż ona podeszła do leżącej na ziemi służącej i przyklękła u jej piersi. Z dziwnym wstrętem rozpięła ściśnięty u szyi kołnierzyk. Nędzna, perkalowa koszula, obszyta dzierganemi ząbkami, zabelala grubą obszewką. I Mężczyzna zadzwonił lekko, drzwi otwarły się prawie natychmiast i Janka pozostała sama z nieprzytomną wciąż Marysią.

Chciała się podnieść z klęczek, lecz ezula, że coś przykuwa ją do miejsca. Spojrzała w twarz sługi i przeraziła ją bladosc tych drobnych, smutnych policzków. Dziewczyna miała wyglad zagłodzonej i zabiedzonej istoty.

I Obraz ten poprostu wchodzil w oczy i mózg Janki; nigdy tak blisko swych źrenic nie miała takiej wyniszczonej i biednej twarzy... i Wyciągnęła rękę i poprawila głowę leżącej dziewczyny. Głowa ta padła z głuchym łoskotem na froterowane deski. Janka cofnęła rękę ze wstrętem. Włosy Marysi pełne były pomady lepiącej się i ślizkiej.

Drzwi uchylily się, i do sieni wszedł nauczyciel, ciel Justyna. Niósł szklanke wody i butelkę z wo | da kolońską. I

— Brat przysyla, prosi, żeby ją otrzeźwić i za. I chować sekret przed ojcem... I

Janka cofnęła się, ale z klęczek nie wstała. I

— Niech pan trzeźwi... ja nie umiem... I Spojrzal na nią zdziwiony.

— Niech pani choć szklanke potrzyma! — wyrzekł brutalnie, jakby zniecierpliwiony tą oporną pomocą, którą w Jance odczuwał.

Skropił twarz Marysi wodą, uderzył ją po dloniach i uważnie wpatrywał się w twarz dziew

Wreszcie przytomność jej powracać zaczęła.

Odetchnęła ciężko i nagle porwała się z miej sca. Właściwym ruchem wszystkich budzących się z omdlenia kobiet, zapięła u szyi kaftanik i, czepiając się ściany, podniosła się z ziemi.

— Przepraszam panienkę! — wybełkotała pokornie, i

Zachwiała się jeszcze i, nie patrząc na nauczyciela, zaczęła schodzić ze schodów. Janka przechyliła się przez poręcz.

— Dokąd idziesz?

— Ja?., ja wyjdę przez kuchnię.

— Idź przez przedpokój...

— Nie, dziękuję paniencie, ja pójdę przez kuchnię.

Szła powoli, czepiając się kurczowo poręczy. Janka śledziła tę ciemną, lśniącą głowę, ginącą w ciemnej jamie sieni.

rn Po chwili drzwi od ulicy zapadły się za nią
s trzaskiem. Jplr ISSPt "V:rT

m Janka odwróciła się i spójrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Był bardzo blady i znużony.

B — Dlaczego ona zemdląca—spytała, nie wiedząc prawie, skąd to pytanie wybiegło na jej usta.

H — Nie wiem!... teraz pani obowiązkiem jest dowiedzieć się prawdy! — odparł, nacierając sobie skronie kolońską wodą.

H — Co mnie to obchodzi?

m — Jak to! co panią to obchodzi?.. A cóż panią obejdzie, jeśli nie cierpienie innej kobiety?..

Chciała mu odpowiedzieć, że Marysia jest służką i jako taka, ma swe własne cierpienia kuchenne—ale słowa uwięzły jej na ustach.

W Ta rozmowa na schodach z nieznanym Snęczyzną wydała jej się w tej chwili bardzo nieprzyzwoitą.

B — Pan daruje, ale muszę wejść do domu!— odparła z nagie zbudzoną dumą. m Była w. tej chwili śmieszna i czuła to dobrze. m Lecz on nie zdawał się widzieć tej śmieszności.

— I owszem. Niech pani idzie i od razu wybada tę biedną dziewczynę. Zobaczymy, co wypadnie zrobić...

I Drzwi były uchylone, Janka popchnęła je lekko.

I Nagle poczuła, jakby ją ktoś silnie pociągnął. Obejrzała się i spotkała się ze wzrokiem raęczny

zny, tem lodowatochłodnem, a nakazującym gpoj. rzeniem.

— Jutro mi to pani powie, dobrze?

— Dobrze!

Odpowiedziała tak, bo czuła, że nie może od powiedzieć inaczej. Jakiś prąd zimny, surowy, niepochwytany, ogarniał ją całą, dyktował jej słowa, kierował spojrzenia. szybko, jakby chcąc wyrwać się z tej przemocy, wpadła we drzwi jadalnego pokoju, które za sobą przymknęła. Przebiegła jadalnię i zatrzymała się przy oknie swego pokoju, który już niemal cały zatonął w cieniu.

Szła z niespodzianki w niespodziankę. Spotkała się prędzej, niż przypuszczała, z tym obdartym blondynem, którego palto wytarte zieleniało przed nią tak dokładnie od dni tyłu. Ciągłe widziała jego złote włosy i drobne dziecięce usta. Oczu nie pamiętała, jakkolwiek te najwięcej dręczyły ją potwornym, porywającym chłodem. Rzecz dziwna, w twarzy jego, gdy sobie ją uprzytomniła, źrenice stanowiły pustkę, jakby wyżartą przez stado nie widzialnych sępów, zgłodniałych trupiej biesiady. I pustka ta ciągnęła ją właśnie najbardziej. Myślała o niej ciągle, pragnąc ją jakkolwiek imagine cyą zappełnić...

Stała tak godzinę całą.

Głuchy łoskot zamykających się drzwi szarpnął nią całą.

Oderwała się od szyby i, poczekawszy chwilę, poszła w kierunku małego pokoju, w którym była ewna, że zastanie teraz samego brata.

Rzeczywiście, Justyn stał koło stołu w jasnym świetle lampy i układał zabazgrane cytrami kartki. Na stuk drzwi, odwrócił się cały. — A, to ty?—wymówił obojętnie. Między rodzeństwem panował ten sam chłód, który istniał pomiędzy ojcem i dziećmi. Była to garść ludzi obcych, mieszkających pod jednym dachem.

— Czego chcesz?

Jej zdawało się, że łatwo dowie się prawdy.

— Coś ty zrobił Marysi? — spytała, siadając na krześle. Bezwiednie zajęła miejsce nauczyciela.

Justyn się zmieszał. — Albo co?

— No.., przecież zemdląła!

— E!. komedia!

— Nie, była bardzo błada!., co to się stało? Uderzyłeś ją?

— Tak!...

— Za co?

— Za co?., zuchwaliła się... zresztą... nudzisz mnie... idź sobie!.. Dostyc mnie wynudził Kuniewicz swoją matematyką...

— To... on się nazywa Kuniewicz? Justyn ramionami wzruszył.

— Pewnie, że nie Potocki ani Zamoyski. Chcesz cygaretki?

— Daj!

Wyciągnęła rękę, chcąc zjednać sobie uprzejmość brata. Ten pokój nagi, pusty, zimny, dzi

wnie ją interesował; pragnęła pozostać w nim jak najdłużej.

IZE— Dawno on cię uczy? — spytała, zapalając nad lampą papierosa,

— Nie—odparł Justyn—dwa miesiące.

— Kto ci go nastreczył?

— Znajomi.

— Czego on cię uczy? Justyn ramionami ruszył.

— Co ci do tego?.. Naprzód, nie włócz się tędy; kiedy on jest. To nie wypada dla przyzwoitej panny.

— Coż on mi może zrobić?

— On? nic. Ale pomyśli, że mu w oczy leziesz I tak jest dosyc zarozumiały.

Oblał się cały chmurą dymu.

— Choć... to dziwny człowiek!—ciągnął dalej— coś jest w nim, co ludzi do niego ciągnie. Ot, ja, nie lubię się uczyć, a z nim chętnie godzinę posiedzę. Ma zajmujący sposób wykładu, choć na pozór źle mówi i głos ma suchy. Ale jest w nim coś...

Urwał i spojrzął na Jankę, która siedziała zamyślona i wpatrzona w małe karteczki, bielące się w strudze światła i całe pocięte drobnem, równem, porządnem pismem.

— Cóżes taka zasumowana?

Janka ocknęła się i przybrała głupkowaty uśmiech.

— Ja?., nie!., tak sobie.

Papieros jej w zębach zgasł; nie uważała, ciągnęła go machinalnie.

— Nie wiesz, w jakim papa humorze?—zapyta! nagle Justyn.
— Nie wiem; wiesz, że z nami papa nie gada.
— Czy już wstał?
— Zdaje się. Antoni poszedł zapalać lampy. Justyn chodził po pokoju, strzelając z palców głuchym łoskotem kastanietów.
— Chciałbym go jakoś w dobry humor wprowadzić—zaczął znowu.
— A... potrzebujesz znów pieniędzy?
— Zwaryowałaś? znów? znów?.., przecież nie mogę żyć z tego, co mi papa kiedy niekiedy daje. To zgroza!.., taki wielki chłopak, jak ja, bez grosza!.. to w takim towarzystwie, w jakim żyć muszę! Co papa sobie myśli... ja, doprawdy, nie rozumiem!.. Będę musiał się lada chwila ożenić, ażeby się z tej nędzy wydostać! A że nie mam ochoty, to więcej niż pewno.
— Ożeń się z Minusia—podsunęła Janka. Justyn przystanął. Piękna twarz jego pokryła się siecią zmarszczek.
— Z kim? z Minusia?.. Ileż ona nia?
— No... nie wiem! podobno ze dwakroć!
— Dwakroć? ależ to nędza dla mnie! Co ja bym robił za te pieniądze? Ja muszę dostać najmniej pięćkroć gotiu! Wystawiał naprzód piersi, potrząsał głową, wysuwał ręce z mankietów, jak towar na sprzedanie, cacko w gablotce jubilera!
Janka ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać.

— Jak się tak ożenisz—podjęła wreszcie—to i mnie może za mąż wydasz!
— Ciebie?.., a któż cię weźmie? ty nie masz ani grosza!
— No... przecież starą panną nie mogę zostać.
— Dlaczego? coż to? starym pannom źle? A zresztą, możesz pójść do klasztoru...
Janka podniosła się z krzesła. Egoizm brata nie oburzał jej. Była przyzwyczajona do tego brutalnego rozwielenia się mężczyzn. Pamiętała zawsze, że Justyn jest to druga edycja ojca; że ta przewaga mężczyzny nie ustanie nigdy, potężna, silna, straszna; że ona, Janka, jest drobiazgiem, pyłem, sprzętem bezużytecznym, nagim, w układzie rodziny. Miała już nawet w pochyleniu naprzód głowy tę bierną chęć poddania się losowi. Fatalistka, wśród kiści trawy wyrosła, smutna niewolnica płci o długich, powłóczystych fałdach niewieściej
— Idziesz do papy?—spytała.
— Tak!.., pójde, poczytam Wyraz. To go może udobrucha.
Wyszli oboje i otworzywszy drzwi do jadalni, wpadli nagle w przejasną powódź światła, z którym jednak byli już oswojeni. Podolski kazał zwykle zapalać wszystkie lampy w jadalni i salonie. Ubrany w długi anielez, plując, charcząc, chodził z kąta w kąt i wszędzie strzepywał popiół z fajki, której nie wypuszczał nigdy z ręki.
Ta iluminacja dziwna, biała, przerażająca, była mu potrzebna jak codzienna kąpiel, w której się L nurzał z lubością.
Nie kazał zapuszczać sztor, i cała

łuna bila w ciemnię Ujazdowskich alei z tych okien wielkich, przeciętych krzyżem ram ciemnych. Przejeżdżający odwracali głowy, sądząc, że to przygotowania do bala lub wieczoru niezwykłego. Lecz Podolski stawał w oknie sam, czerniąc się olbrzymią sylwetą w złożonym blasku. I po chwili od okna odchodził, aby stanąć znów pod kryształowym pająkiem, w którym płonęło dwanaście świec. Z boku po ścianach poczepiane lampy łąły całe strugi matowego światła na purpurę mebli o kształtach „empiru”, wydobywając łapy lwów z pod cienia, spowodowanego grzbietem olbrzymiego stołu.

Justyn podszedł do ojca i pocałował go lekko w rękaw.

Podolski machnął ręką, wyduł usta i odwrócił się od syna. Sam nie wiedział dlaczego, ale czuł się w obowiązku mieć ciągłą urazę do całego świata, a do swych dzieci w szczególności.

Justyn zbliżył się do stołu.

— Przeczytam papie Wyraz. Dobrze?

— Nie fatyguj się!...

— Och!... to nie żadna fatyga. Ja sam jestem ciekaw ostatnich telegramów...

— Wszystko fałsze!

— EL. czasem jest prawda! zobaczymy!...

Rozkładał duży arkusz z uprzejmością i słodyczą uśmiechu. W jaskrawym świetle podobieństwo ojca i syna występowało z całą bezwzględną brutalnością. Jeden zdawał się być odbiciem drugiego. Lazur ich oczu ciemniał i nabierał cudownych, aksamitnych tonów. Patrzeni na siebie z pod długich rzęs, jednakowo fryzowanych. Ruchy ich

miały beczelną niedbałość, wykwinnie estetyczną. Tylko syn był więcej banalny i trącił brukiem. Ojciec wyniosły, pogardliwy, zamknięty w sobie, zacinał usta pogardliwym skrzywieniem. Usta Justyna miały chwilami więcej szczerzego uśmiechu. Czuć było jednak jakąś głuchą, straszną walkę między tymi dwoma ludźmi. Starszy nie chciał ustąpić miejsca młodszemu, ani na piędź, ani ua cal. Młodszy prawem nieubłaganem wstępował, pchany siłą cza su, i było im obydwom za ciasno, za duszno. Dławili się wspólnie, wyczerpując w fatalnej beczynności, denerwując w próżniactwie codziennego życia. Jeden i drugi, jak kość spróchniałą, tak rwali ku sobie to „użycie”, kupione za pozostawione przez zmarłych kapitały. Z najwyższą nieufnością patrzeli na siebie obaj, pełni podjazdowej walki o grosz, który migotał przed nimi w przestrzeni złotawą plamą, drżącą na tle herbowej, okrytej paludamentem, tarczy. Koło północy uczuła nagle Janka, jakby ktoś zlekka dotknął się jej ramienia. !

Usiadła na łóżku i przerażeniem spojrzeniem objęła wążka przestrzeń pokoju, lekko oświetloną czerwonaawem światelkiem lampkia palącej się przed obrazem Najświętszej Panny. Janka siedziała tak chwilę na łóżku, nie mogąc zrozumieć, kto ją i dlaczego zbudził. Po za komodą spała spokojnie Pola, oddychając równo. Niedbale porzucone jej spódniczki białeły koło łóżka.

Powoli przed umysłem Janki zarysowały się Iakieś niewyraźne i niedobrze sformułowane chęci

i pragnienia. Myśl jej, uparcie przebijając mury, płynęła aż do kuchni, do łóżka Marysi. Janka uczuła konieczną potrzebę zobaczenia i rozmówienia się ze służącą. Zdawało się jej, że ktoś żelazną dłonią spędną ją z posłania i przed siebie ku drzwiom popycha. Wstała jak automat i narzuciwszy spódnice, a na nagie ramiona kaftanik, przeszła przez ciemną jadalnię i przedpokój. Czuła wyraźnie jakąś moc w sobie, nie swoją własną, coś obcego, działającego w niej z doskonałą precyzją maszyny. W chwili, gdy ostrożnie otworzyła drzwi od kuchni, ujrzała Marysię, trzymającą rękę na klamce od drzwi, pro wadzących na schody. Uczepiona u ściany lampka paliła się smutnie. W małym pokoiku, przylegającym do kuchni, chrapała kucharka. Marysia była ubrana, w chustce na głowie i trzymała w ręku spory węzełek z rzeczami. Łóżko jej szarzało grzbietem nagiego siennika. Janka weszła do kuchni i wyciągnęła rękę.

— Dokąd idzie Marysia?—spytała.

Marysia opuściła głowę i bawiła się końcem chustki.

— Dokąd idzie?—powtórzyła Janka. — Precz...—odparła wreszcie dziewczyna, Głosy tych dwóch kobiet, wśród ciszy nocnej

dzwoniły dziwnym, urywanym tonem. — Dlaczego?... uciekasz?... co ci się stało?

— Panienska nie wie... ale ja proszę... ja dłużej tu zostać nie mogę... ja woję pójść... ja pónđę!...

Łzy ją dławily, otarła je szybko.

— Dziękuję paniencie, że do mnie tak mówi, Ja nic nie ukradłam, wszystko zdałam kucharce,

ona wie, że ja odchodzę... wreszcie ja kuferek zostawiam. Panienska się przekona. A może panienska chce zobaczyć to, co mam w ręku, proszę...

Przyklękła na ziemi i na podłodze roztrząsała swoje biedne łachy, bieliznę łataną, grubą, spodnice zmięte, bawełną przebijające.

Janka stała teraz bezsilna, nie czując nic już w sobie z tej mocy, jaka ją tu przywiodła.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć tej dziewczynie, związującej teraz z gorączkowym pośpiechem swe łachy.

— Dlaczego jednak odchodzisz?—spytała wreszcie—przecież ci nikt krzywdy nie zrobił?

— Nie, panieko, krzywdy mi nikt nie zrobił, ale ja se pónđę. Przemennie krzywdy tu niebędzie. Ja jutro tu z woźnym młodsze przyślę. Kaftaniki panienek jeszcze nie poprasowane, ale wiszą na strychu. Nie wyschły. Dobranoc paniencie!...

Ukloniła się przy drzwiach, dziwacznie niezgrabnie i, otworzywszy drzwi, znikła w sieni.

Zimno zawiąło, światło lampy zakółsało się lekko, i Jance zdawało się, że jakaś dusza cicha i spokojna mignęła wśród cienia.

Postała jeszcze chwilę na środku kuchni i uczuła pod czaszką olbrzymią, lodowatą próżnię. Nie pojmowała zgoła, dlaczego w nocy tu przyszła bosa, w narzuconym na plecy kaftaniku, i teraz stała tak sama na środku kuchni, patrząc uparcie we drzwi, za którymi znikła Marysia.

III.

Nazajutrz, od samego rana, w głowie Janki zaświtała myśl jedna. Zobaczyć Kuniewicza i zdać mu relację o widzeniu się i rozmowie z Marysią. Przez cały dzień myślała tylko o tem, silnie denerwowana i zaniepokojona. Lecz jak? Justyn siedział uparcie w domu, chcąc od ojca uzyskać trochę pieniędzy. Mowy więc nie mogło być o spotkaniu się z Kuniewiczem w przedpokoju. Przy obiedzie nic wymyśliła nic jeszcze i siedziała zmieszana, wpatrując się uparcie w herb na dnie talerza.

Podolski, zirytowany na syna, jadł zapamiętałe marchew, chcąc w ten sposób przysporzyć sobie krwi w żyłach. Justyn, zajmując pośrednie miejsce między dziewczynami, kręcił gałki z chleba i pił całe szklanki wody, nie dotykając jedzenia. Rozprawę miał z ojcem burzliwą rano przy śniadaniu, gdy zasiedli wszyscy do herbaty i bułek. Wrzucony przez Podolskiego w centr arystokracji, szarpał się w tem kole, jak ptak z podciętemi skrzydłami. Ojciec nic dawał mu prawie pieniędzy, płacąc kraw

ca i kupując papierosy. Dziwnie bystry, sprytny i żywy umysł Justyna nie znajdował żadnego ujścia w gorączkowym próżniactwie i włóczeniu się bezcelowem po rautach i wieczorach.

Podolski nie kazał go uczyć na wsi prawie wcale, nie odwiózł do żadnych szkół, mając go ciągle za „smarkacza.”

Chłopak wyrósł jak strzała i przyjechawszy do miasta, otarł się dziwnie szybko nauczył się po francusku, brzdąkał na fortepianie i co czas jakiś sprowadzał sobie innego nauczyciela, który go encyklopedycznie kształcił. Miał szalone zdolności do matematyki i chwytął w lot to, co posłyszał u kogo. Często dziwił się sam, nie pojmując, skąd się mu coś do głowy przyplątało. Była to wspaniała siła, inteligencya wyjątkowa, zmarnowana brutalnie, wciśnięta w ciasne ramy niepojętego zastoju, tak, jakby wał szumiących traw oddzielił wieś od promieniejącego postępem świata. Chłopiec miał szatańską dumę w sobie, pychę, która się ugiąć nie umiała, nie mogła.

Cały obiad przeszedł w grobowem milczeniu. Pola drżała cała, gdyż silnie nerwowa, przeczuwała lada chwila jakiś wybuch szalony, starcie się dwóch rozpalonych temperamentów, które wrzały ku sobi, jak dwa lwy w klatce zamknięte.

Nagle, gdy miano już powstać od stołu, Podolski wyprostował się na krześle i patrząc wyraźnie w twarz syna, wymówił głośno, dobitnie, znacząc takt nożem na brzegu talerza.

— Proszę pana Justyna zanotować sobie, że od dziś papierosów niema!

Justynowi żyły nabiegły na skroniach. Czuł,

że ojciec całą noc knuł ten rodzaj zemsty, obliczonej na jego przyzwyczajenie palacza. Zagryzł wargi ironicznie i nie odpowiedział ani Mowa. pjjpf y ŚEEJĘm,

— Krawca też płacić nie będę! — dorzucił po chwili ciszy Podolski.

Justynowi oczy się zaświeciły, iecz milczał, tylko palce nerwowo poprawiały ocierający mu szyję kołnierzyk.

— Pieniądzy także ani grosza nie dam! Justyn powstał i ku drzwiom się zwrócił.

— Dokąd idziesz, błaznie?... — krzyknął chrapliwym głosem.

— Ide... robić dług! — rzucił chłopak, zatraskując drzwi za sobą.
Podolski osłupiał.

Rzeczywiście, Justyn do tej chwili nie robił nigdy długów, i Podolskiemu nie przeszło przez myśl, że może zdarzyć się podobny wypadek.

Szeroki uśmiech wykrzywił mu twarz.

— Długi?., poczekaj!., dług!?, zobaczysz, czy ci kto fenia pożyczyl!..

i Wstał, śmiejąc się ironicznie, i z tym samym uśmiechem zmówił łacińską modlitwę dziękczynną, poczem szybko wyszedł do swego pokoju. Dziewczyny siedziały ciągle na krzesłach blade i smutne. Jakkolwiek te sceny powtarzały się często, niemniej przeto obie były niemi głęboko dotknięte. Tylko Pola czuła się znudzoną i zdenerwowaną, a Janka doznawała nieokreślonego uczucia rozpaczy i poniżenia. Dziś zwłaszcza, odczuwała to silniej niż kiedykolwiek.

Nagle otworzyły się fałdy portyery, i Podoi I eki rozpromieniony, uśmiechnięty, ukazał się w nich cały radości pełen. Miał w ręku kartkę papieru, m zabazgraną koszlawem pismem. fl

— Antoni!.. fl Lokaj wpadł jak bomba. fl

— Zanieś mi to ogłoszenie do Kuryera. Niech W mi wydrukują trzy razy, w pokaźnem miejscu i jak największemi literami. Tu masz pieniądze!.. Sły szysz!..

— Słyszę, jaśnie panie... I

— Ruszaj na jednej nodze! I

— Dobrze, jaśnie panie!.. I Podolski uśmiechnął się raz jeszcze w fałdach I ciemnozielonego repsu. Siwa broda zawachiowała I kilkakrotnie.

— Długi... czekaj!., zobaczysz!.. Dziewczyny nie patrzyły na ojca. Bały się go.

Lecz on znikł już za portyerą, i po chwili słychać było, jak się układał, kaszłąc, do poobiedniej drzemki.

Janka czuła się strasznie przygnębioną; jak promienia jasnego, tak czepiała się teraz możliwości zobaczenia z Kuniewiczem. Wmawiała w siebie, że uczynić to musi, i cała drżąca, zdecydowała się czekać nań w alejach, kryjąc się, o ile można, w cieniu drzew. Ubrała się powoli i wysunęła, sprawdzwszy, że Kuniewicz znajduje się z Justynem w małym pokoiku, wychodzącym na dziedziniec. Pierwszy

raz wychodziła sama na ulicę, wiecznie eskortowana przez cień sługi lub Antoniego. Bała się, aby ktokolwiek nie zobaczył jej i wyszedłszy za bramę, przesunęła się aż na środek alei. Brakowało jeszcze kilkunastu minut do szóstej, lecz aleje podczas tej sloty i szarugi jesiennej opustoszały zupełnie, i tylko światelka latarni żółciły się wśród koronek gałęzi drzew, rozpaczliwie sterczących w powietrzu, prodkiein szedł rudoczarny gościniec, wyglądający, jakby był wypukły i cały mazią błotną oblepiony. Drzewa sterczały po obu stronach, znacząc się jasnoszarami pniami, trochę czerwonaawemi liniami pokreślone. Na asfalcie trotuaru, jak w czarnych wodach drzemiącego w nocy stawu, odbijały ię światła parterowych okien, światła niebieskawobiałe w odbiciu, a w rzeczywistości rudoczerwone, brudne i niepewne. Ponad domami niebo przybrało ciemnoszarą barwę, trochę przejrzystą, zaróżowioną, jakby luna jakaś daleka konała ponad Warszawą. Stosy liści jesiennych butwiały, pozgarniane w duże, smutne mogiły. I jeszcze ciągle liście leciały, bez szmeru, bez szelestu, kładąc się do błotnego grobu, jak stada gasnących ptaków.

Janka schodziła z drogi, ile razy powlokła się dorożka lub przejechał powóz. Pilnie śledząc dom, w którym mieszkała, widziała teraz dokładnie całą bacbanalię światła, która z okien ich mieszkania w aleje się lała. Niekiedy ciemna, olbrzymia sylwetka męska plamiła jasną przestrzeń szyb. Janka instynktownie kurczyła się w swym zakieciku. Ojciec, tak z daleka widziany, na tem jasnym tle, zdawał się jej jeszcze wyższym, jeszcze bardziej ol

brzyinini i groźnym. Cofała się, bojąc się, ażeby jej nie poznał. Lecz on odchodził w głąb i uikł I w jasności bezmiernej, po to, aby się zjawić znów w innej ramie, jak widmo pokutujące w klatce bez czynności i przesądów. I Wreszcie drzwi sieni otworzyły się, i Kunie wież stanął na progu; podniósł głowę, wysunął rękę, I chcąc sprawdzić, czy deszcz pada, poczem szybko zaczął schodzić z kamiennych schodów. I

Janka uczuła, że jej serce w piersiach zamie ra, iecz widząc, że Kuniewicz oddala się szybko I w stronę miasta, pobięła, za nim gwałtownie. I

— Przepraszam pana... I Mężczyzna obejrzał się zdziwiony.

Byli właśnie teraz tuż pod latarnią gazową, i w tem mrocznym, chorobliwym świetle Kuniewicz wydał się Jance chorobliwie bladym; patrzył na nią zdziwiony. Poznał ją przecież odrazu.

— A! to pani!..

— Tak... widziałam się z Marysią dziś w nocy.

— No i cóż?

— Uciekła!

— Jak to uciekła?.. — spytał opryskliwie — mogła ją pani przecież zatrzymać! Dlaczego pani tego nie zrobiła?.. Cóż mówiła?

— Nic! ; . rjj

— Bo pani do niej przemówić nie umiała. Biedna dziewczyna!

Janka poczuła w sercu niechęć silną do Marysi. Nietylko, że Kuniewicz zajmuje się nią wyłącznie, ale jeszcze czyni jej, Jance, wymówki.

— Nie moja w tem wina — odrzekła z rodzą

I jem urazy w głosie — nie umiem rozmawiać ze słuI gamiL C t "

Kuniewicz pokiwał głową.

— Oj to, to!... nie umie pani rozmawiać ze sługą, nie zna pani nawet swych obowiązków.

[— To nie mój obowiązek mieszać się w ich sprawy! m

I — A czyj?... czy pani myślisz, że płacąc iai trzy ruble na miesiąc, wypełniasz wszystko, co do [ciebie należy!

Janka parsknęła śmiechem, r Kuniewicz, który szedł szybko, wyprzedzając prawie o krok jeden idącą za nim

dziewczyne, szarpnął się cały, jakby rozpalonem żelazem dotknięty. ,V; f — Jak się pani bezmyślnie śmieje!... To

dziwne... ma pani przecież inteligentne oczy. Więc się pani to śmiesznie wydaje, co mówię?... Proszę!.. r p f S v O yv"

pf

— Naturalnie!

Weszli już teraz na pias, i szeroka, wilgotna przestrzeń rozlała się przed nimi. Po obu stronach wydęte ramiona murów kamienic rozsuwały się w niskie, stosunkowo, ramy. Pośrodku całe grono lamp jasnych, w powietrzu sinawoczarne zawieszane, zdawało się być skamieniałym kwiatem, mistycznym i z ciemności wyrastającym.

Kuniewicz zwolnił kroku i obejrzał się na idącą za nim dziewczynę.

— Czy, jak pani siostra lub brat odda jaką przysługę, to pani nie czuje wdzięczności?...

Janka była egoistką, tak samo iak Pola i Ju

styn. Rodzeństwo miało pozornie lód pomiędzy . ba, i nigdy nic dla siebie wzajemnie nie czuło.

Dziewczyna nie chciała przecież przyznać się do tej obojętności.

— Zapewne.... ale Pola, albo Justyn, to co innego!

— Byłem pewien pani odpowiedzi. Ale chce pani porozmawiać trochę?... Niech mi pani da rękę; będzie nam lepiej iść razem.

Janka zmieszała się mocno. Ten nieznaną prawie mężczyzna proponuje jej przyjęcie ramienia, jak rzecz zupełnie naturalną. Gdzie też on się wychował?...

Zdobyła się na odwagę i, podnosząc w górę głowę, odparła:

— Dziękuję panu, pójdę sama...

— Jak się pani podoba! — odparł Kuniewicz spokojnie, nie rozumiejąc bynajmniej intonacji, jaką nadawała swemu głosowi.—Sądziłem, że tak będzie lepiej... Nie chodzi tu jednak o to, jak mnie pani będziesz słuchała. Chodzi tu głównie, aby pani mnie zrozumiała. Mówi paoi, że dla siostry czuje wdzięczność, a dla Marysi jej nie czuje.

Dlaczego?... Czy przysługa, jaką obiedwie pani oddają, nie jest tej samej doniosłości?...?

— Tak... zapewne...—wyrzekła Janka—ale to moja siostra...

— Czy pani nie chce mnie zrozumieć, czy nie może?... Zastawia się pani względami rodzinnemu Ale... ma pani jaką przyjaciółkę? Niech pani ją postawi na miejscu siostry. A teraz, czy będzie pani czuła dla tej przyjaciółki i Marysi wdzięczność, czy nie?... No, niech pani odpowie!

Z pod runda swego połamanego kapelusza patrzył na nią przenikliwie i uśmiech subtelny, czy ty w linii, rozjaśnił mu usta. I Janka nie mogła sformułować odpowiedzi. I — Proszę pana... to sługa..., to jej obowiązek.. Nie odpowiedział jej nic, tylko szedł chwilę w milczeniu i teraz patrzył wprost przed siebie, na ciemną masę kościoła, tamującą im przejście.

— Czy pani dużo czyta?—zapytał wreszcie. m Słowa uwięzły w gardle Janki, i Ona? czytać?... co?... w domu nic nie było, prócz kilku gazet, z których ojciec kręcił fidibusy do zapalania tajki. I — Ja pani dam kilka książek; przyniosę je jutro. Tymczasem, niech pani pójdzie ze mną jeszcze kawałek, porozmawiamy trochę. Jeśli pani ma umysł tak bystry, jak brat, a nie jest tak przesiąknięta tem, co go już trupem żyjącym czyni, to może ja z pani zrobię człowieka... Chodź pani ze mną! i Byli teraz pod murem kościoła, który z lewego boku tworzył ich postaciom tło smutne i kamienne. Łańcuchy na prawo opasywały ich i przedłużały się koronkowym węzłem...

Głos Kuniewicza brzmiał dziwnie miękko i łagodnie, W duszy Janki coś cicho i wolno budzić się zaczęło...

Wyciągnęła rękę, wsunęła ją pod ramię mężczyzny, ramię, ubrane w wytarte, rude palato,—i tak poszła za nim w tę noc jesienną, pełną niewypowiedzianego smutku, z sercem nagle też pełnym...

Biblioteka.—T. .

Na drugi dzień Janka wstała nawpół seana, dziwnie zmęczona moralnie, czując się nagle i nie spodziewanie wstrząśniętą do głębi w swej leniwej beczynności fizycznej i duchowej.

Ze słów, zamienionych z Kuuiewiczem, pozostał jej chaos, który chwilami przerażał ją i smutkiem przejmował. Żyła do tej chwili w egoistycznej, zmurszałej skorupie, o którą nie odbiły się nigdy smutki i niedostatki bliźnich.

Życie to, jakie nakształt wygryzionej kości, rzuciła jej ręka ojca, było prawie biedne. Ograni ezało się do względnie całych, bo często żelowanych, bucików i talerza ordynarnej strawy, podanej na końcu stołu, na ciemnej plamie ceraty. Wszakże pokoje były opalone i Janka nie nalała sobie nigdy szklanki wody, mając ciągle do usługi Antoniego lub Maryskę.

Nigdy duch jej nie wybiegł poza ciasne ramy przeciętnego użycia. Nie zastanawiała się nad tem, że są ludzie, mający tak jak ona usta, żołądek i

pragnienie utrzymania życia. Widziała żebraków, lecz dawała im grosze obojętnie, więcej z nałogu, tak, jak żegnała się przed spotkanym konduktem pogrzebowym. Nędza była dla niej czemś mitycznero, istniejącem gdzieś za górami, tak jak cholera, tyfus lub inne zaraźliwe choroby. Na wsi trzymała się zwykle z daleka od chat chłopskich. Nawet do kuchni, gdzie byli parobcy i dziewczki, a klucznica pierogi czarne zawijała, nie zaglądała nigdy.

Raz jeden poszła, aby zobaczyć małe kurczęta i była za to silnie przez ciotkę złąjana. Przyzwoita bowiem panienka do piekarni, gdzie są parobcy, nie zagląda. Janka założyła ręce po napoieońsku na piersiach i zrobiła filozoficzną uwagę, że była w piekarni, ale... parobków nie widziała.

— Ale mogłaś zobaczyć!... — przerwała jej ciotka.

Długo później Janka z obudzoną ciekawością śledziła Orcebima i Julka, a za koszulą Paraski oczyma wodziła. Czy to było bardzo nieprzyzwoite znaleźć się tam, gdzie ci ludzie?.. Widocznie, skoro tak ciotka mówiła. Cóż więc oni robili w tej piekarence, która do ziemi przysiadła pokornie? imaginacya dziesięcioletniej dziewczynki zaczęła pracować nie na żarty. Z przylepioną do szyby twarzą śledziła ruchy chłopów, kręcących się poza lipami. Robili na niej wrażenie dzikich zwierząt, do których zbliżyć się nie wolno. Zdawało się jej, że ci ludzie zamieniają pomiędzy sob nieprzyzwoite wyrazy, a ręce mają strupami pokryte.

Powoli przeszło to w rodzaj manii to wmawianie w siebie ciekawej niechęci do piekarnianego świata, a na wiadomość, że Podolski na polowania ze wściekłości odgryzł ucho leśniczemu, który spłoszył mu zajęcia, Janka doznała wrażenia przerażającego niesmaku.

— Ucho?... leśniczemu?... co się papie stało?... Przyjść do siebie nie mogła. Uczuła się chorą i kilka dni mięsa nie jadła.

Gdy przyjechała do Warszawy, obojętność tłumu urażała silnie ten cały tabor pleśnią okryty. Podolski nosił głowę wysoko i ciągle czuł się znieważanym. Janku zapadła w monotonną bezczynność i powoli wygładziła wspomnienie piekarni i ucha leśniczego w swoim umyśle. Przez szyby swego pokoju widziała dziedziniec i pompę, u której wieszala się kohorta sług, nad konewkami pochylona. Nie były to jednak dziewczki piekarniane, bose i niepokojące w swych wiecznych podrygach. Ten legion, który Janka przed oczyma miała, był ubrany i obuty względnie cało, a najczęściej śpieszący się ae strugą wody, ciekącej z brzegu konewki. Janka patrzyła na te sługi, jak na automaty nakręcone i spełniające swą powinność. To były „sługi”, tak jak tamto byli „ludzie”. I to i tamto konieczne było, aby ona, Janka, miała suknię wyczyszczoną, posłane łóżko, w którym mogłaby ledz wygodnie po dnia, przewłóczonym po kątach mieszkania.

Powróciwszy więc z wieczornej przechadzki z Kuniewiczem, długo uspokoić się nie mogła. Poszła z nim aż do kolumny Zygmunta, słuchając jego słów, które dziwiły ją i śmieszyły chwilami. Nie

przerywała mu jednak cicha i spokojna, czując niewypowiedzianą błogość w znajdowaniu się obok tego człowieka, który od dni tylu wspomnieniem samem szarpał ją i niepokoił dotkliwie. Uczepiona u jego ramienia, traciła często wątek jego słów, lecz wpatrywała się pilnie w delikatny profil jego twarzy, rysujący się dokładnie w oświetleniu, płynącym ze sklepów.

On mówił do niej, jak do dziecka małego, odczuwając widocznie drobiazgową małość tej inteligencji, całymi mrokami okrytej. Głos jego łagodniał i nabierał serdecznych, piersiowych dźwięków. Mówił prawie ciągle sam, bo ona milczała, nie mając mu nic do powiedzenia. Chwilami buntowała się cała, ale szła mimo to w milczeniu, rozkoszując się tą myślą, że jest tak blisko niego i z nim samym. fe)

Rękę trzymała wsuniętą pomiędzy fałdy jego rękawa i czuła silne ciepło, płynące z fałdów wzdłuż ramienia. Gryzła usta, zmieszana, ale on był zupełnie spokojny, swobodny, zimny, bez cienia zainteresowania się fizycznego tą piękną dziewczyną, idącą za nim posłusznie i cicho brzegiem trotuaru. zedł, zapatrzony przed siebie, jakby ona była dla niego tylko bezpłciową istotą, nie kobietą, lecz osobnikiem duchowo zamarzłym, na którego on rzucał pierwsze, cieplejsze prądy.

Doszli tak do placu Zamkowego i tam Kuniewicz stanął i rękę jej z pod swego ramienia wysunął.

— Dobranoc pani — rzekł — ja idę w swoją stronę.

Odszedł, nie obejrawszy się, nie zatroszczywszy się, że dziewczyna pozostała sama wieczorem na ulicy. Janka przez długą chwilę stała na miejscu i śledziła, jak nikł w ciemnej przestrzeni placu, na której latarnie smugi brudnego i przyćmionego światła słały. Zdumiona była tem brutaństwem i rzuceniem jej samej na ulicy. Po raz pierwszy w życiu była tak sama i tak daleko od domu, bez cienia służącej, następującej jej na pięty. Nerwowo kurcz ścisnął ją za gardło.

Był to rodzaj przestרחu i żalu do Kuniewicza. Nie dbał o nią, szedł gdzieś, śpieszył się. Czem była dla niego? Niczem! I poczuła nagle, że cały świat rozdziela ich dwoje, On w tę masę ciemną poszedł śpiesznie, wysoki, schylony, do swoich zajęć, pracy — może rodziny. Ona została sama na środku ulicy, jak rozbitek, nie czując nawet żadnego magnesu, który ciągnąłby ją" do domu. Przeciwnie, ta strona, ta przestrzeń ciemna, w której zniknął Kuniewicz, rwała ją teraz bezwiednie ku sobie. Stała na brzegu trotuaru, a zdawało się jej, że idzie w tej wilgotnej ciemni, wślad za nim, uczepiona jeszcze u jego ramienia.

Ocknęła się z bólem głowy z tyłu czaszki, ze szczękami ściągniętymi ku dołowi. Oderwała się od bruku i przeszła na drugą stronę ulicy, tam, gdzie tłum był mniejszy. Chwilę obejrzała się za dorożką, ale przypomniała sobie, że nie ma pieniędzy. Poszła więc wpół senna, mocując się sama z sobą i z tem jakimś uczuciem, które rwało ją fizycznie w tył, do placu Zamkowego, do nieznanych jej światów.

Wieczorem Podolski kilkakrotnie dowiadywał się, czy przyniesiono Wyraz. Kazał również Antoniemu pobiedz i przynieść obydwu Kuryery.

Chodził po pokoju pawiami krokami, w jasnych, popielatych spodniach i czarnym surducie. Wszystkie światła zapalone łały kaskadę światła na jego czaszkę pożółkłą i świecąca, I Dnia tego Kuniewicz na lekcję nie przyszedł, gdyż Justyn, trochę znużony, prosił go o to. I Justyn miał wadę sercową od dziecka i każda utarczka z ojcem sprowadzała mu ataki choroby. Leżał więc na swem żelaznem łóżku, narzuconem czerwona, wełnianą kołdrą. W lichtarzu, na stoliku okrytym ceratą, paliła się jedna świeca. Cały pokój tonął w cieniu. Pusty był i zimny. Ręka matki nie przesunęła się przez te ściany. Dwa fiorety skrzyżowane czepiały się obicia. Żółte rękawice, wydęte jak balony, zwieszały się z gwoździ ków. Okno bez firanek czerniało w przestrzeni. I W kącie, na stoliku trochę książek i zeszytów.

Na ziemi stały zsunięte buciki, obłocone i smutne...

i Justyn oparł głowę na rękę i leżał tak, mając ponad sobą, tuż nad chudem ciałem poduszki, skrzyżowaną szubienicę żelaznych prętów łóżka. Złożona jedna gałka połyskiwała zdaleka jak wymarła gwiazda. Młodzieniec smutnemi oczyma patrzył w przestrzeń. Miał w tej chwili wygląd steranego życiem starca. Widać było, że jest w nim cały grób inteligencji, która skonała, nie będąc powołaną do życia. Był bardzo piękny w tym wychudzeniu, jakie powoli zaczynało zarysowywać mu

policzki. Usta purpurowe, drobne, spalone gorączką, zwiślały nieruchomie, bez woli i chęci. Okrył się paltem jesiennem aż pod brodę, i tylko widać mu było ramię, wspierające głowę.

Drzwi uchylły się zwolna.

Wszedł Antoni.

— Czy jasnie pan każe dziś wziąć futr od krawca?

— Tak... dziś! a przyszył guziki?

— Przyszył.

— No, idź, czego stoisz?

— Bo... to o pieniądze!

Po twarzy Justyna przesunął się cień.

— Dobrze... idź... ja ci zaraz sam przyniosę! Lokaj się do drzwi skierował.

Justyn go zatrzymał.

— Co to masz w ręku? Wyraz?

— Tak, i Kuryery!

— Daj mi, ja sam papie oddam!

Lokaj położył gazety na stoliku i wyszedł na palcach, mając wielką sympatyę dla „biednego panicza.

Tymczasem „panicz” zwłókł się z łóżka i, trzymając w obu rękach narzucone palto, zbliżył się do stolika, na którym leżały gazety.

Nie miał ani grosza na swe własne potrzeby. Ze wszystkim udawać się musiał do ojca. Mogł wprawdzie Antoniego odesłać do Podolskiego po pieniądze za naprawę futra, lecz żenował się i wstydził służby. Fałszywa pozycja, w jakiej los go postawił, ta zależność w chwili rozwoju, czyniła go skrupowanym i podejrzliwym. Czuł w tej chwili

konieczność przeproszenia ojca i jak zak gotował się do tej męki. Tylko szafir oczu pociemniał mu w dziwny sposób. Był zmęczony.

Machinalnie wziął do rąk gazety. . Zastanowiły go dwa numery Kuryerów. Podolski nigdy nie czytał innych prócz „Wyrazu” dzienników. Według niego, jeden „Wyraz” mógł być czytany przez szanujących się ludzi,..

Justyn po Kuryer sięgnął, otworzył i przebiegać oczyma począł.

Nagie zachwiał się jak pijany i runął na ziemię, nie wydawszy jęku.

Przed nim na stole, w smutnym płomieniu świecy, czarnemi, dużemi literami, na środku trzeciej kolumny, jak zęby wyszczerzone wiedźmy, rozkładało się następujące ostrzeżenie:

„Ostrzegam, że długów syna mojego, Justyna, płacić nie będę, jak również zawiadamiam, że wszystkie weksle, mojem podpisane lazwiskiem, są fałszywe, i jako takie, do kryminalnej odpowiedzialności pociągane będą. Władysław de Podół Podolski.”

Sześć wierszy drobnych, małych, nic nie znaczących, strasznych w swej lakoniczności, jak krzyż szubienicy, występujący nagle z półmroku...

Antoni naglony przez Podolskiego o gazety, wszedł do pokoju Justyna i zobaczy! zemdlonego

eblopca. Białka oczu migotały porcelanowym blaskiem. Justyn leżał na ziemi z rękoma rozkrzyżowanymi, jakby go nagle grom w sam środek piersi trafił. Podeszewka palta, które mu spadło % ramion, zielouawa, jedwabiem szkląca, służyła jasnej głowie za tło chorobliwe i delikatne.

Antoni szybko flaszczykę z eterem z szufladki stolika pochwycił i, przykląkszy, cucić Justyna zaezwał. Kilkakrotnie mdlał mu już tak Justyn na rękę i Antoni zawsze delikatnie i spokojnie przyprowadzał go do przytomności. Powoli wszakże organizm chłopca słabł i zemdlenia trwały dłużej i upor. ezywie ustąpić nie chciały. Antoni gorliwie jednak pracował, pochylony, cały zdjęty litością nad tym „panem, smutnym i biednym w swej szlacheckiej pańskości.

Drzwi skrzypnęły. Stanęła w nich Janka. Antoni włosy z czoła odgarnął i kamizelkę Justyna rozpiętą zapinać począł.

— Niech panienka stąd wyjdzie, jasny pan zemdlał. :

Zwykle w takich wypadkach Janka oddalała się, pozostawiając służbie trzeźwienie brata. Lecz teraz od dni kilku jakaś potrzeba dobroci nurtowała ją całą, nie mogąc znaleźć ujścia. Trupioblada twarz Justyna wstrząsnęła nią do głębi.

Zbliżyła się szybko.

— Co się stało?

Antoni chciał odpowiedzieć, lecz Justyn westchnął ciężko i powoli powieki przywarł. Leżał tak chwilę bez ruchu, siniejąc, jakby od wewnątrz.

trznego chłodu, skąpany cały w słodkiej woni eten.

Nareszcie otworzył oczy, uniósł się z ziemi i pierwszym jego ruchem było usunięcie wyniosłe ręki Antoniego i na widok siostry zapięcie roztrwanej na piersiach koszuli.

Antoni powstał z klęczek i zaczął kołdrę na iózkę odsłaniać.

— Niech się jaśnie pan położy. Samowar już się gotuje. Ja herbaty do łóżka przyniosę.

Lecz Justyn błędnym wzrokiem potoczył dokoła pokoju. Wzrok ten padł na rozłożone na stole Kuryery. Porwał się znów za serce ze stłumionym jękiem i śpiesznie z ziemi wstawać począł. Janka podbiegła, podając mu ramię, lecz on usunął ją, cały nieprzytomny od wewnętrznego bólu.

— Połóż się! — nalegała dziewczyna, eała drżąca, przeczuwając tragiczną grozę sytuacji, której jeszcze pochwycić nie mogła.

Justyn palto śpiesznie na ramiona narzucił i kapelusza szukał.

— Dokąd chcesz iść, Justynie?—pytała Janka.—Deszcz pada... zaziębisz się!...

Justyn roześmiał się chrapliwie.

— No, to i co?... tyle mego... to będzie najwyższe dla mnie szczęście...

Urwał, przypomniawszy sobie o obecności lokaja.

— Niech Antoni wyjdzie! — rzucił krótko. Antoni ku drzwiom się skierował i od progu w Justyna utkwiał błagalne, szare źrenice.

— Niech się jaśnie pan położy...

Wyszedł, cicho drzwi zamykając. Wówczas Janka do brata podeszła.

— Co ci się stało?...

— Co mi się stało?... Patrz!... czytaj, co ze BBfiie papa zrobił, czytaj!

Podsunał jej Kuryera, szeleszcząc papierem. Dygotał cały, jak w febrze, zęby mu dzwoniły; ciągłym ruchem przesunął palto, zarzucone na plecy.

— Czytaj! — powtórzył.

Ona przechyliła się nad stołem, przeczytała Tfo ostrzeżenie, nie ogarniając od razu całej grozy jidobnej, publicznej insynuacji fałszerstwa.

— No, więc co?... — wyrzekła niepewnym głosem. — Skoro nie robisz długów, no, to się nikt me zgłosi, i papa nie będzie potrzebował płacić...

Justyn zgrzytnął zębami.

— Jesteś zanadto głupia!... Bywaj zdrowa. Papie powiedz, że z domu wychodzę... Idę w świat

z grosza... Tak będzie lepiej dla mnie i dla niego. Pójdę spać... do Łazienek. Tam salon dla wszystkich otwarty.

Kapelusz na głowę włożył i, zataczając się, pijany rozpaczą i zdenerwowaniem, za kłamkę pochwycił. Z:% ,r ;

— Justyn! — zawołała Janka — nie idź! tam zimno... ty kaszlesz...

— Tem lepiej... prędeż się skończy!... bywajcie zdrowi!

Do przedpokoju wybiegł, a za nim Janka.

— Justyn! ja cię proszę...

Nigdy nie czuła tej miłości dla brata tak, jak w tej chwili. Łzy jej oczy zasłaniały. Nie umiała

przemówić do niego, znaleźć słów, przez lat tyle osobne i zupełnie odrębne istnienie wiodąc.

Lecz on już do sieni wyszedł i szybko po schodach zbiegał. Drzwi od ulicy otworzył i zatrzasnął.

Jance się zdawało w tej chwili, że brat je w otwarty grób wskoczył.

Gdy późnym wieczorem Podolski dowiedział się o ucieczce syna, otworzył szeroko usta i stał tak chwilę koło stołu, przy którym siedziała już zapłakana Janka i z zacisniętymi nerwowo ustami Pola.

Ta ostatnia, silna egoistka w głębi duszy, aie cierpiała nad niedolą brata, ale roztkliwiała się scho nad własnym znużeniem, które jej ta cała sprawa robiła.

Janka przeciwnie, jakby nagle zbudzona czułość rodzinna ozwała się na wszystkich strunach jej serca, czuła przejmujący ją do głębi ból na myśl o Justynie, tułającym się w tej chwili w letnim palcie po deszczu i wilgoci.

Podolski zdawał się niedowierzać dłuższej nieobecności syna.

— Antoni! — zawołał — sprzątnij nakrycie pana Justyna, a jak wróci, powiesz, że herbatę wszyscy wypili!

Potem, sapiąc i stękając, zaczął jeść duży płat szynki, nasmarowawszy go poprzednio musztardą.

wm

Mimowoli jednak na puste miejsce Justyna spoglądał.

— Dokąd ten błazen poszedł? — mruknął nareszcie, czując konieczną potrzebę mówienia.

Dziewczyny milczały.

— Janka! — krzyknął Podolski — nie mówił i Justyn, dokąd idzie?

Janka uczuła, że łzy jej napływają do oczu.

— Powiedział, proszę papy...— zaczęła irywać się głosem— powiedział, że...

— Że co? gadaj porządnie!

— Ze... już więcej nie wróci... Podolski parsknął śmiechem.

— Naturalnie, tylko dziś jeszcze na noc.

— Nie, proszę papy... Justyn powiedział, że będzie spał w... Łazienkach.

Podolski usta szeroko otworzył.

— Gdzie? "

— W Łazienkach.

— Kurtza, czy Majewskiego?

— Ja nie wiem, proszę papy... Ja myślę, że to tam, na dole... koło Botanicznego ogrodu.

Podolskiemu krew nabiegła do skróni.

— Ze złodziejami?... Podolski ze złodziejami?... Wstał nagle, odsuwając fotel z łoskotem. Zdawał się olbrzymi: wyprostował się jak struna w długich fałdach swej odzieży.

— Nie mam dziecka! — wyrzekł zdławionym głosem—nie mam syna! Proszę o tem pamiętać, ród Podolskich skończył się na mnie!
Ręką podniesioną ogarnął szerokie horyzonty, jakby tę ważną wiadomość rzucał w twarz całej

masie ludu, w chmurę zbitych tłumów, aklamujących par force istnienie dalsze rodu Podolskich.

Przy drzwiach Antoni ze smutkiem pochylił głowę. Chłopskim rozumem chwycił w lot następstwa tych słów, przez jasnego pana w przestrzeń rzuconych.

Przy stole Janka, położywszy głowę na ceracie, płakała rzewnymi łzami. Pola siedziała ciągle milcząca, tylko wargi jej nikięły, tak mocno zaciskała usta w nerwowym wysileniu.

Wówczas Podolski odwrócił się i wyszedł, ciągle wyprostowany, z głową podniesioną wysoko, rozwiewając tragicznym gestem poły surduta, które jak całun zwieszały się po obu bokach jego olbrzymiej postaci.

W jadalni dziewczyny pozostały same.

Pola zaczęła pić herbatę, dokładając sobie c chwila cukru i ściągając makaroniki, przygotowane dla ojca.

Janka ciągle płakała.

Wreszcie Pola, znudzona, odsunęła filiżankę i wzruszyła ramionami.

— Co to za dom! — wyrzekła, kraszając jedną ręką makaroniki — co to za dom!... wytrzymać nie podobna! Boże! gdybym była trochę starsza, poszłabym za byle kogo, byle tu nie być dłużej!...

Umysł jej praktyczny i energiczny od dawna rzucił się bowiem, jak do zbawczej deski, do tej myśli zamążpójścia, dla wydostania się z domu. który powoli stawał się dla niej nieznośnym.

Nie miała Pola tej biernej natury Janki, którą, myśląc często o możliwości zamążpójścia, ni

czyniła prawie nic dla zrealizowania swych dąseó w tym kierunku.

— Czegóż ty beczysz?—spytała wreszcie Pola. Janka nic odparła nic, szczęśliwa, że może się wyplakać dowoli, płacząc już teraz bezmyślnie, w jakimś chaosie bólu, smutku i tęsknoty.

Razem ze łzami, przed oczyma jej przesuwwały się całe szeregi postaci, widzianych w życiu: matka, ciotka, stary ksiądz, przed którym pierwszą spowiedź składała, Justyn, Marysia, Kuniewicz... Płakała po nich wszystkich, czując nagle, że serce jej powoli wypełnia się aż po brzegi temi postaciami, do których jej myśli się aagle zwróciła. Nic pojmowała, co się z nią dzieje, ale z temi łzami było jej niewypowiedzianie słodko. Pragnęła móż Bie odrywać nigdy głowy od tej ceraty, która się rozgrzała od jej czoła i przylegała uparcie do skóry. Zdawało się jej, że gdy głowę podniesie, lzy otrze i w światło lamp spojrzy—serce jej znów się zamknie i będzie zalegało jej piersi, jak kamienna, smutna i bezużyteczna bryła.

Wreszcie Pola, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, powstała i do swego pokoju się powlokła, gdzie, rzuciwszy się na łóżko, drzemała, oczekując na służącą, aby posłała łóżko i ściągnęła z jej nóg pokoszlawione buciki.

Janka długo jeszcze siedziała w jadalnym pokoju. Powoli oderwała głowę od ceraty i oparła ją na roku.

Lecz ta cała masa postaci, które przed chwilą wypełniały jej serce, nie znikła z jej piersi. Owszem, rosły i potężniały przed nią, ciche i dziwnie

ją kii sobie ciągnące. Zapragnęła mieć i ona świat swój, choć z widm złożony, i w świat ten wchodziła zdziwiona i radośnie smutna.

Serce tej dziewczyny rozwarło się, jak kwiat, pragnąc i szukając serdecznego uczucia. Nic śmiejąc zwrócić się do terażniejszości, szukała w cieniach przeszłości wypełnienia pustki, która jej teraz ciężać zaczęła. Nie sformułowała w sobie tych pragnień; było to proste serce, dalekie od subtelnej i denerwującej analizy.

Była kobietą, to jest do miłości i poświęceń przeznaczoną. Jak kwiat nagle w nocy rozkwitły, czekała na objawienie słoneczne i we wschód załamane oczy utkwiała. Nie wiedziała, że po za słowem „miłość” istnieje jeszcze inny: „obowiązek”.

Wyrosła dzika i kulturą do życia nie przygotowana. Pierwotne instynkty kobiety zbudziły się w niej i spłynęły łzami. Nie mogąc ogarnąć sercem szerokich horyzontów, o których nie wiedziała, szukała postaci do ukochania, zapadłych już w mogiłę, lub otaczających ją obecnie... Tylko przy każdej z nich, czy to przy cieniu matki, czy przy delikatnym wspomnieniu ciotki, czy przy Justynie zgorączkowanym i zropaczonym, jakby przewodnik milczący, stawał przed nią wychudły człowiek, o długich, jasnych włosach, dziecięcych ustach i fatalnym, zimnym, nieuchwytnym spojrzeniu. Widziała go ciągle obok siebie, tak, jak pierwszego wieczoru, tam w pokoiku Justyna, w palcie, z kapeluszem w rękę, gdy mówił: „Zimno tu!... a ona, dreszczem wstrząśnięta, powtórzyła za nim: „Zimno!”

Miała go po lewej stronie swej istoty w ukośnym promieniu i patrząc teraz wprost siebie w jasną kulę płonącej lampy, widziała go najdokładniej, jakby zarysowanego nieruchomo w przestrzeni. Nie było to dla niej jednak przykre i nie przeszkadzało jej myśleć o tamtych innych, do których może po raz pierwszy w życiu z serdeczną myślą wracała. Ta matka, drobna, chuda, zawiędła, musiała być bardzo nieszczęśliwa i znosić wiele udręczeń, skoro tak młodo umarła, a po śmierci zdawała się mieć wyraz błęgiego zadowolenia na swej śniadej twarzy.

A ciotka? Taka spokojna i cicha, że przesuwała się po domu bez szelestu, jak mysz szara i starowna.

A Justyn, może teraz leżący omdlały na ulicy, albo w ciemnej alei Łazienek?

Co się dzieje z tym staruszkim księdzem, który nie zdawał się być bardzo bogaty w swej wytartej sutannie i mówił do niej tak słodko, nazywając: „moje dziecko?”

A Marysia? „, dokąd poszła taka biała i smutna?”

I nagle przypomniawszy się Jance piekarenka, tam, na wsi, do ziemi przypadła. Koło tej piekarenki ciągle stał stary chłop w podartej szacie i drwa rąbał. Miał siwą, poplątaną brodę i włosy spadały mu pękami na czoło. Był brzydki, brudny i Jankę, gdy była mała, straszili zawsze tym „chłopem, co drzewo rabie”. Dziś, w przestrzeń wpatrzona, wywołała jego widmo nagle i nie przestraszona tym

upiołem smutnym i na wieczną pracę skazanym nie odwracała głowy, nie zasłaniała oczu.

I nagle uczuła, że hy jej znów wypełniają, źrenice, że kurcz dławi jej gardło. Ten cały szereg widm wydał się jej biedny, nędzny, nieszczęśliwy.

Bezwiednie prawie zmieszawszy niedolę tak różnych od siebie istot, nie rozumiejąc jej dokładnie, nie odróżniając przyczyn ani rodzaju nędzy, otworzyła swe serce, potrzebujące miłości, i w tę noc listopadową, chmurną i od deszczu rozplakaną, jasnymi, jak kryształ, łzami podmywając egoizm swej ślimaczej duszy—płakała...

v.

Cały dzień następny czekała Janka na brata, sądząc, że pomimo wszystkiego, wróci do domu. Podczas obiadu puste miejsce, z którego Podolski kazał sprzątnąć nakrycie, wiało jakąś pustką świeżo usypanej mogiły.

Po obiedzie, Janka, szarpana niepokojem, zamiast drzemać, według zwyczaju, na krześle, weszła do pokoju Justyna i zaczęła ścierać delikatnie kurz z porozrzucanych na stole książek i układać zeszyty.

Zastanawiała się chwilę nad temi kartkami, zakreślonymi tysiącami cyfr dla niej niezrozumiałych, cyfr, które znaczyła coraz to inna ręka dorywczego nauczyciela. Pomiedzy jednak wszystkimi odróżniła instynktownie pismo Kuniewicza i, jak zahypnotyzowana, wpatrywała się w drobne, doskonale równe i czyste pismo, nie zdradzające w niczem nerwowego usposobienia piszącego.

Skrzyp drzwi przerwał ciszę. Antoni wniósł węgle i zaczął podpalać w piecu, żywiąc tę samą, co Janka, nadzieję—powrotu panicza.

Antoni, przywieziony ze wsi, trochę starszy od Justyna, jakkolwiek trzymany zdala, to znów przypuszczany do zbytnej poufałości, jak zwykle służący młodych paniczów, miał w duszy szczerzy kult dla młodego pana, kult wzmożony pochodzeniem chłopskim, poczetem w chacie, której kurne okno na suteryny dworu wychodziło. On jeden i Janka zeszedli się myślami i czynem w ścianach wystygłego pokoju, po którym duch zbiega zdawał się błąkać. Chłop i kobieta! Dwie istoty serdeczne, pokrewne sobie łagodną biernością poddaństwa i pracy, dla użytku drugich wyzyskiwane.

Antoni, klęcząc przed piecem, rozdmuchiwał drzazgi, które jasnym, niebieskawym zajęły się płomieniem.

Janka zapaliła lampę, ściemniało się bowiem powoli.

Lokaj nie mówił nic, nie przywykły do prowadzenia rozmowy z npanienką, widocznym jednak było, że pragnął zacząć gawędę o nieobecny.

Janka jednak trzymała się prosto i sztywna, z twarzą bezmyślną na pozór, jaką zwykle przybierała, gdy chciała pozostać samą w obecności drugich.

Nagle dzwonek zajączkał w przedpokoju. Antoni porwał się z miejsca. — Pan Justyn!..

Lecz Janka wiedziała dobrze, że to nie Juatyn. Od kilku sekund czuła, że szarpie nią nieokreślony niepokój. Myślą zbiegła na ulicę i szła teraz wzdłuż muru, wchodziła do sieni, wstępowała na schody. Przed nią, w jej imaginacji szedł Kuniewicz, schylony w swem palcie zimowem. Gdy dzwonek zajęczał, zdawało się jej, że to ona go pociągała.

— To... nauczyciel!.. — wyrzekła śpiesznie— niech Antoni tu poprosi i nic mu nie mówi!

Czuła, że krew nabiegła jej do twarzy i pozo staje na policzkach, jak piętno gorące i uparte. Kęce natomiast złodowaciały jej w jednej chwili. Stała koło stołu, oświetlona białością lampy, wyniosła i kształtna w swej skromnej czarnej sukni.

Kuniewicz drzwi otworzył i w palcie wszedł do pokoju.

— Pani!—zapytał zdziwiony—czy brat jeszcze chory?

— Brata niema, uciekł z domu!..

— Jak to uciekł?

— Tak, wczoraj przeczytał ostrzeżenie, które ojciec zrobił w Kuryerach.

— A!., tak!., czytałem... to fatalne... Jankę zaczęły łyzy dławić.

— Ja nie wiem, proszę pana, jakto to jest, ale Justyn bardzo się zmartwił, zemdłał, a potem, gdy otrzeźwiał, poszedł... w letniem palcie, bo jutro było u krawca... Poszedł i powiedział, że już do domu nie wróci!..

— Bardzo wierzę.

— Ale on był chory, kaszlał. Powiedział, że będzie spał w Łazienkach...

— EL to znów przesada!..

— Nie, proszę pana. Justyn to papie na złość robi. Ja go znam... Chciałam go zatrzymać, nie mogłam; prosiłam, poszedł...

Kuniewicz ramionami wzruszył.

— Sam sobie winien!

— Jak to?

— Naturalnie! Zamiast się z ojcem brać za bary, powinien pomyśleć o tem, aby być niezależnym.

Janka otworzyła szeroko oczy.

— Kiedy; proszę pana, Justyn nie jest pełnoletni, a nawet w takim razie będzie mógł wziąć tylko część mamy nieboszczki, a... to bardzo niewiele.

— Tu nie chodzi o to, co mu po nieboszczykach na nos spadnie; tu chodzi o to, aby sam na swoje potrzeby zapracował.

— Proszę pana... papa przecież jest bogaty, i to wszystko Justyn zabierze, bo my się nie liczymy.

— A jak papa za życia jeszcze straci?

— Zostanie ziemia...

— A jak papa zadłuży ją w bankach? Śmiał się ironicznie, patrząc prosto w oczy

Jance i przesywając ją swem przejrystym, zimnem spojrzeniem.

Janka uczuła w tej chwili dziwną odmianę. Zdawało się jej, że ten Kuniewicz, który stoi przed nią szyderyczy i spokojny, jest kimś innym, nie tym

człowiekiem, po którym płakała wczoraj w rozszaleniu bezmiernem. Tamten był dobry, łagodny, poczciwy—takim go mieć pragnęła; ten—przygniatał ją nerwowym spokojem, w którym czuć było jakieś wyrafinowane i subtelne brutalstwo.

Milczenie nastąpiło pomiędzy nimi i tylko ogień w piecu trzaskał wesoło, jakby drwiąc ze wszystkich smutków i nędzy ludzkiej.

— Ja chciałam pana prosić... — zaczęła znów Janka — czy...

Lecz nie dokończyła. Nerwowa żałość ogarnęła ją całą, łzy popłynęły jej gradem po policzkach.

Kuniewicz przymknął trochę powieki i z pod przymkniętych rzęs na płaczącą patrzył.

— O co mnie pani chciała prosić?...—zapytał. Ton jego głosu zmienił się zupełnie. Był miękki, jak aksamit. Ostry chłód znikł w jednej chwili.

— Czy... nie mógłby pan...

— Justyna odnaleźć i sprowadzić?

— Tak!

Łkała już teraz gwałtownie.

— Spróbuję—odparł Kuniewicz—tylko... niech pani nie płacze...

Uspokoła się natychmiast i otarła oczy. Zdawało się jej, że Justyn jest ocalony, skoro, on Kuniewicz, przyrzeka go odszukać.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się przez łzy...

— Dziękuję!—rzekła z prostotą.

— Najlepiejby mi pani podziękowała—podjął znów Kuniewicz—rozumiejąc choć w części obowią

zek pracy brata. Próżniakom miejsca nie zalegać, w społeczeństwie. Każdy próżniak jest złodziejem, bo kradnie to, co drudzy w pocie czoła zarobią. Czy pani tego zrozumieć nie może?..

Unosił się znów i głos jego drętwiał i chłódł, pomimo zapału, z jakim mówił. Janka wpatrzyła się w niego uparcie, bo on, choć teraz mówił do niej; nie patrzył na nią, lecz w przestrzeń, jakby przed sobą szerokie horyzonty gonił i jeszcze po za nie wybiegał.

— Czekać na kapitał, który, już nadgryziony, jak wiewiórczy orzech, spada powoli w ręce, które nic dla osiągnięcia go nie zrobiły... to arcy wygodne i doskonałe! I nic nie robić, ani dla siebie, ani dla drugich, czekać i przeżuwać, jak te zwierzęta, co leżą na trawie, której nie siały. Tylko, że zwierzęta przynajmniej...

Machnął ręką, ramionami wzruszył.

— Straszna z pani burzuazka!

Janka zagryzła usta. Nie rozumiała, co znaczy to słowo. Wstydziła się zapytać.

— Gdy rozchodziliśmy się raz ostatni, przyrzekłem dać pani trochę książek. Przyniosłem, Oto są!

Wyjął z kieszeni palta cienkie książki, zniszczone i zużyte.

Położył je na stole.

— Niech je pani przeczyta... Prawdopodobnie niewiele pani zrozumie... to nic nie szkodzi. Proszę na kawałku papieru wynotować to, czego pani nie pojmie. Ja to pani wytłómaczę...

Janka doznała uczucia wielkiej radości.

Mysłał o niej, przyniósł jej książki! obiecuje dać objaśnienia, a więc zobaczy się z nim, mówić, z nim będzie!
Lecz nagle, jak obuch, spadło na jej głowę

pytanie:

— Czy pani pensye skończyła i gdzie?... Oparła się ciężko o stół i dech zamarł w jej piersi. Jakże mu mogła powiedzieć, że nie uczyła się nic, że nie była na żadnej pensyi?... On szybko odgadł, co ją dławi. — Nie była pani na pensyi?... tem lepiej! tem epiej!... Nie miała pani przynajmniej stu wpływów, które najczęściej wyradzają zupełną rozterkę w niewyrobionych umysłach. Przeczuwałem to potrosze, obserwując brata pani. Jesteś pani prawie zupełnie zaniedbaną i masz bezwiednie w sobie magę chłopskiego uporu i konserwatyzmu. Będzie to dla mnie ciekawy objaw, jak się taki surowy umysł zachowa i jaką przybierze postawę wobec nowych prądów!... Boję się tylko, aby ta impulsywność nie grała zbyt wielkiej roli!... Chociaż znów, z drugiej strony... to będzie bardzo ciekawe...

Patrzył znów w przestrzeń, iak lunatyk i mówiąc o Jance, zdawał się nie widzieć jej obecności.

Uśmiechał się tylko i purpurowe wargi czerwieniły się spieczone na złotych, kręconych włosach wąsów i brody.

Janka, w usta te wpatrzona, bezwiednie zupełnie uśmiechać się także zaczęła. Lecz Kuniewicz z roztargnieniem wzrok na nią przeniósł i uśmiech ten dostrzegł.

— Z czego się pani śmieje?—zapytał.

Ona zawahała się. Prawdziwej przyczyny powiedzieć mu nie mogła; sama jej nie знаła. Uśmiech znikł jej twarzy.

— Tak sobie...—odparła, czując, że jest w tej chwili głupią i niezgrabną.

Lecz on zdawał się już znów nie słyszeć jej odpowiedzi. Wpatrzył się w przeciwległą ścianę ostro i przenikliwie. Przed oczyma jego duszy rysował się inny obraz i zabierał całą uwagę.

Milczenie znów zapadło dziwne i Jankę dręczące.

Wreszcie wzrok Kuniewicza powoli i jakby z żalem oderwał się od niewidzialnych mar i padł na stojącą przed nim dziewczynę.

— Idę!—wyrzekł krótko.

— A... tak prędko!...

— Nie mam czasu, mam zajęcie...

Chciała go zatrzymać choćby przez chwilę jeszcze.

— Zajęcie?... co pan robi?

Uśmiechnął się przelotnie, otworzył usta, chciał widoczne coś odpowiedzieć, lecz słów pożałował.

— Gdy Justyna znajdzie, dam pani znać... Wpatrzona w niego, zapomniała o bracie.

— Tak! tak! — wyjąknęła zmieszana — i to... natychmiast.

On szedł już ku drzwiom, ona za nim, jakby ciągnięta niewidzialną siłą.

— Do widzenia z panem! — zaczęła pierwsza i uczuła, że, zbliżając się do niego, ogarnia ją dzi

Wue znużenie fizyczne i ciężar jakiś przygniata jej
ezoło. widzenia! __ rzucił jej ode drzwi, nie podając ręki, roztargniony, śpieszący się widocznie, cały złoty od
rozrzuconych włosów naokoło delikataej twarzy, na tle ciemnego przedpokoju.
Lecz w progu zatrzymał się nagle, i czarujący ismiech, jak głębia morza ciągnący, rozjaśnił mu
drobne wargi.

— A proszę broszurki przeczytać!...

I znikł w cieniu, jak widziadło jasne i promienne, pozostawiając po sobie wspomnienie czegoś brutalnego, a zarazem
pełnego nerwowego, niemal kbieeego wdzięku.

VI.

Minusia Grabowiecka była to „przeciętna” pan na. przywieziona „na wydanie do Warszawy i w Aleje Ujazdowskie,
na parterowe, dość obszerne mieszkanie wtłoczona.

Grabowieccy, parwienusze, dbali o wychowanie staranne swej córki, i według nich, Minusia, uniknąwszy „zarazy
pensyjnej”, była ślicznie wychowaną dziewczeczką z pod szlacheckiej strzechy.

Nie przeszkadzało to dziewczusce owej zaciągać się po kątach papierosami i uprawiać „flirt” na szeroką skalę. Ów
„flirt”, o którym naczytała się dostatecznie, który przedstawiał się jej jako główny cel każdego, pośród ludzi przebytego
wieczoru, stał się smutną manią, wyniesioną przez nią z chorobliwych utworów książkowych i zdenerwowanego a
lubującego się w coraz banalniejszym denerwowaniu—towarzystwa.

Ciasne i tępe serca wymyśliły kokieterę na zimno, wlokącą się całe sezony, walkę frazesów, czczą i bezpodstawną,
spojrzenia konających ryb,

ra

uściski rąk, nie drżących ani miłością, ani uczuciem, fatalne splamienie dusz i ciał, pokryte wachlarzem formy
światowe.

Minusia szła za tym prądem, jak owca, nie oglądając się poza siebie, zaślepiona na inne cierpienia i porywy ludzkości,
kobieta o zawiązanych chustką z krepki chińskiej oczach, lalka, nakręcona na znaną aryę, która życie całe według ary i
tej tańczyć, kłaniać się i myśleć pragnie.

Minusia była „dzieweczką”, która z życia wiedziała tyle, ile życia przebyli jej rodzice i ei, któ rzy, dzwoniąc w
grzechotki u sanek uczepione, zajeżdżali przed dwór Grabowa. Wiedziała, że pójdzie sa mąż—nie dziś, to jutro; papa
bowiem miał cukrownię, gorzelnię i dużo innych przedsięwzięć. Była jedynaczką, bogatą. Posag w części miał być
wypłacony gotówką.

W posag ten ubrawszy się, jak w mitrę książęcą, szła, udając znudzenie, przesynt i rozczarowanie.

Turniej czarnych fraków, wyścigi, których była meta, — napełniały ją duma, nie smutkiem i niewiarą. Zdawało się jej chwilami, że ma na sobie suknię całą z banknotów, a za nią do sali balowej wtłacza się gorzelnia i całe Grabowo z szumiącymi trawami. Patrzała na inne dziewczęta z góry, mrużąc oczy. Głośno mówiła, że za męża nie pójdzie, natrącała coś o klasztorze, śledząc wrażenie na twarzach epuzerów.

Nie zrobiła nigdy nic dobrego sama, ze swej własnej woli i nie obejrzała się nigdy za płaczącym na ulicy, obdartym dzieckiem. Nie miała wszakże

złego serca, i dla równych sobie miała wiele usłużności i pięknych wyrazów.

Do walki z życiem nie miała żadnych podstaw, a o duszy słyszała tylko z psychologii Bourgefa. Czytała bowiem tego przyjaciela dam i urabiała się na modłę jego sfinksów salonowych. Zapominała, że sfinksy te miały wewnątrz trociny, lecz Minusie zawsze zachwycała forma, nigdy jądro kwestyi. Tak samo zachwycała ją okrągła cyfra posagu; lecz pomyśleć przez chwilę, co się złożyło na te krocie rubli, szeleszczące zbitą chmurą nad jej głową—to przechodziło jej możliwość.

Ona znała tylko okrągłą cyfrę swego posagu który z uśmiechem, w welonach dziewiczych, złoży w ręce przeżytego mężczyzny, pod którego panowanie fizyczne, prawne i moralne — za tę cenę przejdzie!... Smutny towar! nędzny kupiec!

Minusia, w szeleście wachlarza flirtująca z drwiącymi z niej w głębi duszy mężczyznami, była smutnym i szkodliwym ptakiem o złożonych skrzydłach.

Jak bożyszcze dziwaczne i obojętne, stała ta dziewczyna na piedestale rosnącego posagu, ukutego z nadwartości i, poruszając skrzydłami wachlarza, szukała męża. r

I i

BIŁsUOTiKA

t. .GOSPOD POLSKA

li OJ? i

VII

Cały tydzień upłynął, a na dom Podolskich spadło teraz ciężkie, nieprzebrane brzemień smmtku.

Podolski leżał prawie ciągle w łóżku, zanudzając swego doktora nieskończonymi opowieściami swych cierpieniach, za co płacił jednak sumiennie—dukata.

Ten „dukat”, owinięty w bibułkę, podnosił go w jego własnych oczach. W duszy bowiem doktora nazywał „konowałem”; lecz uczuły się sam ponizony, gdyby zapłacił za wizytę banknotem, nie tradycyjnym, szlacheckim dukatem. Dbał o ten dukat, jak o pierścienek herbowy, na którym sterczała motyka, w kupki ziemi wetknięta, jak o swe dwa ostatnie zęby, jak o swe przekonania o honorze.

godności szlacheckiej. Gdy podawał rękę doktorowi, miał zawsze błysk tryumfu w błękitnych oczach. „Konował” musiał być przygnieciony tą prawdziwą, wielkopańską fantazyą...

I długo jeszcze po wyjściu doktora, Podolski otwierał szeroko bezzębne usta, w tryumfalnym gry

masie pyszniącego się z odniesionego zwycięstwa magnata. Był pewien, że nikt w Warszawie nie płaci złotem za wizytę lekarzowi. I to wypełniało mu pół dnia niekłamaną, choć skoncentrowaną dumą i zadowoleniem. Janka dni całe teraz trawiła nad książeczkami, przyniesionymi jej przez Kuniewicza. Z gorączką na twarzy zabrała się do nauki, zmęczona już pracą, nim pierwszą stronice otworzyła. Obecność Poli drażniła ją; przeniosła się więc do pokoiku, w którym dawniej pracował Justyn, i w którym po raz pierwszy ujrzała Kuniewicza. Przeszono tu palić i Janka drżała z chłodu i wewnętrznego wzruszenia, czytając półgłosem niezrozumiałe dla niej frazesy i zdania. Książki te jednak były pisane przystępnie i traktowały poruszaną kwestyę lub przedmiot z logiką prostą i zdrową. Ale Janka nie umiała nic, i nauka była dla niej czemś chaotycznym i nadnaturalnym. Pragnęła wszakże dojść do jakiegoś rezultatu. Notowała, kreśliła, rysowała, postanawiając wszystko później pięknie przepisać „na czysto”. Umysł jej jednak był silnie zamknięty i chwilami zdawało się, że ktoś jej poza uszami czaszkę gwałtownie rozpycha. Ogarniała ją senność, zamykała oczy i w tej chwili stawał przed nią Kuniewicz, jasny i doskonale zarysowany. Uśmiechała się do niego smutnie, tym bezwiednym uśmiechem zaczynającej kochać kobiety. W jednej z książek znalazła pomiędzy kartka mi liść długi, szary, zasuszony delikatnie, ealy mięk

BibUoteka, T.

ki, pomimo wyschnięcia, ze złotymi żyłkami, przecinającymi spłowiła powierzchnię. Wzięła go i chciała ukryć w komodzie, włożywszy poprzednio do koperty. Zdawało się jej, że liść ten do niej dawniej należał i tylko wypadkiem zaplątał się w stronice broszurki. Trzymany pod światło, liść ten miał złotawe refleksy, te same, co się plątały we włosach i brodzie Kuniewicza.

Janka, nie śmiejąc przywłaszczyć sobie tej pamiątki, przesuwała liść w miarę odczytanych stronice w głąb książki i często zatrzymywała na nim swe znużone oczy. Była to niejako gwiazda przewodnia w jej nowej pracy, gwiazda o niepewnych, szarawych blaskach świtu, ze złotą smugą słońca, krającą tam, hen! horyzont jasnymi, płomiennymi brzaskami.

Przestała prawie wychodzić na ulicę, siedząc dni całe nad książkami i słuchając, czy nie zajęknie dzwonek, szarpnięty nerwową ręką. Wiedziała, że się nie pomyli i że pozna jeszcze na schodach jego kroki.

Książeczki, dawno przeczytane, leżały przed nią, jak stado martwych ptaków. Ona otwierała je ciągle jeszcze, smutna, znękana, widząc całe girlandy tańczących przed nią wyrazów, o których istnieniu nie miała pojęcia. Istotę jednak rzeczy pojęła odrazu, i ta nauka, nagle przed jej ciemnymi oczyma roztwarta, napełniała ją wielkim, bezmiernym smutkiem.

Zaczynała zastanawiać się i myśleć. Czowała, że życie jej przełamało się na dwoje i że tamto, co w mrok zapada, było fatalne i głupie, to zaś, co

m

przed nią się rozwija—czarne, jakkolwiek na pozór jasności pełne. Stała na progu oświaty, wahająca i niepewna, pełna chęci wejścia, bezsilna przeciw i ciemnotą lat tylu skuta. Od urodzenia prawie „nie liczyła się”, teraz więc, mogąc wyrobić w sobie własną indywidualność, lękała się, jak ognia, tej swojej nowej istoty. Wiedziała jednak, że stać się tak musi, że ponad nią zawisła jakaś brutalna moc, potęga silna, nieugięta, która zagarnęła jej duszę w panowanie swoje. Kuniewicz nie przychodził jednak, i ranki, południa, wieczory, noce miały niewyraźne, bezbarwne, pozostawiając po sobie wrażenie jakiejś głodnej pustki, moralnego braku, snu duszy.

W tydzień po ucieczce Justyna zjawił się u Podolskich nowy gość, którego Podolski przyjął z wielkimi demonstracjami przyjaźni, Janka z obojętnością Pola zaś z uśmiechem.

Był to stary kawaler, zrujnowany szlachcic, który majątek swój sprzedał, zawsze niezmiernie correct, czysto ubrany, z głową silnie przystrzyżoną, z długimi wąsami, z ciałem starosty upickiego, wtłoczonego w długi surdut, szczelnie na obydwie rzędy guzików zapięty.

Od lat dwudziestu nie zmieniał się nigdy, mumia zakonserwowana cielesnie i umysłowo, cichy i spokojny, wybornie reprezentujący eleganckiego sąsiada, bawiącego od dni kilku w gościnie i rozkładającego w gościnnym pokoju cały arsenał szczotek, pilników i czystek do paznogi!

Gdy miał jeszcze majątek, lubił nosić tytuł hrabiowski, do którego nie miał dowiedzionego pra

wa i z tego powodu przewano go w powieści „hrabią Tyczkoberbińskim”.

Wieść bowiem niosła, że niegdyś, dawno już bardzo, w ogrodzie, podczas jakiegoś testu, na tyczkach wznosiły się transparenty herbów, na których zielony wąż na pomarańczowym polu jadł własny ogon z wybornym apetytem. To wszystko było upstrzone dziesięciopalkową koroną, paludamentem i liktorskimi różgami, sterzącymi po obu bokach. Tyczkoberbiński nazywał się w istocie Simonem Biernickim i przyjechał do Warszawy w specjalnym celu odwiedzenia „kochanego Kanuta”. „Kochanym Kanutem”; był Podolski. Naturalnie sprawa Justyna była głównym przedmiotem rozmowy dwóch druhów. Podolski w barwnych, a dosadnych kolorach opisał całe zajście, pokazał numer Kuryera i powtórzył wyrzeczenie się syna.

Biernicki, mniej gwałtowny, pokiwał spiczastą głową.

— Zdaje mi się, kochany Kanucie, że zbyt się unosisz. Skoro chłopak wróci, radzę ci, otwórz mu drzwi narozcież. Lepiej się stanie, gdy skończy tę włóczęgę. Zrób z nim co. Ożeń go — t najlepiej.

Leez Podolski powtarzał uparcie, oczy wlepiwszy w sufit:

— Nie mam dziecka!...

Biernicki przestraszył się, widząc zaciętość przyjaciela.

— Masz córki...—wybąknął z niechcenia.

Podolski podniósł się do połowy i skrzywił się w fatalny sposób.

— A cóż mi córki?... — zapytał.—To kanalie; kobiety to kądziel, w rodzie się nie liczą..

Zapadło głucho milczenie.

Ci dwaj ludzie niewiele mieli sobie do powiedzenia. Wychowani na jedną modłę, różnili już się jednak trochę.

Biernicki w ciągłych rozjazdach po obcych kątach zatracił wiele ze swej fantazyi i buty szlacheckiej; Podolski, ciągle w swój kąt cofnięty, podniecał się jeszcze w nieokielzanej fantazyi swej beczynnej głowy.

Jeden teren ich łączył jeszcze: polityka—ale

tej mówić wobec tak ważnych przejść nie wypadało, jakkolwiek obaj mieli niewypowiedzianą ochotę przewertować, przenieć i odwrócić cały porządek w Europie, pozawierać traktaty, wypowiedzieć wojny — wszystko naturalnie, nie ruszając się z miejsc, lecz machając silnie rękoma i podnosząc głos w miarę ożywiania się dyskusyi.

Przy obiedzie — Biernicki bowiem pozostał

zajął miejsce Podolskiego — stary kawaler okiem znawcy przyglądał się obydwom dziewczętom.

Pola, ożywiona i nerwowo wesoła, bawiła go swem szczebiotaniem, szczęśliwa, że wreszcie może z kimś swobodnie porozmawiać i pośmiać się trochę.

Janka milczała prawie ciągle, jedząc mało, roztargniona, nie umiejąc wypełniać obowiązków gospodyni domu, nie czując nawet swych ucieczek myślą z tych ciasnych i smutnych ścian jadalnej sali. Głowę miała przepelnioną przeczytanemi książ

kami, a serce wielką tęsknotą i niepokojem. Nie czuła wzroku Biernickiego, który, rozmawiając z Połą wciąż na Jankę patrzył uważnie i całą jej postać obejmował, rozbierał okiem konesera.

Obiad włókł się, bo Antoni usługiwał równ cześnie leżącemu Podolskiemu i na herbowej tacy herbowe talerze, pełne marchwi i kompotów, do sypialni nosił. Janka kilkakrotnie doznawała nagłego drżenia serca. Nie mogła sobie zdać sprawy, z jakiego powodu. Lękała się może, aby Kuniewicz teraz nagle nie zadzwonił, lub nie przysłał kogokolwiek z wiadomością o Justynie. Bała się bowiem Biernickiego i zaczęła go nagle nie lubić. Dawniej admirowała jego doskonale piękne paznokcie. Dziś te żółte, świecące lusterka, zakończone pomarszczoną ręką starego kawalera, nietylko, że nie wzbudzały w niej uwielbienia, ale zaczynały ją drażnić, migając tak ciągle w przestrzeni.

Wreszcie powstali wszyscy. Biernicki do Janki się zbliżył.

— Panna Janina wyrosła. Trudno poznać... Janka spojrzała nań obojętnie.

— Tak... urosłam — odparła roztargniona, do drzwi przedpokoju zmierzając.

Za chwilę siedziała przed stolikiem w zimnym pokoiku, sama, wpatrując się znużonemi oczyma w przestrzeń. j Szarawy zmrok zapadał powoli, zimny, żałobny, fatalny. Dziewczyna miała już wygląd wędnącego kwiatu. Schylona, zmęczona, z głową obolałą, z nerwami, budzącymi się niepokojącym dreszczem, siedziała, jak przykuta, wsłuchana niewolniczo w ci

szę wieczoru, bez własnej woli, bez chęci buntu— niewolnica ogarniającego ją, jak despotyczna mara, uczucia. Nie miała radości i rumieńców rozkosznych dziewczęcia, któremu serce rozpoczyna miłosną legendę snuć i w złudzeniach

różowych niepewną przyszłość odsłania, nie—Janka czuła, że zapada w eały grób smutku, i że tych kilka tygodni na bezbarwne jej życie czarny całun wloką. Nie przeczuwała w przyszłości żadnego uśmiechu, żadnej wielkiej radości. Zmęczona, wyczerpana odrazu, siedziała tak zamknięta w czterech ścianach, starając się w zimnej przestrzeni uchwycić wspomnienie błakającego się, a gnębiącego ją ducha.
Czekała.

.....

Podolski wstał wreszcie wieczorem i, włożywszy odświętny surdut, razem z Biernickim po silnie oświetlonych pokojach się przechadzał. Widok przyjaciela rozruszał go trochę, kaszlał mniej i już zaczynał coś o polityce zatraćcać. Tymczasem Biernicki ruchem spokojnym, ale stanowczym przerwał mu.

— Mój Kanucie, zostawmy Austryę i Węgry na później. Pomówmy lepiej o twoich córkach.

Podolski brwi zmarszczył.

— A co się stało?.. Czy te kanalie były przy obiedzie niegrzeczne?..

Biernicki ramionami wzruszył.

— Co ty mówisz?.. Słuchając ciebie, zdawać

oc

się moje, że te dziewczęta mają po pięć lat. Tymczasem to są panny... panny...

— One? to są fafle! I

— Szczególnie panna Janina. Przecież to wspaniała kobieta!

— To Pastrana!

— Kanucie! co ci się stało?.. Janka jest bardzo piękna. Przyjrzyj jej się... Co za wzrost! oczy! włosy! usta!.., a jaki chód!.., istny łabędź! Nie idzie, lecz płynie...

Podolski usta wyduł.

— Tak chodzi, jak ja!

Zaczął chodzić po pokoju, stawiając z góry nogi, nadymając się i wystawiając piersi.

Biernicki się uśmiechał.

— Tak, tak!.., twój chód! Jednak muszę ci powiedzieć, że źle robisz, trzymając Jankę tak schowaną.

— A cóż mam z nią robić... Wystawić w oknie?

— Nie!.., ale światu pokazać.

— Po co?.., przecież jej nikt nie weźmie!

— Dlaczego? Tak piękna. Nie wiadomo jeszcze, jaką partyę może zrobić. Zastanów się tylko, Kanucie. Księżna z niej byłaby wyborna. Doskonale głowę trzyma. Dlaczego nie miałyby się podobać jakiemuś wyżej położonemu człowiekowi?..

Podolski znów usta wyduł.

— Podolscy nie mają wyżej położonych od siebie w herbarzu!

— Naturalnie. ale mitra naprzykład byłaby rzeczą niezłą obok twego herbu... Co?..amoże! Wiesz,

dziewczyna jest bardzo piękna. Już ja się na tem znam.

Podolski nagle przestał chodzić i oczy mu zabłyśły.

— Ty, Szymonie, masz niezłe pomysły!.. Jankę wydam choćby za byle kogo i złączę nazwisko jej męża z Podolskim.

Syn ich będzie—ten tam Podolski albo Podolski ten tam! O!., ród się ocali! choć to będzie cerowane, ale się ocali!

Dziecku zapiszę co jest... anie! mogliby obalić! dam ciepłą ręką, a pan Justyn weźmie figę!..

Śmiał się uradowany. Nagle urwał i zamyślił się na chwilę.

— Tak! ale czy kto weźmie to czupiradłor Trzeba ją zobaczyć... Janka!., hej!.. Janka!..

Drzwi do jadalni otworzył.

— Janka!—zawołał.

Głos jego był, pomimo wiecznej chrypki, tak donośny, że Janka drgnęła cała w ciemni małego pokoiku.

Wstała szybko i weszła do salonu niespokojna i zmieszana.

— Co papa każe?—zapytała od progu. Lecz Podolski brwi zmarszczył i cybuchem

wskazał jej przestrzeń.

— Idź na środek pokoju.

Janka nie poruszyła się z miejsca.

— Idź na środek pokoju!..

Dziewczyna podeszła pod świecznik, który zawisł nad jej głową, jak promienna gwiazda.

— Stój!—zakomenderował ojciec.

Janka stanęła i przez chwilę nie wiedziała, co zrobić z rękoma, zażenowana w tej pełni sztucznego oświetlenia.

— Nie ruszaj się!—wołał Podolski. Przypatrywał się jej uważnie przez długą chwilę.

Rzeczywiście, Janka była bardzo piękna i miała w sobie wielki majestat kobiecy.

Kształtna głowa, gęstym włosom pokryta, osadzona na długiej i cokolwiek pochylonej szyi, okrągła była i dziwnie mała, stosunkowo do wysokiej postaci dziewczyny. Oczy olbrzymie, czarne, podługne, miały cały bezmiar tęsknoty i moc cichej, a szlachetnej namiętności. Usta rozchylone, wilgotne, czerwone, wycięte prawidłowo, znaczyły się krwawo na matowym tle twarzy. Ciało miało kształty wyborne, nieposzlakowane, linie biustu wyniosłe, dumne, spadek ramion rozwinięty i prawie już dojrzały. Czarna suknia, prosta i smutna, owijała ją szczelnie, odcinając jej sylwetkę na tle jasnych światel, rozlanych w przestrzeni.

Podolski usta otworzył zdziwiony. Pierwszy raz w życiu przyjrzał się uważnie swej córce i zauważył, że jest rzeczywiście piękna.

Biernicki uśmiechał się zadowolony.

— Przejdź się po pokoju! — zakomenderował Podolski.

Janka odwróciła się i podeszła do ściany.

— Wróć się!

Dziewczyna odwróciła się, coraz więcej zmieszana i niespokojna.

— Kołek!... — zawyrokował Podolski.

— O!... wyrobi się łatwo! — uspakajał Biernicki.

— No... możesz wyjść!

Janka szybko posunęła się do drzwi i wypadła z salonu niepewna i drżąca. Co to było? czego od niej chcieli?.. Stała jeszcze tak, zamyślona, gdy nagle w przedpokoju dzwonek zajęknął. Została bez tchu i władzy panowania nad sobą. Pewna była, że to Kuniewicz. Antoni otworzył; słyszała, jak rozmawiał chwilę, jak Kuniewicz do przedpokoju wszedł i coś mu nakazywał. Wreszcie Antoni zjawił się we drzwiach. Janka chciała podejść do niego i prosić, aby wpuścił Kuniewicza do pokoju Justyna, lecz on ominął ją i drzwi do salonu otworzył.

— Proszę jaśnie pana—wyrzekł, stając w progu — tu jest ktoś, co chce się z jaśnie panem widzieć...

— Kto taki?

— Pan Kuniewicz.

— Nie znam! nie przyjmuję!

— Nalega bardzo, mówi, że ma coś ważnego do powiedzenia.

— Niech przyjdzie w dzień!

Biernicki uznał za stosowne wmieszać się.

— Poco mu każesz wracać?.. Załatw to dzisiaj!.. Może rzeczywiście jaki ważny interes...

— A, no... to wpuść go do jadalni.

Jankę ogarnął jakiś lęk, wstyd, trwoga. Chciała uciec, lecz sił jej zabrakło. Przytem tęsknota

nią rwała. Czowała o kilka kroków obecność Kuniewicza, przedzielonego tylko ścianą. Odejść nie mogła. Usunęła się w głąb pokoju.

Oparła się o ścianę i oczy szeroko rozwarła, we drzwi je utkwivszy.

Antoni drzwi te otworzył i stanął w nieb Kuniewicz, bez palta, ubrany w ciemno granatowy, graby garnitur. Jasne światło lamp oblało go całego, ujawniając przejrzystą różowość cery i złoty blask włosów. Szafirowe refleksy, dyskretnie drzemiące w załamach kurtki, tworzyły delikatne smugi, sinaworebrne. W rękę trzymał swój zniszczony kapelusz. Z kieszeni kurtki wyglądały mu książki, oprawne w jasne okładki. Była to cała tęcza barw, zniszczona użyciem.

Janka, pewna, że to dla niej te nowe broszury, uczuła serdeczną radość w chaosie wrażeń, jakie ją ogarnęły. Chciała wyciągnąć jękę i przywitać się z nim, zwrócić jego uwagę na siebie; lecz już Podolski portyerę uniósł i, kołysząc się, wspaniałe ku środkowi pokoju stapał.

— Pan dobrodziej czego?—zapytał.

Kuniewicz w jednej chwili całą postać Podolskiego bystrem spojrzeniem obrzucił i nagle dziecięcy, lekko ironiczny uśmiech zagrał mu pod skórą. Skłonił się lekko i wolną rękę w kieszeń kurtki włożył.

— Przychodzę zawiadomić pana, że syn jegd, Justyn, znajduje się od wczoraj u mnie.

Podolski oczy zmrużył.

— Przepraszam pana... jaki syn?., o kim pan dobrodziej mówi?

— O panu Justynie.

— Nie znam.

— To już rzecz pana. Ja wiem, że znalazłem syna pana rzeczywiście w Łazienkach, o północy, na ławce. Nie wiem, co robił we dnie, ale w nocy siedział na ławkach w parku. Że mu to na zdrowie nie poszło, może pan być pewnym. Jest u mnie: chory, kaszle i ma silną gorączkę. Przychodzę zapytać pana, jakie jest jego postanowienie i co pan dla pana Justyna zrobić zamierza?

Mówił ostro, krótko, zwięźle. Jasnym, przenikliwym wzrokiem patrzył wprost w twarz Podolskiego, który brwi marszczył, naprzód się chylił i cybuch nerwowo w rękę zaciskał.

— Ja, panie dobrodzieju, raz postanowiłem, że syna nie mam, więc nie mam! — odezwał się nareszcie Podolski. —

Ród, panie dobrodzieju, wygasł i teraz do innego się rodu przyłączy. Z tamtym panem z Łazienek ja nic wspólnego nie mam. Pani dobrodziejowi radzę się z nim nie wdawać, bo może pan źle wyjść na tem. Kłaniam!

Odwrócił się, machnął rozwianemi połami i wyszedł, prostując się jak można najwspanialej.

Kuniewicz z podziwieniem go śledził, i gdy portyera za nim zapadła, pokiwał znacząco głową. Widocznie nie wyobrażał sobie, aby mógł się taki pan ze swymi „rodami” uchować tak cało i wybornie zakonserwować.

Rozweselony, rozbawiony, rzucił dokoła okiem, i wzrok jego padł na stojącą pod ścianą Jankę.

— Dobry wieczór pani! — wyrzekł z uśmiechem

mu skwapliwie.

— Dobry wieczór panu!... Przyniósł mi pan nowe książki?...

— Książki?... nie! Czy ja pani miałem co przy Yftieść?...,

Zdziwiony spoglądał na nią. Janka się zmieszała.

— Nie... ale... ja myślałam... bo tamte już przeczytałam...

— Tak?... nie wierzę!

— Daję panu słowo... wszystkie!

— To ładnie z pani strony! I chce pani nowych?

— Tak... proszę! O, niech mi pan da te, które pan ma z sobą!

Pokręcił głową.

— Nie... to nie dla pani!... Tego pani nie zrozumie!

Janka posmutniała i spuściła głowę na piersi. Kuniewicz obrzucił ją sympatycznym spojrzeniem.

Jakiś ciepły prąd przebiegł po ciele dziewczyny. Podniosła oczy i spotkała się z jego źrenicami, w których grały w tej chwili płowe płomyki.

— A Justyn? — spytała, chcąc ukryć zmieszanie.

— Justyn jest u mnie i... chory... leży... Mam z nim kłopot. Do szpitala go oddać nie chcę. Mogłaby pani, jako siostra, przyjść go doglądać.

Twarz Janki rozjaśniła się wielką radością. — Dobrze!... ja przyjdę... A kiedy można?

— Kiedy pani zechce. Dziś już zapóźno. Mieszkam na Chmielnej, pod Ma , trzecie piętro, w dziedzińcu, na prawo...
Dc widzenia pani!...

Zabierał się do odejścia i raz jeszcze w stronę salonu spojrzął; uśmiechnął się i głową pokiwał, poczem do Janki się zwrócił.

— Pani ma dobre instynkta — wyrzekł, podając jej rękę pierwszy, wbrew salonowej tradycji.

Ona, uszczęśliwiona, wyciągnęła swą rozpaloną dłoń, nie mogąc się odezwać ze zbytniego wzruszenia.

Chwilę tak zostawali złączeni w uścisku rąk. Dłoń mężczyzny była chłodna i spokojna, ręka kobiety drżała i płonęła, jak spłoszony i oślepy od ognia ptak.

— Janka!—dał się słyszeć nagle głos Podolskiego.

— Papa wola! — odezwał się Kuniewicz, kładąc nacisk na słowo „papa”.—Zegnam panią!

Puścił jej rękę i zniknął, przymykając cicho

drzwi, pozostawiając Jance wrażenie dziwnie miłe

i słodkie, jak nigdy. Uniósł z sobą całą tkliwość jej

istoty i tęczę książeczek, które przed jej oczyma

mignęły, jak gwiazda niedościgła i dla rąk jej za daleka.

Otworzyła drzwi salonu i, nie wchodząc, zapytała w progu:

— Co papa każe?

— Czy ta kanalia już poszła? Janka brwi zmarszczyła.

— Jaka kanalia? — zapytała, przelękniona dźwiękiem wypowiedzianych wyrazów.

— Ten... opiekun pana Justyna.

— A!... poszedł.

— Niech mi go tu nigdy nie wpuszczają. Zapowiedzieć to służbie... A ty, jutro rano wstań i bądź gotowa na pierwszą; pójdziemy do Grabowieckiej. A teraz... spać!

Janka cofnęła się zdumiona i nagle boleśnie w głębi serca dotknięta. Ojciec nazywał Kuniewicza... kanalią. Było to ulubione jego wyrażenie, którym obdarzał zawsze niepodobające mu się osoby. Kuniewicz nie mógł wyrzucić dodatkowego wrażenia, a zwłaszcza w misji, z jaką przychodził, i Janka wiedziała o tem. Lecz to słowo „kanalia”, zastosowane do niego, napełniało dziewczynę "bolesnym niesmakiem i smutkiem. Po raz pierwszy zastanowiła się, że ojciec nie miał prawa używać słów poniżających, mówiąc o tych, którzy nie należeli do wspólnej z nim kasty. Zaczynało to dziko brzmieć w jej uszach i wywołało zmarszczkę na czoło. Kanalia? dlaczego?... Czy dlatego, że kapelusz miał nieświeży i dawał lekcje głupszym od siebie ludziom?...

I, kierując się powoli do swego pokoju, w którym słała łóżko służąca, posłyszała dolatujące z salonu, a wyrzeczone podniesionym głosem przez Biernickiego wyrazy.

— Tak, kochany Kanucie! Austria to nie państwo, to rząd... powiedział słusznie książę.

Reszta słów utonęła w skrzypieniu butów i kaszlu Podolskiego.

W sypialni Pola już stała koło swego łóżka,

jak zawsze, chmurna i znudzona. Fryzowała grzywkę, zawijając ją w skórzane papiloty.

Świeca, krzywo oprawiona, migotała na komo dzie.

Koło łóżka Janka kręciła się gruba i przysadkowata dziewczyna. Była to nowa młodsza, przyjęta na miejsce Marysi. Nazywała się Różia i miała jasnopłowe włosy, silnie splecione w warkocze i spięte z tyłu głowy porzewiałymi szpilkami.

W chwili, gdy Janka wchodziła do sypialni, Różia zawijała skaleczony palec ręki w brudną szmatę pełną kurzu, miału węgla, i całą mokrą od wody. Wyraz serdecznego bólu skrzywił okrągłą twarz dziewczyny. Janka spojrzała na nią i zbliżyła się szybko.

— Co ci się stało?

— Panna Pola zostawiła igłę w kattaniku, i w praniu igła mi w palec weszła... o!

— Wyjęłaś?

— Jużci, ale mi palec spuchł i rwie...

— Pokaż...

Przełamując wstręt, który jej nerwy postronkami w łokciach i szczękach ściągał, zbliżyła się razem z Rózią do świecy i nad skaleczonym palem dziewczyny pochyliła. Był on olbrzymi, niemal siny, opuchły, świecący. Pola odwróciła się ze wstrętem, Janka na chwilę tylko eczy przymknęła i palce swe skurczyła, czując ból klujący i niewyraźny. Zaraz jednak na brudną szmatkę spojrzała i szybkim ruchem odrzuciła ją daleko.

— Dlaczego nie owiniesz palca czystym płótnem?—spytała.

y ____

— Nie mam, panienko—odparła dziewczyna.

— Czekaj, dam ci kawałek płótna...

Pochyliła się nad komodą, szufladę wyciągnęła i zastanowiła się chwilę. Tak ona, jak i Pola, miały bieliznę perkałową i chustki bawełniane. Jedna jedyna chusteczka płócienna plątała się tu, przez Polę jeszcze ciotce pokryjomu zabrana. Janka chusteczkę tę porwała, przedarła ją na pół i Rózi podała. Pola do komody się rzuciła, lecz Janka, przewidując kłótnię, szybko Rózię ze szmatkami za drzwi wypchnęła.

— Idź, ja sama łóżko pościelę... ciebie palec . boli... .V ;y :h" _ :M

— Kołdrę tylko panienka odwinie.

— Dobrze, dobrze, dziękuję ei...

Gdy Eózia wyszła, Janka do Poli się zwróciła:

— Ty — wyrzekła sucho i bezdźwięcznie—ty na drugi raz igieł w bieliznie nie zostawiaj. Rozumiesz!...

Pola otworzyła szeroko oczy. Nie słyszała nigdy tego głosu u siostry, nie widziała jej nigdy tak podnieconą i energiczną.

— Czemu ty chustkę moją jej dałaś? — zawołała z gniewem.

— Czemu ty palec jej rozdarłaś? — odparła Janka.

Pola nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pomilczała chwilkę, poskrobała się w głowę, wreszcie do papilotów się wzięła.

— Idyotka!—mruczała, patrząc na Jankę zpod

nastrozonej grzywy.

— Egoistka! — odparła Janka, układając się do snu powoli.

Uspokoila się teraz troche. Zdawało się jej, że dobre jej względem sługi postąpienie złagodziło to słowo „kanalia”, rzucone przez ojca w jasną przestrzeń światła, w którym snuła się sylwetka Kuniewiczza.

Z szeroko rozwartymi oczyma, z bólem w sercu, tępym, głuchym, lecz już umiejscowionym, leżała Janka, wpatrzona w sufit, który ciemniał cały, jasnym kręgiem od światła płonącej pod obrazem lampki rozjaśniony. Janka w krąg ten oczy wlepiła, jak w gwiazdę i sztywniała tak powoli, w półśmierć snu zapadając.

Tymczasem w sypialni swej Podolski chodził wielkimi krokami, z głową na piersi spuszczoną, z rękoma rozpaczliwie splecionymi.

Nagadawszy się o polityce, pożegnał Bierniekiego, który pokój Justyna zajął i cofnął się do swej sypialni, po której, jak zwierzę zranione po klatce, się rzucał.

Świeca, przysłoniona zielonym daszkiem, rzucała dyskretne światło na wielkie mahoniowe łóżko, posłane, do snu przygotowane. Olbrzymia, rzeźbiona toaleta damska wypełniała kąt pokoju. Nie było na niej nic, i blask świecił zdaleka, jak marmurowa płyta dystygowanego grobu. Na ścianie wisiały szable krzywe, nieco broni, mały sztylet turecki.

Ponad tą ubogą zbrojownią w dużej, złoczonej ramie, nad którą rozkładał się herb, wisiał portret młodego chłopca, w aksamitnym kaftanie i haftowanej krezce. Był to Justyn, jakiś smutny, za

larz porysował kolumny i czerwone portyery. Chłopiec miał w sobie znudzenie istoty pustej, beczynnej, bez gruntu pod stopami, bez punktu, do któregoby zmierzał. Malowano go, gdy miał lat dziesięć, wszyscy bowiem Podolscy malowani byli trzy razy w życiu. Całe stopy tych rodzinnych bohomazów zalegały lamusy Podolu i butwiały wśród wilgoci.

Podolski, chodząc po pokoju, starannie mikał spojrzenia na portret syna. A przecież opanowała go żałość tak wielka, iż o mało nie ryknął płaczem. Zdała od ludzi, nie podniecany w swym bezdennym uporze, malał i słabnął powoli. Było w tem roztkliwieniu się sporo egoizmu i smutku nad samym sobą i nad swym własnym cierpieniem. Zmienił się jednak do niepoznania; głowę pochylił, skrzywił się spazmatycznie, złamał się duchowo i fizycznie. Tuż pod portretem stanął i ręce nerwowo miał, powtarzając zeicha:

— Nie mam syna!

Nie był to przecież pyszny i nieubłagany głos, zwiastujący obcym wyrzeczenie się dziecka. To była już skarga ojca, od którego dziecko odeszło, nie odwróciwszy nawet głowy.

Nagle we drzwiach, jak cień, Antonimię zjawił.

— Jaśnie panie, czy można rozbierać?...

W jednej chwili Podolski wyprostował się jak struna i głowę podniósł. Nikt go nie widział znękanym lub losem zwalczonym. Tembardziej... lokaj! Z tragicznej boleści, kurczącej maskę jego twarzy, nie pozostało nic, nawet szklanych błysków, zasnuwających źrenicee.

Zupełnie czerw, zimny, wyniosły, oderwał m od ściany i przeszedł przez sypialnię, wyjął z kieszonki od kamizelki olbrzymi złoty zegarek z monogramem i cyfrą, położył go na toalecie i, usiadłszy na krześle, nogę przed siebie wyciągnął.

— Zdejmuj, a uważaj, kanalio, żebyś mnie, jak wczoraj, za palec nie ścisnął.

Antoni na ziemi przykląkł i powoli, ostrożnie but z pańskiej nogi ściągać począł.

BIBLIOTEKA or

"Stew. ©spda Polska" jt, JO U. OiuctHi

VIII.

Nazajutrz w południe, Podolski, ubrany odświętnie, bez cybucha, włożywszy na plecy olbrzymi płaszcz bobrowy z peleryną, szapoklak z szerokimi kresami, lakierowane buty, perłowe rękawiczki i wzięwszy parasol, usiadł w jadalni, czekając na Antoniego, który zeszedł do pani Grabowieckiej dowiedzieć się, czy pan Podolski może jej złożyć „swe uszanowanie”. Wszystko tu bowiem szło dawnym trybem i według tradycji.

Skoro Antoni powrócił, oznajmiając, że te panie są w domu i czekają, Podolski podniósł się z krzesła i eały cortege, złożony z Janki, Podolskiego i Antoniego, wyruszył na dół.

Zeszli powoli i Antoni pociągnął za rączkę od dzwonka.

Otworzono natychmiast, gdyż pani Grabowiecka, uprzedzona, czekała na rzadkiego i niezwykłego gościa, siedząc na kanapie w wielkim salonie, upstrzonym kilku obrazami mitologicznej treści.

JLUO

Janka szła w ślad za ojcem, narzuciwszy ua plecy rotundę, niespokojna i niecierpliwa. Chciała się jak najprędzej wymkować i pobiedz na Chmielną. Nie wiedziała, jak długo się owa wizyta przeciągnie.

Wizyta jednak nie trwała długo. Podolski z szumem i szastaniem nóg ucałował ręce pani Grabowieckiej, opowiedział jej historię z Justynem, zapewnił o wygaśnięciu rodu i kazawszy pannom wyjść z pokoju, wtajemniczył w swe projekta co do Janki.

Pani Grabowiecka, wzdychając, starała się zmiękczyć sąsiada i wymódz na nim przebaczenie synowi, widząc jednak, że stary trwa w uporze, zgodziła się na jego prośby i przyrzekła zająć się wyekwipowaniem Janki i wprowadzeniem jej w świat, w którym bywała.

Składało się właśnie doskonale; za dziesięć dui miał się odbyć u nich wieczorek, skromna herbatka, próba karnawału. Osób mało, ale towarzystwo dobrane, kilku panów tańczących i dobrze urodzonych. Janka może właśnie na tym wieczorku ogładzić się trochę, nim wejdzie na większą scenę i seryo balować zacznie. Trzeba jednak pomyśleć o ubraniu odpowiednim. Dziś właśnie iść mają z Minusią po sprawunki; najlepiej będzie, skoro Janka z niemi pójdzie. Podolski, rozrzewniony i zachwycony, dobywał pugilaresu, ale pani Grabowiecka powstrzymała go uprzejmym gestem: Oh! to zbyteczne; pójdą do znajomych magazynów, a stamtąd rachunki Podolskiemu w swoim czasie nadeślą.

Podolski miał ochotę polecić mamie Grabowieckiej oszczędność, lecz ta właścicielka cukrowni imponowała mu zawsze swą rozrzutnością. W duszy miał ją za „kanalię, ale nie chciał pokazać się mniej wielkim panem od tej parweniuszki.

Wstał więc, podziękował, przywołał Jankę, wytłómaczył jej, że pani Grabowiecka łaskawie bierze ją pod swoją protekcję, i wyszedł wspaniale, stawiając pięty wpierw, niż palce.

W godzinę później Minusia, Janka i mama Grabowiecka chodziły wzdłuż ulicy Senatorskiej, wstępując co chwila do innych sklepów. Janka miała szczęśliwą figurę, nadającą się do wystawionych świeżo modelów. W każdym sklepie zostawiała coś z siebie, przybierając inną, bardziej elegancką postać. Skromną swą czarną, wiatrem podszytą żakietkę zamieniła na długi angielski paltot, wcięty silnie, przylegający do stanu, z jasnej, piaskowej wełny, na której duże rogowe guziki świeciły matowym blaskiem. Koło szyi miała teraz boa delikatne, fryzowane, o żółtych i brązowych cieniach. Na głowie aksamitny piaskowy, średniowieczny czepek, bramowany wązkim paskiem bobrów, który obejmował jej małą twarzyczkę w ramę oryginalną i nadawał jej główce wyraz prawie dziecięcy.

Te jasne tony podnosiły gorące zabarwienie jej cery, czarność włosów i purpurę ust. Była bardzo piękna, czuła to sama, widząc tym podwójnym i właściwym tylko kobietom wzrokiem, jak przechodnie odwracają się za nią, zdziwieni trochę tem jasnym i wyniosłym zjawiskiem. Suknie, bieliznę, buciki, gorsety, wreszcie puder, perfumy, wody tua

letowe—wszystko mama Grabowiecka wybrała skrupulatnie, sprawdziła doskonałość gatunku, nie dbając wiele o wysokość ceny. Suknie, cztery zwyczajne i dwie strojne, miały być wykończone za dui dziesięć.

Minusia, z początku nieufna i trochę ironiczna, szybko rozentuzyzmowała się na widok świecideł i gałganów, dobierając, przymierzając, bawiąc się z Janką, jak z wielką i nieubraną jeszcze lalką.

Mama Grabowiecka gustowała w kolorach jasnych, zdecydowanych; Minusia lubiła barwy splókane, niepewne, dyskretne. Gorące dyskusje wywiązywały się przy kantorach i w salonach krawieckich. Minusia odnosiła zwycięstwo, tryumfująca doświadczeniem własnym.

Janka stała pomiędzy nimi, zmieszana, przygnębiona tem wszystkim, co się naokoło niej działo.

W pierwszej chwili zamilowanie stroju, właściwe każdej kobiecie, porwało ją w swe szpony. Przemiana, jaką każdy włożony gałganek robił z jej ciała, podniecała ją i gorączkowała.

Powoli przecież o władnęło ją znużenie straszne, chaos zapanował w jej głowie... Szklanemi oczyma wpatrywała się w porzrzućane przed sobą sztuki krepy, wełny, szewiotu i lekkich materyi.

Były to gamy barw, tęcze kolorów, błyski skrzydeł ptasich, w wodzie świeżo skąpanych i na słońcu trzepocących. Ściemniało się...

Gaz zapalono. Poza kontuarami kupczy po

J fKf

bledli z głodu i znużenia, uśmiechali się jak trupy poza szkłem przedpogrzebowych domów...

Janka myślą wybiegła daleko — na ulicę Chmielną... Rwała się tam silnym pragnieniem i przemyśliwała, w jaki sposób zdoła wymknąć się paniom Grabowieckim. Z rozpaczą szukała sposobów i nie znajdowała nic, gdy tymczasem Minusia szczebiotała:

— Stanowczo... gris perle... Proszę cię... weź gris perle... gazę ze szlakiem białych róż u dołu...

— Tak! tak!...—odpowiadała Janka. Kupczyk gazę, jak chmurę delikatną, rozrzi cał, drapował umiejętnie, z wprawą smutnego dekoratora ciał.

Janka usta gryzła, policzki jej płonęły. Nie widziała sposobu wydobycia się z tej ma tni. Nagle zbliżyła się do pani Grabowieckiej.

— Mam prośbę do pani!—wyszeptała.

— Proszę cię, mów, duszko...

— Ja pójdę... Panie same sprawunków dokończą... ja się nic na tem nie znam... Ja pójsi muszę...

Mama Grabowiecka się zdziwiła.

— Dokądże tak, duszko?... do domu cię odwiozę... Papa będzie niekontent, gdy mu powiem...

Dziewczyna pochyliła się jeszcze niżej.

— Pani droga—zaczęła szybko—ja muszę iść! Justyn bardzo chory... wiem, gdzie leży... Ja obiecałam przyjść do niego...

Pani Grabowiecka się zamyśliła. Była to dobra, prosta kobieta, wyborne mająca serce.

U i

— No, to idź, duszko!.. A papie nie mówić?..

— Nie! o nie!...

— No, dobrze... choć to źle mieć tajemnice przed papa!

Westchnęła. Na niej dom Podolskich robił smutne wrażenie. Żałowała po swojemu dziewczyn. Justyna, litowała się nad samym Podolskim.

Janka na ulicę wypadła i na dorożkę skinęła. Miała teraz trochę drobnych pieniędzy, które mama Grabowiecka jej dała. Zdawało się jej, że dorożka wlecze się przez ulice, na które błękitny zmrok zapadał. Całe kłęby niebieskawego światła snuły się wśród domów i do ziemi przypadały.

Po kwadransie jazdy dorożka stanęła.

Janka, nawpół przytomna, zapłaciła i do bramy wbiegła.

— Dziedziniec... na lewo... — powtarzała sobie—trzecie piętro...

Weszła na schody.

Wązka klatka ze stopniami kręconymi, brudnymi, poprzecinanymi sionkami, na które wychodziły drzwi wysokie z zaśniedziałymi klamkami, ze słomiankami, poszarpanemi kłami psów i bucikami dzieci.

Jakieś dziwne krzyki i hałasy dobywały się z po za tych drzwi zamkniętych, pisk dzieci i szczekanie psów. Lampki nafciane, małe i biedne, paliły się w równych odstępach.

Na drugim piętrze olbrzymia balia przecinała drogę. Z napół uchylonych drzwi wypadła bosa dziewczyna i złapała balię. Za nią wyrzwał mały

AIO

uczniak z silnie odstającymi uszami. Oboje spojrzeli na Jankę, potem na siebie i parsknęli śmiechem. Janka minęła ich ze ściśniętym sercem. Od chwili wejścia na schody, ogarnął ją lęk i bezdenny smutek. Szła, bo iść musiała. Cotnąć się nie była w stanie, lecz zdawało się jej, że idzie przez różgi. Gorączka zniknęła, ręce ziębły w kieszeniach palta. W gardle jej wyschło zupełnie.

Wreszcie stanęła na trzecim piętrze. Na pra wo i na lewo rozciągał się korytarz czarny i wazki. Na samym końcu, po lewej stronie, świeciła się lampka.

Janka stała niezdecydowana. Dokąd iść?... do których drzwi zapukać?... Tu panowała cisza zupełna, jak w opustoszałym klasztorze. Z pod drzwi tu i owdzie błysnęła szpara, lecz głosu ludzkiego słyhać nie było, Janka skierowała się na lewo. Szła teraz znów opanowana gorączką... Zaczęła drżeć tak silnie, że zęby jej dzwoniły... W labiryncie tych drzwiczek małych i milczących, zdawało się jej, że trafić musi; szła, z ręką wyciągniętą naprzód, czując, że coś rwie ją i kieruje jej kroki. Zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami w głębi korytarza i zastukała silnie. Czekala chwilę; drzwi otworzyły się cicho i— stanął w nich Kuniewicz.

Ujrzawszy Jankę, na którą padała żółta smuga od lampki, cofnął się i brwi zmarszczył. Nie poznał jej odrazu. Poznawszy, wzruszył ramionami.

— Poco się pani tak jasno ubrała? — zapytał ą brutalnie.

Cała energia, gorączka dziewczyny, opadła jak kwiat mrozem ścięty. Nie umiała odpowiedzieć; stała wciąż w szyi korytarza, jasna w swym stroju, jak niezwykle zjawisko.

— To... ja sobie pójdę!— wyszeptała wreszcie.

— Co znowu!... Niech pani wejdzie. Chodziło mi o panią. Poco ludzie mają komentować przyjście pani tutaj?...

Proszę... tylko cicho, bo brat pani zasnął...

Weszła uszczęśliwiona, usuwając się, robiąc się jak najmniejszą. Spódnica jedwabna, którą miała pod suknią, szeleściła. Porwała fałdy w rękę niecierpliwym ruchem i spojrzała z trwogą na Kuniewicza. Chciała go przebłagać za ten jasny strój, który mu się nie podobał i zdawał się go drażnić. Minęła maleńką kuchenkę ciemną, w której migotały kratki nastawionego samowara. Poprzedzona przez Kuniewicza, weszła do pokoju, w którym na stole, koło okna, paliła się lampa.

Był to niewielki, kwadratowy pokój z oknem, wsuniętem w dymnik długi i wazki. Okno to było zawieszzone firaneczką, czystą i porządnie wyprasowaną. Przed oknem, dotykając szyi dymnika, stał wpoprzek ustawiony duży stół, okryty ciemnym sukniem i założony masą książek i papierów. Lampa, płonąca równem, spokojnem światłem, rzuciła jasny krąg, płaski i biały, na kałamarz ze świecą metalową przykrywką, wycieraczką do piór z czerwonej flanelki z małym, strzyżonym z włóczki pudełkiem, na jakąś fotografię zblakłą, wsadzoną w żelazne ramki, i dużą trupią głowę, żółtą, niemal już brunatną, z czarnymi jamami oczodołów i nosa, po

nad roześmianeimi szczękami, w których tkwiło kilka fatalnych i smutnych zębów. Głowa ta rzucała się w oczy każdemu, kto wszedł do pokoju, ciągnąc ku sobie jak kwiat mistyczny, w klombach grobowców zerwany. Była ona punktem środkowym, magnesem, szarpającym wzrok, wkradającym się w źrenice koniecznością potworną... Około głowy tej grupowały się masy kartek, listów i papierów, porozrzucanych dokoła; ona jednak królowała tu niepodzielnie, tragiczna w swoim uśmiechu; sfinks zczerniał i zagadki pełen. Naokoło ścian półki drewniane, przedzielane, etykietkami poznaczone, pełne były książek rozmaitej wielkości. Grzbiety wystawały tylko, ściśnięte w szeregi karne i doskonałe. Kilka krzesel, porozrzucanych tu i owdzie, żółciło się kręgami wyplecionej słomy. Za parawanem trzcinowym, trochę uchylonym, widać było łóżko żelazne, okryte czerwoną kołdrą, opiętą haftowanym prześcieradłem.

Na łóżku spał teraz Justyn, lecz Janka dojrzeć go poza skrzydłami parawana nie mogła. Weszła cicho i usiadła koło stołu, na wskazanem jej przez Kuniewicza krzeselku. Powiodła dokoła wzrokiem: ilość książek przerażała ją... Wróciła do stołu, do owej głowy trupiej, która powitała ją na samym wstępie szerokim, szyderczym uśmiechem.

— Nie boi się pani?—zapytał Kuniewicz. Ona zaprzeczyła, jakkolwiek wstręt brał ją na widok tych kości, tak blisko niej będących.

— Cóż Justyn!—zapytała.

— Chory. Ma zapalenie oskrzeli. Koledzy moi go leczą. Na razie nic mu nie braknie... robią, co mogą. Niewiele... ale jemu teraz wiele nie potrzeba.

Janka wyciągnęła rękę.

— Dziękuję panu!—wyszeptała.

Lecz on ręki jej nie wziął, ramionami tylko wzruszył.

— Za co mi pani dziękuje?... To mój obowiązek!

Nie zdziwiła się, bo wiedziała już teraz, co było dla niego obowiązkiem.

Nastała Chwila milczenia. Samowar śpiewał głośno w kuchence minorową, wysoką gamę.

Janka nie przestawała drzeć z wewnętrznego wzruszenia, ale nerwy jej uspokajały się zwolna w tej ciszy i czystym uroku, jaki panował w ścianach tego mieszkania.

Nagle za parawanem Justyn jęknął i kaszleć silnie zaczął.

Janka powstała, lecz Kuniewicz szybkim gestem ją powstrzymał. Rzeczywiście Justyn spał dalej, oddychając ciężko. Teraz Kuniewicz głowę pochylił i kaszleć zaczął, zupełnie tym samym, co tamten, tonem. Zdawać się mogło, że to jedne piersi jakaś hydra rozdziera.

Janka spojrzała nań przerażona.

— Pan także chory?—Spytała.

— Nie... jestem tylko zdenerwowany!... — odparł, siadając pierwszy i opierając głowę na rękę.

— Pan zanadto pracuje.

— Nigdy zanadto... zresztą, to nie praca mnie denerwuje, to tysiące przeciwności, jakimi życie moje się splątało...

Wskazała ręką półki:

— Pan to wszystko przeczyta!?...

— Nie!... nie wszystko warte czytania... Dam pani trochę książek... Chce pani?

Wstał, nie czekając na odpowiedź; zbliżył się do półek i zaczął na nich szukać. Patrzyła za nim, jak wysoki i szczupły, giął się, schylał, podnosił. Miał na sobie ten sam garnitur, w którym był u Podolskich. Włosy tylko, źle uczesane, spadały mu na czoło, skracając profil twarzy. Wreszcie z kilku książkami do stołu powrócił.

— Tamte mi pani odnieście!...—wyrzekł, szukając na stole gazety do zawinięcia paczki.

Ona przez ten czas przypatrywała się fotografii, stojącej na stole. Była to grupa ludzi: mężczyzna, kobieta i troje małych dzieci. Fotografia była nędzna, ruda, wyblakła; ludzie na niej spokojni, bez śladu namiętności na twarzach, odziani w świąteczne miejskie stroje.

— Kto to?—spytała dziewczyna.
— To moi rodzice!
— A!... żyją?...
— Tak!
— Co robią?
— Ojciec mój jest ślusarzem.

AL.

Zamilkła; spojrzała znów na fotografię, na delikatną i wyniosłą postać mężczyzny i zapytała znowu:

— Pan... ojca kocha?
— Bardzo!
— I ojciec pana?
— Bardzo!
— A... matka?
— Tak samo!
— A!...

Pozostała tak bez ruchu, odtwarzając sobie w umyśle matkę tego człowieka. Musiała być, tak jak on, wysoka, blondynka, delikatna i dobra.

Chciała go pytać dalej, lecz on przerwał jej, podając paczkę:

— Pnrsrę pani... książki. Wybieram, co mam najprzystępniejszego. Chcę powoli pani umysł ogłodzić. Nie mogę pani uczyć systematycznie, nie mam na to czasu. Dam pani tylko encyklopedyczne wiadomości. Pani jest strasznie zaniedbana!... Dziwna rzecz!... nie skorzystaliście nawet ze swego monopolu: nie wykształciliście się! O, pani temu nie winna. Zresztą widzę, że pani ma dużo dobrych chęci. Skoro pani tamte książki przeczytała... a może to nieprawda? co?... przyznajmy się!...

Śmiał się, patrząc na dziewczynę, która mieszała się i płonęła pod jego chłodnym spojrzeniem.

— Wezmę panią na egzamin... tylko nie dzisiaj!... Mam jeszcze bardzo dużo do roboty!...

Spojrzał na stół, na porzrzucone kartki.

— A!... co tu tego!... — wyrzekł, odwracając

ie.

Zanurzył ręce w stosie papierów i zaczął układać, porządkować, znaczyć, zapominając najzupełniej o Jance, która zapinała guziczki od rękawi

Biblioteka.—T. . S

czek, czując, że powinna odejść, że jest tu niepotrzebna, zbyteczna, że może zawadza mu w pracy.

?ai jej było Justyna, który przez sen się zalił, kaszlał i jęczał.

Jankę ogamnął smutek wielki. Uczyła, że kocha bardzo serdecznie brata i że nic w tej chwili dla niego zrobić nie może.

Obcy człowiek czuwał nad nim i do swego domu go przygarnął. Obejrzała się.

— Gdzie pan sypia teraz?... — zapytała nagle.

Kuniewicz głowę podniósł, jakby ze snu zbudzony, i patrzył na nią chwilę nieprzytomnym wzrokiem. Zdawało się, że—zatoniony już w przerwanej pracy—zapomniał o tej dziewczynie, drżącej całej obok niego i tak silnie wzruszonej.

— Gdzie ja śpię?...—powtórzył.—A! gdziekolwiek... mam siennik... Zresztą, ja śpię niewiele. Pracuję późno w noc!

— Ja pauu przeskadzam....

— Nie! nie!...

Na stół znów patrzył, szukając oczyma czegoś. Janka uczuła, że odejść musi.

— Dobranoc panu!—wyrzekła.

Nie śmiała mu ręki podać; odchodziła cicho, rzuciwszy smutne wejrzenie na łóżko brata.

Lecz Kuniewicz nagle od stołu się oderwał i za idącą do drzwi dziewczyną poszedł.

— Cóż to?... odchodzi pani tak, nie podawssy mi ręki?... Czy tak, jak papa?...

Ona stanęła, cała zdławiona podobnem przypuszczeniem.

— O! panie...

Spiesznie, niezgrabnie wyciągnęła rękę; on wziął jej palce w swe obie dłonie i chwilę tak trzymał.

— Dziękuję panu... za Justyna! — wyszeptała dziewczyna.—Ja... się panu odwdzięczę!...

On uśmiechnął się powabnie.

— Dobrze... dobrze... my się tam policzymy!... Niechno pani tylko czyta, co jej dałem...

— Ja tu znów przyjdę, tylko... ciemno ubrana.

— Dobrze... niech pani przyjdzie! Spojrzył na nią przenikliwie.

— Co to?... pani płacze?...

Rzeczywiście dwie łzy gorące płynęły po twarzy Janki.

Nie! nie!—zaprzeczyła—to się panu zdaje! On milczał przez chwilę, nie patrząc na nią wcale.

— Ciekawa z pani istota...—wyrzekł nareszcie. Oparł się o ścianę i oczy przymknął.

— Głowa mnie boli... — wyszeptał znużonym, sennym głosem.

Pozostał tak nieruchomy, rękę Janki z dłoni swojej wypuścił, włosy mu spadły na czoło, jak deszcz złotych, lśniących kwiatów. Naokoło oczu zarysowana silnie sina obwódka wystąpiła w tym półcieniu z ostrością niezwykłą. Usta pozbyły się uśmiechu i opadły ku dołowi. Ręce zwisły mu wzdłuż ciała, jakby w wyczerpaniu zupełnem.

— Głowa mnie boli...—powtórzył..

Janka wysunęła się cicho na korytarz. Schodząc z krętych schodów, uczuła, że nerwowe drzenie przestaje ją szarpać zupełnie. Tylko serce rnia

ła teraz pene tej ciszy, jaka panowała tam, na górze, ciszy, przerywanej tylko kaszlem tych dwóch, dla których miała zupełnie różne, ale jednakowo rzewne i serdeczne uczucie.

Przyszedłszy do domu i schowawszy książki w małym pokoiku, zastała Podolskiego, pochylonego nad stosem kartonów, rozstawionych na stole jadalnego pokoju. Co było gotowego, odesłano pod adresem Janki, tak, że sprawunki leżały już wszystkie powymowane i poodwijane z bibułek.

Koło okna Pola, z iskrzącymi z zazdrości oczyma, patrzyła na ten stos gałganów i świecideł. Na odgłos otwierających się drzwi. Podolski wypuścił z ręki boa jasne lila, które niemiłosiernie okadzał od kwadransa kłębamii dymu.

— A!... jesteście wreszcie! Pokaż się, jak wyglądasz?

Janka podeszła na środek pokoju.

— Szymonie!—zawołał Podolski.

Z salonu wyszedł Biernicki, który, obejrawszy już wszystkie sprawunki, drzemał na kanapie.

— A!..—wyrzekł z podziwem.

— Cóż? jak myślisz?... — spytał Podolski, nie znający się wiele na rzeczy.

— Bardzo pięknie! — odparł Biernicki. — Gustowne i pańskie...

— Jakieś cegiaste...

— Najmodniejsze... angielskie...

Macali palto Janki, odwijali poły, dmuchali na pióra boa.

Dziewczyna z oczyma jeszcze od łez świeżemi stała, przetykając ślinę.

— A czemu nie masz welonu na twarzy? — zapytał Podolski.

— Kiedy... proszę papy, ja nie jestem przyzwyczajona...

— To się przyzwyczaj! Cere popsujesz na nic... Żebyś mi bez welonu na ulicę nie wychodziła. Rozumiesz?...

— Dobrze, proszę papy.

.

W kilka godzin później Biernicki dawał Jance lekcje układu i zachowania się w salonie.

Sprawdził, że tańczy nieźle, ale się trzyma sztywno i bez gracy. Tańczyć nauczyła ją szaremi godzinami ciotka, jeszcze na wsi, ale Janka nie wiedziała nawet, jak położyć rękę na ramieniu tancerza.

Biernicki podjął się przygotować Jankę do pierwszego w świat występu. W tym celu, po herbacie, Podolski zawołał dziewczynę, która wymykała się chyłkiem do roztworzenia zawiniętej przez Kuniewiczza paczki, i usiadłszy na kanapie, cybuchem lekcją komenderował. Biernicki, ożywiony, coraz więcej pięknoscią Janki przejęty, aranżował całą scenę, sadzał Jankę pod ścianą i, uśmiechając się, wdzięcząc, łysy, okropny, zbliżał się, w jasności żyrandola skapany.

I— Oto tak...—mówił — idzie ku pani tancerz. Podchodzi, kłania się i nic nie mówi. To znaczy, że prosi panią do tańca. Co pani wtedy robi? Janka milczała, siedząc na fotelu, znużona, z sercem przepelnionem żalem i tęsknotą wielką. — No! rusz się! — komenderował Podolski — co to za kolek, panie dobrodzieju!... — Czekaj, Kanucie, trochę cierpliwość! — łagodzi! Biernicki.—Niech pani wstanie. Janka podniosła się ruchem automatu. — Bardzo dobrze! Proszę rączkę na ramienia mi złożyć. Tak! Drugą podać, a teraz uważnie—zaczynamy walca. Raz, dwa, trzy!... raz, dwa, trzy!... i Ślicznie!... mniej sztywnie!...

Obracał się wokoło, wlokąc za sobą Jankę. Wirowali tak w głuchej ciszy salonu, i przed oczyma dziewczyny migotała cała powódź światła ikry ształów kinkietów. Serce jej, dusza, myśl rwały się ku małemu pokoikowi, gdzie na tle masy książek śmiała się tragicznie piękna trupia głowa, migotały j złote włosy ponad bladą, zapadłą twarzą i rozlegał się

głuchy, jak łoskot objijającej się o wieko trumny grudy, kaszel dwóch piersi młodych, tajemną a mistyczną hydrą szarpanych. i

IX.

Dziwne teraz było życie Janki, dziwne i niespodzianek pełne.

Nagle otwarły się przed nią wrota życia i ślimacza skorupa, w której była zamknięta, przysła na dwoje. Woła ojca, z poczwarki ubogiej i w wełnę zrudziałą spowitej, zmieniła się w motyla, jasnego splukanego barwami ametystu, topazu i opalu i w słońcu przyszłych zabaw mieniła się tęczą ustrojonej i przygotowywanej na wystawę i wymianę lalki.

Żelazna dłoń ojca przemianie tej nadawała piętno jakiejś kary, groźby, jarzma, utkanego z piór marabutów i aksamitu doskonale skrojonych staników.

Ciało Janki przestało należeć do niej samej.

Myła się na noc roztworem alkalicznym, wycierała waseliną, posypywała twarz maską pudru, a ręce wsuwała w rękawiczki pachnące i przepojone tłuszczami. Włosy piękne, czarne, plecione w długie bicze warkoczów, palono jej teraz żelaz

kami, próbując karbować je lekko od skroni i wiążąc z tyła w sztuczne sploty. Nowy gorset ścisła! ją nadmiernie. Ponieważ zaopiniowano, że trzyma się pochyło, dodano jej szelki, skrzyżowane na plecach, codzień stopniowo zaciskane w oczach samego Podolskiego.

Chodziła teraz po pokoju, jak uczone pudel, nie mając prawa zakładać rąk ulubionym swoim, leniwym, a pełnym wdzięku gestem.

Biernicki czuwał nad nią, jak najtroskliwsza guwernantka, prostował, przeginał, uczył wachlować się złożonym naprędce „Wyrazem.

Janka czyniła wszystko, co jej nakazywano, z pozorną uległością, czując jednak już w sobie bunt, nurtujący i lekko szarpający jej nerwy. Inne bowiem życie otwarło się równocześnie przed nią. Smutny horyzont jej biednego umysłu zaczął rozświetlać się powoli, ogrzany ciepłem serca. Nie było tu bowiem ułudy. Janka kochała.

Serce zbudzone, wstrząśnięte i nagle a brutalnie w wir uczuć wtrącone, trzepotało się w niej, jak ptak oślepy, w płomień wrzucony.

Instynktem ostrzegana, wrywała się chwilami z tego błędnego koła, lecz były to bezowocne porywy. Nie miała sił, nawet myśl jej nie należała już do niej. Zdawało się jej, że ma przed sobą jakąś wielką jasność, w którą wejść koniecznie powinna. Cała jej moralna istota rwała się ku temu promiennemu kręgowi, lecz było to tylko jakieś rozpaczliwe szamotanie które ją wyczerpywało do dna.

W środku tego świetlanego kręgu jaśniała postać człowieka, który zdawał się być skoncentrowaniem tych wszystkich promieni i zamiast je wydawać z siebie, chłonał je zazdrośnie, jak słońce zimowe, złote i lodowato chłodne.

Janka pomiędzy nim i sobą czuła całą przepaść, lecz pragnęła przepaść tę zapęlić: to, co on kochał, ukochać; tego, czego on pragnął, zapagnąć; to, czem on żył, treścią swego życia uczynić.

W jednej chwili, z piekielnym szumem walącej się lawiny, spadło na nią uczucie, druzgocące tradycję egoizmu, która była dotąd jej religią i oddzielała ją od tych, którzy cierpią, a cierpiąc pracować muszą na chleb, często nie wystarczający na zaspokojenie głodu. Zrozumiała, że są inne kobiety, mające to samo, co ona ciało, te same organa ruchu, trawienia, myśli, co składały się na jej istotę, i kobiety te, pracując od świtu do zmierzchu, wytwarzać muszą nie tylko środki, konieczne do swego utrzymania, swych dzieci, często i rodziców kalek, lecz także i nadwartość, którą ona, Janka, sama zużywa, nie uczyniwszy nic, aby tę nadwartość pozyskać, nic, prócz wypadkowego przyjścia na świat w tej, a nie innej formie.

Ten bezczynny i leniwy ruch założonych na piersiach rąk był niejako uosobieniem jej dorobku dotychczasowego.

Z dziwną subtelnością i tinezją, kulturą niespaczonego umysłu rozumiała, pojęła i ogarnęła to, co przed nią morzem leż błysnęło. Umysł ten miał siiny odcień romantyzmu.

Janka nowe swe pojęcia zabarwiła gorącym tchnieniem piersi kobiecej, nagle rozmiłowanej w dobroci i sprawiedliwości. Powstawał w niej świat nowy, jeszcze nie sformułowany, lecz krystalizujący się zwolna w odłamach skamieniałych tradycji i przesądów. Miłość dla jednostki zaczynała ciągnąć za sobą miłość ogółu. Jednostka ta musiała mieścić w sobie ogół, inaczej Janka pozostałaby tylko wierna jednostce, nie oglądając się na chmurną procesję wygłodniałych i zapracowanych mar.

W serce dziewczyny, razem z miłością dla Kuniewicza, wstępowała miłość dla tych, o których istnieniu wiedziała dotychczas z odbieranych od nich usług lub ich pracy, do jej użytku przeznaczonych.

Kilkakrotnie Janka powracała na Chmielną ulicę, teraz już ciemno ubrana, zwykle w popołudniowej godzinie, gdy Podolski i Biernicki odpawali poobiednią drzemkę.

Justyn miał się lepiej, siadał już w łóżku i rozmawiał urywanymi zdaniem z Kuniewiczem i siostrą.

W pierwszej chwili, zobaczywszy Jankę, która, trochę zmieszana, pochyliła się nad nim, brwi zmarszczył i usta przygryzł.

— Skąd się tu wzięłaś?—zapytał cicho, ochryłym głosem.

Ona wytłómaczyła mu przyjście Kuniewicza, jego widzenie się z ojcem, danie jej adresu.

— Dobrze—wyrzekł nareszcie—zostań, tylko, żebyś ty.....

Urwał, nie dokończył, asta przygryzł, nieufny i coś w głębi duszy knujący.

Lecz Janka tak szczęśliwą była, dostawszy się tu, do tych ścian, założonych kiążkami, ua które z wąskiego okna padał ukośny i blade szmat światła!

W dziennem oświetleniu pokoić Kuniewicza wydawał się o wiele uboższy, lecz weselszy i roześmiany. Nawet trupia głowa nie miała tak żałobnego wyglądu, stercząc pomiędzy białą rozrzuconych papierów. Janka witała ją teraz, jak dawną a dobrą znajomą.

Wzrok Justyna, uśmiech albo chłód Kuniewicza napawały ją trwogą. Ta biedna trupia głowa miała zawsze to samo bezbarwne a ciągnące spojrzenie bezzrenicznych oczu.

Czasami Janka nie zastawała Kuniewicza i spędzała z bratem sam na sam dwie lub trzy godziny.

Czuła wtedy wielki brak, ale nie tęsknotę. Tu, gdzie Kunie wieź żył, pracował, gdzie każdy kąć był pełen jego wysmukłej postaci i linijek ust purpurowych, Janka czuła, jakby rozkoszne ciepło obejmowało ją całą. Zamykała oczy i poddawało się temu wrażeniu z uśmiechem zmęczenia na ustach.

Justyn wzruszał ramionami.

— Cóż ty, śpisz?...—pytał ironicznie. Ona szybko otwierała oczy.

— Nie, nie! mylisz się!

Wstawała, poprawiała poduszki, podawała bratu mleko lub lekarstwo, zmieniała wodę, w której stygła flaszka z miksturą. Wychodziła do kuchenki,

próbowała nastawić samowar, lecz nie udawało się jej nawet węgli rozżarzyć.

Justyn, zniecierpliwiony, bił pięścią o blat krzesła, stojącego przy łóżku.

— Chodź tu lepiej! opowiedz mi co!... Nie miała mu co do opowiadania. Delikatnością uczuć wiedziona, nie mówiła mu wcale o przemianie swego losu, o projektach ojca, nie chcąc rozdrażniać jego egoistycznej i samolubnej natury. Ze swą wewnętrzną, moralną przemianą kryła się także zazdrośnie, odczuwając w Justynie młodego konserwatystę, wygodnych i użyciem przepojonych aasad. O Kuniewiczu nie mówili prawie nigdy, unikając w jego nieobecności najlżejszej o nim wzmianki.

Zdawało się Jance, że razem ze zdrowiem w duszy Justyna zaczyna się budzić wielka niechęć uia swego obecnego dobroczyńcy, który kupował mu lekarstwa i spał obok łóżka na prostym sienniku już od kilku tygodni. Kuniewicz, ze swej strony czyniąc dobrze, nie umiał być dobrym; uważał to, co dawał, za obowiązek i obowiązek ten wypełniał chłodno i spokojnie, bez cienia uczucia, które zwykle najdrobniejsze nawet dobrodziejstwo znośnem czyni. Dla niego przyjmowanie tego, co stanowiło dla drugiego już rzecz niekoniecznie do egzystencji potrzebną, było rzeczą naturalną i wynikiem obecnego ustroju społecznego. Dając więc sam, nie uważał, aby Justyn mógł się czuć dotkniętym i upokorzonym.

Młody Podolski przyjmował, bo nie mógł inaczej, przyzwyczajony od kolebki do przyjmowania, lecz mając głęboko wkorzone poczucie egoistycz

nego posiadania, cierpiał, widząc się zniewolonym do życia kosztem niższej i drobniejszej własności. Nie szło mu o to, że każda flaszka lekarstwa zmniejsza obiad Kuniewicza. Nie śpiąc w nocy i patrząc na złotawe włosy swego

współlokatora, rozrzucone na palcie, zastępując poduszkę, cierpiał, że to lekarstwo zmniejsza taki obiad, a on przyjmuje łóżko od człowieka, śpiącego na takim sienniku. Była to olbrzymia różnica w charakterze brata i siostry. Ona liczyła ofiary Kuniewicza według jego istoty, on — podług siebie i swoich własnych wymagań. Jankę każdy grosz, wydany dla brata, przejmował wdzięcznością i przywiązywał, Justyna odstręczał i odpychał. Powoli Justyn podniósł się i odziany w palto letnie, chodził po pokoju, mizerny, okropny, z brodą obrosłą rzadkim włosiem. Kaszłał ciągle i pluł po kątach. Garbił się i był podobny coraz więcej do ojca. Kilkakrotnie Janka namawiała go, aby starał się powrócić do domu. Ofiarowywała się pośredniczyć pomiędzy nim a ojcem. Justyn na samą wzmiankę wpadał w złość, pienił się i zaciskał pięście. Nie! nigdy nie wróci do domu... znieślawiono go zanadto!.. Nie wie jeszcze, co zrobi... ale do domu nie wróci! Kuniewicz, będąc świadkiem podobnych roz mów, nie wtrącał się prawie nigdy, nie odzywał się ze swoim zdaniem. Zdawało się, że uczył od razu w Justynie olbrzymią, zapuszczoną inteligencję i skamieniały podkład niemożliwej do rozgrzania i przebicia pleśni. Siedział przy swym stole i czytał lub pisał bez przerwy. Czasami podnosił głowę i pa

Salony mamy Grabowieckiej zapełniały się powoli.

Całe towarzystwo, dla tych lub owych przyczyn w Warszawie zamieszkałe, stawiało się w komplecie, szumiąc, szeleszcząc i zajeżdżając z głuchym turkotem wynajętych po pięć rubli karet.

Sień, szeroko otwarta, ubrana była oleandrami i oświetlona lampami, dyskretne przyćmionymi czerwonymi globami. W przedpokoju stopy ubrań, futer, paltotów, pluszowych rotund o białych angorowych kołnierzach, wałało się już na ziemi, spadając z przepelnionych kołków.

trzał na rzucającego się Justyna chłodnym, spokojnym spojrzeniem.

Jance zdawało się, że dostrzega wtedy koło jego ust ten sam ironiczny uśmiech, który drgał mu na wargach na widok starego Podolskiego. Ucząwała smutek i rodzaj wstydu za słowa brata— lecz smutek ten mijał szybko.

Kuniewicz zwykle wzrok swój z Justyna na Jankę przenosił, i wtedy uśmiechał się otwarcie, jakby wporozumieniu z dziewczyną będąc.

Ona uśmiech ten skwapliwie chwyciła, odpowiadała mu szybko, cała różowa od wewnętrznego zadowolenia. I gdy Kuniewicz pochylał się znów nad książką, obejmowała wzrokiem tę jasną, piękną głowę, z której do jej serca płynął cały prąd ciepły, doskonały i z wiekowej pleśni, wśród samolubstwera przepojonych herbów—ją odzierający...

Pokoik Minusi, zamieniony na buduar ztuaietką, opiętą w chmury muślinu i błękitnych wstążek, błyszczał od przyborów toaletowych i puszek z pudrem, otwartych i porozstawianych dokoła lustra. Kryształowe rżnięte flakonów lśniły, jak olbrzymie dyamenty na tle niebieskiej pluszowej podkładki. Kandelabry zapalone ustawiono po oba bokach toalety.

W kącie, na pluszowym pube, siedziała drobna i chuda „panna”, wynajęta w magazynie do naprawiania możliwych uszkodzeń w toaletach balowych. ; ;

Zwiedla jej twarz, oczy zaczerwienione i wciągnięta z przyzwyczajenia warga dolna, obłana jasną powodzią światła, dziwaczne robiły tu wrażenie, jakby kto nagle zeszedł wianek nieśmiertelników, wianek ubogi i nędzny — na grobowiec milionera w noc zimową, jasną od śniegu, rzucił...

Ta „panna”, zaledwie dwudziestoletnia kobieta, ubrana w ciemny jersey i gładką spódnicę, siedziała zrezygnowana i już senna, opierając swą okrągłą, nędznym włosem obrosłą głowę o ciemny szafir obicia. Miała przed sobą jeszcze ze dwie godziny, nim upinać, podpinać i zapinać zacznie. Wiedziała o tem. Usunąwszy się w cień, pragnęła zdrzemnąć się trochę.

W wielkim salonie—mama Grabowiecka, czerwiejsza i bardziej ściśnięta niż zwykle, w granatowej aksamitnej sukni robiła honory domu z wdziękiem wiejskiej parweniuszki. Minusia, cała owiana lila hilarem, który drapował się na niej ze skromną impertynencją, dopomagała matce, nie zaniedbując

flirtu z nowoprzybyłymi, a pierwszy raz przedstawionymi jej mężczyznami.

Pod ścianami siedziały już matki, w ciemnych, przeważnie aksamitnych sukniach, tworząc ciemną chmurę, chłonącą światło i tylko gdzieniegdzie dającą krwawe lub szmaragdowe refleksy. Były to przeważnie kobiety sur le retour, poważne, ironicznie uśmiechnięte, dumne ze spełnionego za życia obowiązku, nie troszczące się o przyszłość, bez namiętności, bez dążeń — bożyszczą, wnoszące posagi i rodzące dzieci, do używania tych posagów przygotowane. Snopy świateł z kandelabrow, pajaków, kinkietów, grały gwiazdami iskier w naszyjnikach, koliach i bransoletach tych pań. Wszystkie klejnoty „familijne”, z córki na matkę egoistyczną falą płynące, w jasnym blasku sali balowej tańczyły piekielną sarabandę gwiazd nie grzejących, nie rozświecających ciemności.

Mama Grabowiecka miała także na szyi cztery rzędy pereł dziwnej piękności. Równe, srebrnobiałe, zdawały się powstawać z masy cukrowej, tam, daleko, w zieleni guberni Kijowskiej, wśród chaosu robotników szumiącej.

Minusia szyję swą bladą i anemiczną, szyję „chorej duszy”, odsłaniała bez blasku klejnotów, w wyrafinowanej dziewczęcej skromności, jak gablotka, różowym pluszem kryta, świeża i już gotowa do przyjęcia wytworu produkcji całych mas, setek jednostek, zbitych u jej stóp doskonałego bożyszczą w bezkształtny i smutny kłęb, przeznaczony na usługę i przystrojenie jej własnej istoty.

W całym tem zgromadzeniu czuć było dziwny chłód ludzi, ceniących się w jakimś brutalnem uwielbieniu samych siebie i spoglądających z lekceważeniem na istotę innych.

Nagle zbliżeni i rzuceni w powódź jarzących świec, zamieniali banalne słowa, kryjąc już znudzenie, które nosili z sobą, pomimo bałwochwalczego przywiązania do drobiazgów życiowych.

Przeważnie obywatele wiejscy, przeniesieni z rozmaitych powodów na bruk miejski, mieli w sobie nostalgię świeżych ranków i szarej, mistycznej „trzy dniówki”.

Znajomi i sąsiedzi, na odległość kilkudziesięciu, a czasem i więcej wiorst, ściśnieni ścianami miejskiego salonu, mierzyli się nieufnie, obliczając wzajemnie obywatelskie i materyalne zasługi.

Brak pana domu, samego Grabowieckiego, czuć się dawał na każdym kroku. Było tu już jakieś bezkrólewie, którego wspaniałość świateł i krzewów zastąpić niczem nie mogła. Mężczyźni, zbici w ciemną gromadę, wypełniali mały salon, jasny od chińskich obić i porozstawianych na półeczkach i pluszowych etażerkach bibelotów. Starsi dzielili się widocznie na dwa odcienie: ci, którzy razem z tradycją i herbem odziedziczyli całe szmaty ziemi i na szmatach tych leżeli, zabezpieczając je dla swych dzieci, i ci, którzy... pracą, według utartego w obecnym ustroju wyrażenia, doszli do majątku.

Pierwsi, z kurtuazją ludzi dobrze wychowanych, starali się być przyjaznymi, a nawet wylanynymi dla drugich, robiąc w ten sposób możliwe ustępstwa prądom, które zdawały się im być nowy BibUotcka. T.—. f

mi. Niemniej przeto nosili swe „urodzenie” wysoko, przekonani o świętości „klejnotu”, w postaci koni, wron, kawek, grabi, wołów o jednym rogu i tym podobnych dowcipnych, a nieszkodliwych rysunków uosobionego.

Drudzy, ci, którzy ziemię nabyli, którzy bądź to obrotami giełdowymi, lub eksploatacją raz kupionych machin i jednostek roboczych, w pierze i pieniądze porośli, oddychali ciężko, manifestując co chwila owo „dojście”, owe walki, staczane jeszcze u spodu drabiny, owo „spracowanie” się fikcyjne w ciągłej gorączce obracania rublem i z rubla tego, za pomocą nadwartości, tworzenia dziesiątków i setek stanowiących podkład w papierach mającego zaszeleścić kapitału.

Pomiędzy nimi, pomiędzy temi dwoma grupami lawirował dyrektor jednej z kolei, olbrzym o wielkich, rudych wąsach i błyszczących okularach. Miał olbrzymią pensję, przewyższającą znacznie jego domowe i osobiste potrzeby. Dziwił się jednak, gdy dróżnicy zażądali podwyższenia pensji. Jakież potrzeby mogli mieć ci ludzie, zamknięci, jak w pudełku, wmaluchnym domku, przystrojonym w kwitnące jesienią astry? Mogli nie jadać codziennie mięsa i nie myśleć o luksie pomocnika, gdy sen nadto oczy mruży. Pan dyrektor oceniał swą pracę przygotowawczą. Ośm lat studyów, podczas których wydał pięć tysięcy rubli—obecnie ma tysiąc za je den procenta. Dróżnik studyów nie czynił, lecz niemniej fizyczny ustrój jego domagał się wystarczającej choćby stawy dla pokonania trudów wyznaczonej mu pracy.

Młodszy mężczyźni, nie mający jeszcze czasu wzrósć, czy to w ambicję z wybornego rodu, czy w dumę z dokonanej pracy, mieszaoli razem, przyciskali do bioder wspaniałe szapoklaki i ezymli eiekta torsu, lub niedbale, już zmęczeni, osuwali się na zgrabne kanapki, kryte jasnym i figlarnym jedwabiem. Kilku epuzerów, tych, z którymi iuż się liczyć można, krzywiło się w fatalny sposób. Panny bowiem, te na wydaniu, nie zapowiadały się wcale tej zimy nader świetnie. Nie dlatego, aby były biedne lub brzydkie, ale przeważnie ojcowie nie chcieli posagów płacić gotówką, lecz procentami, i to, naturalnie, skromnymi procentami.

Wyjątek stanowiła Minusia i dwie lub trzy córki dorobkiewiczów. Reszta—patentowane szlachcianki, lub córki innych kapitalistów, rozmiłowanych w obrocie posiadanych pieniędzy, nie przedstawiały „interesu”, przynajmniej za życia ojca.

Punktem, do którego zwracały się oczy pańien na wydaniu, był niewątpliwie Ignas Bawoliński, mały, blade chłopczyzna, noszący z trudnością swe dwadzieścia ośm lat, z ramionkami wązkiemi w doskonale skrojonym fraczku. Skończył on wydział prawny i szedł teraz przez życie bezbarwny, bez dążeń, bez ceiów, bez pragnień, szkodliwy swą nieszkodliwością, trochę mistyk, z cieniem subtelności w spojrzeniu bladej, siną obwódka podkrążonych oczu. v Obok niego Adam Rusiecki, purpurowy, krwisty szlagon, tłusty, dławiający się w obroży sztywnego kołnierzyka, walczył bezowocnie z krawatem, podpinającym mu się ku górze.

Ten nie skończył nawet czterech klas gimnazyalnych i teraz, odziedziczywszy przepyszną wieś, gospodarował zawzięcie, biegając w wolnych chwilach za zapaskami dziewczek i młodyc, kraśniejącymi jak maki za koronką płotów. Przyjechał do Warszawy na karnawał, z chęcią wejścia w świat, ożenienia się wreszcie, jeśli się coś odpowiedniego na drodze nadarzy.

Niezgrabny, zamaszty, z olbrzymimi stopami, maluchnymi oczkami, rwał się i szarpał w życiu jak samiec bezmyślny, o jednostronnym horyzoncie pragnień.

Był „dobrze wodzony”, lecz miał fatalny wygląd podchmielonego parobka.

Popelniał ciągle błędy przeciw etykietce i przyjętym formułom elegancyi, pomimo właśnie niewolniczej chęci zastosowania się do tych czczych form światowych. W krótkim czasie stał się, pomimo swej fortuny, cichem pośmiewiskiem pańienek, z którą każda najchętniej zostałaaby jego żoną.

Majątek czysty, nieodłużony, którym samo dzielnie rozporządzał, był stroną dodatnią w jego grze.

Inni epuzerowie, problematyczni w swych dochodach, lub żyjącymi rodzicami skrzepowani, zbijali się w szczupły legion kilkunastu osobników, uzbrojonych w dobre fraki i wspaniale wyprasowane gorsy koszul.

Dwóch przybyszów z Galicji, jeden z Poznańskiego, ci, którzy nie mogli znaleźć u siebie odpowiedniej partyi, z miną psów gończych wysuwali swe głowy ze śnieżnej bieli krawatów. Mieli nie

spokojne twarze nad ostatnią stawką pochylonych graezów.

Salony napelniały się powoli, a karety turkotały jeszcze głuchym, niepewnym łoskotem. Ze drzwi przedpokoju w jasność żyrandolu szły kobiety, całe spowite w aksamit lub jasne tkaniny.

Młode mężatki, mistrzyni flirtu, wchodziły, uśmiechając się jak sfinksy, wydekoltowane, niosąc w jasności ciała i pysznie opiętych sukniach — pogrom pańien, ciągnących za sobą widmo przymusu małżeństwa.

Muzyka, ukryta w oszklonym balkonie, wyłożonym dywanami i prowadzącym do małego, w tej chwili śniegiem zasypanego ogródka, zagrała wreszcie walca.

Mama Grabowiecka usunęła się ze środka salonu i powoli, jak wąż stubarwny, czarnemi pęgami przecięty, rozwinął się taniec kilkunastu par, miłośnie z sobą ramionami splecionych.

Bawoliński nie tańczył i stojąc na progu salonu, bladym wzrokiem za kręcącymi się parami wodził.

Rusiecki za to, jak koń ze stajni wypuszczony, w wir się rzucił, parszcząc, potrząsając czupryną, zrozpaczony fatalnym uporem krawata, który mu już na krwisty kark włożył.

W pokoju mamy Grabowieckiej, z którego usunięto łóżko i klęcznik, rozstawiono stoliki do kart.

Ci i owi wymykali się, tworzyli grupy, zamawiali sobie partnerów, aby noc cała, w denerwującej i ogłupiającej do reszty monotonii, malowanymi obrazkami o kilkanaście złotych walczyć.

IO

Taniec trwał chwilę. Wreszcie muzyka cichła, umierające tony zastygały w powietrzu, jak zmrożone jesiennym wichrem ćwierkające wróble.

U drzwi zaszumiało i w pustą prawie przestrzeń salonu wszedł Podolski, prowadząc pod rękę Jankę, nieprzytomną, z wypiekami purpurowymi na policzkach.

Mama Grabowiecka podeszła ku wchodzącym. Pod ścianami, we drzwiach, zaszumiało od zapytań:

— Kto to? co to?...

— Podolski.

— Tak, ale ta panna?...

— Córka!

— On ma córkę?

— Niebrzydka!

— Un peti gauche!

— Śliczna!

— Zle ubrana!

Ta, o której na tle umierającego walca krzyżowały się tak różnorodne zdania, stała na środku salonu, w najjaskrawszym żarze całych setek płomieni świec i biegnących ku niej spojrzeń.

Ubrana w bladopopielatą gazę, zahartowaną na dole delikatnymi i wybladłymi festonami róż, z szyją obnażoną, z piersiami nawpół odkrytymi pod lekką zasłoną tkaniny, miała w sobie zaleknienie nędzarki, więzionej lata całe w ciemnej komórce, i nagle, brutalnie, nawpół nagej w jasność i tłum wrzuconej.

Była niemniej przeto doskonale piękną, kształtną, królewskowspaniałą. Pochyleniem głowy, nie

śmiałem i pokornem, nie psuła majestatu rozwiniętego silnie ciała. Uśmiech, trochę głupkowaty, ten uśmiech, który pod wpływem smutku i miłości dla Kuniewicza znikł z jej ust, wypłynął znów u wargi dla pokrycia zmieszania i fizycznego boju, jaki ten pierwszy występ jej sprawiał. Przyzwyczajona do biernej i zatartej roli, wyobrażała sobie, że kradnie miejsce bratu, że to on, nie ona, powinien wejść tu, oparty na ramieniu ojca.

Żółta jasność zalewała jej oczy, nie rozróżniała nic, i tylko w oddali błyskały ku niej jakieś światła groźne o tęczowych promieniach.

Gdy Minusia, w przystępie czułości, witała ją z przesadzoną przyjaźnią, wysunęła rękę pod ramienia ojca i nagle uczuła ulgę. Ramię to nie broniło jej i nie wspierało—przeciwnie, wlokło na szafot, na targowisko wymiany ciał z dopłatą pieniężną.

Podolski, wspaniały, wyprostowany, we fraku, którego poły sięgały mu do łydek, wkolzuli haftowanej, rozjaśnionej olbrzymimi brylantami spinek, stapał, rzucając dokoła wyniosłe spojrzenia. Był on tak głęboko przekonany o starości swego rodu, że gdyby się zjawił przed nim potomek w prostej linii króla Ćwieczka, byłby jeszcze usta wyduł i zawahał się z podaniem mu ręki. W tem usposobieniu będąc, przesunął się jak olbrzymie i tragicznie dumne widmo przez salon i znikł w pokoju, gdzie mężczyźni, paląc, gotowali się do trudów spożycia dobrej kolacyi.

Ignas Bawoliński uklonił mu się z daleka, on uklon ten oddał z powagą udzielnego księcia, im

poznającego swoich poddanych. Tu i owdzie zbliżano się już do niego; sąsiedzi aże wsi znali go niema więcej z mitycznych opowiadań obiadowych, niż z rzeczywistości. Uchodził bowiem za oryginała. On zaś vice versa, uważał innych za dziwaków i oryginałów. Zresztą dowiedzione było, że panowie ci mieli każdy jakąś manię, którą uprawiali z zamiłowaniem, a niektórzy z pasją. Z głębi szumiących wichrem zielonych burzanów, przywozili jakieś niewinne, na pozór, zboczenie, coś normalnego, wyklutego pod czaszką, razem z uporem wiekowych tradycyi i do zenitu podniesionej miłości własnej.

Podolski rzeczywiście butnością swej fantazyi przewyższał ich wszystkich, i dlatego stojąc teraz pomiędzy nimi, wyniosły, z ustami wydętymi, mie
spojrzeniem swych olbrzymich,
lazurowych oczu.

Tymczasem w salonie Janka sprawiła istotną rewolucyę, na pozór nic nie znaczącą, ale która dla innych panien przybrała rozmiary katastrofy.

Stała się punktem, ściągającym wszystkie spojrzenia, tak mężczyzn, jak i kobiet.

Bezustannie, jak stado kruków czarnych, tak ściągali teraz mężczyźni, prezentowani jej przez Biernickiego, który rozgorączkowany, z oczyma świecącymi, zdawał się być dumny ze sprawionego przez dziewczynę wrażenia.

Ona, jak automat, wstawiała, kładła rękę na ramieniu tancerza, kręciła się i wracała na miejsce, trzymając uparcie oczy w ziemię wlepione.

IO I

Od samego rana miała ciężkie zmartwienie, które przepelniało jej serce gorącym ciężarem.

Dwa dni przeszło nie widziała Kuniewicza, i dziś rano, wpadłszy do Justyna, spotkała się nie mały w progę z wychodzącym Kuniewiczem.

Był chmurny, zdenerwowany, zmęczony.

Przywitał Jankę suchym kiwnięciem głowy i przesunął się, nie mówiąc do niej ani słowa. Imponował jej tak często brutalnością swoją, że i ierat: nie znalazła słowa skargi, tylko zdławiła w sobie ból, gryząc usta aż do krwi.

W pokoju znalazła Justyna, mizerniejszego, niż kiedykolwiek. Siedział na łóżku, skurczony, z rękoma, wsuniętymi w rękawy palta.

Szklanym wzrokiem patrzył na rublowy papierek, leżący na kołdrze i widocznie pożyczony mu przez Kuniewicza.

I on nie odpowiedział na pozdrowienie siostry, lecz zakaszłał długo, przyciskając skurczone ręce do piersi.

— Czy ty nie masz co pieniędzy? — zapytał nareszcie.

Ona wruszyła ramionami.

— Nie... ani grosza. Ty wiesz, papa uie daje mi nic; skąd wezmę?

Justyn splunął ze złością.

— Fatalite! — wyszeptał. Milczeli chwilę oboje.

— Muszę pożyczać od... niego, a to mi nie przyjemne. Nie chcę być mu co winieu. To zawsze spoufala.

Na siostrę bacznie spojrzął i nagle ostrzyi głę sem zawołał:

_ Tylko ty mi się w nim nie zakochaj... ro
zumiesz!

Ona oblała się pensem, serce jej gwałtownie hii w piersiach zaczęło.

— O... Justynie!..—wyjąkała.

— No, no! ja wiem, co mówię! — ciągnął dalej Instyn.—Ty się od niego trzymaj z daleka. Widziałem, jak się do siebie uśmiechacie. Żadnyck konszachtów... pamiętaj, co ci mówię!.. Taki paa może się łatwo zapomnieć...

Rękę po papierek wyciągnął. — No, a teraz idź sobie... będę się ibierał i pójde na obiad.

Ta smutna scena zgnębiła najzupełniej Jankę.

Z jednej strony nierówne i szarpiające nią postępowanie Kuniewicza, z drugiej niewdzięczność i egoizm brata, ten cały świat, jaki oddzielał ją od ezłowieka, który owładnął niepodzielnie jej sercem, ciałem i głową—stanał przed nią wyraźnie, zarysowany dokładnie, okrutnie, ostrymi konturami, wrzynającymi się w jej duszę.

Ta trochę wiedzy i nauki, którą Kuniewicz przed nią cisnął, a której ona nie przetrawiła jeszcze dokładnie, niosąc ją w sobie, jak zaród silnej, osłabiającej gorączki, dostateczną była, abj odebrać jej dziewczęcą swobodę, lubującą się w spazmatycznych podrygach bezmyślnego tańca.

Wszystkie te dziewczyny, skaczące w takt z dokładnością w jedwab i gazę spowitych auto

matów, umiały daleko więcej od niej, ale Die umiały tak, jak ona, i tego, co ona.

Na naukę tych dziewcząt dzwoniła pusta i hałaśliwa grzechotka; na wiedzę Janki składał się akord doskonałej miłości wszechludzkiej.

Każda z obecnych, pod jasną ścianą ua aksamitnych krzesłach siedzących dziewczyn miała gere a nawet to, co ludzie nazywają: dobre serce. Leci te serca... to był różaniec samolubstw i eiaraegi pojęcia obowiązku.

Poza rodziną i niewielkiem kołem znajomych, serca te nie miały nic do ukochania. Wiedziały, że powinny przejść przez życie tak, jak przeszły ich matki, bez zboczenia w ramiona kochanków, z szyją i piersią poddaną pod zimne dotknięcie familijnych klejnotów. Z „miłości" robiły sobie główny cel iycia, lecz z tej miłości, która się ogranicza do pojedynczych osobników, przynosząc egoistyczne zadowolenie, wolne od wszelkiej szerszej idei. Tymczasem—flirtowały z mężczyznami, którzy udawali szczere zadowolenie z owej banalnej gry, pustej, śmiesznej i dziwnie głupiej. Słowa krzyżowały się jak szpady, oczy przymykały się, niby w upojeniu, nad wszystkim jednak górowało zaczajenie się kocie, chęć złapania się ua śmieszności sentymentu, głębszego prądu, rzeczywistego drgnienia wygasłych bez zatlania serc.

Janka, dotychczas niemal chowana jak dziki ptak płochliwy i głupi, wpadłszy w tę atmosfere flirtu, uczuła się odurzona, pozbawiona gruntu pi stopami, moralnie chorą i wyczerpaną.

Czuła dokoła siebie te uśmiechy fałszywe, ii

ciski rąk, wymieniaue z podstępna radością, zamiany słów, dzwoniących zgrzytem w powietrzu. Więc to był ów flirt, zalecany jej przez Minuskę? Po co, na co dziewczyny te traciły tyle słów i patrialy, przechylając głowy, z pod rzęs uczernionych? zaraz Janka zdrowym swym, chłopskim rozumem ceniła niepotrzebny wydatek sił i czasu, zużytych w tej denerwującej zabawce. Szeroko otwartymi czyma patrzała na swych tancerzy i bez wyrachowania podawała im całą swą rękę w figurach kontredansa. Robiła więc wrażenie świeżej dzikiej ro, wplecionej w wianek wędzących tuberoz. Rusiecki, olśniony jej wielką pięknnością, krążył dokoła niej, zapraszając co chwila do tańca. Otwarta jego i nie

skomplikowana natura nie nadawała się do flirtu i wobec misternych siatek innych panien cofała się w głąb duszy szlagona.

Postępowanie Janki, jej spokojny i trochę prosty układ zachwyciły go. Z szastaniem się, rozwiewając poły fraka, jak dwa miniaturowe sztandary, zbliżał się do Janki, całej już purpurowej od ciągłego kręcenia się.

— Służę pani dobrodziejce... Ona wstawiała, ciągle jednakowo uśmiechnięta, nie widząc na razie, że berło wieczoru powoli, lecz pewnie, w jej uczciwie otwarte ręce, jak ptak do słońca, biegnie.

W kącie, pod masą palm, Minusia i Bawoliński flirtowali zacięcie, oboje wybiedli, drobni, szczupli, ironiczni oboje, nie lubiący się wzajem, lecz właśnie z tem większą zaciekłością wmawiający w siebie wielką sympatyę dusz.

Zatowali na chwilę osobiste sprawy i tańczących Jankę i Rusieckiego śledzili.

— Dobrana para! — wyrzekła wreszcie Minusia. v ;

— Tak... wzrostem—wycodził Bawoliński. Rzeczywiście, Janka i Rusiecki dopełniali się wzajemnie. Oboje wysocy, doskonale rozwinięci, © szerokich barach ludzi na wolnym powietrzu wyrosłych. Bawoliński blademi oczyma ścigał Jankę, usta przygryzł, cały jasny w swej anemii skrofulicznego mężczyzny.

— Ładna panna?—spytała nagle Minusia,

— Kto?

— No... Janka Podolska... Podoba się panu?

— Cóż za idea!

— Niech pan z nią porozmawia. Bardzo inteligentna...

Ostatnie słowa wymówiła ze śmiechem.

Zasunęła się w głąb kanapki i zakrywszy wachlarzem, jakby chcąc oddzielić się od reszty świata wyrzekła:

— A więc, według pana, u kobiet la inesse ne seri souvent qu'Ja fausser l'instinct? Czy to własne pana zdanie?...

Lecz on nie odpowiedział jej natychmiast. Właśnie tuż koło nich przesunęła się Janka, i jak chmura lekka, tak mignęła jasna tkanina jej sukni. Olbrzymie, czarne źrenice dziewczyny, otwarte szeroko, spjrzały na bladą twarz Bawolińskiego pełnym, czystym blaskiem.

Chwilę trwało to widzenie i znikło w magię wirujących par.

Wówczas Bawoliński ku Minusi się zwrócił i na sztucznie a sprytnie przysłonięte oczy dziewczyny spjrzał.

— Te słowa napisał Albert Guinon—odpowiedział—ale ja podzielam je w zupełności. La finesse fausse l'instinctu l'homme enfin tout!.. meme le regard!..

Około pierwszej w jadalni szcęk szkła, otwieranie i zamykanie drzwi, częste znikanie mamy Grabdwieckiej zapowiadało kolację.

Tymczasem w salonie tańczono ciągle i zawzięcie. Lody, poncz, herbata, tace srebrne, pełne ciastek, baterie wina, orszady, oranzady znikwały, a obecni tańczyli ciągle, trzęśli się w konwulsyjnych podrygach bezcelowego szafu.

Podolski zjawiał się kiedy niekiedy na progu i wyniośle a chmurnie mierzył kręcące się pary. Śledził Jankę i tych, którzy z nią tańczyli. Wykrzywił się na widok Rusieckiego, tańczącego, jak Młody bawół, rozhasany na stepie. Wydymał Rsta, wzgardy pełen, bo zebrane towarzystwo, a zwłaszcza młodszy mężczyźni nie odpowiadali jego wymaganiom.

Okolo północy skinieniem głowy Jankę do siebie przyzwał.

— Nie tańcz z tym Rusieckim, to... kanalia!— wyrzekł, mrużąc oczy.

Janka uczyła się bardzo nieszczęśliwą.

Jakże odmówić temu tancerzowi, tak zapamiętała ją prześladowacemu? Wreszcie on jeden wśród

wykrechmalonych i rozflirtowanych mężczyzn robił na niej sympatyczne wrażenie. Mówił jej npaai dobrodziejko i przyśpiewywał w mazurze. Jankę to bawiło, ale nic raziło. Przyznał jej się, że nie lubi „fidrygansów” i z tamtymi pannami rozmawiać nie umie. W kadrylu mówił jej o swoich tarantach i o tem, że jak się ożeni, to dwór blachą pokryje. Potrząsał przytem gęstymi włosami, co mu ua twarz, jak grzywa lwia spadały, a niekiedy znów wyłamywał sobie palce z suchym trzaskiem, pomimo grubych rękawiczek.

Właśnie tańczono mazura, Janka stała przy ojcu zmieszana i smutna. Wybierano do figury. Rusiecki, dyszący jak lokomotywa, z nozdrzami rozdętymi, bijąc obcasami o posadzkę, dopadł do Janki.

— Służę pani...

Lecz Podolski się wyprostował.

— Ta pani nie tańczy...

Obok siedziała dyrektorowa kolei, cała brylantami obwieszona, z olbrzymim szmaragdem na piersiach Rusiecki w szale tańca ku niej się rzucił.

— To może pani dobrodziejka?... Dyrektorowa ramionami wzruszyła.

— Nie?... O Jezu! gdzież ja damę znajdę!? Poleciał dalej, ciągle krokiem mazurowym, podśpiewując:

— Hu! ha!...

Janka wysunęła się do przedpokoju i weszła do buduaru, w którym drzemała znużona szwaczka. Na szelest sukni Janki porwała się z miejsca.

— Czy co zeszyć?

— Nie—odparła Janka—nic mi nie potrzeba. A widząc szwaczkę, ciągle stojącą przy tiale eie, dodała:

— Niech panienka usiądzie.

Lecz kobieta nawlokła igłę białym jedwabiem.

— Z tyłu kilka fałdek się odpruło... ja przy szyję.

Pochyliła się nad stanem Janki, która w wielkim lustrze widziała wybornie odbicie jej i własnej postaci.

Na tle jasnej gazy o srebrnych, rozkosznych połyskach, rysowała się ciemna sukienka szyjącej, jej czerwone ręce, o szarych, prawie granatowych, pokłutych palcach, ciemna głowa, uboga we włosy, zczesane z tyłu w biedny, skromny

węzełek. Chcąc nitkę przeciągnąć, podniosła głowę, i wtedy za obróconą twarzą Janki, starannie wedelikaconą, obramowaną masą ufryzowanych włosów, jak widziadło fatalne i straszne, w jasnej powierzchni lustra ukazała się twarz szwaczki, twarz blada, prawie zielona od niedostatecznego odżywiania ciała i maszynowej pracy. Przez drzwi przymknięte hałaśliwa muzyka mazura wpadała z brutalną bezwzględnością rozhukanego tłumu. Kobieta nitkę odgryzła zębami i z bładym uśmiechem odsunęła się od lustra. — Już skończyłam. Janka patrzyła jednak ciągle w lustro, jak zahypnotyzowana, czując się pociągnięta całą siłą ku bladej plamie twarzy, która się teraz, jak opłatek delikatny i jasny, w głębi ślaniała.

— Pani nie tańczy mazura?—spytała wreszcie szwaczka. | f?

— Nie... zmęczyłam się... Szwaczka się uśmiechnęła.

— A tak... to bardzo męczące!...—odparła. Janka odwróciła się nareszcie od lustra.

— Panna tu zostanie całą noc?—spytała.

— Tak, do rana... dopóki goście będą.

— Panna jest z magazynu?

— Tak, z Miodowej.

— I jutro rano będzie panna przy robocie?

— Naturalnie!... teraz mamy bardzo dużo pra cy. Trzeba fałdów przysiedzieć.,.

— Czy to mężczy szyć na maszynie? Po twarzy szwaczki przemknął cień.

— A tak... trochę...—odparła cichym głosem. Nastąpiła chwila milczenia, lecz w salonie

zdawało się, że dom się wali, takie panowało ożywienie. Panowie robili „krzyż”, pomiędzy nimi zaś Rusiecki darł się w niebogłosy:

— Jak Boga kocham! nie ta ręka!..

Janka usiadła na małej kanapce w głębi pokoju.

— Czy panna ma rodziców?

— Ja, proszę pani, jestem wdowa. Mam sześcioletniego chłopca i trzyletnią dziewczynkę.

— A cóż się z nimi dzieje, jak pani idzie do pracowni?

— Zostają na opiece Bożej. Chłopak niańczy małą. Do tej chwili tylko raz oparzył mi ją zapalkami. Jakoś Bóg czuwa...

K

Nagle we drzwiach pociemniało. — Jak Boga kocham, tu są szpilki!...— zawołał na progu Rusiecki, którego krawat, jak postro

nek, zwinął się nad kołnierzykiem, na czerwonym wałku szyi.

Nie widział Janki, siedzącej w głębi. Ona za to widziała go doskonale w ukośnie stojącym lustrze. Szwaczka podbiegła do toaletki.

— Pan chce szpilki... białej? czarnej?

— Choć pomarańczowej!... daj, duszko, bo zginę!...

Szwaczka z poduszczką szpilek podeszła do progu.

Mężczyzna wybrał jedną i koło krawata manipulować zaczął. Szwaczka podniosła rękę i dopomagała mu spokojnie bez śladu zalotności na zmęczonej twarzy. Lecz Rusiecki, przypiąwszy krawat, szczypał ją w policzek i szybko opuścił rękę na jej biedny, zapadły gors, najeżony igłami, jak srebrną palisadą.

— A jej!... a niechże cię!...—syknął. Wykręcił się i, waląc obcasami w mazurowem tempie, wpadł do salonu, gdzie teraz — dla odmiany— damy „krzyż” robiły.

Janka widziała doskonale całą scenę, odbitą w lustrze i uczuła się dotkniętą silnie w swej własnej godności kobiecej.

Dwa miesiące temu podobny takt oburzyły ją, jako dowód złego wychowania człowieka, posuwającego się do podobnych żartów ze służą w obcym dla siebie domu. Dziś w iak j eie tym widziała upokorzenie siebie samej, brutalne znieważenie majestatu kobiecego w osobie szwaczki.

Powstała, będąc pewna, że tamta kobieta ma ukryte łzy w oczach, w bezsilnej niemocy słabego a sponiewieranego stworzenia — lecz zdziwienie jej było wielkie, gdy ujrzała twarz szwaczki zupełnie

spokojną, iakby to, co ją spotkało, było rzeczą zwykłą i dla niej należną.

W duszy Janki powstał nagie niesmak i rozczarowanie.

Nie była jeszcze tak silną i tak dobrze ugruntowaną, aby wybaczyć to bierne i poddańcze zachowanie się od dziecka przywykłej do podobnych brutalstw istoty. Nie sięgała jeszcze tak doskonale w rdzeń kwestyi, aby tam, u podstawy, szukać przyczyn moralnej apatii i zniechęcenia wobec fatalnych warunków materyalnych i fizycznych zapracowanego ciała.

Zniechęcona, wysunęła się z buduaru i, wszedłszy do salonu, zastała całe towarzystwo, parami sunące do jadalni

Stała chwilę zmieszana; nagle posłyszała dźwięczny, trochę nosowy głos męski:

— Czy moge pani służyć?...

Był to Bawoliński, podający jej ramię.

Spojrzała na niego z góry, bo mały był w porównaniu z nią i drobny. W tej samej chwili wspomnienie Kuniewicza, jak ostrze sztyletu przeszło jej mózg i targnęło nią całą. Przez sekundę miała go całego przed sobą, zasłaniającego jej defiladę par, szumiących aksamitem, mieniających się tęczą ebyrantów i opalów. W swej ubogiej kurtce o szafirowych refleksach, z piękną głową jasną i z twarzą, opromienioną różowych, drobnych ust uśmiechem, zjawił się tu, przed nią, potężny i niezwalczony nawet gorączkową atmosferą próżniackiej i bezcelowej zabawy.

— Czy moge pani służyć?...

Widzenie znikło—czar prysł. Janka ramię Ba

Iwolińskiego przyjmuje i idzie do jadalni w szeregu par, dążących procesją rozbawionych manekinów do ołtarza, na którym wśród masy kwiatów, srebra, piramid, owoców, całe bukiety świec ze złożonych kandelabrow, jak złote grona zapalonych dukatów, w przestrzeni jaśnieją. Już pierwsze pary siadają, lokaje odsuwają krzesła, z kuchni srebrne półmiski kamerdyner odbiera; panny szukają „szarego końca”, gdzie najlepiej śmiać się i flirtować można. W przyległych drzwiach ukazują się pobladłe postacie mężczyzn, ogłupionych grą w karty, nad wszystkimi zaś góruje siwa głowa pana Podolskiego, pogardliwa i wykrzywiona. Wszyscy dążą do zadowolenia pustych żołądków, zdręczonych nocnym czuwaniem i szalonymi podrygami ciała. W jakim celu jednak i dlaczego, zbici w zwartą masę, ludzie ci zatruli się wzajemnie fatalną atmosferą, denerwowali brakiem snu i obecnie, jak po ciężkiej pracy,

przynoszącej pożytek społeczeństwu, pokrzepiali swe siły, gotując się do nowej, do białego dnia, walki z rozsądkiem i zbuntowanymi zmęczonymi ciałami?

W jakim celu było to wszystko? Jaki pożytek — czy tym, co kazali, czy tym, co im usłużywali — noc taka imo, nieprzespana, przynieść

x.

Pomiędzy Janką a Minusią nastąpiło teraz pozorne zbliżenie, wśród masy gałganków, świecideł i przygotowań do walki karnawałowej. Janka ani na chwilę przecież nie dawała się unieść prądowi, rwącemu ku sobie pustą duszę Minusi.

Wszystkie wolne chwile, których nie zajmowały jej krawcowe, modniarki, gorseciarki lub szewcy, spędzała w małym pokoiku, skurczona nad książką.

Umysł miała dość bystry, lecz jak gąbka nasiąkał prędko, pochłaniał i wysychał, na pozór nic nie zatrzymując. Janka chwilami wpadała w rozpacz. We dwa tygodnie zapomniała tego, czego się z taką łatwością nauczyła. Lecz, w gruncie rzeczy, wiadomości te układały się porządnie, spokojnie, w warstwy, przefiltrowane doskonale przez siatkę potrzeb duchowych dziewczyny.

To, czego nie miała w sobie, zatrzymywała i dodawała do wrodzonych pojęć i sądów. Resztę zbyteczną, często paplaninę erudycyjną, deszcz pa

radoksów szumnych a pustych, odrzucała bezwiednie, kierując się w tym wypadku instynktem zwierzęcia, pasącego się na szczelnie zarosłej łące.

Dawniej, rozmawiając z Minusią, czuła się przygniecioną wielką wyższością panny Grabowieckiej. Dziś ogarnął ją jakiś smutek, jakby wobec nagle spustoszonego i zapuszczonego ogrodu.

Nie umiała sobie utorować ścieżki w rozmowie z Minusią.

Przed trzema miesiącami brała wszystko, co Minusią jej podawała, bez wyboru, i czyniły sobie z tego przedmiot rozmowy. Dziś Janka wybredzała w strawie, pięknymi oczyma śledząc kółka dymu, ulatujące z ust przyjaciółki.

Nigdy nie mówiła jej o Kuniewicz, nie wspominała o uczuciu, przepelniającem jej piersi. Śmiech lub szyderstwo zabiłoby jej piękny i doskonały świat, w jakim żyła. Dość było Justyna i jego fatalnych domysłów, brutalnie jej czasami w twarz rzucających.

Raz jeden zbuntowała się i zawołała, patrząc bratu w oczy:

Dlaczego tak mówisz o nim, a mieszkasz u niego i pieniądze bierzesz?

Justyn zaczerwienił się i odpowiedział jej oobelgą.

Przeprosili się później, lecz cierń pozostał i w ranie tkwił.

Od tego dnia Justyn demonstracyjnie nie pił herbaty i nie jadał bułek, które Kuniewicz kładł co rano na półce w kuchni, nie troszcząc się, czy jego lokator zjada je lub nie. Dopóki Justyn był chory,

Kuniewicz dbał o niego i starannie pilnował, aby chłopiec regularnie się posilał, skoro jednak stanął na nogi, Kuniewicz wrócił do swej mozolnej pracy i nie troszczył się wiele o wałęsającego się po pokoju młodego Podolskiego. Niekiedy tylko podsuwał mu książkę, mówiąc:

Przeczytałbyś pan kilka kartek, zamiast butami skrzypieć.

Justyn kilka kartek przerzucił i książkę odłożył.

Dziękuję panu.

Weź pan Engelsa „Początek cywilizacji”.

E!...

Prawda!... zapomniałem, że jesteś pan voll blut.

Justyn brwi zmarszczył i do stołu podszedł.

Co takiego?

Kuniewicz się roześmiał, głowę od papierów podniósł i zinnymi oczyma w mizerną twarz Justyna patrzył.

Vollbluttaki pan pełnej krwi... A szkoda pana!... Masz taki bystry, czysty umysł!

Patrzali na siebie długą chwilę, obaj mizerni, zmęczeni, zdenerwowani, szarzejąc powoli w ćmie nocnej, która u schyłku dnia przez zamazane okno spływała.

Zrobiłbyś pan herbaty wyrzekł wreszcie Kuniewicz, za pióro biorąc.

Nie, pójdę do cukierni; wreszcie niedługo już będę korzystał z pańskiej gościnności. Ponieważ papa odsyła moje listy nierozpieczętowane, więc postanowiłem...

Urwał, futro na plecy narzucił.

Zobaczy się, co postanowiłem dodał i do drzwi się skierował.

Kuniewicz, nie przerywając pisania, od stołu

się odezwał:

Obraziłeś się pan?

Justyn usta wyduł i dziwnie do ojca zrobił się podobny.

Nie... au revoir!...

Wyszedł, z szumem drzwi zamykając.

Kuniewicz pisał, ciągle pochylony, i teraz, w tym zmroku wieczornym, który w agonii swej ma blade, błękitnawe tony, złote włosy jego głowy srebrzyły się długimi, jasnymi nićmi. Oparł czoło na lewej ręce, i długie, chude palce nerwowo zaciskały się w gęstwinie włosów delikatnych i miękkich.

Ze ścian tego mieszkania płynął czysty, smutny chłód niezamieszkanego grot, w których nigdy podłość i zwierzęcość ludzka nie wpadła z bezczelną śmiałością tańczyć sarabandy fikcyjnych uciech i wrzaskliwej, a pijanej bezmyślnym szaleń, weselości. Na straży, jak legion niezwalczony i silny, zwartym murem cisnęły się książki z żółtych pól koszar, ciemne grzbiety, w mundur oprawy ujęte, ukazując.

Była to straż milcząca, zazdrośnie skryta, fatalnie ciągnąca, gwardya sfinksów, o łonach rozwiązaniem zagadek brzemiennych.

Był to seraj duszy, rozkochanej w kosmopolityzmie wiedzy, tworzącej sobie świat odrębny, wy niesiony ponad prawa ciała, serca i zdawkowej mo

ralności, będącej często pokrywką krzywdy i niesprawiedliwości.

Błękitnawy, chłodny, nie stopiony całun, zdawał się okrywać tę młodość, wśród pracy zagrzebaną.

Był to grób ciała i tryumf ducha.

Ciało konało, torturowane, głodzone, niszczone w ciągłej usłudze wiecznie nienasyconej kochance swej duszy. Ona tu rządziła despotycznie, nieugięta i nieubłagana. Chwilami ciała brakło sił, lecz nie buntowało się ono dotąd nigdy, jak zwierzę spętane i pokonane.

Kuniewicz pisać przestał, bo mrok uparty zalegał już wyziębłe ściany.

Młodzieniec wpatrzył się teraz w jaśniejszy kwadrat okna, na którym palmy i liście, podarunek mrozu, zimowa wiązanka, rysowały się srebrnymi, mieniącymi się liniami.

Drzwi cicho skrzypnęły. Stała w nich Janka.

Dobry wieczór panu! wyrzekła cicho.

A... to pani!... Brat wyszedł, ale to tem lepiej. Mam trochę czasu. Pogawędzę z panią z godzinę. Niech pani siada.

Przyniosłam mu trochę bielizny. Położyła paczkę na krześle i chciała zdjąć

palto.

Niech pani palto nie zdejmujecie wyrzekł Kuniewicz tu dziś zimno, nie palone. Ja sam, widzi pani, w palcie siedzę.

Nie, tu wcale nie zimnoupewniała dziewczyna.

W istocie, głowa jej płonęła, ręce chłodziły, tęby drżały, tak jak zwykle, gdy zostawała z Kuniewiczem.

Usiadła na kuferku pod ścianą.

On siedział wciąż na krześle koło stołu i zwrócił teraz ku niej twarz, brutalnie oświetloną od okna, rozcinając nawpół jego profil na jasną, delikatną i ciemną, prawie czarną półmaskę.

Nie zapalę lampy wyrzekł jakimś miękkim, zmęczonym głosem zrobimy sobie szarą godzinę.

O, tak... szarą godzinę! powtórzyła Janka

z radością.

Zdawało się jej, że zanurza się w jakąś szarą mgłę, miłą i rozkoszną. Aksamit szczęścia spowijał ją dookoła. Opuściła ręce wzdłuż ciała, oparła głowę o ścianę i siedziała tak, prawie zgubiona w błękitnawym cieniu.

Pracowała pani trochę? zapytał Kuniewicz.

Ona nie śpieszyła się z odpowiedzią, wciągając w siebie harmonię jego głosu i doskonały wykrój jego profilu.

Tak... pracowałam. Są jednak rzeczy, których nie rozumiem...

Zawahała się.

Czy mogę się pana spytać?... Przyzwyczylił ją bowiem do nagłych zmian u sposobienia, do nerwowych wstrząśnień, które nieraz mroził jej pytania.

Owszem... niech pani pyta.

Zacząła się ta lekcja dziwna, urywana, chaotyczna, bez systemu prowadzona. Dziewczyna miała nieraz w swych pytaniach naiwność i głupotę dziecka, czasem nagie genialne spostrzeżenie gorącej i pięknej duszy. On odpowiadał, prostował, wskazywał z jakąś cierpliwością i niezbitą logiką, gruntowaną na łatwych i przystępnych argumentach. Wstał teraz od stołu i chodził wzdłuż pokoju, tonąc w cieniu, to znów w miarę zbliżania się do okna, jaśniejąc i występując dokładniej.

Dziewczyna umilkła i siedziała pogrążona w cieniu, śledząc go rozmarzonymi i sennymi oczyma. Zdawał się być przyzmatem, który, pochłonawszy cały promień światła, zlał z siebie pod jej stopy tęczę kolorów jasną, na równe części rozdzieloną. Głos jego brzmiał czysto i do duszy jej wpadał wpierw dźwiękiem, a później treścią wyrazów.

Chwilami Janka nie słyszała, o czym on mówił, słyszała tylko, że mówił, i wtedy budziła się całym wysiłkiem woli, starając się uchwycić myśl przewodnią. Gdy nikł w cieniu, gdy był dla niej mitem fatalnym, istniejącym, lecz niewidzialnym, wtedy słyszała go dokładnie i rozumiała jego mowę. Lecz gdy podchodził do okna i sylwetka jego zarysowywała się, objęta w masę błękitną konającego światła Janka mimowoli zaciskała nerwowo palce rąk, na grzbiecie kufierka zwieszonych.

To był on!... to był ten, którego kochała już bez pamięci... tak blisko niej, a przecież tak daleko! Zdawała się nie istnieć dla niego, jako kobieta. Zanadto go kochała, aby próbować na nim mo

gła zalotności, lub choćby czaru uśmiechu... Na myśl jej nawet nie przyszło użyć flirtu, tak piękny, bez śladu fałszu i cały z doskonałości ukuty zdawał się jej charakter tego człowieka. Niemniej przeto, jako kobieta kochająca, a nie kochana cierpiała, nie formułując swych życzeń i, kto wie, w głębi swej duszy bojąc się w nim przewagi ciała, przewagi, która na jej korzyść tylko wypaśćby mogła.

Miała go przed sobą, jak zjawisko mistyczne, objawienie, wymodlone wśród doskonałej ekstazy. Szary mrok rozświetlał on swą ciemną powściągliwością, bez zmysłowego pociągu. Sam się upajał harmonią swych słów, i głos jego brzmiał teraz wspaniałymi, silnymi dźwiękami. Rósł, olbrzymiał, silny wiedzą, ozłoconą blaskiem gorącej i dla dobra otwartej duszy. Zdawał się odrywać od ziemi, nie istnieć materialnie, w ciemni tego mroku zimowegowiosenne słońce widzący!...

Nagle urwał i do Janki podszedł.

Zrozumiała pani co?

Dziewczyna, nawpół przytomna, wyjąkała z trudnością.

Tak... tak...

Lecz on ramionami wrzucił.

Pewnie i połowy pani nie słyszała. Powiedział prawdę, lecz z dźwięku jego głosu

Janka zrozumiała, że nie odgadł przyczyny.

Usiadł obok niej na kufierku i oparł głowę o ścianę.

Jesieni bardzo zmęczony! wyrzekł cichym

losem.

Siedział tak długą chwilę, jak martwy, nie oddychając prawie.

Proszę mnie pocałować! poprosił łągo

Jance nie stało tchu w piersiach.

Nie wiedziała dlaczego ale ta prośba o pocałunek, zamiast napełnić ją radością, sprawiła jej szalony ból i smutek. W jego spokojnym i równym, choć miękkim głosie nie zadrgało nic z tego, co nią całą szarpało w każdej chwili.

Niemniej przeto pochyliła się i jak niewolnica, spętana rozkazem swego władcy do gładkiego czoła mężczyzny przyłożyła rozpalone i nagle wyschłe wargi.

Z tego pierwszego pocałunku odniosła wrażenie bolesnej zniewagi i wspomnienie świeżej, orzechowej woni, jaką jego włosy zdawały się być przepojone.

Nagle drzwi wchodowe raztworzyły się z trzaskiem, a w ciemności dał się słyszeć głos Justyna.

Czy jesteś pan w domu, panie Kuniewicz?... Janka porwała się z kuferka, lecz Kuniewicz siedział ciągle, spokojny i zimny.

Jestem! odparł uprzejmym głosem.

Może pan lampę zapali... Chciałbym rzeczy swe pozbierać... Wynoszę się dzisiaj jeszcze!!..

A!...

Kuniewicz wstał, potarł zapałkę i lampę przygotował.

Justyn wówczas siostrę spostrzegł, brwi zmarszczył i usta zagryzł.

Cóżeście tu państwo robili o szarej godzi Die? zapytał ironicznie, układając rzeczy na łóżka.

Czy my się pana pytamy, co pan robiłeś o tej porze? odparł z uśmiechem Kuniewicz.

Ja... siedziałem, gdzie było widno!

Nie wiem... nie sprawdzałem...

Naturalnie!... byłeś pan tu... zajęty! Kuniewicz nagle się wyprostował.

Uważaj pan... obrazasz swą siostrę.

Eh!... odparł Justyn siostrę!... Co mi tam siostra i cała rodzina!... Czy wiesz pan, co ja robię i dokąd idę?... Czy wiesz pan?...

Był tragicznie błady, oczy mu zapadły głęboko i trupia głowa zarysowywała mu się pod skórą z dziwną dokładnością.

Ja... idę za ekonomą! Słyszysz pan?... za ekonomą!... I to do Żydów... tak, panie! umyślnie do Żydów! Chce papa hańby, niech ją ma! Będę w długich butach gnój wynosił... wstawał o piątej... o czwartej... o trzeciej... A ty, panno siostró, co po balach latasz (o!... dowiedziałem się od Bawolińskiego, jak się dobrze bawisz), powiedz papie, ca słyszysz. Idę za ekonomą!... co ładne? Fatalite!...

Febrycznie bieliznę wiązał. Janka postąpiła ks niemu, przerażona.

Justynie! zawołała ty tego nie zrobisz!...

Zrobię! krzyknął zrobię! i cały świat się dowie, do czego mnie doprowadziliście! A pan będziesz kontent: folblut zamieni się teraz w żydowską szkapę! To dla pana radość, co?

Kuniewicz ramionami ruszył.

Mój drogi paniewyrzekł nareszcie jest takich szkap wiele... dlaczego pan nie miałbyś być jedną z nich?
Tamci są na to stworzeni!

A pan... na co?

W każdym razie nie na żydowską szkapę... Futro zapiął na guziki, drżąc cały z bezsilnej wściekłości.

Ja panu winien jestem... nie wiem ile. Zechce pan obliczyć i rachunek mi na wieś przysłać. Oto mój adres.
Wyniośle położył na stole zabazgraną i przygotowaną już widocznie kartkę.

Żegnam pana.

Do widzenia odparł Kuniewicz.

Justyn z nienawiścią obejrzał się po tych kątach, które mu tak długo przytułek dawały. Wziął w rękę tłomoczek i do progu się zbliżył. Obejrzał

się jednak, chcąc koniecznie jakąś krzywdę wyrządzić Kuniewiczowi, skoro mu oddać pieniędzy nie był w stanie.

Proszę panny ze mną!... zawołał do Janki rozkazującym tonem i, uszczęśliwiony, na kurytarz wyszedł.

Janka porwała za kapelusz.

Ja... przepraszam pana... wyjąkała szybko przepraszam za Justyna. On jest bardzo dobry chłopiec... ja nie wiem, co mu się stało, że taki niegrzeczny... Ja panu za niego dziękuję...

Kuniewicz, widząc ją tak zmieszaną, uśmiechnął się łagodnie.

Za co mi pani dziękuje? Powiedziałem pani przecież, że wypełniłem swój obowiązek. Niechże pani raz zrozumie, że życie ludzkie jest jednym szeregiem obowiązków, i niech to pani weźmie sobie za dewizę... herbową, skoro koniecznie herb mieć musicie. Zrobi to pani?

Tak... zrobię... odparła a co do tego balu... to ja musiałam być na nim, papa kazał niech mi pan wierzy.

Spojrzał na nią zdziwiony. Dlaczego mi się pani tłumaczy? zapytał obojętnie.

Nie umiała mu odpowiedzieć. Zdawało się jej przez chwilę, że jej życie wiąże się z jego istnieniem jakąś delikatną, ale jasną przędzą. Gdy on pracował w zimnym i pustym pokoju ona tymczasem tańczyła i darła w szmaty sturublową suknię... Chciała się usprawiedliwić przed nim, bo w głębi duszy nie sformułowane, ale jednak pewne miała przekonanie, że to jemu przykrość sprawić może. Lecz on nie pojął, nie odczuł tej subtelności i złudzenia kochającej kobiety.

Z płaskim zdziwieniem zapytał:

Dlaczego się pani tłumaczy?

Stała przed nim znów zelżona, tak, jak tą prośbą o pocałunek, z oczyma, wlepionymi w ziemię, złamana, a przecież zrezygnowana...

Janka! rozległ się głos Justyna, niecierpliwącego się w kurytarzu.

Dziewczyna porwała się, jak podcięta biczem. Głos brata łudząco przypominał jej głos ojca, zachrypiły już i jakby w powietrzu marznący.

Już idę! wyrzekła, wyciągając rękę. Żegnam pana!

Dlaczego żegnam?... Do widzenia! wyrzekł uprzejmie. Ja chodzić do pani na lekcje nie mogę... jeżeli pani zapagnie się dalej kształcić, służę z całą gotowością.

Pan zawsze zajęty...

O!... dla pani trochę czasu znajdę.

Jak tonący, uchwyciła się znów tego ostatniego zdania, tworząc w jednej chwili przed sobą jasną i ciepłą smugę.

Dobrze... to ja tu przyjdę... wyrzekła, biegnąc ku drzwiom, nie czując serca, tylko jedną obolałą i zaczynającą się krwawić w piersi ranę.

XI.

Święta Bożego Narodzenia przeszły dla Janki, jak sen ciężki do przespania i fatalny w utrudzeniu.

Wigilia była raczej podobna do pogrzebowej stypy, niż do uczy, jednoczącej i wzmacniającej rodzinne ogniwa.

Puste miejsce Justyna ciągnęło mimowoli spojrzenia i wywoływało widmo smutne nieobecnego chłopca.

Podolski jadł szybko kucyę, lecz oczyma miejsce to puste śledził i zdawał się chłonać w siebie pustkę, która stamtąd wiała.

Biernicki uśmiechał się do Janki, starając się zwrócić jej uwagę na nowy surdut i również nowy sposób zaczesywania świecącej, jak rzadko zarosły staw, łysiny. W oczach starego kawalera migotał słaby ogieniek, gdy spotkał się chwilowo ze wzrokiem siedzącej obok niego dziewczyny. Wszyscy bowiem zajęli instynktownie lewą stronę stołu, por

zostawiając cały prawy brzeg pusty, niepokojący, jakby w oczekiwaniu widm, które się spóźniały.

Pomiędzy dwoma kandelabrami, na srebrnej podstawie, rude masy orzechów czerwieniały pod szarą stertą fig i fioletowych gron malagi. Kilka butelek, melancholijnie rozrzuconych, sterczało na śnieżnej bieli obrusa. Pustka, brak łączności, egoistyczny chłód tłoczyły się naokoło tego stołu, na którym ręka lokaja rozesała nierówną powódź siana. Pola wyciągała żdźbła i gryzła je z chlebem. Dziewczyna nie ustawała teraz w gniewie, zazdroszcząc siostrze sukni i obiecanych zabaw.

Tymczasem Janka przygasłym wzrokiem wpatrywała się w płomień świec. Wolała oślepić się ich blaskiem, niż patrzeć na herb, plamiący białość porcelany. Dawniej plama ta drażniła jej nerwy, dziś raniła jej umysł.

Kuniewicz wyjechał do rodziców i dziewczyna odczuła ten wyjazd podwójnym cierpieniem.

Nieobecność jego szarpała jej duszę, lecz zazdrość była tu głównym czynnikiem tępego bólu, jaki ją trawił.

Pojechał do swoich. W tej chwili siedzi przy innym, niż ona, stole, weselszym, choć mniej potokami światła zalany.

Otacza go atmosfera miłości równej, rzewnej i dobrze serce wypełniającej. O czym mówią z nim ci ludzie, od warsztatu odeszli, ona nie wie, nawet wyobrazić sobie nie może. Silna jednak musi być ta nić, łącząca go z nimi, silna i nieprzerwana...

Nazywają go po imieniu, a ona, Janka, nawet

imienia tego nie zna... nie śmiała nigdy go o to zapytać.

I ma go znów przed oczyma, jego i Justyna, którego obraz jednak prędko przed nią znika, pod jakąś warstwą buty i cienia umysłowego.

W tę noc wigilijną Janka siedzi ściśnięta i wysznurowana, w szewiotowej szarej sukni, z włosami zatryzowanymi i popalonymi żelazkiem. Przed nią stoi talerz z herbem, obok kaszle ojciec i świdruje ją dziwnym spojrzeniem Biernicki. Dziewczyna oczy przemyka, by nie widzieć herbu, i duszą jest w warsztacie ślusarskim, którego nie zna, o którym pojęcia mieć nie może, lecz w którego ścianach jaśnieje ukochany i przykuwający ją nieubłaganą, a mistyczną siłą człowiek.

W połowie karnawału Janka, wyczerpana już i zmieniona fizycznie, codziennie postanawiała błagać ojca, aby pozwolił jej powrócić do dawnego trybu życia.

Z balu na bal, z wieczoru na wieczór wleczone, jak zwierzę na targ, Janka kręciła się w wirze tańca i konała wśród szumu bezmyślnej paplaniny.

Podolski, doprowadzony do najwyższej irytacji na Justyna, który swą służbą u „Żyda” zranił go do żywego, trwał więcej niż kiedykolwiek w zamiarze wydania Janki za udzielnego księcia. Leczczył się do rzeczy źle i niezgrabnie, zanadto manifestując swoje projekta, traktując młodzież, jak le

gion „kanalii” i goniąc za tytułem i nazwiskiem wielkich rodów.

Prawdziwi arystokraci ci wielcy herbowe karmazyny, już nie karmazynowe, ale sine od doskonałości rasy i pełni krwi, nie wyznawali wcale przysłowia: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Nie traktowali seryo tej panny, zjawiającej się nagle przy boku ojca, niosącego głowę z taką dumą, jak zakrystyan baldachim na procesy.

Fortuna Podolskich, silnie nadszarpięta niegospodarnością i dziwactwami samego ojca, egzystencja bratanie składały się na uczynienie Janki partya zbyt pociągającą.

Pozostawała wyjątkowa uroda dziewczyny, lecz tu Janka sama psuła swój urok, trzymając się obojętnie, nie flirtując nigdy, odpowiadając monosylabami, przecinając rozmowę...

Szybko rozeszła się wieść, że Janka jest o ile ładna, o tyle... głupia.

Wszystkie panienki i młode mężatki gorąco pielęgnowały ten kwiat głupoty, w który przystroili jasne i piękne czoło Janki. Onaz obojętnością najwyższą przyjmowała tę opinię, którą instynktem kobiety odgadywała na ustach osób do niej mówiących. Często wyciągano ją na słówka, próbowano robić z niej souffre douleur panińskiego bytu. Lecz ona obojętna, cudownie piękna, wzruszała ramionami. W myśli przetrawiała właśnie całe poobiedzie, spędzone u Kuniewicza, podczas którego pokazała mu po raz pierwszy notatki, jakie porobiła z nabytych dotychczas wiadomości.

Była to wielka odwaga z jej strony, lecz on tego zażądał, a czyż ona odmówić mu czegokolwiek mogła?
Gdy brał z jej rąk zeszyty, rozpalone jej dłonie zetknęły się z zimnymi jego palcami, na których siniały, zakrzywiając się trochę, paznogie.
Janka mimowoli, z dziwną dokładnością przypomniała sobie, że sine płatki takie, smutne skurczone, widziała już nieraz przed oczyma.
Tak!... nie myliła się... to były ręce Justyna, wiecznie cblodne, lodowate, suche, z kwiatem paznogi sinym i skrzywionym.
I podczas, gdy siedzące obok niej panienki próbowały ośmieszyć jej brak savoirvivre'uona strwożoną duszą gonila te ręce, migające ku niej w oddali, jak zsiniałe lilie, stygnące w zawierusze śnieżnej.
W czasie karnawału oświadczył się o nią Eusiecki, co spowodowało szalone wydęcie ust Podolskiego, zaniepokojenie się chwilowe Biernickiego i ogólną radość całego towarzystwa. Rusiecki zniósł jednak swój „kosz” z wielką odwagą i tylko niekiedy przyśpiewywał:
Niedaleko Sokal Buga!
Nie będzie ta, będzie druga...
Ignas Bawoliński jednak krążył z daleka koło Janki, analizując i badając tę dziewczynę, która zrobiła na nim niepospolite wrażenie. Był niezmiernie correct i całe życie swoje wypełniał... obowiązkami.

Były to rozmaite obowiązki, przez niego samego w kodeks ujęte: obowiązki względem rodziny, odziedziczonego majątku, towarzystwa i siebie samego. Całe życie postanowił być „pierwszym uczniem”, tak jak w klasach lub w uniwersytecie.
Moralność miał zimną i trochę bezwzględną. Temperament jego był mało zapalny, nie unosił się nigdy, postanawiając zawsze nad wszystkim „namyślić się trochę”. Z namysłów tych wypadał szereg silnie logicznych faktów, nigdy nie rażących.
Bawoliński był to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy mogli śmiało powiedzieć, co jutro robić będą. Postępki jego były tak wymierzone, jak jego kroki, systematyczne, zawsze na silnej podstawie oparte.
Zobaczywszy Jankę, a posłyszawszy owo zdanie Minusi, podające w wątpliwość inteligencję dziewczyny, postanowił sam zbadać rzeczywisty stan rzeczy.
Przekonał się łatwo, że Janka nie jest głupią, lecz tylko skrytą i ma wiedzę swą, nabywaną w innym, niż wszystkie otaczające ją panny, kierunku.
Skrytość ta podobała mu się. Była to rezerwa jakiejś wyższej istoty, wybijającej się ponad banalność otoczenia.
Jakkolwiek sam był szablonowo doskonały, jednak w drugich cenil znamiona indywidualne.
Był przekonany, że w głębi duszy Janki mieści się coś... Nie mógł jednak sformułować, czym to jest właściwie... Lecz posiadała już coś swego i nie

zdradzała się z tem przed tłumem... To go pociągało i zajmowało.

Powoli piękność Janki wzbudziła w nim pasję. Była to zimna pasja, rozważająca za i przeciw. Był wolny, pan siebie i mógł rozporządzać swoją osobą. Podolskiego nie lubił, i gdy pasja jego dostatecznie „namyśliła się”, powziął postanowienie oświadczenia się pannie, dla uniknięcia, w razie odmowy, losu Rusieckiego i ośmieszenia się w oczach towarzystwa.

Na wieczorze u pana Stawropolskiego zdarzyła mu się sposobność pomówienia sam na sano z Janką. W figurze kotyliionowej pozostali dłuższy czas sami i zajęli miejsce w rodzaju niszy, w której wyblakłymi kolorami zwieszał się stary gobelin.

Usiedli na niskiej kanapie w stylu Ludwika XVI, obitej materyą w pasy, spłowiała i niepewną. Przed nimi wirowały pary, połączone siatką wstążek. Na środku stał wysoki mężczyzna o wspaniałym torsie Apollina i rękę do góry trzymał, a z jego zaciśniętej dłoni płynęła cała kaskada wstążek, tęcza różnobarwna, kołem promieni o morowych deseniach w jasnej przestrzeni rozsypana.

Pod nią, pod tą kaskadą, w szalonym tempie walca, migwały złote włosy kobiet, czarne fraki mężczyzn, jasne gazy, jedwabie sukni, w śliczne załomy dokoła ciał kształtnych rozwiewane.

Bawoliński tymczasem, nie tracąc czasu, w bardzo zręcznej formie, pochylony nad szapoklakiem, uczynił swą deklarację i czekał na odpowiedź

Janki, która, silnie zdziwiona, podniosła na niego oczy.

Pani nic nie odpowiada... Czy mam to uważać za dobrą wróżbę?...

Jance krew wszystka zbiegła do serca.

Nie, panie... wyrzekła cicho. Mnie to bardzo przykro, ale... ja za męża nie pójdę!..

A!., dlaczego?..

Bo... tak!.. odparła zmieszana. Ja tak sobie już postanowiłam.

Jednak... inną jest wola ojca.

Ja wiem! Ale to ja, a nie papa, pójdę do ołtarza!

Ożywiła się; miała w tej chwili w oczach jakąś rozpaczliwą energię.

Bawoliński patrzył na nią zdziwiony.

Pani jest o wiele energiczniejsza, niż przypuszczałem. Potrafi się pani obronić. Jednak sądzę, że to postanowienie pani jeszcze się zmieni.

O, nie... nigdy!zawołała szybko.

Nie mówię; co do mnie... O! przyjmuję pani wyrok z całą pokorą... Ale w ogóle... sądzę, że nie dziś, to za rok, zobaczę panią mężatką i weselszą niż teraz...

Po twarzy Janki przesunął się cień.

To niemożliwe!..

Co? iść za męża czy być weselszą?

I jedno i drugie!

Zwróciła się ku niemu, i śliczny, pełen wdzięku uśmiech rozjaśnił jej usta.

Ale pan się na mnie nie gniewa?... spytała.

On uśmiechnął się także, ujęty tym czarem kobiety, objawiającej mu się w tem prostem zapytaniu.

To pani raczej powinna mi wybaczyć moją niedyskrecję... Na krótką chwilę oderwałem panią od tej kontemplacji, w której pani żyjesz...

Dziewczyna, zdziwiona, spojrzała nań uważnie.

Skąd pan wiesz o tem?

Śledzę panią od dawna... Idziesz pani, jak Ruy Blas: toute vivante dans vorte reve etolle. Czy nie tak?..

Janka milczała.

Jestem w tej chwili bardzo śmiały, lecz radzę pani namyślić się, nim w tym śnie resztę życia zechcesz przepędzić.

Szczególnie przebudzenie bywa niemile. A przebudzić się będziesz musiała...

Janka patrzyła teraz przed siebie. W jej wielkich, ciemnych źrenicach grała cała tęcza niewysłowionej tęsknoty.

Ja nie śpię... wyrzekła powoli - ja teraz dopiero żyję, a raczej żyć zaczynam całą moją duszą!..

Z szumem i łoskotem na środek salonu wjechał wózek strojny w kwiaty, ciągniony przez służbę, pełen nieprzeliczonej masy bukietów. Całe snopy bzu białego, róż, fijołków, kamelii, w bogactwie spustoszonej oranżeryi, tryumfalnie kłęby woni w twarze zmęczonych tancerzów rzucały.

Mężczyźni chwytały te wonne wiazanki, błyskające świeżemi barwami, jak olbrzymie motyle, nieruchome i brylantami rosy zwilżone, i rozdawali

je z impertynenką galanterią śmiejącym się do kwiatów kobietom.

Walc zmienił się w polkę, porywającą i namiętnie pieścziotliwą.

Razem z tą masą kwiatów jakiś czar młodości i świeżości wiosennej wpadł do tej sali, w której gorzały setki świec w renesansowych kandelabrach,

Bawoliński i Janka siedzieli jednak nieruchomi i jakby od świata tego barw, woni i śmiechu oddzieleni.

Dziewczyna bezwiednie wlokła za sobą już całun nieujętego, a przecież fatalnego smutku i całunem tym owijała drobną postać dążącego za nią mężczyzny.

Przyniosę pani trochę bzu!.. wyrzekł wreszcie Bawoliński, jakby chcąc rozjaśnić białą gałązką delikatnych kwiatów tę ołowianą chwilę, przez jaką przechodził, czując, że dusza jego, zawsze w sztywny pancerz zapięta, topnieje, i życie przedstawiać mu się nagle zaczyna, jak ciemna, bezdenna przestrzeń, której nie wypełniają dostatecznie rozkazujące mu do tej chwili obowiązki.

Lecz Janka powolnym, sennym ruchem powstrzymała go od wstania.

Dziękuję panu... Dla mnie to niepotrzebne!.., niech się więcej dla tamtych panienek zostanie.

Pani nie lubi kwiatów?

Ja lubię wszystko, ale... nie dla siebie.

Im więcej Janka wchodziła w to towarzystwo, zmuszona i ciągniona przez ojca, tem więcej odczuwała całą banalność i ciasny zakres, w którym ci Jodzie się obracali.

W kilka dni później pan Stawropolski przybył do Podolskich z południową wizytą, prowadząc z sobą swoją córkę, Jadzię.

Panna miała już dwadzieścia cztery lata, jasne włosy, wspaniałą figurę i brzydkie, czerwone ręce. Była idealnie głupia i cierpiała na chroniczny katar. Dwie jej siostry wyszły świetnie za mąż, obie za hrabiów, dobrze się mających. Panna Jadwiga przeto była święcie przekonana, że na nią, jako na najpiękniejszą, czeka jakiś książę lub diuk bretański. Sam Stawropolski odbył podróż do Jerozolimy. Gdy okręt podjeżdżał do Konstantynopola, Stawropolski z największą trwogą uczeplił się szyi komendanta, krzycząc:

Komendancie, ratuj!

Komendant, zdziwiony, pyta o co chodzi. Szlachcic, pół umarły z trwogi, pokazuje stado delfinów, okrążające okręt. Więc cóż? pyta komendant.

Jak to cóż?.. wrzeszczy Stawropolskite monstra okręt przewrócą!

Córka niedaleko padła od jabłoni, chwilami miała w sobie teraz gracyę pretendenci do tronu.

Ze wzruszeniem ramion zwierzyła się już dawniej Jance, że niepodobna w obecnym karnawale liczyć na porządną partyę.

Papcio powziął hmy projekt pojadą w jesieni do Paryża; tam od lat siedmiu zamieszkał stale owdowiały książę Maleryski. To przynajmniej jest partya i coś reprezentuje. Tu... po prostuszkoda tualet. Straszna prowincya!..

Janka słuchała, nie odpowiadając wcale, zdenerwowana i zmęczona.

Kuniewicz dał jej do przepisania notatki, które robił sam, o stanie agrarnym w Szwecyi. Dziewczyna, zarumieniona z radości, że wreszcie coś dla niego uczynić może, usiadła na rogu stołu, z którego on odsunął książki i papiery, kryjąc nagromadzonym stosem trupią głowę, uśmiechając się wiecznie jednostajnym, rozpaczliwym uśmiechem. Za oknem, na bieli zamarzłej szyby migwały sylwetki wróbli, skaczących po zaśnieżonym, dachu. Rozchylone firanki, świeżo wyprane, miały błękitne smugi w pogłębieniach fałd grubego muślinu.

Kuniewicz pisał przy drugim końcu stołu; nagle pióro odłożył i na Jankę patrzeć zaczął.

Jak pani dziwnie pióro trzyma! wyrzekł z uśmiechem.

Ona zatrzymała rękę i sparaliżowana, ostudzona w swym zapale, siedziała teraz nieruchoma.

Czegóż się pani zaraz gniewa? zaczął znowu. Ach, te kobiety!., cóż to za grymaśne stworzenia! Z kim pani wczoraj jechała przez Krakowskie Przedmieście?

A!., rano?.. Z panem Stawropolskim i Jadzią.

Któż to ten pan Stawropolski?

Nasz sąsiad... bardzo bogaty człowiek, troche dziwak...

Niech mi pani o nim opowie. Uszczęśliwiona, z prostotą wielką, nie pragnąc uczynić wrażenia, opowiadała postyszone anegdotki.

Kuniewicz słuchał, śmiał się, lecz szybko i ten uśmiech znikł mu z ust, nagle zdrętwiałych.

Biedny człowiek! wyrzekł po chwili.

Biedny? obruszyła się Janka. Pan się myli: on jest głupi i zły...

Janka podniosła głowę.

Przecież ja... zaczęła.

A... pani!.. Pani, to co innego!.. Są właśnie natury szczęśliwe, które bezwiednie odrzucają od siebie ciemnotę, a gonią za światłem. Są to natury przeważnie całe z uczuć złożone. Impulsywność gra tu wielką rolę. Dlatego ja pani chwilami nie dowierzam i badam nieraz, co panią skłoniło do pójścia za mną?.. Nie przekonania bo tych pani jeszcze nie masz, więc... nerwy... wrażliwość... może artystyczne porywy. Nie wiem sam!

Milczała, nagle dotknięta do głębi rany, którą się krwawiła w jej piersi.

Umilkł, a wreszcie oczy od twarzy Janki oderwał i wyrzekł, biorąc za pióro:

Pracujmy...

Janka pisać zaczęła, lecz machinalnie stawiała cyfry, do gruntu wstrząśnięta słowami Kuniewicza.

Czy on odczuł i zrozumiał, jak bardzo go kochała i co było pierwotnie głównym czynnikiem w jej

postępowaniu? Zakazywał jej czynić sobie z miłości główną myśl i cel w życiu!.. Niestety! dziewczyna czuła w sobie w tej chwili, że przeważa w niej pojedyncze uczucie i że pomiędzy wierszami odczytywanych książek widzi wciąż mare jego postaci. Ale zarazem siła, jaką on miał nad nią, była tak wielka i niepokonana, że w jednej chwili Janka postanowiła zacząć zwalczać w sobie tę przewagę egoistycznego uczucia. Czy uczynić to mogła, sama nie była w stanie o tym wyrokować. Czuła tylko chaos szalony i jakieś szarpanie się w sobie dwóch przeciwnych prądów. Niemniej jednak czuła Janka dziwną ulgę na myśl, że Kuniewicz odgadł stan jej serca. Nie spodziewała się nic od niego, jakkolwiek każde jego dobre słowo i uśmiech chwyciła skwapliwie. Nie snuła jednak na tej podstawie żadnych jasnych marzeń. Cieszyła się, jak ujrzanym nagle wśród mgły promykiem słońca. Był on dla niej, jak słońce, niedościgły. Promień jej wystarczał. Wyciągała ręce, by się ogrzać trochę, przymykając oczy, ażeby nie dostrzedz lodu jego spojrzenia.

Gdy zbliżała się do niego, zdawało się jej, że wchodzi w jakąś świetlaną atmosferę, ciepłą i miłą. Przywykała do jego brutalności i zdenerwowania. Chwilami patrzyła mu w oczy z uległością psa bitego. Była w tej fazie miłości, w której nawet niedostatki i dotkliwe cierpienia sprawiają część rozkoszy.

Kochała jeszcze po ludzku, po kobiecemu, z niejasnym przeczuciem konieczności przemiany uczuć,

które, zadając jej cierpienie, jeszcze drogiem jej były.

Na początku postu Kuniewicz położył przed Janką kawałek papieru, zakreślony niekształtnym pismem.

Oto adres brata pani... jest chory... trzeba? żeby pani z ojcem o nim pomówiła...

Janka cofnęła się przerażona.

O, mój Boże!zawołała.

Rodzina moja mieszka niedaleko od miejsca, w którym przebywa pan Justyn. Prosiłem jednego z moich braci, aby starał się z nim zobaczyć. Został go chorego, zmienionego do niepoznania i zaciętego w jakiejś głuchej rozpacz. Ten nieszczęśliwy zamrzeć tam może! Jakkolwiek jest on mało interesujący sam przez się, ale jako istota ludzka, wymaga ochrony od zagłady. Niech pani o tem pomyśli!...

Z oczu Janki spływały dwa strumienie łez.

Czego się pani denerwuje?...krzyknął nagle Kuniewicz. To nie czyn... płakać! Jakże można się spodziewać dostatecznej energii działania, jeżeli przygotowaniem do tego działania są łzy? Czy pani nigdy nie pozbędzie się tej zbytecznej tktwości? To fatalne, to panią zje, zabije!

Przeszywał ją zimnymi oczyma, w których nie było ani śladu uczucia, ani płomyka tlejącego serca. Wszystko dokoła niego było tak zimne i chłodne, jak on sam, ascetyczny i doskonale czysty

w swem cieple, zdreżonym, złamanem i pod władzę ducha oddanem.

Widocznym było, iż czuł i kochał swych bliskich, lecz ze spokojem rezonera. Widmo rozkliwionej i wijącej się w spazmach bólu lub rozkoszy kobiety zostało wygnane raz na zawsze z przed jego stalowych źrenic. Po za płaczącą Janką i jej tkliwością szukał istoty zimnej i wygasłej, jak on, zapominając, że o szarej godzinie w tych samych ścianach prosił dziewczynę o pocałunek i chylił się ku niej, znużony i cichy.

Lecz w człowieku tym były właśnie dwie natury, które mocować się zaczynały w Jance. Tylko już zwyciężone zwierzę uległo zupełnie, czasem tylko słabym pragnieniem się odzywając. Pragnienie to, ubrane w chwilową słabą resztkę miękkości, niemniej było w gruncie rzeczy chłodne i wywołane więcej znużeniem, niż serca potrzebą. Duchowa istota, silna i potężna, czyniła wtedy drobne ustępstwo dla ciała, ustępstwo żadne, nie przynoszące nawet najśłabszego obudzenia się chęci do osiągnięcia sumy większych rozkoszy. Ledwo zatłona, na wierzchu, nie wewnątrz popiołu, iskierka gasła, nawet nie rozświeciwszy zlodowaciałej przestrzeni.

Janka otarła łzy i podany adres zwijać zaczęła.

Kuniewicz patrzył na nią z pod przymkniętych rzęs.

Pani ładnie płacze... wymówił powoli, z uśmiechem.

Ona oblała się rumieńcem. Darowała mu w tej

chwili jego brutalne wystąpienie, lecz łzy jej oschły, przestała płakać.

Niech pani adres dobrze schowa. Przydać się może nieraz, zwłaszcza teraz, kiedy ja wyjeżdżam. I kładąc ręce w kieszenie kurtki, dokończył: Wyjeżdżam do Paryża. Twarz Janki zrobiła się trupio bladą; wyciągnęła rękę, jakby chcąc odepchnąć od siebie tłoczące się ku niej nieszczęście. Ręka opadła bezwładnie, i dziewczyna stała tak, straszna, postarzała w jednej chwili, druzgoczącej jej duszę na miazgę. Boleść jej była tak wielka, groza jej cierpienia miała tak straszny majestat, że Kuniewicz uczuł w sobie niepokój i obowiązek dania wreszcie czegoś za siebie, wobec tego serca, padającego mu pod stopy.

Ja... będę do pani pisał... wyrzekł wreszcie, nie umiając znaleźć nic więcej nad tę smutną obietnicę z daleka rzuconego listu, jak grabarz, podający pamiętkę zeschniętych liści z oblanej łzami mogiły.

XII.

Pojedziesz z Grabowieckimi do Lwowa. Może tam zrobisz przywoitą partyę. Gdybym był zdrowszy, sambym cię zawiózł i przedstawił. Jedź z panią Grabowiecką obstalować suknie, ale pamiętaj, żeby to były ostatnie! Dostyc się już wyszastałem na te łachmany i ledwo jedna kanalia o ciebie się oświadczyła. Zapowiadam ci, że mam dosyć tego. Przed jesienią musisz iść za męża, to sobie zapamiętaj! A teraz ruszaj!...

Janka wyszła z sypialni, w której leżał od dwóch tygodni chory Podolski.

Na dworze maj zazielenił drzewa alei, i głuchy turkot powozów, dążących do Łazienek, świadczył o budzącem się życiu. Lecz stary szlachcic leżał żółty i fatalnie zgnębiony wśród sterty swych poduszek. Kazał zdjąć ze ściany portret Justyna i pomimo próśb, błagań i łez Janki, nie chciał zająć się synem.

Nie mam syna!...powtarzał bezustannie.

Janka przez te dwa miesiące zmieniła się do niepoznania. Twarz jej zmaląła i pobladła, jakby cała krew zbiegła jej do serca i w niem zastygła. Oczy zapadły, z ust zniknął wieczny uśmiech, wargi osunęły się ku dołowi, jakby w ciągle powstrzymywanem spazmatycznym łkaniu. Całe ciało wychudło, wydłużyło się, wyszlachetniało. Cierpienie zostawiło swe piętno straszne, lecz opromienione urokiem dokoła całej postaci dziewczyny.

Mówiła tak mało, że zdawało się, iż nagle utraciła możność wypowiadania swych pragnień. Ograniczała się na gestach powolnych i miękkich. W nocy leżała z otwartymi oczyma, z których płynęły dwie strugi łez. Nad ranem zasypiała gorączkowym, niespokojnym snem, z którego budziła się zmęczona i wyczerpana. Kuniewicz wyjechał.

Spadło na nią nagle to nieszczęście, jak grom i zdruzgotało jej ciało i duszę. Był dla niej już teraz widzeniem, czemś, co było, minęło jak sen i... nie powróci więcej. Zdawało się jej, że stała na progu jasności i wrota nagle się przed nią zamknęły, pozostawiając ją w chłodzie i ciemnicy. Przed wyjazdem oddała mu wszystkie książki, które jej pożyczył, i z najwyższą boleścią patrzyła, jak on, zajęty cały swym wyjazdem, studiami, które w Paryżu robić zamierzał, zmianą otoczenia, nie zostawiał już jej nic więcej, ani dla umysłu, ani też dla serca.

Niech się pani dalej kształci rzucił jej raz, odprowadzając do domu w przeddzień wyjazdu wskazałem pani drogę, proszę iść po niej da

lej. Byłem wżyciu pani epizodem, ale sądzę, że nio przeszedłem bez wrażenia. Dziś każde z nas pójdzie swoją drogą, lecz mam nadzieję, że pani słów moich nie zapomni. Prawda? Swoją drogą...

Jakaż była teraz jej droga, jeżeli nie ta sama, po której on szedł, a właściwie uciekał przed nią z samolubstwem bogacza? Wyciągała ręce za prawdą i uchwyciła tylko jej cień, ale promyk ten do rąk jej przyłgnął i rwał ją dalej w tę przestrzeń, dla niej już niedostępną i na wieczność przed nią zamkniętą.

Epizodem... był w jej życiu epizodem! Janka paznogciami rwała powierzchnię stołu, przy którym po raz pierwszy go ujrziała. Nie epizodem był on, lecz treścią jej życia. Do chwili poznania go wegetowała w bezmyślnym uśmiechu, w leniwem założeniu rąk i tradycyjnej ciemnocie.

W jednej chwili jasność zabłysła dokoła niej wielka, jasność tak piękna i oślepiająca, że na razie nie umiała sobie zdać z niej sprawy i odczuć całego jej bogactwa. Lecz teraz, gdy wpadła znów w osamotnienie, gdy całe poobiedzie jęczy i

łka wśród lodowatej ciszy ulubionego przez nią pokoiku, zdaje się jej, że widzi tam, daleko przed sobą, ognisko jasne, płonące, a ona, oszalała z bólu, dorwać się do niego nie może...

Duch jej był jeszcze za słaby, aby sam się podnieść umiał. Ciało rwało się tęsknotą i tragicznym spazmem wiecznego rozstania...

Ta walka, która na dźwięk jego słów, w owe popołudnie zimowe rzuconych, w istocie jej się roz

poczęła, kończyła się teraz porażką ducha, zbyt jeszcze słabego wobec ogromu boleści serdecznej, czysto kobiecej, fizycznej, nie abstrakcyjnej i nie oderwanej.

Zabrakło jej nagle wszystkiego, przede wszystkim jego ust, oczu, uśmiechu, którego samo wspomnienie mąciło jej myśli, dźwięku jego głosu i tej atmosfery nerwowego drżenia, które ją w zbliżeniu się do niego ogarniało.

Miała z tej fizycznej rozkoszy tak mało, nic prawie: jego widok, chwilami pieszczotliwy dźwięk słowa, uściśnięcie ręki, raz jeden dotknięcie czoła w przelotnym pocałunku, lecz i to wystarczało jej do smutnego, a przecież niemal pełnego szczęścia.

Gdy wracała do domu, on był przy niej, w jej myślach; stroiła go w serdeczną tkliwość, tysiąc razy wywoływała wspomnienie jego uśmiechu.

Dziś pozostał przy niej tak samo, ale trupiem, fatalnym widmem, z daleka w cmentarnej ciszy, zanikającego ducha.

To, co jej dał, szarpało najzupełniej podstawę jej moralną; lecz tylko szarpało, nie dawszy jej dostatecznego hartu i odporności do przebycia tragicznych chwil, przez które dusza jej się włokła. Lecz węzeł, który związał jej duszę z jego moralną istotą był tak silny, że, jakkolwiek przygłuszony obecnie cfelesnym buntem i tęsknotą dziewczynytrwał ciągły, straszny i nieubłagany, jak sznur, łączący okręt z kotwicą, za nurzoną w głębi morza... Zielona toń pokryła go, jak grób szczelnie zamknięty i groźny...

Węzeł ten objawiał się dopiero wtedy, gdy

od łkań pierś dziewczyny zamierała, gdy oczy zmieniały się w dwie rany purpurowe, wytarte łzami...

Wówczas ręce jej błądziły po pustym stole,

zdzierając łamiącymi się paznogiemi malowanie sosny, a z ust dobywały się słowa:

Nawet mi książek nie zostawił!..... nawet

mi książek nie zostawił!...

Mrok zapadał powoli przez okno, owijając

błękitnymi smugami tę wielką boleść zbudzonej do życia kobiety.

Była to agonია dnia i konanie serca ludzkiego...

Do męczarni tęsknoty przyłączyły się jeszcze męczarnie wyczekiwania. Powiedział jej: „Będę pisywał”. Minał miesiąc, na poczcie rzucono jej jedno słowo: „Niema!”krótkie, obojętne, suche, jak trzask palącej się gałęzi.

Odchodziła, czując teraz nie ból, ale lód w sercu, i na placu Dzieciątka Jezus wpadała nagle w ciepłą kąpiel śmiejącej się wiosny. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mury szpitalne, nad którymi cała masa szafiru ciemniała w oddali

Tam są nędze fizyczne, pielęgnowane, ustępujące albo kończące się śmiercią. Jej zaś choroba duszy nie doznawała ulgi i w tej czarnej przepaści jaką miała przed sobą, nie znajdowała żadnego progu nadziei. W jesiennym dżdżu i chmurnym wieczorze listopadowym zjawiał się nagle przed nią ten człowiek, z tęczą księżek i jasnych, proraiennych myśli. Z wiosną znikł, unosząc tęczę księżek, zo

stawiając myśli, które teraz, jak zmarzłe ptaki nieruchome, rozskrzydlone zamierały, nie rwać się do słońca. Były jeszcze zbyt słabe do lotu samodzielnego, i swoboda bezmiernego zefiru trwożyła je. Pozostała tylko Jance strasna pustka i nicość jej otoczenia, którą czuła wzrastającą z dniem każdym, z każdym rautem, na który włókł ją ojciec, lub zmuszał do pójścia w towarzystwie Grabowieckich.

Skurczona, zgarbiona, z ustami zaciętymi, falującą ironią, siedziała teraz Janka, jak widzieliśmy, mierząc z uporem maniaka wartość każdej przesuwanej się przed nią maryonетки. I wiecznie, zawsze wśród szelestu wachlarzy, dźwięku zamienianych wyrazów, brzęku łyżeczek, kieliszków, wśród powodzi światła, odbijających się w brylantach, zapachu tuberoz i bzu białego jak tuman czarny o dalekich tęczyowych blaskach, wstawały u niej w dzień jej duszy zamarłe ptaszka pozostawionych przez niego myśli. Gdy była sama, wśród czterech ścian boleść kobiety przeważała. Jak zwierzę w agonii, tak rzucała się za nim buntem całego ciała, lecz tu, w salonach, gdzie siedzieć musiała, cała podana w jasne oświetlenie, wysznurowana, ciało to, storturowane przymusem milka i duch zaczynał swą pracę. Lecz teraz, ponad tą kopalnią głupoty i samolubstwa ludzkiego, nad tą skarbnicą egoistycznych dążeń, wśród których bóg Karyera promieniał a bezczelnością złotego ciwica, Janka nie miała już, jak dawniej, słów potępienia i wzgardy w sercu. Ludzie ci wydawali się jej istotami nieszczęśliwym!, wytworami chorobliwymi, fatalnymi i smutnymi.

Był to szpital wielki, szpital szkodliwy, bo absorbujący i wyciągający soki drugich istnień, lecz nie mniej przeto szpital, w którym wspólnie się okłamywali, oszukiwali i dopomagali w próżniactwie i bezczynności ludzie, według siebie samych, z innej niż pozostali ulepieni gliny.

Jance przypomniał się wariat, chorujący na manię „szklaną”; był pewien, że jest ze szkła. Posługacz, przenosząc go z łóżka na sofę, upuścił go na ziemię. Chory powiedział: „brzdęk! u i umarł.

Patrząc, jak stawał nogi p. Stawropolski, idąc po salonie, wariat ten mimowoli nasuwał się jej na myśl.

Minął maj, i pani Grabowiecka ukończyła ostateczne przygotowania do galicyjskiej wycieczki.

Minusia, nabywszy dwanaście koszów, postanowiła być we Lwowie na balu i spróbować siły swych pieniędzy na nowym terenie. Podolski uchwycił się także tej samej myśli i chory, przykuty do łóżka, zmuszony był prosić panią Grabowiecką o zabranie z sobą Janki.

Sześć sukni wspaniałych, całych na jedwabiu, przeniesiono z magazynów, nowy gorset, kapelusze, buciki, pantofle zalegały całą jadalnię.

Janka chodziła pomiędzy tym przepychem barw i tkanin, jak senna, z boleścią uspioną w głębi duszy, nie płacząc już o szarych godzinach, nie mając więcej łez. Czytała teraz bardzo dużo romansów francuskich, pożyczonych jej przez Minusię

czytała z niesmakiem, wzruszając ramionami, lecz mimo to nie odkładała książki. Odurzała się paradoksami, jak morfiną, tłocząc gwałtownie w mózg siano frazesów.

Kilkakrotnie pisała do Justyna, lecz nie otrzymała od niego odpowiedzi. Na poczcie listu z Paryża nie było, napróżno zachodziła niemal codziennie, aż wreszcie pod badawczym i ironicznym spojrzeniem urzędników chodzić zupełnie przestała. Czytała tylko teraz chętnie romanse, których akcja odbywała się w Paryżu.

Przed oczyma jej snulo się widmo miasta, jak świetlana mara, olbrzymia i wspaniała zorza wiedzy i doskonałości wszelakiej. W promieniach tych majaczyła sylwetka Kuniewicza, który w tej świetlanej powodzi gorzał cały purpurowych promieni odbiciem. Była to wizya gorączkowa, ciągnąca, potężna. Dziewczyna zamykała oczy, aby ją przedłużyć i nie tracić...

Przynoszono nową sukniętrzeba było przymierzać stanik. Mara nikła, spłoszona szelestem jedwabnego trenu, lub miękką pieśczętą fularowej draperyi.

Pasport wyrobiony i przygotowany leżał już na tualecie w pokoju Podolskiego. Sama Janka odebrała go z rąk rządcy i odniosła ojcu.

W pokoju siedział Biernicki chmurny i niezadowolony. Był przeciwny wyjazdowi Janki do Lwowa. Janka kilkakrotnie zauważyła jego niedwuznaczne koło niej zabiegi i starannie unikała spotkania się z nim sam na sam.

Wysunęła się do salonu, lecz strzała, którą miała przepięte włosy, zaplątała się we trendzie portyery. Zaczęła wyplątywać ją powoli i uważnie, nie chcąc rozerwać jedwabiu.

Dam jej tysiąc rubli!...doleciały ją słowa Podolskiego. Niech je ma przy sobie, bo sensu niema, żeby się Podolska o pieniądze Grabowieckiej kłaniała. Co?...

Zapewne odparł Biernicki choć ja konieczności tej podróży nie widzę.

Co?!wrzasnął Podolskia za kogóż ją tu wydám? Może za ciebie?

Biernicki protestował, ale miętko.

Przecież muszę dobrać do swego drugie nazwisko, takie, aby mi wstydu nie przyniosło. Ten kanalia Rusiecki się podsuwał. Ładnieby to brzmiało!... Rusiecki, Podolski!... Jeśli daję całą moją for tune, to niech wiem, za co!...

Janka zdrętwiała.

Więc to chodziło o wydanie jej za męż, oddanie jej majątku, ukrzywdzenie Justyna, Poli i jej samej takim fatalnym, ohydnyim targiem.

Jak błyskawica przemknęło przed nią jej życie przyszłe, szereg dni, skutych z jakimś człowiekiem „szklanym”, w używaniu dostatków, które teraz już dławiły, jak dary Heliogabala...

Tonigdy!

Żeby tylko mieli syna...ciągnął Podolskie lecz Janka nie słuchała więcej, wpadła do swego pokoju i porwawszy kapelusz i parasolkę, wybiegła w stronę poczty.

Nie szła szukać listy od Kuniewicza. Sądziła, że znajdzie tam dwa słowa od Justyna. Postanowiła bowiem napisać" do brata, że ona z tą kombinacją nie ma nic wspólnego i że buntem całego jestestwa wstrząsa się i protestuje przeciw tej niesprawiedliwości. Przedtem wszakże chciała się dowiedzieć, czy Justyn nie odpowiedział jej na poprzednie listy. Stała przy sztachetach i śmiało zapytała o listy. Była tak wzburzona i podniecona, że zwykła nieśmiałość opuściła ją. Urzędnik w paczce listów szukał chwilę, potem nagle wyciągnął rękę i podał jej małą lazurową kopertę. Ona wzięła ją i spojrzawszy na adres, doznała olśnienia. Na błękitnym papierze drobne, czarne literki biegły ku niej piorunowym szlakiem. Poznała pismo Kuniewicza. Wyszła na plac i natychmiast otworzyła kopertę. Wyjęła ćwiartkę lazurowego papieru, na której czerniało kilkanaście wierszy. Pod spodem drobna literka K., sucha i nic nie znacząca. Dziewczynie zapłonęły od razu policzki, ręce i zęby drżały, jak w febrze. Szła, potrącana przez przechodniów, zataczając zygzaki po chodniku. Wyglądała, jak pijana, lub ogłuszona jakimś gromem. Był to dla niej rzeczywiście grom ten błękitny list, w przeddzień jej wyjazdu do Lwowa, w chwili szalonego zdenerwowania i podniecenia słowami ojca. Piąty raz już czytała tych kilkanaście linii, zaledwie zdając sobie z nich sprawę. Nie było w nich przecież nic nadzwyczajnego. Były tak spokojne, chłodne, jak ten, który je pisał,

lecz dla niej dla tej zakochanej i u Kalwaryi tęsknoty stojącej kobietysłowa te miały w sobie cały poemat uśmiechu jego ust różanych, wspomnienia nielicznych chwil łagodnego tonu jego głosu, pocałunku o szarej godzinie, ostatnich chwil, w których się przebiegało coś nakształt tłumionego przemocą smutnego wrażenia rozstania. Kuniewicz w liście tłumaczył się ze swego długiego milczenia nawałem pracy i zdenerwowaniem silnym, wywołanym zmianą otoczenia. O Paryżu mówił z entuzjazmem i kończył list słowami: „Często myślę o pani i jestem przekonany, że pobyt w Paryżu oddziałałby bardzo korzystnie na pani istotę. Nauczyłaby się tu pani pracować porządnie i umieć sobie wystarczać w życiu. Niech pani o tem pomyśli. Więćmożedo widzenia! To było wszystko, lecz pod czaszką Janki zakopiało nagle, zawrzało w szalony, straszny sposób. Wpatrywała się w ostatnie słowa, jak w tęczę nadziei, w promień jutrzeńki, różowy i światła pełny. Tęsknota, jaką miała w piersi, doszła w tej chwili do potęgi siły destrukcyjnej. Dziewczyna szła szybko, z listem w ręku, z oczyma szeroko rozwartymi, strasząc swą twarzą przechodniów. Jakaś myśl dojrzewała w jej mózgu, wirowała przed nią, a ona nie miała siły, aby ją

uchwycić i sformułować. Wiedziała jednak, że ten wieczór letni, cichy i ciepły, który złotawą białością już wśród domów się włóczył, będzie chwilą decydującą w jej życiu. Czuła, że stoi na rozstajnej drodze i że dalsza jej przyszłość nie zależy od niej samej.

Co chwila otwierała list i z błękitnego papieru zdejmowała spojrzeniem sznur drobnych, a ciągnących tragiczną potęgą liter:

„... Tu pani nauczy się pracować... Więc możesz widzenia!

K.w

Janka czuła, że eos ją rwie naprzód, że fizycznie nawet czuje potrzebę pójścia gdzieś, het... przed siebie. Mimo to wróciła do domu. Na stole leżał w Kuryerek". Janka machinalnie wzięła go do ręki. Jechać miała do Lwowa nazajutrz, o godzinie minut przed południem. Pani Grabowiecka bowiem nie lubiła jazdy nocnej, przytem obie te panie postanowiły zatrzymać się w Częstochowie.

Wyżej, pod rubryką: „Odchodzą", oczy Janki zatrzymały się na cyfrze m. wieczorem. Była godzina siódma. Nagle drzwi się otworzyły i weszła Pola. Gniewnie kopnęła tren aksamitnej sukni i popchnęła krzesło.

Mogłabyś takiej wystawy przynajmniej nie robić! wyrzekła syczącym głosem. Jeżeli mnie chcesz olśnić, to się przerachowałeś. Krzywdzisz mnie i Justyna i myślisz, że męża złapiesz. Jedz...

jedź do Lwowatam właśnie na taką, jak ty, arcyksiężęta czekają!...

Wydeła wargi, z nienawiścią patrząc na siostrę.

Nie masz mi czego zazdrościć...przerwała jej Janka urywanym, suchym głosem wiesz, że to papa każe...

Właśnie! śmiała się ironicznie Polabiedna ofiara!... Papa jej każe!... hypokrytka!... Graj komedję, ale nie przedemną!...

Jedź skakać na balach, może cię tam kto weźmie, bo tu nawetby pies z kulawą nogą ciebie nie chciał.

Janka porwała się za głowę.

Cicho!zawołała.

zaraz drwiła Pola trzeba cię ogłosić w kuryerkacb. Panna chce kupić sobie męża za pieniądze, skradzione bratu i siostrze. Panna chce kupić męża!... panna chce kupić męża!...

Przeszła powoli w śpiew, uchwyciwszy frazes gawota i zaczęła tańczyć, robiąc baletowe pas, migając czarną, wążką sylwetką na tle weneckiego okna.

Janka!odezwał się głos Podolskiego. Dziewczyna nie weszła, lecz wpadła do sypialni ojca.

Na... masz tu pieniądze i pasport. Jedno i drugie w tej kieszeni. Włóż mi to na siebie pod stanik, zawiąż tasiemki na plecach i w miarę po trzeby wyjmuj. Ruszaj za parawan i zrób, co ci każe!

Janka zdjęła stanik i pod bielizną, na piersiach, przymocowała szarą, płaską kieszeń, wytłusz

czoną i owiniętą ceratą, która widocznie służyła już nieraz Podolskiemu w jego peregrynacjach.

Gdy poczuła na ciele zimno ceraty, zdawało się jej, że to lodowa ręka przeznaczenia na jej piersi swą dłoń kładzie.

Pokaż!komenderował Podolski. Podeszła do łóżka, narzuciwszy na plecy stanik. Podolski obejrzał, stękając i mrużąc pod nosem.

Dobrze... a nie zdejmuj mi tego z siebie aż do powrotu. Nawet na balu tak się urządź, ażebyś miała pieniądze przy sobie. Rozumiesz?

Janka stała, wargi gryząc i patrzyła może po raz pierwszy prosto w twarz ojca, bez zwykłej trwogi.

Rzeczy spakowane?

Porządnie popakuj, nie pognieć. Jutro wstawaj cicho, żebyś mnie nie zbudziła. A na balu trzymaj się prosto i z byle kim nie tańczuj. Pieniędzy nie rozrzucaj! Słyszysz? A teraz ruszaj!

Lecz Janka nie odchodziła od łóżka, miała dziwną determinację w twarzy.

Proszę papywymówiła głośno i wyraźniej chciała bym nie jechać...

Co? spytał, podnosząc się na łóżku, Podolski.

Chciałabym nie jechać...powtórzyła Janka, nie poruszywszy się z miejsca.

Podolski brwi ściągnął, usta kilkakrotnie otworzył i ręką drzwi jej wskazał.

Idź mi zaraz rzeczy pakować! krzyknął nareszciana kolej się nie spóźnij!

Janka powoli odwróciła się od łóżka i w kierunku tej żółtej ręki, która sterczała przed nią jak drogowskaz, poszła. Minęła jadalnię i otworzyła drzwi małego pokoiku. Z okna zdjęła buteleczkę atramentu, pióro, a z szufladki wyjęła kopertę. Z listu Kuniewicza oddała pustą stronicę i, ukląkszy przy oknie, cała w zmrok spowita, prawie nie widząc liter, pisać zaczęła.

„Drogi bracie! Z ostatnich słów, jakie do mnie rzuciłeś, kiedyś się ze mną zegnał, widziałam dobrze, iż myślisz, że ja chcę, aby papa mnie prowadził na bale i wydał za mąż. Otoż tak nie jestna to ci przysięgam, co mam najświętszego! A że i ty i Pola moglibyście mieć przezemnie krzywdę i to ciężką, gdyby papa wydał mnie za jakiego pana i dał mu pieniądze i nazwisko, więc ja wam z drogi ustępuję i pójdę tam, gdzie się nauczę pracować porządnie i sama sobie starczyć. Ustępuję Wam z drogi i tylko Was bardzo proszę, abyście mnie wspominali dobrze i sami byli szczęśliwi i zdrowi. Nie byliśmy nigdy bardzo czuli dla siebie, gdy byliśmy razem, ale teraz może, gdy nie będziemy razem, to się więcej będziemy kochali. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi i Papę za mnie przeproście

niech się nie gniewa na mnie, ale ja doprawdy iechać do tego Lwowa nie mogłam i dłużej takiej poniewierki w oczach swoich i ludzkich cierpieć nie chcę. Woię ręce po łokieć urobić, niż na wydania być... Nie myślcie źle o mnie!... darujcie mi, jeżeli byłam dla was niegrzeczną i niedobrą. Nie robiłam tego przez złość. Całuję was po milion razy.

Wasza nieszczęśliwa siostra

Janka.

Skończywszy ten list, włożyła go do koperty, zakleiła i napisała adres Justyna. Wsunęła go do kieszeni, z postanowieniem wrzucenia na stacy granicznej.

Potem położyła głowę na desce okna i pozostała tak nieruchoma, bez łez w oczach.

Okolo dziewiętej porwała się z klęczek, jakby jakaś siła niewidzialna, a w niej samej będąca, iść jej rozkazywała.

Cicho przesunęła się przez przedpokój, jadalnię, w której ustawiono już samowar, oczekując na Biernickiego i weszła do sypialni, w której drzemała Pola. Otworzyła szafę, wyjęła z niej swój stary, długi płaszcz, zrudziały, zniszczony i kapelusz przeszłoroczny, opasany wstążką.

W tej chwili Pola zbudziła się i, podniósłszy głowę, patrzyła na siostrę.

Dokąd lecisz?spytała nareszcie.

Janka drgnęła. Szybko ukryła kapelusz pod fałdami rotundy.
Zajdę do Minusi odparła pokornym i cichym głosem.
Przecież masz pakować rzeczy!
Upakuję gdy wrócę. Już bielizna i tak ułożona. Ja późno wrócę... Kładź się spać... nie czekaj na mnie!...
Pewnie, że nie będę czekała! Czemu stary płaszcz bierzesz?
Tak... szkoda mi nowego. Dziewiąta wybiła w sypialni Podolskiego. Janka obejrzała się dokoła. Lampka paliła się u stóp posążka Dziewicy. Kurcz nerwowo ścisnął gardło dziewczyny.
Podstąpiła do łóżka siostry,
Bądź zdrowa, Poluwymówiła łagodnie. Pola ramionami wzruszyła.
Cóż się żegnasz? przecie dopiero jutro wyjeżdżasz!...
Nie chcesz mnie pocałować?
Zwaryowałaś zupełnie!... Widocznie to „wydanie” ci nie służy.
Odwróciła się do ściany.
Jezu! co za nudy! wyjąknęła. Janka otworzyła usta, chcąc jeszcze przemówić, lecz głos jej zamarł, uczuła, że ją coś popycha ku wyjściu, jak wtedy, w nocyku Maryni.
Otworzyła drzwi i cicho, lekko, jak cień, przeszła przez jadalnię, z oczyma szeroko rozwartemu i wpatrzonemu przed siebie, z rozpaczliwą i fatalną determinacją tracącej swą wolę istoty.

Aksamitna różowa suknia, trącona przez mą, osunęła się na ziemię z cichym szelestem jedwabnych podszepek. Janka nie spojrzała nawet na ten szmat różowosrebrny, ścielący się jej pod stopy; weszła w strumień fałd i, zdeptawszy go, poszła swą drogą ku Kalwarii ciemnych i zakrytych przeznaczeń.
Za nią na lśniącej posadzce pozostał trup jej balowej sukni, smutny, bezużyteczny łachman wzgardzonego zbytku; — przed nią w tumanie mgieł majaczył tęczą łez i nadziei jutrzenny świt, od nędzy ludzkiej jak stos gorejący...

I.

Jak z kart ustawione, z ziemi wyrosłe zabawki dla dzieci, tak migały przed Janką domy przedmieść Paryża.
Pociąg biegł szybko, spóźniony, z warczeniem i łomotem kół, jak zwierz zdyszany i do legowiska dążący.
Po obu stronach drogi, ciętej rudemi liniami szyn, z których wyrastały purpurowe i zielone latarnie, gdzieniegdzie zapalone, wznosiły się szare, wysokie mury, okryte masą reklam o błękitnych, krwawych i żółtych tłach. Poza niemi,

za tą całą tęczę, sterczały domy, wznosząc się niekiedy w górę wystrzeloną masą białą, lub deszczem splókaną, to znów opadając i tylko koronką lśniąca tysiąca kominów znacząc się w przestrzeni... Janka płonąca od gorączki twarz przyłożyła do bocznych prętów wagonu i przez podniesioną szybę chłonęła w siebie ten widok, tę masę kwadratów, zalewających brutalnymi tony ściany wąwozu.

„Geraudel”? „Geraudel”! czytała bezustannie.

Czasem mignął na ścianie olbrzymi mak, potworny pająk krwawy i rozczochrany, to znów płaski kadłub, wystający z cylindra, na którym migaly białe, ukośne litery. Lecz już szafirowe, potworne kwadraty następowały po sobie, jak silnie sprzągnięte wagony, a na nich „Cacao van Houten” tryumfowało w zuchwałej apoteozie. Potem znów „Geraudel”, „Geraudel” bez końca i miary, jak deszcz kamieni o asfalt tłukący jednostajną i mistyczną piosenkę. W tej fali reklamy zaszumił, zajęczał pociąg, i wpadł pod dach szklany, podtrzymywany całą armią słupów szarych i zimnych, bezstylowych. Jak zwierzęta u żłobów, tak ciemniały rude masy pociągów, stojące na liniach, w oczekiwaniu godzin odjazdu.

Francuzi, siedzący w przedziale, zaczęli zbierać swe manatki. Jakiś Niemiec nieśmiały, lękając się odezwać, aby nie zdradzić swego pochodzenia, patrzył niepewny, czy ta brudna gara, ruda i pusta, pomimo olbrzymiej ilości pociągów, jest rzeczywiście już garą paryską. Wreszcie za walizkę ujął i, gdy pociąg stanął, drzwiczki z trudem otworzył.

Janka wysiadła zaraz za nim.

Wzięła w rękę mały koszyczek, który kupiła w Wiedniu. Było w nim trochę bielizny nic więcej.

Wysiadłszy, dziewczyna spójrzała przed siebie. Całą swą duszę posłała na zwiady. Wysłała bowiem

telegram do Kuniewicza jeszcze z Avricourt. Była pewna, że przyjdzie na powitanie.

Całą drogę układała sobie, co mu powie, jak go przywita... Stanąwszy już na asfalcie gary, była po prostu nieprzytomną. Dziwna jednak rzecznie drżała tak, jak zwykle, gdy zbliżała się do niego.

Cały tłum ludzi cisnął się w ciasnej i brudnej poczekalni, okrytej dachem. Ustawiony we dwa rzędy, stanowił rodzaj wąwozu. Środkiem przechodzili podróżni. Co chwila ktoś się odrywał, wpadał w środek tłumy; odzywały się przyciszone głosy, urywane, krótkie:

Ah! en fin te voila!...

Ca va?

Pas mal., bonjour bebe!....

Inni szli sami, mijali wąwóz ciał ludzkich i ginęli w jasnej przestrzeni, po której kręciły się czarne sylwetki dorożek! Na lewo czerniało wnętrze rewizyjnego biura, w błękitnych bluzach komisyjonerzy wieźli wypchane wózki, a złote gwoździe kufirów migotały w przestrzeni.

Ze środka dobywał się monotony głos urzędnika:

Vous n'avez rien a declarer?

Janka, wypchana przez tłum podróżnych, weszła w ową aleję oczekujących. W jednej sekundzie przebiegła wzrokiem cały tłum szarych i bezbarwnych twarzy. Raz jeszcze przesunęła się po nich oczyma i przymknęła powieki.

Nie dostrzegła Kuniewicza.

Uczuła nagle zimno i ogarnęła ją rozpacz. Nic wiedziała, dokąd idzie, co robi. Jakiś Francuz potrącił ją bardzo silnie trzymanym w ręku kufrem. Oprzytomniała usunęła się na bok, bełkocąc:

Pardon, monsieur!

Wyszła na ulicę i stanęła około filarów, podtrzymujących portyk. Zdawało się jej, że Kuniewicz nadejdzie, że się spóźnił, że lada chwila zobaczy go, wysiadającego z dorożki.

Tymczasem przed nią, jak powierzchnia potwornego zbożowego pola, całego złotego w popołudniu letniero, żółcił się plac gary, obramowany równą, delikatną masą sztachetów. Błękitne tarcze ostrzeżeń stały półkolem bławatków, i po za tym blond obrusem światła, ujętym w równe masy hoteli jak struga rzeki, nagle rozlanej i pełnej błękitnawego dymu rozkładał się szeroką gardzielą bulwar Strasburski, spadając w głąb Paryża, jak olbrzymi potok, ciągnący za sobą dwa rzędy zielonych drzew, gubiących się w przestrzeni, w jeden sinoczarny pas, od spodu, od pni rudawy. I tylko u dołu, na szarem tle bruku, czerniała masa ruchoma, szybkamrowisko ludzi, dorożek, omnibusów i tramwajów.

Wszystko to kłębiło się w plamach niewyraźnych, w tonach spalonych, gdzieniegdzie przecięte białą sylwetką perszeronów, wlokących ciężary, lub czerwonym pudłem reklamarskiego wózka.

Plac przed garą stawał się pustkowiec, oddzielenym kratą od morza ludzi, walczących z sobą o kawałek bruku. Chaos niezrozumiały, fatalny,

rozpaczliwy, wypełniał powietrze. Grały w nim setki namiętności, żądz, pragnień i skarg. Rzucano się to razem w górę z kłębami błękitnego dymu i opadało, nie doszedłszy szczytu dachów, obwieszonych złoconymi literami reklam. Niesformowane w przestrzeni konało i trupem już stygnącym waliło się na głowy ludzi, tłoczących się w ocembrowaniu domów, czerniących się klawiszami okien, w których gdzieniegdzie ostatnie promienie słońca złotawoczerwone ogniska zapalały.

Wreszcie Janka zeszła powoli ze stopni kamiennych, zlewających się z asfaltem dziedzińca, i, przeszedłszy kratę, w czerń mrowiska ludzi weszła. Oczywiście szukała hotelu, chcąc schronić się, pozostać samą pod jakimkolwiek dachem, choćby tylko chwilowo osłaniającym jej głowę.

Na lewo narożna kamienica nosiła napis: „Hotel de la gare”.

Ciemna sień, w której zieleniły się gałązki oleandrów, sterczących przy drabinie schodów, czerniła się wążka i tajemniczą gardzielą głodnego zwierza.

Janka skierowała się ku tym drzwiom, bezwiednie obierając ten, a nie inny kierunek.

W godzinę później, ulokowana na piątym piętrze, w małym pokoiku kwadratowym, którego połowę zajmowało olbrzymie łóżko, okryte adamakowem, zielonymi firankami, Janka kazała przywołać posłańca i przygotowała list do Kuniewicza.

Po bliższym zastanowieniu, przyszła do przekonania, że telegram nie doszedł, lub Kuniewicz pomylił się co do rozkładu pociągów. Zatelegrafowała mu przecież wyraźnie godzinę, nawet minutę i położyła dokładny adres, ten sam, który podał w liście: „ulica Arrasse, No ". Lecz szukała wymówek, kłamała przed sobą, krzepiąc się nadzieją, a tak rozboleła, że zdawało się jej, iż jakieś dawne rany niezagojone otwierają się w niej i bolą strasznym, nieustającym bólem. Zastukano do drzwi.

Wszedł olbrzymi drab, ubrany w aksamitne żółte spodnie, obdartą kurtkę i pas czerwony. Na głowie miał czapkę jedwabną, której nie zdjął. Cuchnął cały absyntem i brudną odzieżą.

Janka od stołu powstała i podała mu list. Mówiąc, co i jak ma z nim zrobić, patrzyła zdziwiona na czapkę, której komisyjoner nie zdjął przed nią i trzymał na głowie z zuchwalstwem, dotąd jej nieznanem.

Na chwilę zapomniała o Kuniewiczzu i, gdy komisyjoner wyszedł, trzaskając drzwiami, stała chwilę zdziwiona i zmieszana. Za co ją miał ten człowiek, zachowujący się w ten sposób? Dlaczego nie zdjął czapki, wszedłszy do pokoju?...

Przyzwyczajona do służbistosci uniżonej proletaryatu, uczuła się wstrząśniętą na samym progu Paryża. Gdy komisyjoner wychodził, miał minę człowieka, wyświadczonego jej łaskę. Dlaczego?

Wyjęła z zawiniątka plan Paryża, kupiony po drodze na jednej ze stacyi francuskich i w labiryn

cie ulic starała się odszukać tę rue d'Arrasse, na której mieszkał Kuniewicz. Lecz znaleźć jej nie mogła. Nie wiedziała, ani w którym quartier, ani w której stronie miasta jej szukać.

Powoli oderwała oczy od karty i ogarnęła spojrzeniem swoją nową siedzibę.

Łóżko, osłonięte załuszczonego pawilonem, zajmowało połowę pokoju. Stos kołder białych, wełnianych, edredon z zielonej satyny, maluchne poduszeczki, prześcieradła, podetkane pod materac i odsłaniające szary w białe pręgi siennik, odrażające sprawiały wrażenie. Na lewo szafa z lustrem, czerwona od fałszywego machoni, na kominku zegar z amazonką w cylindrze, pędzącą na koniu, i dwa lichterze z fałszywego bronzu, rude i brzydkie, odbijały się w lustrze, pokrajanem masą napisów.

Janka powstała i zbliżyła się do kominka. Oparta o marmur spękany i wyszczerbiony, czytała wyryte imiona: „Louise, Nini, Eugene, Marie et Jean", dalej daty, kółka, kreski, cały alfabet par miłosnych, opadłych w ten „garni" hotelowy, banalny i smutny.

Cała przepaść zniszczonych i rozwianych istnień wiała od tych ścian, okrytych szarością lichego obicia, na którym żółte lwy w nieskończonych szeregach podawały sobie łapy, przedzielone bukietami lilii.

Janka zamknęła oczy, zmęczona i wyczerpana.

Wypadki dni ostatnich tłoczyły się w jej umyśle z dokładnością wybora. Widziała się na banhofie warszawskowiedeńskim, kupującą bilet, wsiadającą do wagonu, nieprzytomną z trwogi i silnego

postanowienia. Potem przejazd przez granicę o szarym poranku, rozjaśnionym zaledwie świtem różowego brzasku, tam, daleko, hetpoza brzegami horyzontu, nad skibami czarnej, pokrajanej roli. Potem pobyt w Wiedniu, krótki, jednodniowy, pacierz w kościele św. Szczepana, w ciemni kaplicy Maryi, przed którą gorzały dziesiątki świec, jak snop złocisty, czarów i mocy pełen. Poza nią w przepaści świątynnej monotony szmer głosów, jęczących litanie:

„Wir bitten Dich, erhore uns...” Wreszcie Avricourt i Francya! przebogata ziemia, prawie obiecana, gdzie miliardy brzęczą w powietrzu, przyjazd do Paryża ipustka nagła zamiast promienia słońca, chłód, zamiast ogniska, do którego dążyła w gorączce, walce i niepokoju.

Minęły dwie godziny, wreszcie zastukano silnie do drzwi pokoju i prawie równocześnie wszedł posłaniec, zmęczony i potem okryty.

Janka czuła, że blednie i nogi pod nią drżeć zaczynają.

Zostawiłem list powiedział posłaniec ochrypłym głosemtego pana nie było w domu.

Mówił z silnym akcentem Owerniaka. Janka była zmuszona prosić go o powtórzenie. Wreszcie zrozumiała. Skinęła głową i podała mu franka.

Owerniak się rozgniewał.

Jak to? franka? za taki kurs? na dragą stronę rzeki? do studentów?.... Należy mi się cztery franki za zmarnowane dwie godziny.

Czapkę na uszy nacisnął i, mówiąc, pluł na bok, a ślina czepiała się obicia.

Janka wyjęła pięć franków i, przestraszona, podała je niemal pokornie. Cb ciała się uwolnić od obecności tego pijaka, który zuchwalstwem swoim przerażał ją.

On wziął srebrny pieniądz, reszty nie dał i, wydawszy usta, z czkawką absyntu wyszedł wreszcie z numeru.

Janka zamknęła prędko drzwi na klucz. Słyszała, jak jeszcze na schodach nazywał ją „brudną cudzoziemką”.

Ściemniało się powoli. Janka zapaliła świece w kandelabrach i przyglądała włosy.

W liście prosiła Kuniewiczza, aby przyszedł zaraz po otrzymaniu jej kartki.

Spodziewała się, że Łada chwila do drzwi zapuka. W oczekiwaniu tem nie czuła głodu, ani znużenia Co chwila

wychodziła na balkon, stała kilka minut i powracała podedrzwi, lękając się nie usłyszeć stukania. Na twarz jej wystąpiły dwie czerwone plamy. Pomimo upału, drżała z wewnętrznego chłodu.

Stojący na płycie kominka zegar wybił cienkim głosikiem dziesiątą.

Janka, dusząc się ze wzruszenia, wyszła znów na balkon.

Szerokie łóżysko bulwaru Strasburskiego płonęło teraz całe dwoma rzędami świateł latarnianych. Gdzieniedzie niebieska jasność elektryczności wylewała się błękitną kaskadą na gałęzie drzew, otaczając je gaza białawą i podobną do smugi dymu.

Na dziedzińcu gary jasno było i sztachety gary dokładnie odcinały się teraz na ziemi uko

śną linią cieni. Dorożki zajeżdżały jedna po druciej, czarne pudła z inkrustacją purpurowych, lub szmaragdowych, migocących latarni.

Pod portykiem kręciła się masa ciemna i zbita ludzi i tylko wysoko w trójkącie jaśniała biała tarcza zegara, poprzecinana czarnymi literami.

Pouad szczytami domów, szara masa nieba, o dziwnych czerwonych odbłaskach krwawej, dalekiej łuny. Z dołu, ku tej łunie fatalnej i mistycznej, jak jęk dławionej ofiary, niezrozumiała i niepojęta płynął krzyk setek tysięcy, szum rozhukanej fali, rozlanej szeroko.

Paris sport resultat com piet des courseslwył ponad cały huk rozszalałego miasta głos lecącego cwałem kamłota. Janka dostrzegła go galopującego po za kratami, jak widmo, gnane nieubłaganym biczem losu, ochrypłym głosem zwiastującego kokotkom i agentom przegraną lub wygraną stawkę.

Paris sport!...

Jeszcze jeden jęk, krzyk, i sylwetka kamłota przepada w tłumie, wypełniającym jasność bulwaru. Nędza zwiastuje pieniądz jednej lub drugiej stronie. W galopie nieustannym krzyk ten trwa ciągle ze zdyszanych piersi oto nowy kamlot leci już wzdłuż kraty, chrapiąc ze zjedzonej absyntem piersi.

Paris sport!...

Janka cofnęła się do pokoju i usiadła na krześle.

Kuniewicz nie nadchodził.

Ogarnął ją lęk, wzmożony wyczerpaniem fizy

cznera. Ten ryk tłumiony, płynący od miasta, przerażał ją. Uczuła się zupełnie sama i opuszczona.

Po za cienkim przepierzeniem ściany klóciła się jakaś para, obsypująca się nawzajem gradem obelg i wymysłów.

Janka porwała się za głowę i czuła, że tonie w chaosie czarnym i złowrogim.

Godziny mijały powolii wreszcie krzyk miasta ucichł w jakimś niezdrowym, przerażającym omdleniu. Teraz już Janka była pewna, że Kuniewicz nie przyjdzie, lecz nie miała odwagi położyć się, wobec bezustannego hałasu, wstrząsającego ścianami hotelu. Klócono się, krzyczano, bito lub śpiewano w sąsiednich numerach. Była to symfonia głosów ochrypłych, zjedzonych nocną rozpustą i rozpalającymi trunkami.

Jakaś kobieta, ta sama, która się przed godziną klóciła ze swym mężem, wyła teraz marsza komiwojażerów, wybuchając kiedy niekiedy bezmyślnym śmiechem.

Janka otworzyła drzwi, prowadzące na taras, i usiadła na progu, wpatrzona w coraz bardziej czerwone niebo.

II

Czego? czego?...

Lecz Janka łkała ciągle spazmatycznie, nie hamując się więcej, szczęśliwa, że wreszcie może się wypłakać, ona która od tych dni kilku nie znalazła jednej łzy, zacięta w samotności, jaką czuła dokoła siebie.

A teraz płakała, oparta o ramię Kuniewicza, upadłszy mu niemal w ramiona, gdy wreszcie na drugi dzień, koło pierwszej, zjawił się na progu pokoju, z dużą teką, wypakowaną książkami, dziennikami i notatkami.

Pytał ją: „Czego?... czego?...” nie umiejąc znaleźć nic więcej dla uspokojenia tych łez, płynących z oczu dziewczyny nieprzebrany potokiem.

Wreszcie pochylił się nad nią, sam dziwnie wzruszony tym ogromem miłości, objawiającej się bez fałszu i obłudy w serdecznym płaczu kobiety.

Posadził Jankę na krześle i cichym, łagodnym głosem prosił jej, by się uspokoiła:

No, dosyć!... proszę nie płakać... No, o cóż chodzi?... wszak jestem przy pani!...
Ocierał jej łzy, odgarniał włosy, spadające na czoło kobiety. Gdy dotknął się jej głowy, przymknął oczy i zagryzł usta.
Ona w tej chwili spojrzała na niego z poza łez i... zauważyła, że jest bardzo wychudły i bardzo zmieniony.
Był piękny, tak, jak dawniej, ale sina obwódka podkrężyła mu oczy, policzki zapadły; usta tylko purpurą świeciły, jak
krwawa blizna.
Dziewczyna otarła oczy.
Już nie płaczę! wyrzekła, usiłując się uśmiechnąć.
On szybko odzyskał panowanie nad sobą.
Tem lepiej!...wyrzekł.Dawno pani przyjechała?...
Wczoraj. Posłałam panu telegram.
Aah, taki ale przyjść na kolej nie mogłem: miałem ważne posiedzenie. Dziś, idąc do biblioteki, wybrałem się i tutaj.
Usiadł na krześle.
Pani na długo?...
Nie wiem...wybełkotała Janka.
Sama?...
Tak. Popatrzał na nią uważnie.
Cóż pani zrobiła, aby panią samą aż do Paryża puszczono?... Możeś pani uciekła?
Śmiał się, mówiąc ostatnie słowa.
Śmiech ten zmroził jej duszę. Nie mogła mu teraz powiedzieć, że istotnie uciekła. Była to tragedia dla niej; onśmiał
się, mówiąc o tem...

Cóż mu miała powiedzieć?...
Lecz on nie czekał na jej odpowiedź.
Co tu pani będzie robiła?...zapytał.
Chciałabym... pracować... odparła cicho Janka.
Hm... pracować?... czy na życie?... zapytał Kuniewicz.
Nie! na razie mam żyć z czego.
Tem lepiej dla pani!.. Paryż jest strasznie drogi... ?yc tu małymi zasobami bardzo trudno...
Zamyślił się na chwilę, wpatrzony w przeciwległą ścianę.
To straszne! powtórzył jakby sam do siebie.
Nastąpiła chwila milczenia.
Niech się pani wyniesie z hotelu zaczął Kuniewicz tu będzie drogo i niewygodnie!... Nie mogę pani dopomóc w
szukaniu mieszkania, bo mam bardzo dużo pracy. Czas mam zupełnie zajęty...
Mówił dalej w tym tonie, szukając banalnych tematów, ostygły już zupełnie z poprzedniego wzruszenia.
Janka odnalazła teraz cały chłód jego spojrzenia i czar ust, które łagodziły ostrość źrenic.
Wpatrzona w twarz jego, zapomniała o rozpaczliwie smutnej nocy, którą przeżyła na progu balkonu, zasłuchana w
mystyczny hymn Paryża, unoszący się w przestrzeni.

Tymczasem Kuniewicz jakiś dziennik z teki wyjął i przeglądać go pilnie zaczął.
Przepraszam panią... ale chciałem zobaczyć...

Za gazetą utonął i czytał, poczem dziennik złożył starannie i do teki schował.

Chce się pani poznać z kolonią polską? zapytał.

Nie! nie! zawołała Janka, obawiając się, aby kto nie doniósł rodzinie o miejscu jej pobytu.

Kuniewicz jednak inaczej sobie jej słowa wytłómaczył

Dlaczego nie? zapytał. Janka milczała.

A!..zaczął z ironią domyślam się... Boi się pani ludzi nie ze swej... sfery! Czy to w pani wiecznie pozostanie? Do hotelu Lambert pani nie zawiode, o tem może być pani przekonana!... Skoro pani nie chce...

Nie, panie! przerwała mu Janka pan się myli... Pan powinien był mnie już poznać chyba!...

Panią?... ależ pani jesteś chodzącą fantazją! Ręczę, że dziś to, jutro tamto!... Jesteś pani za ładną, za elegancką i za... dobrze urodzoną, aby panią na seryo brać można było. Dziś pani mówi: „Będę pracowała!” a jutro pójdzie pani na bal, jak to w kraju było. Czy nie tak?... Och, wy fantaści, z nerwów i artyzmu złożeni!...

Ramionami wzruszył, sam tak zdenerwowany, że zdawał się być jednym kłębkim tańczących farandole nerwów.

Wstał i tekę znów porządkować zaczął.

Muszę iść do biblioteki... Niech pani tam kiedy zajdzie. To bardzo ciekawe. Mara swój pulpit i obrane miejsce.

Pracuje się tam wybornie i bez żadnej przeszkody; wszystko się ma pod ręką

To też nosunąłem już bardzo daleko moje studia! O! Paryż to jedyne miasto, w którym kształcić się można spokojnie i doskonale...

Od miasta przez otwarte okno bił już wrzask rozbudzonego i w wir puszczonego tłumu.

O, spokojnie!... powtórzyła Janka.

Naturalnie! podchwycił Kuniewicz. Nie tu wszakże, w tym quartier, który masz pani pod stopami! Z drugiej strony rzeki, koło Panteonu i Sorbony, jest cały rząd uliczek cichych, spokojnych, niemal zaspanych. Tam się gnieźdzą ei, którzy pragną pracować. Tam nie słyszy się niemal turkotu dorożki.

Szerokim gestem pchnął drzwi i wysunął się na balkon, za nim poszła Janka.

Jak to wre i kipi! wyrzekł, opierając się o balustradę.

Janka spójrzała na dół.

Przed nią, w jaskrawym świetle południa, bulwar Strasburski zdawał się dławić tą masą koni, ludzi, powozów, którzy się poruszali w jakimś złotym dymie, jakby aureoli opadłej i na miliardy atomów rozbitej wśród zielonobłękitnego muru drzew.

Dziewczyna smutnemi oczyma ogarnęła ten galop rozwichrzony jednostek, samolubnych i fatalnie zgorączkowanych w ciągłej za groszem pogoni.

To... straszne! wyrzekła po chwili cichym, zdławionym głosem.

Kuniewicz ręką oczy od słońca zasłaniał. Purpurowe kontury, trochę blade, o złotych odcieniach, rysowały w przestrzeni sylwetkę jego ręki.

Stał jeszcze chwilę, złocąc się w przestrzeni jasną masą włosów, rozrzuconych dokoła nagle zaróżowionej twarzy. Spojrzał na Jankę ostro i przenikliwie.

Czy pani rozumie to, co mówię?...

Ona wyprostowała się cała, jakby od uderzenia szpicruty.

Rozumiemodparła krótko.

Tem lepiej. Pojmowanie czegoś, to już urzeczywistnienie w głębi swego ja tego, co się pojmuje. Teraz odchodzę wracam do biblioteki... Zegnam panią.

Wrócił do pokoju, zabrał tekę, połamany kapelusz i podał Jance rękę.

A niech pani całego czasu nic trawi na chodzeniu po sklepach i zabawie...

Ona, zajęta tylko jedną myślą zobaczenia go znowu, zapytała, obłana nagle rumieńcem:

Kiedy my się zobaczymy? Kuniewicz pomyślał chwilę.

Nie wiem; jestem bardzo zajęty. Skoro się pani z hotelu przeniesie, niech pani do mnie napisze. Wpadnę na chwilę. Do widzenia!

Wyszedł cicho, miękko, jak kot duży i cały złoty od południowego jaskrawego światła...

Janka stała chwilę na środku pokoju, analizując doznane wrażenia. Spodziewała się innego powitania. Przez tych kilka miesięcy przeistoczyła sobie w myśli sposób życia tego człowieka. Rozegzaltowała się tęsknotą i stroiła go w łagodniejsze, delikatniejsze formy. Za mało była jeszcze kobietą, aby uchwycić i zrozumieć jedną chwilę zmiany jego

twarzy, gdy pochylony nad nią, odgarniał jej włosy z czoła i cichym głosem powtarzał: „Czego? czego?”..

Dotknięcie jego dłoni wystarczało jej. Znadto go kochała, aby pod tem wrażeniem śledzić mogła grę jego rysów. Teraz stała niepewna i zgnębiona, a mimo to, cała wewnętrznem zadowoleniem drżąca. Widziała go, słyszała znów słowa, które owijały jej duszę, jak siatką stalowych, nierozzerwalnych nitek. Nie umiała odróżnić jeszcze zmysłowej i duchowej radości. Identyfikowała te zadowolenia, tak różne a mimo to w naturze stosunku jej z Kuniewiczem nierozdzielne.

Po chwili narzuciła płaszcz i włożyła kapelusz, gotując się do wyjścia. Widziała i czuła, że na jego pomoc i kierunek liczyć nie może. Postanowiła okazać się dzielną i energiczną. Chciała jak najprędzej wynaleźć sobie mieszkanie i tem samem mózgo zobaczyć ponownie.

Zeszła na dół i chciała wejść na bulwar Strasz burski, lecz jakiś lęk schwycił ją nagle i zawrócił na prawo kazał.

Weszła więc na Magentę i szła wzdłuż domów szarych, brudnych, zarzuconych u podstawy masą rozsypanych aż po trotuar towarów, mebli i wiktuałów.

Bandy chłopców i dziewczyn, w długich fartuchach, zalegały ławki bulwaru, kłębiły się zbitymi masami na blond powierzchni asfaltu, napelniając powietrze przerażającymi wrzaskami. Środkiem, z hukiem i łoskotem, sunęły olbrzymie wozy. ciągnięte przez perszerony białe, jakoś dziwacznie,

ogouami siwymi zamiatające kamienie. Tramwaje płynęły równo, a gwizdawki woźniców wydawały dziwny, przyciszony głos dziecinnej zabawki.

Wózki przekupniów wiły się wzdłuż trotuarów, całe zielone od groszku, lub purpurowe od wiśni. Obszarpane kobiety szły za nimi, krzycząc fatalnymi głosami niezrozumiałe słowa.

Z głębi szynkowni srebrzyły się cynkowe kontuary, przy których woźnice pili absynt lub wermut. Przed kawiarniami wysunięte stoliki, żółte, brudne, zużyte były, tylko tu i owdzie przysiadła jakaś para: on w bluzie, ona w jersey'u czarnym i rozciągniętym na plecach i w stanie, dwie smutne sylwetki, pochylone nad szklankami opalowego lub szmaragdowego płynu.

Janka szła powoli, popychana przez tłum, odbierając bezustannie uderzenia to koszem, to tablicą anonsową, niesioną na plecach przez komisyонера, to łokciami robotnic, które szły na śniadanie, dzwoniąc nożyczkami, zawieszonymi u pasa i plując i pestki owoców w oczy przechodniów.

Długi płaszcz Janki, jej kapelusz związany wstążką, wzbudzał śmiech uliczników i dziewczyn.

Ohe! l'Anglaise!... pst!.. pst!... armee du Salut..

Jakiś „mome” w powykrzywianych bucikach, o splaszczonej czaszce i opadłych na pięty skarpetkach, stanął nagle przed nią, jak z pod ziemi wyrosły.

A o... yes! wrzasnął ochrypłym głosem. Janka przerażona, rzuciła się w bok i wydo

stała się na ulicę Dunquerque, którą iść ku górze

Było tu i owdzie ciszej, ciemniej i chłodniej. Nikt się na nią nie oglądał i nie zaczepiał. Czasem tylko przemykały robotnice z paczkami gorących kartom, które jadły na ulicy, zlizując tłuszcz, ciekący im po palcach.

Janka poczuła wtedy, że jest głodną. Od wczoraj nic nie jadła, zdenerwowana oczekiwaniem na Kuniewiczza. Nigdzie nie widziała restauracji, wreszcie nie ośmieliłaby się nigdy wejść tam i zażądać czegokolwiek. Miała głęboko w sobie zakorzenione pojęcie, że jeść jest to rzecz zdrożna i kobieta sama nie ma prawa do napełnienia pustego żołądka...

Wreszcie osłabła zupełnie, pot zimny pokrył jej czoło...

Tu i owdzie dobywały się z suteryn silne zapachy frytury. Na szerokości Maubeuge, wpadła jej w oczy restauracja o purpurowych drzwiach i oknach. Zwolniła kroku... Już zbliżała się do wejścia, lecz ogarnęła ją straszna nieśmiałość i wstyd.

Z najwyższym wysiłkiem przeszła mimo i szła tak dalej bez celu, czując się fatalnie samą, opuszczoną, wśród tych setek śpieszących się ludzi.

Przyszłość przedstawiała się jej w najsmutniejszych barwach. Wyobrażała sobie, że będzie się tak błąkała długo jeszcze pomiędzy tymi brzydkimi i złośliwymi ludźmi, że będzie zawsze głodna, smutna, z ustami zacisniętymi przymusowym milczeniem. Nie żałowała swej ucieczki i przyjazdu do Paryża,

lecz miała uczucie wejścia dobrowolnego w ciemne pustkowie...

Idąc, błędziła ulicami, które pięły się ku górze, brudne, wąskie i zacieśnione. Na szafirowych tablicach odczytywała machinalnie napisy.

Rue Condorcet..

Po prawej stronie ulicy, na drzwiach dużego, szarego domu spostrzegła dużą, żółtą kartę, pokrytą czarnymi literami.

Chambre meuble a louer presentement. Przypomniała sobie, że wyszła z zamiarem szukania mieszkania.

Tu, czy gdzieindziejbyło jej wszystko jedno.

Weszła do ciemnej sieni i na prawo dostrzegła łożę odzwiernej.

Przycisnęła klamkę i otworzyła drzwi szklane, naprzeciw których stała duża lustrzana szafa.

Z fotelu podniosła się kupa flaneli i futrzanych kawałków.

Kto tam?...

Janka z podziwieniem spójrzała na odzwierną.

Była to mała kobieta, mogąca mieć około stu lat, z jednym zębem, wystającym z warg olbrzymich i opadłych kącikami na brzeg pomarszczonej i pokrytej siwymi włosami brody. Siedziała w wielkim, zielonym fotelu, a przed nią stał stół nakryty, na którym ryby, obłożone zielenią pietruszki, znaczyły się rudymi plamami. Ser, owoce, chleb, wino w butelce z etykietą, przygotowane systematycznie, pomieszane były z listami i gazetami, rzuconymi przez listonosza dla lokatorów.

Duży, żółty pies, siedział na środku stołu, tak tłusty, że brzuch jego leżał na białym obrusie. Koło niego, oparty ma na grzbiecie, olbrzymi kot, czarny, lśniący, wpatrywał się zmrużonymi oczyma w saiaterkę, w której pływał biały serek wrozbitem na piałę mleku.

W kącie stancyi stało łóżko, okryte zielonymi firankami; koło okna, wychodzącego na ulicę, biblioteczka w stylu Ludwika XVI, bronzami wykładana, pełna talerzy, półmisek i salaterek; na kominku biust panny von Zadt, na podłodze dywan pstry, o jasnych, krzyczących kolorach.

Janka zapytała o pokój ogłoszony na karcie. Odzwierna wzniosła oczy w górę i wyduła wargi.

A... to jest pokój... u pewnej damy... Niech panna pójdzie zobaczyć: antresola, drzwi na prawo!

Dziękuję!

A niech panna dobrze dzwoni, bo pewno się zabarykadowała...

I przez wargi dodała, jakby do siebie:

Waryatka!

Janka stała niezdecydowana, nie wiedząc, czy ma iść na górę. Nagle poczuła się pociągniętą za płaszcz.

Odwróciła się i dostrzegła wysokiego mężczyznę we flanelowej szarej koszuli, kurtce, spodniach ciemnych i haftowanych pantoflach. W ręku trzymał dyscyplinę, którą chował starannie poza siebie. Wielkie, czarne oczy latały bezustannie w krwią zaszytych białościach. Był silny i dobrze wyrosły. Włosy miał starannie obcięte przy skórze.

Wszedł do łoży i bacznie rozglądać się zaczął. Potem do stołu się zbliżył i tebrycznie przerzucał listy i dzienniki.

O!...krzyknął z tryumfem, chwytając jakiś dziennik i rwąc go na drobne strzępy o! „Radical!” dam ja jej czytać takie bezeceństwa!... zabiję, a nie pozwolę!...

Deptał po rozszarpanych szczątkach gazety, które opadały powoli ku ziemi, na jaskrawe plamy dywanu, jak rój motyli na świeży klomb kwiatów.

Odźwierna chyehotała cicho.

No, no!... panie Piotrze... uspokój się pan! Proszę! któż widział drzeć cudze dzienniki!

Niech nie czytają takich bezeceństw!... niech nie czytają!...krzyczał mężczyzna, machając dyscypliną.

Nagle po schodach z szumem jedwabiu zeszła jakaś wyniosła postać kobieca.

Janka mimowoli usunęła się na bok.

Dama weszła do pokoju i wyciągnęła rękę. Była bardzo wysoka, harmonijnie piękna, pomimo zupełnie białych włosów, opasujących jej twarz śnieżną lekką rama. Aksamitna czarna suknia, luźno puszczona, była spięta u szyi całą kaskadą koronek.

Piotrze, proszę iść za mną!

Mężczyzna opuścił dyscyplinę i cichy, uspokojony, wysunął się za idącą już na schody kobietą.

Po chwili oboje zniknęli na zakręcie schodów, tajemniczy, zagadkowi, związani z sobą łańcuchem widocznej niedoli.

Janka poczekała chwilę, poczem weszła tak że na schody, dość ciemne, lecz silnie wyfroterowane.

Na prawo przycisnęła guzik, bielący się w ciemnej futrynie drzwi.

Chwilę nie otwierano, wreszcie dał się słyszeć tupot nóg i nosowy, kobiecy głos, z silnym akcentem południowym, zapytał:

Qui sonne si fort?

Janka zaanonsowała chęć wynajęcia pokoju.

Rozległ się szczeł odsuwanej łańcucha, chrobot kluczy, zasuwek i wreszcie drzwi przedpokoju się otwały. W szarawym kwadracie ukazała się postać kobiety, ubranej w dziwaczną suknię, złożoną z masy kawałków pluszu, kretonu, sukna, pasmanteryi dżetowej, frendzli i całego stosu ringi. Ogromna kreza, jak taca, podtrzymywała głowę, oparta, chłopską, o czaszce spłaszczonej, cofniętej trochę w tył i okrytej rzadkim, silnie świecącym włosiem. Duży czub nastroszony i widocznie przypięty, bo różnił się najzupełniej kolorem od reszty fryzury, spadał dziwacznym esem na niskie czoło, czerwonawe i pokryte ordynarną skórą. Wielkie czarne oczy, dziwnej piękności, migotały jak dwa zapalone węgle. Nos był płaski i głupi, natomiast asta szerokie i wybladłe, miały w sobie jakieś okrutne skrzywienie, które odsłaniało cały szereg drobnych, sztucznych zębów, w których kły wystawały, jak dwa jasne i świeące punkciki. Dama ta miała wiek nieokreślony, ręce grube i czerwone, okryte, pomimo upału, włóczkowej

mitenkami, olbrzymie uszy i wciętą talię, z wydatnym i dziewiczo okrągłym biustem.

Poza nią, na tle jasnej i kretonowej firanki, na małej konsolce, zdobiącej tło przedpokoju, czerniała, w kłębek zwinięta, chuda kotka, o dziwacznych żółtych i dziwnie wyblakłych źrenicach.

Janka machinalnie po za głowę damy na kotkę patrzyła, czując się pociągniętą jakąś magnetyczną władzą ku najeżonemu i chudemu zwierzęciu. Lecz już głos pytający wyrwał ją z zadumy:

Vous desirez?

Jąkając się, zbierając rozsypane w pamięci wyrazy, Janka wytłomaczyła cel swego przybycia.

Dama uśmiechnęła się zadowolona i szerokim gestem kasztelanki ukazała wnętrze mieszkania.

Entrez! wyrzekła, usuwając się trochę. Za Janką ze szcękaniem i łoskotem zapadły drzwi, zasuwki i łańcuchy, nakształt zwodzonych mostów zamku, stojącego na przekłętym pustkowiu.

Pokój, który miała wynająć Janka, był niewielki, kwadratowy, o dwóch ważkich oknach wychodzących na ulicę. Wybito cały szafirowym rypsem, z firankami i portyerami z tej samej materyi, z lampą bizantyjską, wysadzoną kolorowymi szklami, robił wrażenie kaplicy, cichej, spokojnej i źle oświetlonej. Przez białe zasłony, zwieszające się okien, wlewało się jakieś niezdrowe światło północne, ciemne i jakby smutkiem sproszone. W żardinierkach trzciniowych, ubranych pluszem, kokardami i frendzlami, wegetowały dwie palmy, mające stopy obsiane całe jakimś zimnym, delikatnym rajgrasem. Na ścianach na tle rypsu, całe masy luster, wiek

szych, mniejszych, obciążonych szafirową materyą. Płyta kominka dźwigała wspaniale srebrne kandelabry, w których ciemniały błękitne, pokręcone świece. Pomiedzy kandelabrami zegar stary, porcelanowy, okręcony girlandą niezapominajek i róż. W rogu pokoju wysunięty na środek szezlong, pokryty pluszem, z masą poduszek, haftowanych złotem lub jaskrawymi jedwabiami. Pomiedzy oknami tualetka, opięta tiulową gipiurą. Naprzeciw, na głównej ścianie łóżko olbrzymie, wspaniale, z orzecha woskowanego, ze spiczastą głową Henryka II, tonące pod baldachimem z rypsu i masy kremowej sufitu impertynenką kaskadą. Nad łóżkiem lustro, a na lustrze ogromny krucyfiks, na którym zawieszono duży, błękitny różaniec, zakończony drewnianym krzyżykiem.

Po prawej stronie od wejścia szafa lustrzana, w tym samym stylu, co łóżko; za nią umywalnia marmurowa, osłonięta japońskim parawanem. Na ziemi dywan granatowy i kilka skór czarnych, ozdobionych szafirowym sukmem.

W całej przestrzeni subtelny i nieuchwytny zapach wód toaletowych, paczuli, chloru i jakiegoś lenistwa ciała i pół snu duszy, w nicłość zapadającej.

Pierwszym ruchem Janki było cofnąć się z tego progu, który wydał się jej fatalnym wejściem na drogę smutku i niedoli, lecz już dama w krezie stała za nią, czyniąc się jak najmiłszą, przybierając najśłodsze wejrzenie i uśmiechy. Według niej, nie było piękniejszego pokoju nigdzie, ani u księżny Mouchy, ani u hrabiny Bali

verne z ulicy Blanche, ani u bankiera przy ulicy Labiuyere.

Patrz pani! mówiła, ukazując niebieską, jedwabną kołdręsam Floquet takiej kołdry nie ma!

Sypała całą masą nazwisk, tytułów, ulic, wszyst ko to wymawiając silnym akcentem południowym, była bowiem z Awinionu, z tej kąpieli słonecznej, z ojczyzny kłamstw, wrzasków i tradycyjnej błagi.

Przytem będę panią żywiła, o! za nic!... Zapłaci mi pani trzysta franków za mieszkanie, śniadania i obiady... Będzie pani moją pensyonarką. Wino daję za franka litr; droższego nie moge. Biorę na dole u węglarza. Absyntu przed jedzeniem nie daję. Rano kakao do łóżka przyniosę. Radzę się pani do mnie sprowadzić. Będzie pani miała ze mnie rodzinę. Ja i moja Lolotta będziemy się panią opiekowały. Prawda, Lolotto? prawda, moja córko?

Od kilku chwil weszła do pokoju kotka i, podniósłszy prosto ogon, miauczała cicho, patrząc żółtymi ślepiami na fałdy i falbany dziwacznej sukni swojej opiekunki.

Jance suma trzystu franków wydawała się olbrzymią. Znużenie ją ogarniało jednak wielkie. Miała wstręt do swego numeru hotelowego. Błękitne draperyę i woń paczuli ciągnęły ją. W szarem półświecie szyby luster migotały dziwnie. Spójrzała w twarz stojącej przed nią kobiety. Twarz ta, czerwona i pokryta silną dozą pudru, rozjaśniona była teraz promieniem jakiejś szczerzej wesołości.

Janka stała jednak, wahająca się i niepewna.

Czy pani stoi w hotelu? zapytała ją
dama.

Niechże się pani czempredzej wyniesie, bo może pani jutra nie dożyć!...

Janka cofnęła się przerażona.

Dlaczego?

Bo... zamordują panią. Cóż to, pani nie wie?... nie czyta pani dzienników?... Codziennie kogoś mordują, a zwłaszcza kobiety... Widzi pani, ja mam u siebie łańcuchy, zamki, i to jeszcze nie po maga. Dwie noce temu, kiedy prasowałam firanki, usłyszałam około godziny drugiej wyraźny chrzęst klucza w zamku... Ktoś próbował u mnie drzwi otworzyć. Co pani chce?... to przez odźwierną. Ta pani Lechemin, ze swoim brudnym psem i obrzydliwym kocurem, nie pilnuje domu! Co ją to obchodzi, czy kogo zamordują, czy nie! A wreszcie, ona to umyślnie robi, aby mnie zgubić... Och, nędznica!

Podniosła rękę, grożąc w stronę drzwi. Oczy jej świeciły się, jak dwie latarki; zaplula całą krezę śliną, a czub przekreślił się jej na lewą stronę czoła.

Ale ja dochodzę już do dna intrygi! dodała ponuro i tajemniczo.

Nagle schyliła się ku ziemi i porwała kotkę w swe objęcia.

Ty jeszcze, Lolotto, kochasz swoją matkę! prawda? Ty jej krzywdy nie dasz zrobić?.. Ty ją obronisz, gdyby chcieli ją pokrajać w kawałki, jak tę kobietę z ulicy Maubas, albo wrzucić do kanału,

jak tę dziesięcioletnią dziewczynkę na La Villette! Och! ty jesteś mądrzejsza, niż p. Loze i wszyscy jego agenci!

Kotka wydawała przerażające wrzaski, starając się uwolnić z objęć damy.

Janke scena ta zaczęła bawić. Po raz pierwszy od chwili wyjazdu z domu, uśmiechnęła się.

Dama w krezie uśmiech ten dostrzegła i kotkę na ziemię rzuciła.

Jak pani myśli: ile mam lat?..zapytała.

Nie wiem... Trzydzieści... może mniej...

Pięćdziesiąt sześć! Nie wierzy pani?... Pięćdziesiąt sześć! A dla czego tak doskonale wyglądam? bo jestem panną: za mąż nie poszłam i mężczyzn cierpieć nie mogę! Siedzę w swoim kącie, czytam dzienniki, Lolottę pielęgnuję i wstaję o jedenastej z rana. To późno, co?.. Ale to tylko teraz, bo nie mam pensyonarki. Wstanę i o szóstej, gdy o zarobek chodzi. Pani wie: ja byłam w Rumunii!..

Wyprostowała się dumnie i uderzyła się po wypukłej i twardej piersi.

To bardzo daleko: to już koło Persyi wyrzekła z powagą.

No... kiedy się pani do mnie sprowadzi?wyrzekła po chwili milczenia.

Janka czuła, że nie powie „nie”, że już tu zostanie, bo przed chwilą, na tle błękitnych firanek, zamajaczyła jej, jak widzenie senne, złota głowa Kuniewicza.

Dziś wieczorem!odparła, podbita już zupełnie i obezwładniona.

Spiszemy umowę, i pani da mi zadatek. A ma pani rzeczy?

Janka zarumieniła się gwałtownie.

Niewieleodparła cicho.

Dama wpatrywała się w nią bystro.

A! to w takim razie, proszę mi z góry za miesiąc zapłacić! wyrzekła ostrym tonem;

Przez oczy jej przesunęły się dziwne, złe błyski; tylko usta uśmiechały się ciągle, ukazując dwa białe kły, spiczaste i lśniące.

Dobrze... ja zapłacę! szybko odparła Janka.

Z poza stanika wydobyla pieniądze, które zmieniała w Wiedniu.

Dama wpatrzyła się chciwie w niewielką garstkę błękitnych banknotów.

A! jeszcze jedno... Niema lampy. Pani musi kupić lampę, dzbanek do wody, szklanki... Teraz, co do bielizny: jeżeli mam dać prześcieradła, to o dwadzieścia franków drożej... Pani Lechemin da pani teraz dziesięć franków i tyleż co miesiąc. Czyszczenie kominka do pani należy.

Stawała się coraz bardziej wymagającą, wymieniała całą masę koniecznych sprzętów, których Janka sama dostarczyć miała. Szybko zorientowała się, z kim ma do czynienia, i poznała niezaradność dziewczyny. Jak sęp na zdobycz, tak rzuciła się, wysuwając z włóczkowych mitenek swe popękane, czerwone palce, zakrzywione jak szpony drapieżnego i bezlitosnego ptaka.

Godzi się pani?...zapytała wreszcie, przy

bierając napowrót swój najpiękniejszy uśmiech, spalonej w ogniu doświadczeń istoty.

Janka, nawpół osłabła z głodu i znużenia, skinięła głową. Wszystko jej jedno, gdzie mieszkać będzie: może jeszcze gorzej trafić, kto wie?... może ta kobieta, mówiąc o tych zbrodniach codziennych, spełnianych w hotelach i nad brzegami kanałów mówi prawdę?..

Janke przebiegł dreszcz trwogi... zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, wzrok jej spotkał całą masę błękitu, spokojnych fałd, opadających zacisznie ku ziemi. Dziewczynie zdawało się, że szafir ten odgradza ją od reszty Paryża i tworzy jakiś port bezpieczniejszy, poza którym zostają zbrodnie i wycia tłumu.

Zapagnęła pozostać w tym kącie, wśród tych ścian otulonych draperya i luster srebrnobiałych, drzemiących i cichych.

Gdy ujrzała przed sobą ćwiartkę papieru, na której dama w krezie stawiała nadzwyczajne koszlony, walcząc z zardzewiałym piórem i wyschlým kałamarzem pewnym rodzajem skwapliwości położyła obok czterysta franków, jakby chcąc się już zapewnić, że wreszcie ten błękitny kąć do niej należy.

Dama skończyła wreszcie redagowanie umowy i podpisała się pierwsza.

Nazywam się Sobieska, ale podpiszę się Martiou, Aristofana Martiou.

Janka spojrziała na nią zdziwiona.

Pani się nazywa Sobieska? Pani jest Polką?..

Nie... ani myślę być Polką. Przybrałam sobie to nazwisko w Rumunii, aby mojego własnego Martiou na codzień nie szarzać.

Pochwyciła pieniądze i w dotknięciu tych szeleszczących szmat uśmiechnęła się rozkosznie.

Z reszty kupię lampę i wszystko, co pani będzie potrzebna.

Potoczyła wzrokiem dokoła.

Może co przestawić?

Nieodparła Janka.

Może pani chce, aby krucyfiks zdjąć? Nie wiem, czy pani wierzy, ..

Janka spojrzała na mistyczny symbol, który na srebrnym tle lustra, jak ptak zbołały, skrzydła swe rozkładał.

Nie... wyrzekła proszę krucyfiks zostawić.

Jak pani się podoba... To po mojej matce. Była strasznie religijna. Ja... o!.. Oto moje bożyszcze!..

Podniosła w górę trzymane w ręku banknoty. Zaszemrały, zaszeleściły, jak zeschłe, bez zapachu kwiaty. Panna Martiou tryumfalnie wzniosła je ku górze, obejmując miłośnie spojrzeniem swych olbrzymich, południowych źrenic. U ramienia jej uczipiona kotka wyciągnęła łeb w górę, ku banknotom. żółtymi ślepiami migocąc w przestrzeni.

Przez chwilę zostały tak nieruchome, kobieta i zwierzę, wpatrzone w bożyszcze kraju, które uragać się zdawało wszystkiemu.

Nareszcie ręka Francuzki opadła, i pieniądze zniknęły w aksamitnej kieszeni, przyklepionej nisko pomiędzy falbanami spódnicy.

Czekam na panią z obiadem o szóstej, nie krępuję jednak pani, jeżeli zechcesz jadać poza domemmożesz i to robić.

Tylko w cenie to wszystko jedno... Pieniądzy za niezjedzone obiady, czy śniadania, nie zwrócę... Czy dobrze?..

Dobrze! odparła machinalnie Janka.

Przyjmować pani możesz, kogo chcesz; ja się do tego nie wtrącam... Tu nie pokój umeblowany, ale mieszkanie prywatne. Nie płacę patentu, i pani będziesz uchodziła za moją krewną. Zobaczysz pani... będzie tu pani bardzo szczęśliwa!..

Z poza okna nagle rozległ się dziki jękliwy wrzask:

Haaaa!

Kotka parsknęła i najeżyła się cała.

Haaaa! śmiało się ciągle to coś niewidzialne, straszne, grozy pełne.

To papuga z przeciwkatłomaczyła panna Martiounie bój się, Lolotto, nie bój się, córuchno...

Poczem zwróciwszy się do Janki, dodała:

Tak... tak... będzie tu pani bardzo wesoło!..

Haaaa!uragała papuga.

Janka uczuła dreszcz mimowolnej trwogi. Wrzask ptaka miał w sobie jakąś demoniczną siłę, tryumfalny akord przepowiedni smutku i zniweczenia tej wesołości, obiecywanej przez właścicielkę mieszkania.

Błękit firanek przybrał w jednej chwili żałobny jakiś ton zawieszonych w śmiertelnej komnacie draperyi. Po srebrze luster przebiegła mgła, jakby krzyk złowróbnego ptaka wdarł się przymocą poza muślin zasłonek i osiadł tchem włóczącej się mary na nieruchomo w przestrzeni znaczących się taflach.

III.

Nie zaraz przecież przyszedł Kuniewicz, zawezwany listem Janki. Zapowiedział kilkakrotnie swe odwiedziny i odwoływał je zbyt późno, tłumacząc się brakiem czasu.

Janka kupowała kwiaty, układała je w koszykach, wazonikach, nie umiając oddzielić postaci chłopca od wiązanek róż, które całami masami zaścielały trotuary ulic.

Jakieś pragnienie estetycznego piękna ogarnęło teraz istotę dziewczyny. Wśród luster i gipiur zaczęła być więcej kobietą i pragnąć coraz więcej kobiecości. Zapach paczuli, impertyuenci i narzucający się, drażnił ją, jak ręczniki wykrochmalone, które zawieszała jej Aristofana na marmurze umywalni.

Kupiła „Whiterose” i starała się tą wonią, łagodną a idealnie zmysłową, wypędzić paczulę. Nie udało się jej to w zupełności. Te dwie wonie jednak, zmieszane, wytworzyły zapach pośredni, odrębny, dziwnie sugestywny. W pobliskich magazynach

nach wybrała sobie sukienkę domową, błękitną, przybraną żółtawymi koronkami, i na ulicę długi płaszcz z mieniącą się, szafirowej sycylii, silnie bufowany w ramionach. Zmieniła kapelusz na płaską kapotkę, ubraną węzłem granatowego aksamitu, i szybko zrzuciła z siebie skórę cudzoziemki, odznaczającej się dziwnie wśród paryskiego otoczenia.

Gdy wracała do domu o południowej godzinie, z pękiem róż w dłoni, cała błękitna w promieniu letniego słońca, ze smutkiem w całej postaci, wyniosłej i tak od pokurczonych i chudych ciał Paryżanek różnej, stawano na ulicy, patrząc za nią z pewnego rodzaju poważnym zdziwieniem, i śledzono to niebieskie zjawisko, sunące zwolna, spokojnie wzdłuż domów, jakby po ścieżce niewidzialnego dla innych świata.

Aristofana Martiou, dumna ze swej lokatorki, usnęła już o niej całą legendę, którą owocarka opowiedziała rzeźniczce i t. d.

Słowem, cały quartier, to odrębne państwo w państwie, Paryż w Paryżu, wiedział obecnie, że Janka jest tout ce qu'il y a de mieux, że jest córką jakiegoś generała, że przybyła do Paryża po spadek, należny jej po matce, księżnie Bibesco do domu, a Mouffetard z drugiego męża... że prześladowana przez ojczyznę, musi się ukrywać, i rozmaite inne, tym podobne brednie, które bony z ulicy Condorcet i ulic przyległych komentowały z dorożkarzami z Avenue Trudaine, pijąc absynt na cynkowej blasze u narożnego szynkarza.

Pomiędzy niemi Aristoiana, w krótkiej spódnicy, najeżonej riuszami, bez czuba, w żakiecie aksamitnym, z barchanowemi łatami, przesuwała się co rano z miną zaferowaną, kupując nawpół zgniłe ryby, margarynę, chleb odgrzewany, wysortowane mięso, na pożywienie swej pensyonarki.

Na dnie koszyka siedziała wiecznie skomląca Lolotta, dzwoniąc łańcuchem, który miała na szyi.

Zakapowane przez Aristotaną wiktuały były zwykle tak nieświeże, iż kotka, parszając, odwracała łeb w drugą stronę kosza. Lecz południowa przebiegłość Francuzki potrafiła sosami z pomidorów, pietruszki, cytryny, muli, zagłuszyć w chwili podania na stół zgniliznę produktu. Zresztą, dawało jej to niemal pięćdziesiąt procent zysku. Za tę kwotę nie tylko Jankę, ale siebie samą byłaby z czystym sumieniem otruła.

Przychodziło to łatwiej, niż się spodziewała, Janka, niespokojna i zdenerwowana, jadła mało, nie zwracając uwagi na to, co je i pije. Najczęściej dzieliła się z Lolottą, która asystowała przy stole, leżąc w koszyku, wybitym kawałkami riusz, falban i starych spódnic Aristofany.

Kotka zlizywała sos, pozostawiając starannie mięsa i ryby na boku.

Jance było to obojętne; myślą błędziła ciągle po Paryżu, szukając Kuniewicza.

Gdzie jest? co robi? czy już nigdy nie przyjdzie? czy wszystko dla niej stracone na świecie?

Tymczasem Aristofana krzykliwym głosem opowiadała jej nadzwyczajne przygody swego dzieciństwa. Tak, ma chere, była córką młynarza, pod

samym Awinionem, jedynaczką, jak oko w głowie pielęgowaną. Wychowała się w klasztorze, i na samo wspomnienie tego wychowania krew jej do głowy nabiega. Sześć lat uczyła się pisać i do tej chwili nie umie trzech słów bez błędu wysztychować.

Cape di Diou! odebrali ją wreszcie i trzymali w domu, chcąc za mąż wydać. Ale ona nie głupia! Ma chere!... za mąż? po to, aby mąż wydał franki, które jej ojciec zebrał? Nigdy!...

Bon Dioul... Pozostała panną: jest republikanką i wie, co ma myśleć o oubliettes, w których dawni panowie wrzucali biednych poddanych i tam trzymali lata całe...

Mówiła to wszystko z wielkimi gestami, całą najeżona od buf i falban, dodając bezustannie wykrzykniki: be, te, od których Lolocie sierść jeżyła się, jak od wrzasków papugi. Proklamowała swe libré penseur'stvo, urągała ministrom i żywiła najstraszliwszą nienawiść do p. Loze'go, prefekta policji, o którym mówiła z gorzką ironią i natrząsaniem się. Pisywała bowiem kiedy niekiedy sprawozdania o nocnych napaściach na jej mieszkanie i adresowała je poufnie do prefektury policji. Nie otrzymywała nigdy odpowiedzi i stąd wzrosła jej nienawiść do tej instytucji.

Bezustannie głosiła się republikanką, lecz z dziwną zaciekłością szukała błędów w postępowaniu rządu, a znalazłszy, krzyczała głośno, tryumfując, tak, jakby ta forma rządu właśnie nadana była i narzucona przez wrogie, a bardzo silne żywioły. Była wyborem uosobieniem południa Francji, zepsutego

trzydziestoletnim pobytem na bruku Paryża. Dumna ze swego dziewictwa w środku wyuzdanego i rozpalanego społeczeństwa, miała ona chwile zupełnego szału mistycznego, szczególnie gdy zaczęła przed Janką roztaczać obrazy znikczemnienia związków małżeńskich i upadku macierzyństwa, przechodzącego powoli w krainę mitów.

Niema dzieci! krzyczała niema dzieci!.. Wielki naród Francuzów wyginie!... Kobiety nie chcą być matkami... Podłe! Janka uśmiechnęła się lekko. Przecież pani sama nie chciała wyjść za

mąż i mieć dzieci, j Aristofana zmarszczyła brwi z duma.

Ja nie na to odziedziczyłam tę trochę

franków, aby za nie dzieci wychowywać!... Zresztą, byłoby nie wystarczyło. Dziecko to rzecz kosztowna.

i Porwała z koszyka kotkę i zaczęła ją całować
namiętnie.

To jest moja córka! to jest moje życie! To nie kosztuje... mamce nie trzeba płacić co miesiąc. trzewików nie trzeba kupować... do szkoły nie trzeba posyłać.

Za cóż więc pani tamte kobiety nazywa podłemi?

Bo one mają na to, żeby sobie na taki zby

tek, jak dziecko, pozwolić. Ja nie mam, nie mam! O! w życiu mojem jest cała tragedia!... Ja to pani opowiem kiedyś...
później...

Otworzyła szafę, ukrytą w murze, i wydobyła
z niej wielką skórę, w białe i rude łaty.

To był mój zbawca... wyrzekła tajemniczo mnie od śmierci ocalił! Biedny Loulou!..!

Z rozrównieniem niekłamanem wpatrywała się w skórę kocura, a Lolotta cofnęła się, jeżyła się i wyciągała pazury, jakby gotując się do obrony przeciw martwemu wrogowi.

Wieczór zapadał powoli, i w ciasnej, ważkiej salce jadalnej, obitej żółtym kretonem w wielkie czerwone róże, włożyły się jeszcze resztki dnia, niepewne i drżące.

Całe ściany były pokryte półkami, z których sterczały olbrzymie bukiety robionych kwiatów, purpurowych potwornych goździków, fioletowych nieśmiertelników, białych od kurzu, zczerniałych lilii, otulonych w masy szarozółtej, delikatnej jak miotły wiedźmioletlicy.

Była to orgia batystu, perkalu i drutów, cała kaskada potwornego przedrzeźniania natury, osnuta kurzem i rozjaśniona migotliwą iskierką szklanych bań ogrodowych, zasadzonych na patyczkach pomiędzy tą masą kwiatów.

Płyta kominka migiała pod żardinierką, w której sterczały papierowe liście; na lampie, wiszącej nad stołem, wiły się girlandy powoju; portyery były podniesione wieńcami niezapominajek.

Olbrzymi, rzeźbiony kredens miał pozór prowincjonalnego ołtarza, tak był cały obstawiony szklanymi wazonami, w których tkwiły pęki srebrnych i złotych, zagadkowych roślin.

Przez uchylone drzwi widać było drugi, malutki pokój, zastawiony kwadratowym łóżem, nad którego baldachimem biegła olbrzymia równianka,

natykana makami. Z pod tej masy pociętej bibuły i perkalu zwieszały się białe muślinowe firanki, na których leżały poczepiane pęki stokrotek, związanych brązową tasiemką. Pomiedzy fałdami muślinu, w głębi, czerniała głowa Gambetty, wycięta z jakiejś ilustracji, na lewo uśmiechał się cały rudy Boulanger i prospekt ekskursji do Nizy różowił się lekkokrwawą plamą. Koło łóżka stół, zarzucony masą książek rachunkowych, rejestrów, papierów, numerami „Radical'a”

Na wszystkie te sprzęty patrzyła Janka nieco sennem i zmęczonym okiem. Zaczynała już teraz pytać się samej siebie, po co przyjechała do tego Paryża, w którym znalazła się tak sama i zupełnie opuszczona?... Co dalej robić będzie? pracować? uczyć się? lecz jak?... Kto jej wskaże drogę?...

Cicho zastukano do drzwi przedpokoju.

Aristotana wysunęła się i po chwili wróciła, prowadząc za sobą jakąś kobietę.

Była to młoda dziewczyna, bardzo blada i wątła. Wysoka, ubrana w długą bluzę robotniczą na jasnej popielatej sukience, chyliła się, idąc ku przodowi, jakby uderzenie jakieś silne przetrząciło jej krzyż na dwie połowy.

Wszedłszy, usiadła na krzeselku i westchnęła ciężko.

I cóż?... spytała Aristofana.

Znow mnie odprawili odparła robotnica. Mówią, że to sezon martwy, że nie ma roboty dla nich samych... Przyrzekli, że przyślą, gdy tylko obstalunek wpłynie.

A zapłacili?

Młoda kobieta otworzyła rękę i pokazała leżącą na dłoni srebrną monetę.

Sto su! wyrzekła z goryczą. Aristofana wyciągnęła rękę.

Dajno! winna mi już jesteś za cały miesiąc. Teraz uszyjesz mi koszulę, a ja cię za to będę żywiła.

Dobrze odrzekła robotnica.

Od kilku chwil przypatrywała się Jance. Janka nawzajem obrzuciła siedzącą ciekawym wejrzeniem. Pierwszy raz widziała robotnicę francuską z bliska.

Aristofana wyszła do sypialni, i dwie dziewczyny pozostały teraz same, milczące, wpatrzone w siebie jakąś nieprzepartą, magnetyczną siłą.

Janka miała ochotę przemówić pierwsza, pytać, dopomóc, lecz ta druga w swej czarnej długiej bluzie, trzymała się opornie, cała blada w zapadającym powoli zmroku.

Wreszcie Aristofana wyszła z sypialni, niosąc podłużne zawiniątko.

Masz... to poprujesz jeszcze dziś w nocy! Młoda kobieta powstała z krzesła. Aristofana popychała ją ku wyjściu.

Idź obiad ci sama na górę przyniosę... Robotnica skurczona, zgarbiona, wzięła tłomo czek i przechodząc koło Janki, całą stopą dużą i ciężką, nastąpiła na fałdy jasnej spódnicy, leżące na posadzce. Janka, zmieszana, cofnęła się w głąb i mimowoli przeprowadziła odchodzącą spojrzeniem.

W jednej chwili stanęła jej w myśli postać Marysi

Przypomniała sobie, że tamta w ostatnich czasach trzymała się także tak pochyło i szła powoli, jakby popychana niewidzialną dłonią.

W przedpokoju Aristofana zatrzymała jeszcze robotnice.

Mówiła mi bona z trzeciego piętra, że widziała cię u frotera wyszeptała tak dobitnie, że Janka słyszała doskonale każdy wyraz.

To nieprawda! odparła żywo ta druga wreszcie, gdyby nawet... On ma kominek i pozwala mi ugotować sobie zupę. Pani przecież wie, że u mnie niema kominka...

No... niechby kominek! Pamiętaj, że ja głupstw nie toleruję.. Za biedna jesteś na to, aby sobie na romanse pozwalać...

Wiem o tem... Wyszła trzaskając drzwiami.

Aristofana założyła łańcuch i weszła do jadalni.

Stanąwszy przy stole, zaczęła wybierać resztki z talerza Janki i układać je na małej salaterce.

Kto to?zapytała Janka.

To Henryeta, moja lokatorka. Mam na szóstym piętrze pokój, przeznaczony dla sług. Wynajmuję go jej. Prawie dobry uczynek. Płaci mi franków, bo to poddasze i niema kominka.

Co ona robi?

Szyje. Teraz była u tapicera, ale nie stale, ot... jak się robota zdarzy. Czasem nic nie robi tygodniami całymi.

Czemuż pracy me szuka? Aristofana parsknęła śmiechem.

Cóż to? czy to tak łatwo w Paryżu? Praca?... hol hol tu więcej rąk luzem chodzi, niż jest spożytkowanych. Tu każdy pracuje za dwóch, więc naturalnie muszą być inni nie zajęci. Każdy oszczędza jak może. Ot ja służy nie trzymam i sama wszystko robię.

Mogłaby pani tyle nie pracować i Henryecie połowę roboty oddać.

Aristofana wytrzeszczyła oczy.

Po cóż ja mam się z drugim robotą dzielić, kiedy na tem skorzystać mogę?

Ależ pani jeszcze i tak korzyść osiągnie.

Tak... ale mniejszą.

Za to Henryeta nie będzie głodem marła.

A cóż to mnie obchodzi?

Ale pani często z sił opada. Przecież sama to najdoskonalej widzę...

Tak... ale za to mam pociechę, że gdyby się z winnicami memi co złego stało, to jeszcze żebrać nie pójde.

Janka powstała, czując dziwny niesmak, nagłą pustkę i opuszczenie.

W świetle już zapalanej lampy, przez jaskrawy refleks czerwonego abażuru, twarz Aristofany nabierała fatalnych, niemal krwawych blasków. W sinej prędze ust błyskały spiczaste zęby, jakby głodne i pokarmu do żucia się domagające.

Nagle Jance przypomniała się płaska, ordynarna, czerwona skarbonka, w którą przez pewien czas z Połą składały groszowe oszczędności.

Ta mania kapitalizowania nie trwała długo. Janka miała instynktowny wstręt do odkładania i sporządzenia sobie choćby cienia „własności”. Prędko więc skarbonka została rozbita wśród kłótni i wymysłów Poli, która miała w sobie więcej zmysłu egoistycznego i pragnień samoużycia, choćby częściową odmową codziennych potrzeb złożyć środki na to użycie przyszło.

Niemniej przeto w pamięci Janki pozostało wrażenie czerwonej, lśniącej skarbonki wiecznie głodnej i nienasyconej, z blizną nigdy niezagojoną, połyskującą w cieniu białawą, prostą linijką niezasmarowanej farbą gliny.

Gdy Aristofana w czerwonym świetle lampy mówiła, iż pracuje za dwóch, a Henryeta mrze głodem, Jance zdawało się, że w wargach Francuzki znaczy się blizna skarbonki, pożerającej chciwie nawet ołów guzika, nawet monetę wyszła z obiegu, byle tylko jak najprędzej i jak najlepiej swe pękate wnętrze wypełnić.

Przeszła do swego pokoju i, zapaliwszy lampę, pokrywszy ją różowym abażurem, zapuściła rolety.

Ciepły zapach wanilii owionął ją całą.

Podczas dnia padał deszcz i trzcina zmoczona wydawała z siebie woń słodką i upajającą...

Dziewczynna powstała tak chwilę, twarzą ku ulicy zwrócona.

Głuchy łoskot, płynący z ulicy Martyrs ciężki stukot omnibusów szamotał się zwartym kłębem poza zasłoną trzciniową. Parissport resaltat!...

Reszta słów, ochryplym głosem na wiatr rzuconych, ginęła w przestrzeni. Człowiekchart leciał dalej, naszczekując wygraną, obwieszczając dopadnięcie drugiego zwierzęcia do mety. Ów, tam, w Auteuil lub w Saint Ouen, miał boki zapadłe i krwią zbroczone od wpitej w ciało szpicruty... Ten, ta, pędząc po ulicach Paryża, nie miał ciała na kościach od ciągłego biegania i z płuc wydobywał świst, a z gardła czasem grudkę krwi spieczonej.

O czym?...

Janka dręła całą, krew jej nabiegła do głowy, w uszach zaszumiało.

Poza nią stał Kuniewicz, cały różowy od blasku jedwabiu, osłaniającego lampę, złoty od jasności swych włosów, błękitny od tła kotar, na których rysował się, jak widzenie nocy letniej.

W rękę trzymał wiązanek róż delikatnych, o płatkach tak żółto różowych, jak jego powieki.

Ubrany był jasno: w zniszczony, ale czysty, popielaty żakiet, w białą kamizelkę i jasny, długi krawat w drobne czarne punkta.

Janka stała chwilę nieporuszona, chłonąc w siebie jego uśmiech, złoto jego włosów, całą wreszcie postać, tak nagle w ciszy i błękitnie jej pokoju wykwitła, jak mistyczny kwiat szczęścia w noc, od blasków księżycowych jasną.

Pytałem: o czym?...powtórzył Kuniewicz i, nie czekając na odpowiedź, podał jej róże.

U nas, w kraju, na nowe mieszkanie przynosi się chleb i sól... ja przyniosłem pani trochę kwiatów, bo chleba i soli to chyba nie brak?...

Położył kwiaty na tualecie i obejrzał się dokoła.

Wcale szykownie!... Oj! będzie z pani burżuazka, widzę to aż nadto dobrze!...

O, nie!broniła się Jankaprzecież w sposobie urzędzenia trochę estetyczniejszego otoczenia burżuazya się nie objawia!

Zapewne... ale jest w tem już pewna miękkość, która rozleniwia, a w takim dobrobycie łatwo o nędzy drugich się zapomina...

Janka spojrzała na niego zdziwiona.

Mnie się zdaje przeciwnie! wyrzekła, odstepując od okna. Ja przynajmniej nigdy tak nie myślałam o tych, co cierpią, jak podczas karnawału, który minął w Warszawie!

Urwała nagle, bo zdawało się jej, że Kuniewicz uśmiecha się ironicznie.

Zresztą... może pan ma słuszość! dodała pośpiesznie.

Usiadła na szezlongu, tuż pod abażurem lampy, który całą kaskadą różowego światła oblał jej twarzyczkę.

Niechże pan usiądzie...prosiła, niezgrabnym gestem wskazując fotelik.

Zaczynała już drzeć, jak zawsze, gdy znajdowała się w pobliżu tego człowieka.

On nie siadał stał ciągle, i teraz całe dziesiątki jego postaci odbijały się w masie luster, rozmieszczonych na tle draperyi.

Jance zdawało się, że jest otoczona nagle jakąś mistyczną masą złotowłosych ludzi, z których każdy sercem jej wstrząsa i mózg wyżera do głębi.

Zdolność myślenia i porządkowania tłoczących się wrażeń ustawała w niej z przerażającą szybkością. Wobec Kuniewicza stawała się chaotycznym amalgamatem wirujących w szalonej sarabandzie myśli.

Zjawisko to przychodziło na nią razem ze drzeniem całego ciała. Owe nerwowe, a więc zmysłowe odruchy mąciły świadomość jej duchowej istoty. Stawała się na chwilę jedną falą krwi, zalewającej jej oczy purpurową płachtą.

Mimo to wszakże, każdy z wyrazów, wypowiedzianych przez Kuniewicza, pozostawał najdokładniej wyryty w jej pamięci później, gdy już obecność jego nie szarpała nią nerwowo, wyrazy te wiązały się w zdania, nabierały właściwego znaczenia i wydawały owoce, kształtując uspokojoną i nie podlegającą cielesnym wrażeniom duszę dziewczyny w duszę człowieka o szerokich, jasnych ideach i gorących jak krew pragnieniach.

Lecz ten zwłaszcza wieczór miał w sobie całą moc uroku letniej, rozmarzającej ciszy buduaru o miękkich draperyach i woni róż wędnących na tualecie i na pluszu, kryjącym marmur kominka.

Aristofana, uproszona przez Jankę, podała przezedrzwi drobne, suche ciasteczka i herbatę w ładnych, sewrskich filiżaneczkach, na których głowa pani de Parabere i pani Dubarry uśmiechały się delikatnie na jasnym tle porcelany, ożywionej srebrem weneckich, koronkowych łyżeczek.

Cała „rasowość” Janki, zabita i znękana brutalnością Podolskiego, ujawniała się teraz dopiero w zamięłowaniu elegancji estetycznej każdego, najdrobniejszego szczegółu.

Wśród tych szczelnie zapuszczonych firanek, woniejących sugestywną wilgocią, w ścianach z których spadały całe masy szafiru o turkusowosrebrnych odcieniach, w oświetleniu, przefiltrowanem przez jedwab i koronkę, w sukience jasnej, lekko w stanie sznurem ściśniętej, która miała w swych tałdach rozkoszną skromność nieszytej sukni westalki ujawniała się nagle Janka w tryumfie i przepychu swej płci, potężna doskonałą pięknnością.

Zupełnie bezwiednie, w drzeniu nerwowem swego dziewczęcego ciała, Janka miała poddanie się miłosnej męczarni, ku tryumfalnemu akordowi dążącej gorący ten prąd, przesycony zapachem róż, herbaty, wonią werweny, rozmokłej trzciny nieznacznie, zdradziecko zasnuwał tych dwoje w siatkę niesiornułowauych dążeń i pragnień, rzucając ich nagle w chwilowe otumanienie, w którym, jakby pod wpływem narkotyku, zmysły ich zapadały w półsen bolesny i niepokojący...

Powoli i Kuniewicz zaczął odczuwać w sobie czar ten kobiecy, głos jego rwał się teraz drżącymi szmatami i zawisał w powietrzu... Był przecież mężczyzną, chłopcem młodym, organicznie rozwiniętym, nerwowo zmysłowym, z krwią łatwo pulsującą pod atlasem delikatnej skóry. on, tak jak Janka, siedział w oddaleniu, niemal bez ruchu, słuchając opowiadania dziewczyny o jej dziecięcych latach. Chwilami rzucał pytania, podtrzymując rwący się wątek, lub prosił miękko, łagodnym głosem:

Niech pani jeszcze co powie o sobie... Ona z łatwością czyniła zadość jego prośbom.

Raz dlatego, że w ten sposób zbliżała go ku sobie, powtórę, że zmieszanie i dziwny niepokój, który ogarniał nią całą, ginął, trochę zgłuszony dźwiękiem jej niskiego, harmonijnego głosu.

Chwilami dawała się nawet porywać dawnym wspomnieniom.

Przeszłe jej życie, a szczególnie ten karnawał, w którym włóczono ją z balu na bal, nakształt towaru na zbyciu, nappełniał ją wielką goryczą.

Dziś nie rozumiem, jak mogłam tak długo wytrzymać i znosić podobny sposób życia! mówiła niemal ze łzami w oczach. Pan nie masz pojęcia, co to za upokorzenie dla kobiety taka ciągła wystawa, taka pogoń za mężem, jakby to był jedyny cel życia wyjść za mąż, bogato! Prawda?...

Przelotny uśmiech przesunął się po wargach Kuniewicza.

Dostrzegła go Janka.

Z czego się pan śmieje? zapytała.

Nic... tak sobie! Ładnie pani wygląda, gdy się pani unosi... Niech pani opowiada dalej...

W Warszawie, gdy każda chwila, spędzona z nim sam na sam, była prawie skradzioną życiu, byłaby Janka uczuła chłód w sercu. Lecz tu, z tą pewnością, iż mogą nieraz jeszcze się spotkać w takich warunkach, dziewczyna nie odczuła nerwowego spadku w tonie i słowach mężczyzny. Przytem urok, który był wynikiem owego promieniowania całej istoty Kuniewicza, ogarniał ją całą.

Kuniewicz mógł teraz śmiać się z niej, drwić, szydzić, kobieta nie odczuwała nic, febrycznie drzą

ca, bezprzytomna, jak przed nadejściem fatalnej burzy.

Teraz on przysunął się do niej i patrzył z zajęciem w twarz jej zaróżowioną i gorącą.

Ona usunęła się na poduszki szezlongu, znacząc się delikatną sylwetką na tle szafirowego pluszu.

I pomyśleć! ciągnęła dalejże do dziś dnia prowadziłabym to samo życie, bezmyślne, egoistyczne, ślimacze...

włóczyłabym się z balu na bal, z wieczoru na wieczór i wreszcie poszłabym za mąż, za jakiego Frankoporta w najlepszym razie. To okropne! Tymczasem... pan stanąłś na mojej drodze i...

Urwała zmieszana.

Słowa te wyszły z głębi jej duszy. Powiedziała jej prędzej, niż ogarnęła myślą. Nie śmiała spojrzeć na siedzącego naprzeciw niej mężczyznę.

Lecz on ujął jej rękę, spoczywającą w fałdach sukni.

Pochlebiam mi pani wyrzekł trochę cichym i zmęczonym głosem mówiąc, że to ja wpłynąłem na obudzenie w pani poczucia sprawiedliwości i dążenie do szlachetniejszych w życiu celów. Pragnienie to było w pani zawsze, i tylko

pewne, silniejsze, a bardziej sprzyjające okoliczności pozwoliły mu się na jaw wydstać i w czyny ułożyć. Dusza pani nie była martwąoną spała.

Janka odetchnęła swobodniej.

Podczas gdy ona, rzucając niebacznie słowa wyznania swej miłości, nie myślała w danej chwili o niczem innym, tylko o gorącym i serdecznym uczuciu, przepelniającem jej serce, Kuniewicz zrozumiał

widocznie inaczej jej słowa i nadał im inne, bardziej dachowe znaczenie.

Mimo to nie puszczał jej ręki, i czuła, że dłoń

jego, zwykle chłodna, rozgrzewa się powoli, jakby w zetknięciu z płonącym ogniskiem.

Zegar na kominku wybił pierwszą, na ulicy panowała zupełna cisza.

Wśród tej masy kotar i zasłon oboje czuli się jak spowinięci w welon niepamięci, oddzielający ich od reszty świata.

Kilkakrotnie oczy ich spotkały się w bladej, różowej jasności, płynącej z pod abażuru lampy. Źrenice ich maciły się, zasnuwały bielmem, usta otwierały, jakby dręczone pragnieniem.

Już późno wyrzekł wreszcie Kuniewicz, nie poruszając się z miejsca.

Tak... późno... powtórzyła, jak echo, kobieta.

Dobrze tu u pani... spokojnie i cicho...

Tak, cicho...

Zdawała się być już jego echem, nie mieć swoich słów i myśli.

I nagle oboje powstali z miejsc i stanęli tak naprzeciw siebie, złączeni łańcuchem rąk, cali ciepłi od jednego prądu, który ich ciała przebiegał.

Chwilę wzrokiem bładzili po swych twarzach, wreszcie stalowe źrenice mężczyzny wpiły się w różowe usta kobiety.

Dostawała mu zaledwie do szyi, tak był wobec niej wysoki i przerastał ją o całą głowę. Nieznacznie, więcej myślą, niż ruchem, pociągnął ją ku sobie.

Janka bezwiednie podniosła twarzgorący oddech Kuniewicza owionął ją całędaszcz jego miękkich, jedwabnych włosów spadł na jej czołoi usta ich złączyły się w wyczerpującym, długim... bardze długim pocałunku.

Janka, mdlejąc z nowego dla niej, a rozkosznego dreszczu, usunęła się w ramiona mężczyzny, lecz ust nie odrywała, czując, że w tej chwili życie jej przechodzi w żyły tego człowieka, tak, jak nawzajem jego istnienie łączyło się z jej istotą, dając jej chwilowe ukojenie niepokoju i braku, które nią od chwili rozpoczęcia się w niej procesu miłości wzrastało.

I nagle, w ciszę tego pocałunku, w tę woń róż i perlum, w blade światło różowej zasłony, w kaskadę szafirowych opon, zdaleka, jak z tumanów mgły wilgotnej i smutnej, wzniósł się głos niski, drżący, zawodzący z oddali monotonna, mistyczną piosenkę. Melodya była tak łagodna, jak kołysanka nędzy, głos złamany, o dźwiękach rozbitej harty, zjedzonej rdzą i śnieżną zawieją.

Głos ten wypełniał powoli całą ulicę i zdawał się rosnać i olbrzymieć wyciem zgłodniałego wilka.

Mężczyzna, który pieśń tę śpiewał, od Rocheboubartu ku Martyrom szedł, dobitnie każdy wyraz wymawiając:

Manon, voici le Soleil, C'est le Printemps, c'est l'Eveil, C'est l'Amour maitre des choses...

Ręce Kuniewicza, opasujące Jankę, opadły. Powoli oderwał usta od warg dziewczyny i lekko pobladły, oczy w ziemię spuścił. Teraz głos brzmiał już niedaleko okien:
Cest le nid dans le buisson,
Viens éprouver de frisson,
Da bleu, de l'or et des roses...
Rozmarzona dziewczyna tuliła się do ramienia mężczyzny. Lecz on szybkim gestem odsunął ją od siebie.
Ma pani drobne? zapytał krótko. Ona, zdziwiona, spojrzała na niego.
Mam... po co?
Niech pani zawinie kilka susów w papierzucił jej szybko i do okna podszedłszy, roletę podniósł.
Laisse moi dans tes grands yeux Gouter l'infini des cieux Et l'ivresse de ton ame... Laisse moi...
Kuniewicz z kieszeni wyjął dwa susy, i za okno się przechyliwszy, rzucił. Moneta stuknęła o brukspiew urwany przemienił się w mowę:

Meret, mon bon m'ssieu!...
W tej chwili Janka stanęła obok Kuniewicza, podając mu zawiniętą monetę.
Niech pani rzuci sama.
Janka oparła się o balustradę i rzuciła pieniądz na środek zczerniałej od ciemni nocnej ulicy.
Na środku zarysowała się nagle wyniosła postać mężczyzny, ubranego w kurtkę. Pochylił się, papier podniósł, odwinął i monetę w kieszeń schował.
Je vous salue ben! wyrzekł ochrypłym głosem.
Za chwilę włókł się dalej, śpiewając:
...dans tes bras blancs Berce mon reve troublant Et mon desir, qui se parne!...
Kto to być może? Czy tu wolno żebrać po nocy? spytała Janka.
To człowiek, który nie może znaleźć pracy dostatecznej dla wyżywienia się odparł Kuniewicz: Idzie w nocy i śpiewa...
pewnie z głodu.
Tymczasem mężczyzna ten szedł dalej, występując czasem w żółtej smudze, płynącej z latarni, zgarbiony, z wysoko podniesionym kołnierzem kurtki, z beczynnymi zwieszonymi rękoma po obu stronach ciała.
Verse, verse tes baisers A mes sens inapaises...

Janka śledziła wzrokiem, lecz była jeszcze nadto wzruszona, nadto nerwowo wstrząśnięta otrzymanym od Kuniewicza pocałunkiem, aby całe swe wrażenie skoncentrować w zjawieniu się nędzarza.

Spojrzała na Kuniewicza, który stał zamyślony, blady, z głęboką brózdą, przecinającą mu czoło.

Duszno tu u panidodał, odgarniając włosy czoła.

Janka śledziła go, zdziwiona i dziwnie upokorzona. W całym jego zachowaniu się, w ruchach, spojrzeniu, które przybrało dawny, ostry, chłodny blask, nic nie zdradzało tego pocałunku, który do tej chwili palił jej usta...

Pójdę już wyrzekł wreszcie Kuniewicz i wziął w rękę duży, jasny, słomiany kapelusz. Dobranoc pani!...

Dobranoc panu!...

Nie odsuwała się od okna, skrępowana, nie śmiejąc stanąć teraz w pełni światła i spojrzeć mu prosto w oczy.

Wyszedł, nie podając jej ręki, jakby czuł do niej jaką urazę za to chwilowe zapomnienie się, lub jakby bał się dotknąć jej płonącej dłoni.

Po chwili usłyszała Janka, jak Aristofana odsuwała rygiel, jak Kuniewicz schodził po schodach, i wreszcie ujrzała go na ulicy, idącego w stronę Martyrów. Nie obejrzał się nawet na jej okna; podniósł kołnierz od palta i szedł powoli, występując chwilami w jasnych strugach światła, płynących i latarni. Szedł tą samą drogą, środkiem ulicy, co opiewający nędzarz. Obaj mieli jednakowe pochy

lenie ramion i wleczenie nóg, zmęczonych i wyczerpanych.

Wreszcie znikł na zakręcie ulicy.

Janka stała tak jeszcze długą chwilę, nie mogąc nawet analizować uczuć, przez jakie w tych chwilach przeszła. Ponad wszystko jednak, wybijało się w chaosie wrażeń wspomnienie pocałunku i rozkosznego omdlenia, jakie ogarnęło nią całą w objęciach Kuniewicza.

Przemknęła oczy i odtwarzała sobie tę chwilę z dokładnością wielką. Zdawało się jej, że czuje jeszcze na swych wargach gładkie i świeże usta ehłopca. Nie chciała myśleć o zmianie nagłej i brutalnej, jaka w nim zaszła podczas śpiewu nędzarza. Była cała według słów piosnki:

Dans le bleu, dans l'or et les roses!...

Nagle szcęk porcelany i srebra przerwał jej marzenia.

Aristotana zbierała zastawę herbaty.

To pani... ami?zapytała Francuzka.

Tak! odparła Janka, nie wiedząc, jakie znaczenie nadają zwykle Francuzi temu słowu.

A!... ostrzegam panią. Nie jest bogaty... Oglądałam palto: czyste, ale bardzo zniszczone.

Janka nie odparła nic. Wzięła w rękę róże, przyniesione przez Kuniewicza, i utopiła w nich usta, znajdując podobieństwo tych płatków delikatnych do warg, które ją nauczyły przed chwilą całować i, umierając, odradzać się w rozkoszy...

— A czy pani zna go dobrze?..—badala dalej Aristofana—bo... niech pani pamietaja: te rastaquouery to najgorsze plemie...

Zebrala filizanki, talerzyki i kierowala sie ku drzwiom, eskortowana przez Lolote, ktora szla za nia, miauczajac cicho.

— Raz jeszcze pania przestrzegam przed cudzoziemcami... O! Pranzini, albo Prado—sami cudzoziemcy... Chodz, Lolotto! chodz, moja corko!.. Pobjdz, skonczymy „Radicara”; zobaczmy, co ten Rouvier z naszymi finansami porobi... Choć ja jestem oportunistka... o tem sie pani przekonala...

I z Lolotta znikla poza faldami portyery.

IV.

Byl to sennie sen, cos graniczacego z uspieniem i czuwaniem na jawie...

Chwilami zdawalo sie Jance, ze nie stapa po ziemi, lecz jest ponad nia, oderwana od wszystkiego, co banalnoscia dni powszednich bylo i, sciagajac nas w sfera powszedniosci, kaze wlec dusze i ciało, uduchowione, po szorstkich sciezkaach drobiazgowej malosci.

Ta trocha cywilizacyi, jaką nagle zostala przepojona dusza dziewczyny, nie zdołala jeszcze zabrac z jej umyslu naiwnego rozrzewnienia, ktore ogarnia dusze pierwotną i czystą w chwili wstapienia w kraine wszechwladnej i wszechpotecznej miłosci. Kobietą będac, na progu zycia, chciwa i stęskniona do jasnosci uczucia, Janka koncentrowala potege i potrzebe miłosci na jednym czlowieku, czyniac go niemal wladca swego istnienia. Dziewczyna kochala jednego czlowieka, lecz, będac juz w przedswicie udoskonalenia, miłosc swojaj zesrodkowala wlasnie w tym, ktory z abnegacyą najwyzszą szedl przez

zycie, wyrzekajac sie tego, co zycie mlodosci winno niesc w ofierze. Dazac do ogolnej harmonii, zgniolł w sobie pragnienie uzycia pojedynczej melodyi i, zasłuchany w tę teczę przeogromnej doskonalosci, pragnal zapomniec o swem wlasnym istnieniu... Pragnal zapomniec... Czy mogl jednak zapomniec zupełnie?.. Ciało, ascetycznie zmęczone i zdręczone, buntowalo sie w nim wszakze i chwilami zdawalo sie upominac o swe prawa. Obecność Janki, zblizenie sie do tego drugiego ciała, ktore z taką pokorną prosba slaniało mu sie do stop, w krolewskiej wspanialomyslnosci ofiarowujac danine swej piekności, doskonaliej i budzacej pragnienie zmyslowej pieszczoty, zaczynalo oddzialywac, jak prad goracej wody, na cala istote Kuniewicza.

To, co mial w sobie artystycznego tę czastke, wydarta nedzy i zaparcie sie spojrzecia w slonce piekności to wlasnie ciagnelo go ku tej kobiecie, ktora stawala przed nim, czysta i biala linia doskonaliej urody, cala błękitna w draperyach swej sukni, z oczyma szeroko otwartymi, jak dwie ciemne plamy aksamitu, w przejasnym owalu pobladłej lekko od wzruszenia twarzy.

Cisza, spokój, draperye szafiru, woń róż i ta dziewczyna, poruszajaca sie ze spokojem harmonijnego akordu, konajacego o zachodzie slonca, rwaly ku sobie dusze męczyzny, dusze spragnioną piekna, przeczuwajaca, ze poza pracą społeczną jest cały raj bialych ramion i piersi o różowych tonach porannej jutrzemki; włosów, złotą lub czarną kaskadą kryjacych koronki poduszek; szeptów, tak cichych,

jak szmer spadających płatków róży; spojrzeń, pokrytych białym welonem niedostrzeżonych łez, które rozkosz podzielana w półprzymknięte źrenice sprowadza.

Pierwszy pocałunek, zamieniony z Janką, pomimo piosenki robotnika, pomimo tego dysonansu nędzy, który wcisnął się pomiędzy purpurę warg tych dwojga, pozostał w głębi ciała mężczyzny i tlił się tam, nawet w pustych ścianach jego pokoiku, zawalonego stosami różnych ksiązek, wyszłych z mózgu tych, którzy przed nim władze swe życiowe, siłę żywotną i czas istnienia na ziemi oddali tym, co po nich przyszli.

Kuniewicz, zniszczony gorączką, która go trafiła z samolubstwem hydry, miał w sobie rozdrażnienie wielkie, całą sarabandę nerwowozmysłową, siłą woli uszpioną w szklanym pałacu raz przyjętego obowiązku, jak masę chochlików, spętanych więzami delikatnej przędzy duchowej.

Kuniewicz był z natury leniwo zmysłowym, poddającym się chętnie pod ciepłą kaskadę pocałunków kobiecych.

Lecz, o ile w kraju łatwiej było Kuniewiczowi oszukać głód zmysłów, rzucając im kiedy niekiedy na pastwę coś nakształt sekundy zapomnienia o tyle w Paryżu, wśród falangi przebiegających ulicę kobiet, delikatna jego dusza, pełna dziwacznych nierówności, szarpiąca się w ciasnej klatce ciała, nie mogła poddać się ani na chwilę katu szybanalnej ulicznej przygody.

Coraz silniej, coraz namiętniej, coraz fanatyczniej odzywało się w nim poczucie i chęć bez

ustannej pracy; chaos olbrzymiego miasta podniecał go i chwilami wprowadzał w szalę bezsilnej rozpacz.

Janka przyszła w porę, gdy w Kuniewicz szamotał się chwilowy trup ducha. Romantyzm zmysłów kazał mu szukać ust kobiecych. Znalazł je i równocześnie przepłynął po jego ciele dreszcz rozkoszy. Cofnął się, lecz wspomnienie dreszczu tego poszło za nim w ślad i spoczęło na ubogim łóżku, kryjącem się poza nędzną tkaniną zielonawej firanki. Po raz pierwszy dostrzegł w Jance kobietę i jak na kobietę spojrział gorączkowo, w śnie odzwierciadlając jej postać, pełną powabu i powolnego wdzięku.

Szedł ku dziewczynie, pchany zmęczeniem duszy, a ona otwierała mu swe ramiona i jak kwiat do słońca śmiała się do niego młodością swą, doskonałością urody, szlachetnością duszy przejasnej i przeczystej.

Spotkali się teraz w dusznej atmosferze Paryża, w pokoju, po którym snuły się jeszcze wspomnienia zamieszkujących go przedtem istot, przesiąkniętych piżmem, o oczach podkreślonych węglem.

Ogarnął ich miękki szal wyrafinowanej i przefiltrowanej w powolną torturę miłości. Szli teraz ku sobie, jakby po ścieżce promiennej, na której wykwił mityczny kwiat błękitnawych złudzeń.

Dziewczyna oddawała się cała, bez podziału, kąpiąc się w tej powodzi cichej i słodkiej ekstazy; mężczyzna nadał inną formę swej neurastenicznej

chorobie i szukał ulgi w promieniowaniu innego ciała, które zdawało mu się możliwe do dania kojącego chłodu, niszczącego gorączkę, która mu mózg, ciało i duszę żarła, jak sęp prometeuszowe wnętrzności.

V.

Co pani robi?

Piszę do Rouvier'a.

Po co?

Chcę go zapytać, czy długo ten głupi stan rządu trwać będzie?

Aristofana poprawiła się w całej masie nagromadzonych dokoła swych pleców poduszek.

Siedziała w łóżku, ubrana w brudną, flanelową, niebieską koszulę, od której odbijała dziwacznie jej twarz trywialna, ceglasta i pomarszczona.

Ponad nią, w prostych i przejrzystych draperyach spadały firanki muslinowe, przyćmione lambrekinami ałtasu, a na tej bieli dziewiczej i śnieżnej, pazurami wyciągniętymi, jak pozaginane szpilki, czepiała się i drapała Lolotta, wyginając swe ciało miniaturowej pantery we wdzięczne linie, lśniące od połysków czarnej, aksamitnej sierści.

Aristofana trzymała na swych kolanach rodzaj teczki ceratowej i na okładkach obdartych ze starych książek, kreśliła niekształne i koszlawe litery.

Włosy, zwinięte w skórzane papiloty, sterczały jej nad czołem. W szklance na stoliku mokły sztuczne zęby. Ponad nimi czerwieniły się papierowe róże i uśmiechał się portret Gambetty.

Janka stała przed nią uśmiechnięta, różowa, szczęśliwa.

Pocałunek, zamieniony z Kuniewiczem, stał się dla niej tem, czem rosa dla kwiatów. Wargi jej od wczoraj zachowały uśmiech rozkoszy i były wilgotne i ciemnopurpurowe, jak liście świeżo rozkwitłej róży.

Aristofana tymczasem skończyła brulion listu do prezydenta izby i zabierała się przepisywać go na czysto,

Pisuję często do ministrówwyrzekła, ocierając pióro o włosydalej im kiedy niekiedy rady, albo wymyślam, gdy popełnią jaką podłość. Nie odbieram wprawdzie nigdy odpowiedzi, ale to nic nie szkodzi. W ten sposób wypełniam obowiązek dobrej obywatelki. Ci panowie udają, że ich taki list nic nie obchodzi, ale zawsze myślą o uim, gdy idą do izby, zwłaszcza, gdy im zagrozę wityrolem.

Skończyła wycierać pióro o włosy i nagle porwała Lolottę w swe objęcia.

Chodź do mnie, droga córko!.. Ty nigdy nie zostaniesz brudnym ministrem... ty jesteś prawdziwa republikankanie sprzedajna Niemcom i Bismarckowi... Ty jedna mi pozostajeszjedna tylko!..

Kotka rwała się i miauczała, jak szalona, dławiona nerwowem objęciem Aristofany. Janka rzuciła się jej na pomoc.

Niechże pani puści to zwierzę!..

Lecz Francuzka przeszła dziewczynę oczyma, które w półcieniu alkowy gorzały, jak gromniczna
Puścić... zwierzę? Łołotta nie jest zwierzęciem!., to istota ludzka, która mówić nie umie. Ona wie, że jedynie na mojej
piersi znajdzie prawdziwą opiekę... Wobec tego, czym jest dzisiejsza republikanawet zwierzę nie może być spokojne...
Wyciągnęła pięść i, nagle, rzucając kotkę na ziemię, zaczęła wrzeszczeć:
Arystokracya!., och! więzienia, prawo nocy ślubnej... klerykalizm, papież!., dzieci pieczone żywcem... otoczem
dawniej była Francya. A to czym jest dzisiaj? Republika... Niech żyje republika!..
Nagle dzwonek zajęczał w przedpokoju. Aristofana porwała się za włosy.
Dzwonią... a ja w koszuli! Janka wstrzymała ją gestem.
Niech pani poczeka, ja otworzę...
Tak, tak... a jeżeli to o wynajęcie pokoiów, to poprosz do jadalni; ja tam zaraz przyjdę.
Janka wyszła i, wszedłszy w ciemną głębię przedpokoju, doznała jakiegoś dziwnego wzruszenia.
Nie był to nerwowy niepokój, lecz istota jej wewnętrzna zdawała się wyprzedzać jej ciało i biegnąć w stronę drzwi
zamkniętych i zupełnie niknących w cieniu.
Odryglowała łańcuchy i otworzyła drzwi.
Na tle jasnym, ujętem w obramowanie drzwi, zaciemniała nagle sylwetka mężczyzny. Był to rudozłoty blondyn, o
szeroko na piersiach złocistym wachlarzem rozkładającej się brodzie. Stał, z głową

troche pochyloną naprzód, kapelusz trzymał w ręk* i w ten sposób odsłaniał czołko, okrytą długimi, po obu stronach
głowy zczesanymi włosami. Włosy te były ciemno blond, o srebrnawych połyskach. Twarz różowa, o nosie orlim,
silnie zagiętym, wylaniała się z tej fali włosów, przechodzących całą gamę tonów od ciemnego błękitu niemal
począwszy, aż w złoto gorące i krwawe jak rubikonającą.
Z boku padała na tego człowieka cała masa różnobarwnych kolorów, w których przeważała purpura. Były to promienie
słońca, przefiltrowane przez kolorową szybę okna, oświetlającego klatkę schodową. Piersi miał okryte flanelową białą
koszulą, po której spływał strumień różnobarwnego światła. Szeroko rozwiana kurtka, czarna i zmięta, okrywała
cokolwiek wąskie ramiona. Stał w doskonale harmonijnej pozycji, nie mówiąc ani słowa, jakby w oczekiwaniu
pierwszego słowa ze strony dziewczyny.
Ona, ukryta w cieniu, uderzona niezwykłością zjawiska, odczuła nagle uspokojenie chwilowego rozdrażnienia i tego
wypromieniowania z siebie istoty, która zdawała się ją wyprzedzać i biec na spotkanie niewidzialnej, a ciągnącej ją
nieprzepraczonej ku sobie sympatii.
Była to jedna sekunda, lecz szybka i stanowcza; po jej przejściu zdawało się Jance, że już tak całe wieki stoi naprzeciw
tego człowieka, mając go najdokładniej w swych źrenicach i zakątkach mózgowych.

I nagle jak dysonans w akordzie, który zlewał się w harmonijną całość rozległ się wrzaskliwy głos Aristofany, która z poza drzwi wychyliła głowę:

Kto tam?

Janka odwróciła głowę. To pan...

Zatrzymała się, szukając w pamięci nazwiska. Nie mogła go znaleźć w chaosie wrażeń. Coś było w głębi jej mózgu, coś drzemiącego, co starało się obudzić i podszeptając jej jakieś dziwaczne imię z przed wieków wydobyte imię.

Uczuła w tej chwili ból i zniechęcenie. Zdawało się jej, że jest mumią, która oswobodzić się nie może z tysiąca łokci powijaków i maski, jaką na jej twarz włożono.

Ja... o wynajęcie pokoju przemówił nagle nieznajomy.

Aristofana wydała przeciągły okrzyk.

A!... panno Jeanne, wprowadź pani tego pana do jadalni.

Janka odwróciła się powoli, automatycznie i otworzyła małe drzwiczki, prowadzące do jadalni. Za nią wsunął się nieznoimy. Janka zauważyła, iż kroków jego słyhać nie było. Gdy wszedł do jadalni, spojrzała na jego stopy: miał filcowe obuwie, obłożone skórą rudawą, przyciemnioną brudem i nagromadzeniem pyłu. Stanął pod ścianą, ujawniając się pod boki. Był bardzo piękny na tle jasnego kretonu, który bukietami róż purpurowych tworzył poza nim szpaler kwiatów fantastycznych i zuchwale płonących.

Chwilę stał tak, nieruchomy, patrząc na Jankę, odwróconą tyłem do okna i rysującą się doskonale wysmukłą sylwetką na tle jasnej przestrzeni. I nagle prześliczny uśmiech rozjaśnił jego trochę zwiędłe wargi. Zielone źrenice o żółtawych blaskach rozszerzyły się pod drganiem rzęs złotych. Wyciągnął rękę i zaczął zakreślać nią w powietrzu linie i znaki, jakby rysując w przestrzeni linie ciała stojącej przed nim dziewczyny. Po chwili opuścił rękę i, wsunawszy ją w kieszeń, powtórzył kilkakrotnie:

Tak... tak... Drzwi otworzyły się z łoskotem, i Aristofana weszła do pokoju, odziana w żółty szlafrok, przystrojony masą falban brązowych. Za nią kroczyła Lolotta, wyginając swe chude ciało i błyszcząc zielonemi oczyma.

Pan chce wynająć pokój? Nieznajomy nie zmienił pozycji i tylko oczy wlepił w kotkę, która zatrzymała się o kilka kroków od niego i ocierała grzbiet o nogę od stoła, zajmującego prawie całą jadalnię.

Tak, chcę wynająć pokój, wyrzekł nareszcie niskim, ochrypłym głosem. Mówiła mi odzwrotna, że pokój jest duży i ma dwa okna. Potrzebuję dużo światła i dobrego światła.

Czy pan fotograf? Nieznajomy wzruszył ramionami.

Nie, malarz.

A!..

Aristofana milczała chwilę, wreszcie rzekła przyciszonym głosem:

A... to na pracownic?... Tylko widzi pan, nie wiem, czy lokatorowie się zgodzą. to dom, zamieszkały przez bardzo przyzwoite i ciche osoby...

Mężczyzna stał ciągle nieruchomy, tylko patrzył teraz wprost na Aristofanę i jakby cień melancholii pokrył jego twarz przed chwilą uśmiechniętą.

Nie robię wiele hałasu wymówił wreszcie lokatorowie mogą być spokojni.

Bo tu sama burżuazja i to rentyerzy ciągnęła dalej Aristofana są młode panny w domu, a malarze mają zwyczaj sprowadzać modelki... więc...

Malarz wzruszył ponownie ramionami.

Nie potrzebuję modeli; mam je wszystkie w sobie te nie sprawiają hałasu...

I nagle pochylił się ku Lolocie,

Księżycowe zwierzę... wymówił, wyciągając rękę.

Chwilę trzymał tak dłoń nad kotką, która nagle unieruchomiona, rozszerzone źrenice wlepiała w złotawozielone oczy mężczyzny.

Czyj to kot? spytał nie cofając dłoni.

Mój! odparła Aristofana. Malarz spojrział na nią ze zdziwieniem.

I pani go lubi?

Ubóstwiam; to moja jedyna córka i pociecha na świecie!

To dziwne ciągnął nieznamy ponieważ pani jest pod wpływem Merkurego, i księżyc nie ma nad panią żadnej władzy... Prędej pani...

zwrócił się do Janki pani jest tak

podległą księżycowi, że nie ma już pani nawet swej woli, zwłaszcza w czasie pełni...

Aristofana zaczerwieniła się i zacisnęła pięście.

Mój panie zawołała dlaczego paa mówisz, że ja jestem pod wpływem złodzieja?... Merkury,.. to złodziej!

Nieznamy opuścił rękę i wsunął ją znów w kieszeń od spodni.

Ma pani także w sobie coś z Saturnawyrzekł, patrząc na zaczerwienioną twarz Francuzkichoć i trochę, ale niewiele, słońca się w to miesza.

Spojrzał znów na Jankę.

Pani powinna nosić dużo złota... złote lub gorącopurpurowe suknie... Powinna pani siłą słońca starać się zwyciężyć wpływ księżycy; inaczej pani oszaleje...

Uśmiechnął się i powolnym, leniwym ruchem oderwał się od ściany.

Chodźmy zobaczyć pokój...

Lecz Aristofana zatrzymała go w progu.

Trzeba płacić z góry! Kiwnął niedbale głową,

Dobrze,

I skierował się ku ciemnej głębi przedpokoju, nie oglądając się poza siebie, posuwając z wolna swe stopy, które sprawiały cichy szelest suwanych po ziemi jesienią zwarzonych gałęzi.

Na kamiennym obramowaniu Sekwany usiedli teraz oboje, zmęczeni duchowo i fizycznie kroczeniem przez dzień cały wśród tłumu, pyłu, wrzasku katarynek i rozpustnych piosenek.

Całe miasto drżało od flag, zwieszających się z otwartych okien, a na placach — pajace i siłacze błyskali potwornymi hantlami i prezentowali różowe, świeżo wyprane i wycerowane trykoty w blaskach złocistego lipcowego słońca.

Kuniewicz i Janka o zmierzchu wieczornym zeszli w dół Sekwany i usiedli na wystających kamieniach, tworzących ramę tłustym i fatalnie zielonym falom rzeki. Po jednej i drugiej stronie wznosiły się ramiona mostów, poznaczone żeńcami zapalonych latarni.

Po ciemnej przestrzeni wody snuły się, jak czarne łabędzie, statki i łodzie. Niektóre miały na swych ciałach poprzyczepiane masy żółtawych latarek i te fruwały dokoła, jak rój świecących much nad masą nawpół przegniłego trupa.

Janka przysunęła się do Kuniewicza i oparła głowę o jego ramię. Nie była jeszcze jego kochanką, nie należała do niego, lecz przez tych ostatnich dni kilka żyli oboje w bezustannej ekstazie i silnym podnieceniu nerwów.

Lgnał teraz do Janki w rozmarzeniu półsennej, składał głowę na jej piersi, szukał jej dłoni, i, raz ją ujawszy, palce swe z jej palcami splatał, cały gorący i rozpalony, przymykając oczy, jakby nie chcąc widzieć tej, która go w stan tego szału wprowadzała.

Owo ochłodzenie nagle na głos robotnika znikło zupełnie, nierówności i ostre kanty jego charakteru wyrównały się, był drobny, mały, zmęczony walką.

Janka upojona, szczęśliwa, pogrążona z egoizmem, niemal zuchwałym, w tej miłosnej ekstazie, nie czuła nawet, ile sztucznego napięcia było w duszy tego człowieka. Ogromem swego rozbudzonego ducha, całego płonącego miłością świeżą i zdrową, oddziaływała chwilowo na istotę Kuniewicza, podnosząc go razem z sobą ponad świat i ludzkość całą.

Na prawym brzegu, daleko poza mostem Alma, porwały się od ciemnej ziemi ogniste race. I nagle tłum, zbity w czarną i gęstą masę przy ciemnej balustradzie mostu, zawył radośnie. Race pękały na tle szafiru, zdając się uragać gwiazdom, które, spokojnie unieruchomione, świeciły blade w porównaniu z gorącym blaskiem szmermeli. Daleko płonęła wieża Eiffel i srebrzyło się Trocadero, jak fantastyczna korona, z płomieni gazowych utkana.

Jedna race jeszcze, deszcz ognia i jeden więcej ryk tłumu.

— Ciesz się — wyrzekła Janka.

— Tak... ciesz się — powtórzył machinalnie Kuniewicz.

Nie patrzył wszakże na fajerwerki, oczy miał przymknięte, ręką mimowoli rąk Janki szukał.

Ona podała mu swą dłoń.

Cały dzień dzisiejszy spędzili razem, bez dysonansu w akordzie miłosnym. To nagle poddanie się Kuniewicza pod jej urok napełniało ją dumą i trwogą. Przeszłość, ojciec, brat, siostra, porwane pieniądze, wszystko to znikło z jej myśli.

Istniała tylko terażniejszość i przyszłość długa, rozkoszna, jak tęczą, obejmująca miłośnie cały horyzont jej życia.

Porwała ją hydra miłości i żarła jej duszę ciało, odbierając wolę, wiedzę i rozsądek.

Nagle, tuż koło niej, zamajaczyła ciemna sylwetka mężczyzny.

Nieznajomy zbliżył się powoli, wysuwając się z pod filarów mostu. Szedł cicho i kroków jego po kamieniach słychać nie było. Zbliżył się do Janki i Kuniewicza i usiadł obok nich tak cicho, że Janka, odwróciwszy głowę, zdziwiła się, dostrzegłszy kogoś obok siebie.

W tej samej chwili, na statku, płynącym środkiem Sekwany, zapalono purpurowy ogień. Krwawy blask oświetlił dziwnie skurczoną postać mężczyzny i czerwony refleks ozłocił jego rudawą brodę. Reszta twarzy nikła pod skrzydłami kapelusza.

I nagle Janka w tej postaci poznała nowego lokatora Aristofany, malarza o złocistych włosach, o ruchach dzikiego człowieka i powolnym, niskim głosie, który raz jeden zabrzmiał w jej uszach i pozostał tam akordem dźwięków, drzemiących jak zielsko wśród toni.

On poznał ją również i uchylił nieco kapelusza.

— Bonsoir, mademoiselle!...—wyrzekł prawie nieśmiało.

— Bonsoir, monsieur!... — odparła szybko dziewczyna, instynktownie odsuwając się od ramienia Kuniewicza.

Nowy ryk z piersi tłumu wstrząsnął powietrze.

— Jakież to dziwny objaw potrzeby ludzkiego ustroju!—wymówił malarz po francusku. —Tłum potrzebuje wiecznie i zawsze czegoś, co mu choć w części wyobraża zjawiska nadnaturalne. Te ręce, gasnące w powietrzu, zdają się być pragnieniami dusz, płynących w przestrzeń: wznoszą się wysoko i nikną. Ludzie krzyczą, bo zdaje się im, że ten płomień ulata z ich piersi i wydziela się z ich istoty...

Mówił wolno, jakby do siebie i, nogę przełożywszy przez kamienne obramowanie, zwrócił się teraz pełną twarzą ku Jance i Kuniewiczowi. Blask ogni oświecał go całego. ?renice jego zielone, łagodne, obejmowały cały horyzont jakąś wielką, spokojną pieśczętą.

Było w spojrzeniu tem myśli tyle, myśli spokojnych, wyrównanych i pełnych nieokreślonych wrażeń, przeżutych i przetrawionych w ogniu chwil

minionych, że Janka mimowoli wpatrzyła się w promień tych źrenic, po którym słał się ku niej prąd ciepłego uspokojenia.

Od roku przeszło żyła życiem stalowych i chłodnych oczu Kuniewicza, od dni kilku napróżno starała się pochwycić nawet i ten zimny blask z pod przymkniętych jego powiek.

I nagle otwały się przed nią dwie wielkie, spokojne źrenice, ciepłe i poczciwe, mające w sobie migotanie spokojne gwiazd, dobrze w ruch puszczonej, z czemś łagodnie uduchowionem w odkrytej przed światem głębi.

— Tak!... tak!...— powtórzył raz jeszcze — to nie ludzie, to dusze ich wołają, w ten banalny sposób pragnąc wydostać się zwiezienia ciała.

Kuniewicz przechylił się przez plecy Janki i spojrzał na malarza swym chłodnym, dawnym wzrokiem.

— A...—wyrzekł łamaną francuzczyzną, o złym akcencie upartego w błędach swych cudzoziemca— według pana tłum ten... ma tak wielką i rwącą się w przestrzeń duszę?

Chwilę nie było odpowiedzi i Janka najwyraźniej słyszała przyśpieszony oddech tych dwóch mężczyzn, których jej ciało rozgraniczało nerwową i ciemną zaporą.

Wreszcie Francuz przemówił głosem przyciszonym i jakby nabrzmiałym od dziwnego wzruszenia:

— Jakże pan chcesz, aby było inaczej . Co rwie ich i podnosi w przestrzeń za świetlanym punktem, który się tam rysuje i płynie ku gwiaz

dom? Przecież nie materyą, która tak chętnie pelza po ziemi... Widzi pan — ja mam wiarę niemal naiwną... ja — wierzę.

Urwał nagle, nogę szybkim ruchem z parapetu przelożył i zdjął kapelusz z głowy.

— Jestem Ludwik Bervisier...—wyrzekł zupełnie odmiennym tonem doskonale wychowanego człowieka—pomiędzy burżuazyją prezentacja jest jeszcze w użyciu.

Po chwili dodał, z uśmiechem trochę przymuszonym:

— Maluję!

Kuniewicz podniósł się nieco i wyciągnął rękę.

— Kuniewicz, Polak.

— A?... Pan jesteś z natury romantyk... Dlaczego pan nie wierzy?... Co pana podtrzymuje w życiu?...

Kuniewicz wyprostował się jak struna.

— Miłość ludzkości.

Bervisier usiadł znów na kamiennej krawędzi i rękę w stronę płynącej rzeki wyciągnął.

— Ludzkość... patrz pan: to fale tej rzeki Coraz to inne, a przecież te same... płynąc będą bez pana łóżyskiem raz obranem.

Od strony mostów biegł teraz stopniowy gwar tłumu, przechodzący już w dławione mruczenie niezadowolonego zwierza. Wiatr sznury latarni japońskich kołysał i co chwila któraś z nich zapłonęła pomarańczową luną i zagasła, pozostawiając po sobie czarną pustkę.

Na niebo wypłynął księżyc przeczystej białości,

cały srebrny, skąpany w kręgu mlecznobiałym, który tworzył dokoła niego aureolę.

Janka patrzała teraz prosto w twarz malarza i z ustami nawpół rozchyłonymi zdawała się chłonać w siebie jego słowa.

Kuniewicz postawił przed nią jedynie — obowiązek, poświęcenie, i tem oszołomił w niej pierwiastek religijny, który drzemał w jej istocie, kultu się domagając. I w tej chwili, przygnieciona magnetyczną siłą, jaka ją przykuwała do Kuniewicza materyaluie, skłaniała się ku stronie, w której majaczyła jego sylwetka, lecz eos, co z niej promieniało mimo jej woli, duchowo rwało ją ku źrenicom spokojnym, zielonawo złotym w ponurym blasku drgających latarek. Wiatr chłodny wiał od strony wody. Jance zdawało się, że mózg jej stał się nagle klawiaturą, na której wiatr ten słowami, ulatującymi z ust malarza, wygrywa jakąś już znaną piosenkę, zagłuszoną chwilowo potężną pieśnią o purpurowych skrzydłach, która znaczyła się w przestrzeni.

Teraz obadwaj patrzeli na siebie z dziwną ciekawością i brutalnie w ciemni starali się w głębi swych źrenic odkryć tajemnicę swego istnienia.

Obaj wychudli, zmęczeni, lecz postać Kuniewicza zdawała się trzymać jakąś siłą nerwowej, sztucznej i chwilowej ekstazy, gdy tymczasem z zapadłej piersi Bervisiera płynął jakiś prąd bezmiernego spokoju, doskonale równego i życiodajnego; pomimo pozornej słabości i wycieńczenia.

Obok nich, jako trzecie dopełnienie tej dwójcy, przedstawiającej zużytą już materyę i usiłowa

nia osiągnięcia uduchowienia, owego niepochwytne fluidu, wypełniającego ciało—ciemniała postać Janki, siedzącej z rękoma założonemi na piersiach, z oczyma wlepionemi w Kuniewicza. Wydawał jej się znowu doskonale pięknym i rwał ją ku sobie tą chorobliwą siłą, która zdawała się otaczać ją dokoła.

Nagle Francuz spojrział na Jankę i, wyciągnąwszy rękę, zakreślił ponad jej głową mistyczne koło.

— Kobieta! Ewa! wcielenie natury!... Oto ona w uroczej młodości, w sile urody, w pełni pokusy i chęci stworzenia. W łonie tem powstaje nowe życie: miliardy dusz są we wnętrzu tej kobiety. Doskonałość najwyższa...

Pochylił się teraz nad Janką, a w duszy dziewczęcia powstał nagle chaos, z którego wyłaniać się poczęło poczucie dumy i świadomości swej potęgi.

Te miliardy dusz, o których mówił ten człowiek, niknący prawie w cieniu i tylko purpurowo zabarwioną ręką zakreślający w powietrzu mistyczne znaki, te tysiące dusz zdawały się nagle ożywiać i pragnąć wydostać się z ciasnej klatki ciała w olbrzymi obszar przestworza.

— Kochać, to tworzyć!.. — wymówił Bervisier — trójca doskonała i pełna, to mężczyzna, kobieta i dziecko...

W harmoni tych słów, tego głosu, zdawało się Jance, że słyszy nagle jakąś doskonałą melodyę, która jej nerwy i zmęczone zmysły do snu zbawczego kołysze.

Melodya ta jednak miała w sobie pragnienie urzeczywistnienia tej pracy wytwórczej duchowej, do której ona przeznaczoną się czuła.

Mimowoli powstała z miejsca i smukła, dziewiczo piękna, przysunęła się do boku Kuniewicza, jakby chcąc zaznaczyć oddanie się swoje zupełne i dobrowolne.

Lecz on usunął się prawie szorstko i w świetle purpurowego ognia, który się po Sekwanie jak krwawa luna rozwłóczył, dostrzegła nagle Janka stalowy błysk jego źrenic, nie złagodzonych nawet cieniem uśmiechu.

— Miłość kobiety — wyrzekł suchym i bezdźwięcznym głosem—jest wieczną przeszkodą w wypełnieniu dzieła. Dlatego,..

Urwał i postąpił kilka kroków naprzód...

— Żegnam pana!—rzekł, zwracając się w stronę malarza.

— Do widzenia — odparł Bervisier, opierając nogę o balustradę—do widzenia!

Lecz Kuniewicz nie słyszał już tych słów, idąc szybko brzegiem rzeki. Za nim dążyła Janka. On zdawał się zapominać nawet o istnieniu dziewczyny.

Oddalił się szybko od brzegu i wstępował teraz na schody, wiodące na bulwar.

Janka odwróciła głowę i spojrzała na dół.

W tajemniczej głębi, rozjaśnionej smugami purpury, znikła z przed jej oczu postać nieznanego. Paciorki, różańce ludzi bramowały ciało rzeki. Tu i owdzie snuła się jakaś para.

Łodzie goniły się po czarnej wodzie, schodzi

ły się razem i łączyły światła owych latarek— i znów zapadały w cień...

Nagle cały Paryż, cały wał ludzi, cała litania mostów, cały wąż rzeki skapał się w zielonawym, przejasnym blasku. Zdawało się, że to księżyc rozpląkał się nagle całą masą swego przezręczystego światła i ziemię łzami temi owionął. I tłum nie krzyknął, jak wtedy, gdy purpura zalewała widnokrąg—lecz zaszemrał cicho, zakołysał się lekko, jak kołysze się o pełni księżycowej, jak śpiewa harmonijnie bór, skutą podstawą nieruchomych drzew, podczas gdy wierzchołki ich szczytów niebios sięgają.

W morzu tych zielonawoniebieskich blasków, pod stopami swemi, jak w głębi nagle rozwartej toni, nagle dostrzegła teraz Janka wyraźnie postać Bervisiera, który stał nieruchomy, zagadkowy swój profil ku tłumom zwróciwszy. Z daleka masa jego rudych włosów przybrała w łagodnej barwie zupełnie srebrne tony i tworzyła ponad nim rodzaj aureoli przejrzystej, delikatnej i świetlanej.

Janka stanęła, mimowoli przykuta i wpatrzona W to zjawisko, a znów w głębi jej istoty te miliony dusz, złożonych w jej piersi, jak w skarbcu świata, zaczęły rwać się do życia i czynu.

Jance zdawało się nagle, że tak ona, jak i tamte wszystkie spracowane i spragnione chwilowej rozrywki istoty, są tylko jednym wielkim pryzmatem, przez który płynie promień olbrzymiej jasności siły — a one, wiekuisie piękne, promień ten na cząstki rozkładają, wytwarzając w swej moralnej istocie gamę tonów, które w danej chwili złączone,

wytworzą znów ten sam promień, niknący już w bezmiarze wszechświata.

Uczucie wielkiej, doskonałej dumy nappełniła serce dziewczyny; zdawało się jej, że dusza jej promienieje teraz cała i choć przejęta myślami Kuniewicza, sformułować tego dokładnie nie mogła i nie śmiała, toć przecie teraz czuć poczęła dwoistość swej istoty dokładnie i z tajoną rozkoszą.

Czuła jednak jakiś brak duchowy — czuła, że powinna mieć obok siebie istotę drugą, która, uspokoiwszy jej zmysły, uspokoi zarazem i rozterkę jej duszy; instynktownie przyśpieszyła kroku i znalazła się obok Kuuiewiczza, człowieka, który ciągnął ją ku sobie podwójnie, czyniąc ją niewolnicą, nie tryumfatorką.

Pragnęła teraz więcej, niż kiedykolwiek, jego ramienia, widoku ust różowych i dźwięku jego głosu.

Nagle Kuniewicz zwrócił się ku niej, jakby przypomniawszy sobie o jej istnieniu,

— Pani wraca do domu? — zapytał, zagryzając usta.

Po ciele Janki przebiegł dreszcz.

W jednej chwili czoło jej pokryło się potem.

— Tak—wyszeptwała.

— Niech pani weźmie dorożkę! Nie odwiozę pani—nie mogę... pragnę pozostać sam; jestem zdenerwowany, bardzo zdenerwowany!

Skinął na przejeżdżającą dorożkę. Janka spojrzała machinalnie na kolor zapalonych latarni, od

ezytała numer, dostrzegła, że woźnica miał słomiaBy kapelusz. To wszystko w jednej sekundzie, w jednej chwili. Potem, usiadłszy w głębi powozu, nie wyciągnęła ręki, ale przeciwnie, z dziwną jakąś siłą założyła obie ręce na piersi. Kuniewicz uchylił kapelusza.

— Dobranoc—rzucił jej przez zęby.

Nie odpowiedziała nic, patrząc teraz uparcie ia plecy dorożkarza. Nie miała wszakże osobiście żalu, ani gniewu do Kuniewicza, tylko czuła się zranioną więcej, niż kiedykolwiek.

Dorożka ruszyła powoli, torując sobie drogę wśród tłumu, który rozstępował się z krzykiem i hałasem.

Janka widziała przez chwilę Kuniewicza, jak szedł szybko, przerastając tłum wysokością wzrostu, z głową podniesioną, obnażoną, z włosami na wiatr rozrzuconymi i skąpanymi w blasku elektrycznego oświetlenia. Zlewał się chwilami w jedną całość z czernią tłumu i występował znów, ostrą sylwetką się znacząc. Jakaś katarynka grała chrapliwie niezrozumiałą melodię i niekiedy nad szmer głosów ludzkich i turkotanie kół wybijał się jej głos monotonny, fatalny, w fałszu swym tragiczny.

I nagle, z hukiem, traskiem i powodzią złota, wzbil się w górę bukiet olbrzymich, potwornych kłosów ognistych i cała masa słońc, wirujących w bezmiarze przestrzeni. Krwawozłota łuna zalała koryzont i spłynęła potokiem na głowy ludzi. Ryk tysięcy piersi wzbil się ku temu sztucznemu widziadłu, las rąk podniósł się ku niebu. W purpu

rze tej, w krzyku tym dzikim i nieukróconym, dostrzegła Janka raz jeszcze Kuniewicza, idącego wciąż naprzód, jakby ku tej masie słońc purpurowych, spadających teraz krwawym deszczem ponad Paryż, ponad ziemię.

Zaledwie Aristofana odsłoniła zasłony okien, Janka szybko usiadła na łóżko i poprosiła ją o dzienniki.

— Niema „Radicala” — odparła Francuzka waryat z pierwszego piętra podarł go na kawałki i drzwi mi dziś dyscypliną obił. To pani Lechemin go buntuje i do tego namawia. Zrobiłam dziś ważne odkrycie. Napiszę o niem do Loze'go. Któs zatrzuwa systematycznie mleko, które mleczarz wieszka mi codzień na klamce u drzwi.

Janka wzruszyła ramionami.

— Dlaczego sądzi pani, że ktoś chce panią otruć?

Aristofana pokiwała smutnie głową.

— Co pani wie?... Z tym prądem, który teraz zaczyna panować, jest widoczne, iż chcianoby zniszczyć każdego, kto posiada choćby odrobinę własności. Ja mam tę troche mebli i... fama głosi, że

mam pieniądze. To wystarcza dla rozbójników i próżniaków, czyhających na dobro bliźniego...

Janka patrzyła na nią zmęczonym i sennym wzrokiem.

Całą noc spędziła bez snu, wsłuchując się w ochryple tony orkiestry, która grała polki i walce na rogu alei Trudaine i ulicy Martyres.

Podczas tych długich, bezsennych godzin, w sercu Janki wzrastał żal i ból bardzo gorzki, jakkolwiek niedobrze sformułowany. Przyjechała do Paryża, jak ćma, lecąca do świecy, uciekając od sromotnego poszukiwania męża i szukając niby lepszego, szlachetniejszego świata.

Do tej chwili nie zrobiła nic, nie zajęła się niczem i tylko pograżała się w ciągle wzrastającej miłości dla Kuniewicza, która w dniach ostatnich doszła do rozmiarów bezmyślnego szału.

Dzień wczorajszy, a zwłaszcza chwila rozstania, która na czoło dziewczyny wywołała krople zimnego potu, nadały zwrot jej myślom w inną, bardziej uchwytną formę. Doznawała czasem pewnego rodzaju niesmaku i pogardy dla samej siebie. Dlaczego nie umiała wymócić na sobie tego oderwania się od miłosnych myśli i przerzucenia się w sferę pracy i poświęcenia?

Lecz prędko ogarniał ją żal i smutek nieokreślony, zalewał zupełnie widnokrąg jej wewnętrznych wrażeń, i Janka czuwała dokładnie fizyczny ból serca, który zdawał się jej znacznie zwiększonym i bardziej ciężkim, szczególnie w chwili głębszego nabierania oddechu.

Tymczasem Aristofana, skończywszy zamiatanie pokoju, usiadła na ziemi i zaczęła czesać skórę kozia, służącą za dywan przed łóżkiem Janki.

Niedaleko niej Lolotta, zwinięta w kłębek, leżała w promieniu słońca, który nieśmiało, ukośnie słał się po ciemnej powierzchni podłogi.

Aristofana miała głowę najeżoną skórzanymi papilotami, twarz nasmarowaną gliceryną i na szyi dużą krezę z popielatej wstążki. Flanelowy niebieski peniuar, połatany i przewiązany w pasie, otwierał się szeroko, ukazując nogi Francuzki, obute w duże, filcowe pantofle.

— Mam wielkie zmartwienie — mówiła panna Mathieu, szarpiąc niemiłosiernie czarne kudły skóry. — Tak, ma chere, wielkie zmartwienie. Waryat z pierwszego piętra wszedł w przyjazne stosunki z malarzem, któremu odnajęłam pokój. Są bardzo dobrze z sobą. Waryat siedzi wciąż na szóstym piętrze, i jego ciotka, pani generałowa, gniewa się za to. Henryetta nie ma roboty i nie płaci mi już drugi miesiąc. Dziś idę do jej pokoju... patrzę — leży chora. Koło łóżka co widzę? Parę różowych podwiązek!... Ta nędznica ośmieliła się kupić sobie parę różowych podwiązek! Winna mi dwadzieścia franków, a wydaje na stroje dwadzieścia su! Naturalnie, zabrałam podwiązki... Ona w płacz... krzyczy, że te podwiązki kupiła sobie sama na imieniny, że nikt jej nic nie dał — więc ona uskładała sobie te pieniądze i zrobiła niespodziankę... Co mnie to obchodzi! Taka nędzarka niespodzianek sobie robić nie może, nie ma prawa...

Wyjęła z kieszeni parę zniszczonych już podwiązek z nędznej różowej wstążki i położyła je na prześcieradle, okrywającym Jankę.

— Prawie nowe... może je odkupisz, ma chere. Będzie ci w nich dobrze...

Janka wyciągnęła rękę.

— Proszę, niech mi je pani da i należność potrąci ze stu franków, które zostawiłam pani na drobne, bieżące wydatki.

— Trzydzieści su.

— Dobrze.

Aristofana przyklekła znów na ziemi i teraz zgrzeblem, którym cesała skórę, włosy sobie rozczesywać zaczęła.

— Jeszcze jedno. Chciałam cię prosić, ma chere, ażebyś nie wychodziła do kuchni z rękoma obnażonymi do łokcia.

Pani generałowa i lokatorowie z drugiego i trzeciego piętra skarżą się, że widzą przez okna całą masę nagiego ciała.

Mówiłam ci, że nasz dom jest zamieszkały przez burżuazję.

Trzeba umieć zachować pozory... Powstała z kłęczek pełna godności i majestatu z czubem naostrzonym, ze zgrzeblem wpiętym we włosy. Zdawało się jej w tej chwili, że reprezentuje burżuazję całego quartier, którą Janka znieważała swymi obnażonymi łokciami. — Chodź, Lolotto!—wyrzekła, ciągnąc kotkę za ogon—kupimy „Radicala” i ugotujemy sobie, na nas dwie, jedno jajko na miękko. To nam zastąpi wszystkie czekolady i mleka, zatrute przez tę potworną odźwierną. W jajko przynajmniej nikt mi

trucizny nie wsypie!... I to chodzi do kościoła!...

i to ma kropielniczkę nad łóżkiem!... Kryminalistka!

Janka wysunęła się z fałdów prześcieradeł i powoli ubierać się zaczęła. Zdawało się jej, że dzień ten, który miała przed sobą, nie dojdzie do końca, że lada chwila dach, który miała nad głową, runie i przygniecie ją swymi zwaliskami.

Gdy była już zupełnie ubrana, stanęła na chwilę, jakby wahając się przed uczynieniem jakiegoś kroku. Wreszcie z łóżka porwała porzucone podwiązki Henryetty i skierowała się ku wyjściu.

Z rozpalonego ołowiu, który krył dachy domu, wydzielał się żar tak straszny, iż mózg żyjącej istoty, w upał ten wrzucony, szalał i, krwią cały zalany, wypowiadał posłuszeństwo.

Korytarz długi i ciemny ciągnął się wzdłuż małych klatek, w których wlepione maluchne okienka miały system otwierania się podobny do koszów więziennych cel, grobów ciał ludzkich, na zagładę skazanych.

Janka weszła szybko na korytarz i stała przez chwilę wahająca się i niepewna, nie wiedząc, do których drzwi zastukać i pytać o Henryette.

Na końcu korytarza usłyszała coś nakształt harmonijnego monotonnego mruczenia. Równocześnie

dostrzegła wążka smugę światła, odcinającą się ostro w głębi ważkiej przestrzeni.

Mimowoli skierowała się w tę stronę. Zastukała lekko, a nie otrzymawszy odpowiedzi, uchyliła drzwi i nagle znalazła się wobec jasnego i surowego światła. Zatrzymała się w progu i zdziwionymi oczyma ogarnęła kwadratową przestrzeń dość dużego pokoju, do którego wlewało się światło przez dwa szeroko rozwarłe okna.

Dokoła, na brudnozielonym tle ścian, dość niskich i iakby zgniecionych popękanym sufitem, stały i wisiały płachty płócien zamalowanych, białe arkusze papierów, zakreślonych czarnymi znakami, lub czerwieniały ćwiartki japońskich rysunków, barwnych jak skrzydła kolibra.

Przed oczyma Janki zrobiło się nagie przestronno i jasno. Spojrzała wprost na płótna, zawieszona na ścianach, i doznała chwilowego olśnienia. Zdawało się jej, że to otwory okien, przez które widać lasy, błamy pól i stopy paproci jasnych i majowo wesołych. Tu i owdzie, w zieleni tej i słonecznej jasności widać było postać małej dziewczynki, ubranej w czepeczek, z rękoma złożonymi na kolanach, w postawie pokornej i cichej, z oczyma błękitnymi, zasnutymi mgłą powagi i smutku.

Na lewo—duże płótno złociło się całe od zboża, a w tej fali przejrzystej widać było kobietę z sierpem w jednej ręce, z drugą ręką przy ustach. Obok las świerków czerwonych, jak kaplica gorejąca, cały spleciony w tej brunatno purpurowej powodzi, z trocha krzewów zielonych, tajemniczy i cichy. Ja

kas kobieta w oddali schyliła się, zbierając mech, i tylko widać jej zieloną spódnicę i czarny szal, obciążający wychudłe i zbiedzone ciało.

Na stalugach niewielkie płótno, na niem naszkicowane małe dziecko w purpurowej sukience, z szeroko rozwartymi oczyma, groźne, fatalne, wpatrzone w przestrzeń z uporem dojrzałego w ognia przeciwności człowieka, z pięściami zacisniętymi ca wystającym brzuchu, z nogami szeroko rozstawionymi, w jasnożółtych sabotach, dziwnie odbijających od zieleni szmaragdowej podstawy.

Była to orgia barw brutalnych, a mimo to harmonijnie pięknych — cała moc drogocennych szafirów, ametystów, onyksów, opałów i koralu, słońcem oświetlonych, z zasłoną konwencyonalizmu, zdartą i precz odrzuconą, jak niepotrzebna i zużyta szmata.

W piersi Janki zamarł na chwilę dech, i stała tak, chłonąc w siebie piękność tych obrazów, malowanych w sposób pierwotny a doskonały, łączący w sobie naiwność mnichów, ilustrujących Biblię, z subtelnością i prawdą rysowników japońskich. W konturach silnie znaczonej rozkładały się barwy proste, pojedyncze, bez kontorsji cieniować, bez maniery drobnych szczegółów, które zdaleka nie istnieją dla naszego oka, a tem samem szarpia na sze nerwy oczne i z równowagi wyprowadzają.

Jance zdawało się, że nagle weszła w świat harmonii i realnego klasycyzmu — w obiecaną ziemię, pełną zieleni i barw doskonałych, gdzie paprocie rosły razem z masą wrzosów liliowo różowych, a zdaleka widziane góry spowijała mgła błękitna,

przejrzysta i jasna, spływająca w jedno z bladeżółtą barwą konającego w świetle dziennem nieba.

Janka nie widziała prawie rozrzuconych na podłodze pędzli, garnków i szklanek z farbą, ani płyt szklanych, na których złociła się reszta żółtej farby Saturna, lub fioletowego szafiru — pruskiego błękitu, zmieszanego z żelazem. Słabe wykształcenie artystyczne dziewczyny, jej zupełnie prawie naiwna i pierwotna dusza, od razu poznała piękno tej prostoty i harmonii, których obrazy były zbiornikiem.

I ponad ową doskonałość czystych barw. ponad wyborny i z życia uchwycony rysunek, wzbijała się tu i górowała przede wszystkim duchowa część tych martwych widziadeł, widomy znak myśli, która ożywiała genialną iskrą rękę malarza w chwili tworzenia.

m Ten pokój, pełen gratów, zarzucony sprzętami, z miską glinianą pełną pędzli, z podłogą brudną i zawaloną szkicami, z estradą, pokrytą kawałkiem płótna—był prawdziwie świątynią piękna uduchowionego i udoskonalonego do możliwej potęgi. Teoria stopniowego udoskonalania duszy uosabiała się plastycznie w tych postaciach zasłuchanych, zapatrzonych w tajemnicę nigdy nierozwiązaną, w postawach błogosławionych istot, nawpół już w niepowziętych i mało wspólnego z ziemią mających.

Z pod obcisłych czepków bretońskich, twarze kobiet nabierały wyrazu anielskiego spokoju, oczy szare zdawały się mieć skrzydła i ulatywać ku nie

zmierzonym przestrzeniom, gdzie doskonały spokój panuje wszechwładnie...

Janka stała tak długą chwilę na progu tej biednej i nędznej pracowni, nie przystrojonej żadną turecką tkaniną, ani japońskim parasolem.

Była to jednak prawdziwa grota czarownic, pełna skarbów, z których, jak mistyczny kwiat lotosu z fal świętej rzeki, wyląniał się kwiat ducha, doprowadzonego do kulminacyjnego punktu doskonałości.

W jednej chwili Janka zrozumiała, że jest w pracowni Bervisiera.

Malarza nie było w pokoju, a przecież pełno go było wszędzie, i oczy unieruchomionych na płótnie postaci były tylko odbłaskiem jego wielkich, spokojnych źrenic.

Nagle w kącie, koło stalugi, zaruszało się coś żyjącego. Janka drgnęła, jakby ze snu zbudzona. Powoli dźwignął się z ziemi wysoki mężczyzna u którego piersi błyszczał duży, ołowiany krucyfiks. W rękę trzymał dyscyplinę.

Stanąwszy przed stalugą, na której na blejtramic rozpięto się świeżo spreparowane płótno, białe jeszcze i dziewicze, mężczyzna rękę wyciągnął i zdaleka zakreślał koła i mistyczne znaki...

— Serce krwawe, całe z rubinów, ponad ciemną otchłanią, pustą i grozy pełną...—mówi niskim, leniwym głosem — krew w otchłani pada powoli i znika w przepaści, pełnej od krwi tysięcy... Tymczasem serce krystalizuje się i doskonali, pięknieje i bardziej do podobieństwa bóstwa się zbliża... Z ra

bina ciemnego, przechodzi w biel dyamentu i promienieje jak słońce, jak pochodnia życia pełna...

Porwał krzyż, wiszący na długiej tasiemce i, zerwawszy go gwałtownie ze swej szyi, wyciągnął wysoko ponad swą, czarnymi włosami porośłą, głowę.

Krzyż zabłysnął nagle przed oczyma Janki, jak ów znak symboliczny w jaskini Engaidi i na tle paproci zielonych, srebro krzyża, purpura iglastych lasów, błękit horyzontów i liliowa barwa dalekich gór, zlewała się w jedną wielką, harmonijną wizję, tak harmonijną, jak natura, jak wszechświat w dysonansach swoich nawet doskonały.

Janka w mężczyźnie tym poznała owego waryata, siostrzeńca generałowej, którego dostrzegła kilkakrotnie już na schodach, schodzącego gwałtownie, uderzającego z gniewem dyscypliną po poręczy i ścianach.

Mówiono, że miał manię religijną, że dni całe modlił się i biczował w ciemnym korytarzu, prowadzącym do kuchni. Zdawało się, że w człowieku tym pokutowała i cierpiała cała masa tych, którzy zwątpili i w powątpiewaniu swem zatracili potrzebę kultu i doskonalenia się stopniowego.

I teraz, gdy z krzyżem w górę wzniesionym osunął się znów na klęczki, blady, zmęczony, z rozwianym włosom, nie miał w sobie fanatyzmu dziadów kościelnych lub kobiet histerycznych, wyciągających ręce w stronę kościoła. I W twarzy tego szaleńca było tylko najwyższe wycieńczenie, jakie opanowuje tych, którzy cię

— Przyniosłam pani podwiązki, które Aristofana zabrała pani w chwili gniewu. Proszę, niech je pani weźmie... mnie się one na nic nie przydadzą... Pani będą z pewnością potrzebne.

Z pewną nieśmiałością Janka położyła ua kółdrze, okrywającej ciało Henryetty, podwiązki i cała zarumieniona, dodała pośpiesznie:

żar zbyt wielki na swych ramionach dźwigając, do mety naznaczonej się dowłóczą...

Klęcząc tak, wyciągał ręce w przestrzeń i łkał teraz spazmatycznie i wołał:

— Ojcze nasz!... Ojcze mój, któryś jest w niebiesiech, skończ męczarnię moją!... Każ milczeć tym, którzy wątpią, znieś nędzę ciała i ducha!... niech będzie więcej nędzarzy dusz i nędzarzy ciał!.. Przyjdź królestwo Twoje!!! Adveniat regnum Tuum!...

Jak echo w duszy Janki zadźwięczały słowa: — Przyjdź królestwo Twoje!... Złożyła ręce i stała tak cicha i nieruchoma, wpatrzona w znak krzyża, który czterema gwiazdami błyskał w przestrzeni, mając ku sobie zwrócone w cichej i łagodnej ekstazie zamglone źrenice malowanych postaci, w naiwnych pozach błogosławionych, z tła płócien, w półśnie mistycznym drzemiące.

— Dałam za nie dziesięć susów później się policzymy...

Henrytta podniosła z trudnością głowę. Miała twarz rozpaloną, powieki nabrzmiałe, usta spieczone. Spojrzała na Jankę z pod brwi ściągniętych nieufnie i nieprzychylnie.

— Niech je pani zabierze... nie mam z czego zapłacić. Niema roboty, i nie wiem, kiedy dostanę... Poszłam do Luwru prosić o sukienki dziecinne, ale przedemną zapisało się już trzysta dwanaście kobiet... A!., zut!... kupię węgli i skończę już raz z tem życiem! Zut! zut! zut!...

Wpakowała sobie obie pięście w usta, aby nie krzyczeć z bólu i rozpacz.

Janka zdobyła się na odwagę i usiadła na łóżku.

— Panno Henryetto! któż widział tak rozpaczać!.. Ja pani przyniosłam trochę pieniędzy... Pani mi za to płaszcz przenicuje.

Lecz Henrytta nie uczuła się tem bynajmniej wzruszona.

— Co mi po tem! Każe mi pani tak pracować, jak to robi ze raną ta dyabiica Aristofana! Cały dzień będę się męczyła nad robotą i nie będę nawet wieczorem miała pożądaną zupy... Niech pani idzie do dyabła ze swoim płaszczem!

Wszyscy jesteście wyzyskiwacze, nic więcej! Woję nic nie robić i z głodu zdychać!... Przynajmniej mam tę pociechę, że nie pracuję jak bydlę w zaprzęgu!...

Odwrociła się do ściany, i tylko widać było teraz jej wychudłe plecy, obciążone różowym fla

nelowym kaftanikiem i głowę spiczastą, nędzną, pokrytą rzadkim, rudawym włosem.

— Ile pani potrzeba na życie całodzienne? spytała Janka.

Odpowiedzi nie było.

— Przypuśćmy—ciągnęła Janka—że pięćdziesiąt susów. To wystarcza, prawda? Może pani mieć za to kotlet, trochę owoców, wina i chleba... Płaszcz nicować pani będzie, przypuśćmy, trzy dni. Skoro pani dam tyle, że opłaci pani pożywienie i odłoży franka dziennie na mieszkanie i pranie, a nadto pozostanie pani jeszcze frank zarobku dziennego, czystego—to chyba podejmie się pani tej roboty. Ja panią o to bardzo proszę!...

Henryetta nie odpowiadała nic, lecz plecy jej poruszały się szybko pod wpływem wewnętrznego wzruszenia.

— I cóż? czy chce pani?... — spytała Janka, pochylając się nad łóżkiem.

— Dlaczego pani się tak o mnie troszczy?... spytała wreszcie chrapliwym głosem szwaczka.

Janka nie umiała na razie znaleźć słowa odpowiedzi.

— Niech pani nie pyta o przyczyny. Proszę wstać i zabrać się do pracy...

— Nie dzisiaj!... tu bardzo gorąco... Ja nie Moge... jestem chora...

Odwróciła się do ściany, i Janka dostrzegła, że po twarzy szwaczki płynęły dwie strugi łez.

— Dobrze... zacznij pani pracować jutro... tu kładę pieniądze.

Cicho, z nieśmiałością prawie, położyła Janka cztery sztuki srebra na małym stoliczku koło łóżka, przykryła je leżącą obok chustką, gdyż ta odrobina metalu, wobec łez tej dziewczyny, zdawała się jej gorzką ironią, chłodną i fatalną, jak blask zimny srebra.

— Co pani jest? może zawołać doktora — spytała wreszcie Janka, widząc, że Henryetta załamuje ręce ponad głowę ruchem zrozpaczonej i bezsilnej wobec nieszczęścia istoty.

— Nie, nie!... doktor mi nic nie pomoże!... Nie, nie!...

Upadła znów na poduszki i głowę ukryła w dłoniach.

— Dziękuję pani! — wyszeptowała.—Pani jesteś miłosierna przynajmniej.

— Miłosierna! — przerwała Janka. — Mylisz się, panno Henryetto, nie jestem miłosierna; nie wiem co znaczy to słowo. To, co robię, nie jest miłosierdziem, lecz dopełnieniem obowiązku...

Z oczu Henryetty przestały płynąć łzy.

— Obowiązku?... — spytała. — Jaki ma pani względem mnie obowiązek?... nie jestem pani krewną, ani siostrą... A nawet gdyby i tak było, to jeszcze u nas każdy myśleć o sobie powinien. Mam przecież siostrę starszą, której się dobrze powodzi, mam matkę i ojca, ale oni kazali mi pracować na siebie. Dlaczego więc pani mówi, że ma dla mnie obowiązki?

— Każdy z nas ma obowiązek jednego człowieka względem drugiego...

— A co to pani przyniesie?

— Zadowolenie wypełnionego czynu konie cznej sprawiedliwości.

Henryetta uśmiechnęła się z goryczą.

Gdy zesła na dół, w przedpokoju rozczochrana Aristofana powitała ją temi słowy.

— A, to ładnie!... ami twój, ma chere, siedzi już od kwadransa w twoim pokoju i czeka na ciebie, a ty Bóg wie gdzie siedzisz... Nie trzeba tak postępować; może cię podejrzewać, że masz tu jeszcze w domu jaką znajomość, i gotów z tobą zerwać.

Janka nie słyszała jej słów. Otworzyła szybko drzwi i wpadła do pokoju. Na szezlongu siedział Kuniewicz, który na widok dziewczyny porwał się z miejsca i wyciągnął ręce z niemą prośbą i namiętą pieśczętą.

Jak szalona w objęcia te otwarte wpadła Janka, bezprzytomna ze szczęścia i rozkoszy.

Kuniewicz przytulił ją do siebie i rozpaloną dłonią gładząc jej twarz, szeptał z uśmiechem:

— Moja... moja...

Usiedli oboje, jedno obok drugiego, trzymając się silnie za ręce.

Włosy Janki, źle w pośpiechu rannym spięte, rozsypały się teraz na plecy po błękitnej tkaninie sukni i osłoniły ją, niby krepą żałoby. Nerwowe

drzenie porwało ją całą; zębami przycięła dolną wargę, i na tej purpurze białosc jej zębów lśniła jak sznurek pereł na tle koralu!

Przez uchylone okna wpadał żar słońca; promienie złote słały się po dywanie, aż pod ich stopy. Z otwartego flakonu płynęła woń ambry, a woń tę samą wydawało ciało Janki, i Kuniewicz pił ją z odsłoniętej szyi dziewczyny, która połyskiwała atlasem wśród kaskady koronek.

Nie tłumaczył się jej z wczorajszego postępowania, nie mówił prawie nic, cały zmieniony w pragnienie zmysłów, błąd od wzruszenia, z rękoma wilgotnymi od potu.

— Jakaś ty piękna! — wymówił nareszcie, odsuwając jej głowę cokolwiek od siebie — bardzo, bardzo piękna!...

Janka otworzyła usta, chcąc przemówić.

— Cicho... nie mów nic... — zawołał, kładąc jej rękę na ustach—nie mów nic!... milcz!...

Zdawało się, że boi się, aby głos dziewczyny nie powrócił do równowagi i nie wypłoszył duszy jego z tego fatalnego stanu szału, w jakim się znajdował.

I Janka coraz więcej czuła się niespokojną i zdziwioną, aż wreszcie, widząc czoło Kuniewicza pokryte kroplami potu, spytała:

— Co panu?

On rozłożył ręce, powstał i zaczął szybko chodzić po pokoju.

— Nic, nic, przepraszam panią...

Łzy nabiegły do oczu Janki. Stanowczo: nigdy go zrozumieć nie będzie w stanie. Przed chwilą porwał ją w objęcia, jak człowiek spragniony jej widoku, całował ją namiętnie, powtarzając: „Moja! moja!” Teraz znów odsuwa się, mówi jej „pani* — wydaje się jej obcym człowiekiem.

Patrzała za nim i nagle powstała, widząc, że sięga za kapelusz.

— Już idę... — wyrzekł zmienionym głosem. Ona zdobyła się na odwagę i zarzuciła ma szybko ręce na szyję.

— Kiedy pan wróci? — spytała prawie bezprzytomnie.

— Zobaczę... napiszę...

Odwracał głowę, jakby się bał spotkać z oczyma kobiety.

Ona przytrzymała go silnie nerwowo zacisniętymi rękoma.

— Prędko?

— Tak... postaram się...

Czuła, że dłużej nie powinna go zatrzymywać. Ręce jej opadły — on skierował się ku wyjściu i otworzył drzwi, prowadzące na schody. Aristofana, będąca w kuchni, zamknęła szybko otwarte okienko.

Janka wyszła aż na schody, stanęła w sieni i spojrzała prosto w twarz Kuniewicza. Był blady i nie miał stalowego blasku w szeroko rozwartych źrenicach. Kolorowe szybki okna kładły na jego jasną kurtkę całe bukiety jaskrawych plam.

— Będę czekała — wyszeptwała dziewczyna.

On już nie odparł nic, tylko rękę swą wilgotną i chudą do jej obnażonej szyi przyłożył. Był to gest brutalny mężczyzny, którym zegnał Król Słońca swe kochanki na łóżu śmierci.

Janka cofnęła się mimowolnie.

Kuniewicz schodził powoli, trzymając się poręczy.

Janka pochyliła się przez balustradę.

— A... proszę mi nie robić przykrości! — wyrzekła machinalnie, nie wiedząc prawie, co wargi jej wymawiają — proszę mi nie robić przykrości... ja na to nie zasługuję!...

On zatrzymał się na skrócie i podniósł swą piękną głowę, całą wyzłoconą masą rozrzuconych włosów.

— Dlaczego pani to mówi? — zapytał.

— Nie wiem... — odparła po chwili Janka — nie wiem... boję się...

Łzy zaczynały napływać jej do oczu; on rzucił jej jeszcze uśmiech, i w jego źrenicach zabłysnął nagle dawny, stalowy płomień.

— Zegnam panią!

— Do widzenia! — wyrzekła dziewczyna.

Przechyliła się przez poręcz, chłonąc jego postać wzrokiem, wsłuchując się w odgłos jego kroków. Za chwilę znikł jej z oczu, a ona stała jeszcze, ciągle zapatrzona i zasłuchana w pustkę i ciszę...

— List do ciebie, ma chere... Aristofana położyła list na toalecie i wyszła, trzaskając drzwiami. Niezadowolona była z postępowania Janki. Nie tylko, że Janka oddała Henryecie podwiązki, ale w dodatku pozwoliła szwaczce pracować w swoim pokoju, pod pozorem, że pokój Henryetty jest zbyt gorący i ciasny.

Od rana więc Henryetta siedziała koło okna i pruła dawny płaszcz Janki tępym i zardzewiałym scyzorykiem.

Janka wzięła do ręki list i na kopercie poznała pismo Kuniewicza.

Zwykle rozrywała szybko kopertę i czytała gorączkowo krótkie, suche kartki. Dziś trzymała długo w palcach kopertę i nie mogła zdecydować się na otwarcie jej. Nie miała żadnego „przecucia” — od wczoraj błędziła znów w kole smatku i tam nie dostrzegła nawet już żadnych groźnych widziadeł. Była tylko smutna i już nie analizowa

ła stanu swej istoty. Czula, że smutek ten owinął ją siecią pajęczą. POCO się szarpać miała? Dlaczego?...

Z tem samym uczuciem smutku otworzyła wreszcie kopertę i, wyjąwszy białą ćwiartkę papieru, kopertę na ziemię rzuciła. Zauważyła, że papier zawiera więcej pisma niż zazwyczaj. Przez mózg jej przesunął się ból, podobny do pchnięcia noża.

Oparłszy się o toaletkę, czytać zaczęła:

„Nigdy może nie przychodziło mi z taką trudnością napisanie listu, jak dzisiaj, — a przecież czuję, że uczynić to powinienem, że zwleknię dłuższe byłoby nieuczciwością. Wyjątkowa sytuacja, w jakiej się znajduję, zdenerwowanie moje nadludzką pracą, jaką przedsięwziąłem, niech wytłumaczy w oczach pani całą brutalność mego kroku.

Nie kochałem pani nigdy, nie miałem dla pani nic: ani w głębi swej moralnej, ani zmysłowej istoty — nic, prócz współczucia...

Janka przestała czytać i powiodła wzrokiem po pokoju. W lustrze spotkała odbicie swej własnej postaci i nieco dalej, w ukośnym promieniu światła, głowę Henryetty na tle szafirowych firanek.

Szwaczka w tej chwili sięgała ręką po leżący na ziemi kapturek.

— Czy paci każe uszyć nową podszewkę do kapturka, czy tę samą przenicujemy na drugą stronę?

Janka odparła z najwyższym spokojem:

— Nie... kupię świeżego atlasu.

— Dobrze. Zapadło milczenie.

Janka poczuła, że w rękę trzyma list i całym wysiłkiem woli przypomniawszy sobie, od kogo ten list pochodzi.

„Nie kochałem pani nigdy, nie miałem dla pani nic w głębi mej moralnej i zmysłowej istoty — nic, prócz współczucia.

W pierwszej chwili, przyznając ze skrucą, roiłem wiele — ale okoliczności zrzędziły inaczej. Kochać nie mogę, nie umiem, nie wolno mi nawet... Miłość w mem życiu — to dar Heliogabala: dławi mnie i w pracy przeszkadza... Niech mnie pani obdarzy kwiatem zapomnienia i... nie myśli źle o mnie! Ja proszę!

Kuniewicz.”

Teraz dopiero zrozumiała Janka, że to było zerwanie brutalne, straszne, jedno z tych, które zabijają.

Lecz dlaczego pisał: „Nie kochałem pani nigdy?...” dla czego jej to w twarz rzucił?... tego pojąć nie mogła. Powoli, systematycznie podniosła kopertę, list w nią wsunęła i oglądała teraz markę, usiłując odczytać stempel pocztowy. Wyraźnie było na nim widać: Rue Mouge data była już zamazana i nieczytelna.

— Nie kochał mnie nigdy! nigdy! —myślała. Ani w chwili, gdy po raz pierwszy poprosił ją o pocałunek, tam, jeszcze na Chmielnej, gdy zmrok zapadał nad stygnącą w swym ruchu dziennym Warszawą, ani tu, gdy przyciągnął ją ku sobie w ów wieczór, złożony z błękitu, złota i woni róż,—ani wczoraj, gdy rwał na niej suknię i gryzł jej ciało do krwi, osuwając się w niewytłomaczonym szale aż pod jej stopy z pokorą niewolnika. „Nie kochałem cię nigdy!”

Zwróciła się ku szafie i, otworzywszy ją, wrzuciła w pustą półkę ów list fatalny, który opadł, na ciemne drzewo, jak kwiat zwiędły i zabójczego jadu pełen. Zamknęła szafę i zaczęła kręcić się po pokoju bezmyślnie, poprawiając meble i przestawiając drobiazgi. Nagle zdało jej się, że jakiś trup przesunął rękę po jej twarzy, tak wyraźnie poczuła lodowate zimno jakichś sztywnych palców na swych rozpalonych policzkach... Zatrzymała się w swym bezcelowym błędzeniu i usiłowała uporządkować swe wrażenia. Dostrzegła wtedy, że swą lewą ręką dotykała twarzy, i że

to jej ręka miała ten chłód tropi i sztywność umarłego ciała. W tej samej chwili uczuła szalone zimno we wnętrzu wszystkich członków, a zwłaszcza w krzyżu, i pustkę pod czaszką.

Mimowoli zwróciła się w stronę łóżka i położyła się na niem cicho, odwracając się twarzą do ściany. Zamknęła oczy, i zdawało się jej, że teraz czuje się zupełnie dobrze, że jest spokojną, lekką i szczęśliwą. Nie miała w mózgu myśli, nie pracowała duchowo. Leżała jak martwa, z rękoma wyciągniętymi wzdłuż ciała, z nogami skurczonymi w postawie klęczącej.

Przechodziła teraz tę dziwną fazę szczęścia, które nas ogarnia w chwili, bezpośrednio następującej po otrzymaniu strasznego moralnego ciosu. Dusza odrywa się od ciała i pozostawia je chwilę w beźmiernym spokoju.

— Ma chere, śniadanie gotowe! Janka podniosła się z wysiłkiem i spojrzała dokoła.

Przed nią stała Aristotana, cała w falbanach, krezach i dżetach, gotowa do wyjścia na ulicę.

Gdy Janka przeszła do sali jadalnej, jeszcze nie zdawała sobie dostatecznie sprawy z tego, co ją spotkało.

Usiadła przed talerzem rzodkiewek i machinalnie oglądała je, maczając w soli. Nie mogła jeść, gardło miała ściśnięte, przed oczyma zupełną pustkę. Kotka wskoczyła jej na kolana i pozostała tak, zwinięta w kłębek...

Aristofana, cała zgorączkowana, nie zwracała uwagi na zmianę, zaszła w Jance. Miała bowiem obecnie zamiar wydawać świstek brukowy, antyklerykalny, który kamloci mieli rozrzucić w setkach tysięcy egzemplarzy po ulicach Paryża.

Ta córka młynarza z pod Avignonu, skąpa, chciwa i brudna, miała w sobie ciągłą chęć wicherzenia i buntu, pod warunkiem, aby do jej własności nie dotknął się nikt i nigdy.

Moje było dla niej świętością, ale twoje nie istniało, tak pod względem materialnym, jak i fizycznym. Nagle chwyciła ją potrzeba walczenia z tem, co było formą. Nad treścią nie zastanawiała się nigdy. Rozwiewała wtedy skrzydła swej południowej werwy i głową na dół rzucała się, jak don Kichot do walki z wiatrakami. Skoro jednak czuła, że lanca jej cokolwiek się rysuje, wycofywała się szybko z pola bitwy.

To moje, naruszone w jakikolwiek sposób, za bijało w niej całą chęć czynu. Zysk był jej Bogiem — po za tem miała chimery dobrobytu krajowego, któryby jej przedewszystkiem przyniósł jak najwięcej korzyści. Szybko ustawiła na stole pudełko sardynek, kotlety i sałatę.

— Ja wychodzę... — wyrzekła, kładąc na głowę kapelusz, na którym, oprócz piór kogucich, szeleściły papierowe róże. — Pójdę na Batignolle szukać odpowiedzialnego redaktora; nie wiem, czy wrócę ua obiad; ty, ma chere, odegrzej sobie kotlet wieczorem. Masz wino, chleb, jajka, ser i trochę malin...

Janka skinęła głową.

— Dobrze, dobrze...

— A jeżeli sama jeść nie będziesz, nie oddawaj wszystkiego Henryecie. Teraz wiem na pewno, że jest kochanką frotera. Skoro tak, niech on ją żywi. Nas teraz ta panna obchodzić nie powinna.

Włożyła zasmarowane atramentem rękawiczki i, mimo upału, wzięła w rękę aksamitną mufkę, upstrzoną koronkami.

— Do widzenia, idę; zarygluj drzwi, ma chere... nie wpuszczaj nikogo...

Wyszła do przedpokoju i wróciła się jeszcze od drzwi wchodowych.

— A nie zapomnij o Lolocie, daj jej wylizać talerze.

Wreszcie Janka pozostała sama.

Odsunęła od siebie stół, zastawiony jedzeniem i poszła do swego pokoju.

Machinalnie skierowała się do szafy i otworzywszy drzwi, wzięła do ręki list Kuniewiczza. Za częła go czytać, a właściwie patrzeć na słowa, jakby chciała je wpić sobie w umysł żelaznymi zgłoskami.

— Nie kochałem pani nigdy...

Powtarzała to zdanie, z uporem maniaka, dziwiąc się, że ta chłosta sprawia jej tak mało bólu.

Położyła znów list na półce i patrzyła nań jeszcze przez chwilę. Zdawał się jej w tej chwili złośliwą gadziną, która ułożyła się do snu i dysze w kącie szafy. Zamknęła drzwi i zapragnęła wyjść na ulicę, pozostawić zdala za sobą ten pokój błękitny, tę szafę i ten list, czyhający na nią z po za lustrzanej szyby.

Włożyła kapelusz i błękitny płaszcz i zeszła ze schodów, zatraskując drzwi za sobą.

Skierowała się przez ulicę des Martyrs na wielkie bulwary.

Idąc, liczyła szyldy i witała z pewną ulgą znajome wystawy sklepowe.

Lalka u fryzjera, ruda, spowinięta w draperyę wiśniowego aksamitu, wydała się jej dobrą znajomą.

Bazar, z którego aż na trotuar wysypywały się masy zabawek i fajansu, zatrzymał chwilę jej oczy. Dostrzegła pomiędzy masą przedmiotów abażury z bibułki czerwonej, podbite żółtą bibułą. Przez chwilę zastanawiała się, ile taki abażur kosztować może? Cyfry mieszały się w jej zmęczonym umyśle, wreszcie przestała myśleć i obserwować, a tylko szła machinalnie, potrącana i popychana przez ludzi.

Wyszedłszy na wielkie bulwary, poczuła nagły do siebie samej niesmak i obrzydzenie. Zdawało się jej, że wszyscy ludzie patrzą się na nią ze wstrętem i odsuwają się jak od trędowatej. Mia

ła na sobie plamę nieszczęścia, i ta plama budziła w niej odrazę do jej własnej istoty. Zresztą, czego się wlokła tak bezmyślnie, sama jedna pośród wrzawy, ruchu i pracy drugich? Czego chciała ta, gdzie każdy zdawał się mieć wytknięty cel istnienia, do którego dążył?

W tej samej chwili przyszła jej na myśl ucieczka i pieniądze wyniesione z domu podstępem. Czy ona miała prawo pogardzać tymi, którzy przy chodzili do gotowego i z kapitałów żyli? Nie wzięłaż i ona części tego ogólnego kapitału i nie przetrwała go teraz w beczynności fatalnej?..

Tłumy ludzi dążyły w tę lub ową stronę, w obramowaniu domów bulwarowych. Pośrodku zegary i latarnie, jak drogowskazy, znaczyły drogę. Słońce odbijało się promiennymi gwiazdami w złocie szyldów, rozwieszonych niemal pod dachami, lub świecącymi się na koronkach balkonów.

Pomimo upału i lata, miasto wrzało bezustanną, piekielną za groszem i zyskiem pogonią. Zdawaćby się mogło, że ta przodownica cywilizacji i wyrafinowanego użycia nie może zatrzymać się ani na chwilę w swym ruchu i, pędząc z podwójną szybkością, pragnie czempredziej z przeładowanego iwego wnętrza rozrzucić na świat cały miliardy tandetnych wyrobów handlu, wiedzy, miłości i sztuki.

Janka skierowała się w ulicę Richelieu'go i szła nią wolno, nie patrząc prawie przed siebie.

W oknach księgarni połyskiwały złotymi okładkami najświeższe nowości księgarskie. Jeden i ten

same tytuły powtarzały się bezustannie: „LaBas”, LaBas

Janka machinalnie porwała to słowo w wir swoich myśli. „LaBas!” Tam!... Gdzie? Tam. gdzie nas niema, gdzie musi być lepiej.

Na placu Karuzeli nagle zastąpiła jej drogę jakaś kobieta. Wysoka, silnie zbudowana, tęga, wystrojona w jasną różową suknię, olbrzymi kapelusz z dużym piórem, miała minę podejrzaną.

Stała przed Janką i wyciągnęła rękę.

— Dzień dobry, Jania!., jak się masz?..

Janka drgnęła przerażona i chciała uciec. Było już jednak za późno. Poznała w stojącej przed nią kobiecie pannę Portotranco, wystrojoną i wymalowaną.

— Papiusio poszedł do Luwru, do galerii — mówiła szybko panna Portofranco — bo wczoraj zostawiliśmy tam parasole u woźnego; zgubiliśmy się w salach, i gdy zaczęli zamykać, musieliśmy wyjść, nie dostawszy napowrót parasolów. Papiusio bardzo się rozgniewał i cały czas mówił rai bardzo przykre wyrazy; tak go to irytowało, że zapomnieliśmy w której sieni zostawiliśmy parasole...

Kołysała się lekko na szeroko rozstawionych stopach i uśmiechała się z nieokreśloną głupotą.

— Papiusio powiedział, że te Francuzy to niby nie każą płacić wstępu do muzeów, ale za to odbijają sobie na kradzieży parasolów. Tak! tak!..

Janka milczała, przerażona tem spotkaniem, bojąc się, aby panna Portofranco nie zaczęła zadawać jej niedyskretnych pytań.

Lecz ta ostatnia widocznie nie wiedziała nic o ucieczce Janki, gdyż z zupełnie dobrą wiarą

— Dobrze się bawisz w Paryżu?

— Doskonale—wykrztusiła Janka.

— Myśmy przyjechali przed tygodniem... Spotkał nas zawód. Papiusio uplanował, że trzeba mnie wydać za ks. Karola. Przyjeżdżamy i papiusio już wszystko bardzo ładnie ułożył — tylko zapomnieliśmy się dowiedzieć, czy księżę jest żonaty? I wyobraź sobie, że... księżę jest żonaty od lat dwunasta i ma dwóch synków. Papiusia najwięcej zgniewały te dzieci, bo gdyby nie to, możnaby może księcia rozwieść... Teraz już nie wiem prawdziwie, dokąd mnie papiusio powiezie i za kogo mnie wy. da. Trzeba przecież coś zrobić, zwłaszcza, że mi nasprawiali nowych sukni i kapeluszków, niby dla tego księcia. Papiusio wczoraj obliczał ile wydał, to aż zachorował na niestrawność, tak się gryzł, gdy zobaczył cyfry. Wziął dwanaście pigułek aloesu, ale i to nie pomogło. Całą noc stękał i mówił nieprzyjemne rzeczy... Byle mu dziś te parasole oddali!...

Janka patrzyła na nią i doznawała dziwnego uczucia ulgi—nie czuła już w tej chwili do siebie tak wielkiej odrazy.

Jeżeli uciekła, jeżeli rzeczywiście popełniła zły czyn, prawie kradzieży pieniężnej, toć jedynie dlatego, że buntował się w niej człowiek, który nie chciał być bezdusznym szmatem, towarem, wleczonym na sprzedaż temu, który

dać mógł więcej, czy to pieniędzmi, czy stosunkami i doskonałością rodu.

W postaci tej Portofrankówny uosabiała się dla Janki cała jej przeszłość, cała jej rodzina: ojciec Justyn, Pola—i ten karnawał, spędzony na po goni za mężem, który przyjąć nie chciał.

— ...A. co moje najwięcej gniewa, to to, że w Paryżu mężczyźni są okropnie śmiali i natrętni! ciągnęła dalej wystrojona panna Portofrankówna. Na ulicy patrzają mi w oczy, skubią za łokieć, uderzają laskami po tiurniurze... Jak Bożię kocham! Wczoraj, jakeśmy wychodzili z teatru, to ze czterech może napadło na nas i chciało zaprowadzić na kolację. Ale papiusio im podziękował, a nawet nawymyślał po polsku, tak, że aż policjanci przyszli i mówili:

„Sirkiule!”

Śmiała się, zadowolona ze swego krzyczącego stroju, cała jasna i biała, z delikatnym odcieniem na ublanszowanej twarzy.

— Ty z panią Grabowiecką?..—spytała, dzwoniąc bransoletkami i, nie czekając na odpowiedź, dodała: — Nie wiem, co się w Warszawie dzieje, bo pod koniec karnawału papiusio zgniewał się na mnie, że nikt się o mnie porządny nie oświadczył, a tylko takie same Bóg wie co się kręciło, i zabrał mnie z sobą do Tarabasiówki, gdzie też i z tym księżęciem ów plan ułożył. Szkoda, że się nie powiodło... trzeba będzie zapewne znów coś zacząć!...

Westchnęła i na chwilę nawet posmutniała, a po umalowanej jej twarzy przemknął cień smutku.

Janka pragnęła oddalić się jak najspieszej, obawiała się bowiem nadejścia starego Portofranka, jego zapytań, przyczepienia się do niej i odkrycia jej adresu.

— Zegnam cię — wyrzekła, podając pannie Portofranco rękę. — Spieszę się... dziś wyjeżdżam...

— Dokąd jedziesz?..

— Nie wiem... daleko... do Egiptu! Panna Portofranco zmrużyła oczy.

— To daleko!.. My zostaniemy pewnie jeszcze w Paryżu... Papiusio mówi, że tu wikonty i markizy to po ulicach jak inni chodzą. Choć dla papiusia markiz, ani wikont to dużo nie znaczy. Mnie to wszystko jedno!..

— Zegnam cię..

— Do widzenia! Baw się dobrze w Egipcie!.., a może pójdziesz tam za męż...

— Może...

Szybko, jak strzała, pomknęła Janka pod arkady Luwru i biegła teraz wybrzeżami Sekwany, całej zielonożółtej i zasypanej mnóstwem łódek i statków.

Na brzegach, nisko, sypano całe stosy żółtawej gliny, białych kamieni, i czarne sylwetki ludzi odcinały się ostro na tle jasnym i złotem słońca oblanym. Mrówcza praca ludzka, nędzna i mała wobec ogromu i siły wszechświata, wrzała pod ukropem lipcowego upału.

Janka upadła na ławkę i w tę przestrzeń, pokrytą bluzami wyrobników, wpatrzyła się z uporem szaleńca.

Nie myślała w tej chwili o Kuniewicz, nie myślała o liście, nie myślała już o niczym. Pod czaszką, pomimo promieni słońca, miała bryłę lodu nie chciała zastanawiać się, co miała w piersi zamiast serca... Bała się nawet myśłą urazić ranę, którą tam przeczuwała...

Siedziała tak długo, zapatrzona na pracę innych, sama bezczynna, mając w sobie uczucie człowieka, który patrzy długą chwilę na zastawę stołu biesiadnego, do którego ma zasiąść. Czuła i wiedziała, że do wspólnego stołu pracy zasiąść będzie musiała, i teraz patrzyła na tych, którzy przed nią ogryzki z tej biesiady chwyтали, w krwawym pocie czoła je maczając.

Dopóki trwał ruch na wybrzeżu, dopóki, dźwigając ciężary, snuli się ludzie wpólnadzy i pyłem okryci, do tej chwili Janka nie czuła swego osobistego, moralnego cierpienia i zdawała się mocą imaginacji pracować wspólnie z robotnikami, wydawać z siebie dostateczną siłę, potrzebną do zwalczania moralnego zgnębienia. Lecz gdy robotnicy legli pod filarami mostu do snu, nakrywając swe głowy kapeluszami, lub szmatami dzienników przed zbyt natrętnymi promieniami słonecznymi—porwała się nagle Janka z ławki i biedź zaczęła. Przed nią, w oddali, na białej ćwiartce papieru zamajaczył drobny sznurek liter: „Nie kochałem pani nigdy"... Ciągnęły ją te litery, pełne jadu.

Chciała być czempredzej w domu i dotknąć się tego lista, odczytać go raz jeszcze. Wskoczyła w dorożkę i rzuciła woźnicy adres krótkim, urywanym głosem.

Przyjechawszy do domu, przeraziła się myślą, że może zapomniała klucza od drzwi wchodowych. Miała go jednak w kieszeni. Otworzyła drzwi szybko i pobiegła do swego pokoju. Szarpnęła drzwi od szafy i uspokoiła się dopiero, gdy zobaczyła biały płat papieru, jaśniejący na ciemnym tle półki. Ostrożnie, delikatnie, jak zjadliwy owad, ujęła list w palce i przyklekła na ziemi. Otworzyła kopertę i czytać półgłosem zaczęła, jakby chciała posłyszeć, jak brzmią te okropne słowa. „Nie kochałem pani nigdy!” Koło niej zwinięta w kłębek Lolotta patrzyła na nią zwięzionymi źrenicami, które przybierały żółtaworady kolor jesiennych liści.

I ciągle, ciągle Janka czuła w sobie dławiący ją spokój i chłód, który ustąpić nie chciał.

Napróżno czytała list i wpijała się weń oczyma, duszą i sercem—wszystko w niej jakby zastygło, zamarło i było głuche, jak słowo bez echa.

Zbudziła się rano, jakby z letargu i przez lotką sekundę nie miała jeszcze świadomości tego, co się stało.

I nagle—jakby przed jej oczyma rozdarła się szara, prawie bezbarwna zasłona — zrozumiała wszystko i wpadła w jednej chwili w otchłań bezcennej rozpacz.

Słowa listu spadły na nią piekącą chłostą i, jak harpie, rwały jej serce na szmaty. Do tego strasznego cierpienia, mieszały się uczucia upokorzenia, żal zbuntowanej pod niesprawiedliwą obelgą duszy, a głównie i przede wszystkim myśl, że ten człowiek odszedł od niej na zawsze, nie chcąc jej uczynić towarzyszką swego życia, nie chcąc podzielić się z nią pracą, dla której wszystko poświęcał, zamykając się przed nią murem, przez który przedostać się jej do niego już było niepodobnem. Dopiero teraz, gdy brutalnymi jego słowy osmagane zmysły zdrętwiały w niej zupełnie, poczuła

Janka, z czego właściwie składało się to uczucie, które wypełniało jej życie. Gdy była w jego obecności, przeważał ciepły strumień młodej krwi, przepelniającej jej żyły; lecz gdy Kuniewicz oddalał się i przechodził w mistyczne widziadło, wtenczas popowstawała cała armia tych nowych, doskonałych myśli, które wzbudził w jej umyśle i przeszczepił niejako ze swej wewnętrznej istoty.

Był to bezmiar tak wielkiej, wszechludzkiej miłości, że już sam Kuniewicz mieszał się z milionami i nikł w tej gorącej przestrzeni.

I dziś, gdy ona, rzuciwszy rodzinę, zerwawszy ze wszystkim, co ją z egoistycznym dawnym życiem wiązało, żyła tylko nim, tylko tym światem, w którym on przebywał—dziś brutalnie odepchnięta, zapadała w cień, z którego nie ma dla niej wyjścia. Miał dla niej współczucie, jak dla psa znalezionego na drodze, jak dla kaleki, do której przyrosła rana, o litość prosząca!.. Czyż nie czuł, nie widział, że ona nie miała już swej własnej woli, ani swych własnych pragnień, że istniała tylko w nim i przez niego, że dziś „obdarzyć go kwiatem zapomnienia” — jak pisał, nie mogła, bo dla niej nie było zapomnienia.

On! on! wiecznie i zawsze on!..

Od roku wszystkie jej myśli, jej czynności kręciły się i wirowały koło niego, jak ziemia koło słońca. Uciekła z domu przed małżeństwem? przed ohydą włączenia się po targu, gdzie ja na sprzedaż wystawiano?..

— Kłamstwo! wołała—kłamstwo!.., uciekłam dla niego! do niego!..

Dziś — wszystko skończone! Przed nią, życie iak przepaść czarna, bez promienia słońca, w sercu— rana, w umyśle— pustka...

i nagłym, a strasznym porwana żalem, wyciągnęła Janka ręce i z iękiem konającej w zarania życia duszy, upadła, kryjąc twarz w poduszki.

Cały miesiąc następny spędziła Janka w gorączkowym poszukiwaniu odpowiedniego dla siebie zajęcia. Skupowała dzienniki i przeglądała skrupulatnie ostatnie strony anonsów, w których ogłaszano jakby rodzaj giełdy pracy. Przeważnie poszukiwano sług, i ten rodzaj zarobku nie przesunął się przez umysł dziewczyny. Z wielką przytomnością umysłu od razu oceniła i osądziła, co jest w stanie robić. W kraju byłoby jej przyszło z trudnością znaleźć najędźniejszy zarobek—a cóż dopiero w Paryżu! Nie umiała nic, nawet drobnych „przyjemnych” umiejętności, jako to! brzdąkania na fortepianie i robót szydełkowych. Podolski nie pozwalał jej zajmować się niczem, a to, co Kuniewicz jej przez krótki czas przed oczyma odsłonił, było zdala widzianym obrazem. Lecz, nagłą energią zdjęta, nie chciała myśleć o tem i sta

rannie szukała, będąc przekonana, że wola dużo może, nawet, gdy przeciw prądowi płynąć wypada.

Nie zwierzyła się ze swych zamiarów Aristofanie. Coś ją ostrzegało, aby nie wyjawiać przed tą kobietą istotnego stanu swych materialnych zasobów. Te zmniejszały się z szybkością niezwykłą. Drożyzna w Paryżu przechodziła najśmielsze Janki wyobrażenia. W dodatku Henryetta nie pracowała wcale, i o ile dawniej z jakąś zuchwałością odrzucała pomoc Janki, o tyle teraz sama prosiła o pożyczkę tonem dziwnego lekceważenia, którego Janka odczuć nie mogła.

Henryetta była uosobieniem wyniku wieków całych, a zwłaszcza ostatniego stulecia. Henryetta miała jedno tylko teraz pragnienie: odpoczynku i użycia. Niedostatecznie, a nawet błędnie przygotowana do zrozumienia wreszcie samoistnego zarobku, bez oddawania z siebie nadwartości, w postępkach Janki uchwyciła tylko łatwą stronę wyciągnięcia dla siebie jak największej korzyści. Codziennie rano schodziła ze swej izdebki i stuknęła do drzwi Janki. — Nie znalazłam jeszcze roboty—mówiła, patrząc szklanymi źrenicami w smutne oczy Janki— może mi pani zaawansuje...

Janka bezmyślnie już teraz sięgała do portmonetki i dawała Henryecie sztukę srebra. Czuła, że źle robi, ale rzeczywiście może Henryetta nie mogła znaleźć roboty. Pracownie były przepelnione, a roboty mało. U tapicerów także ograniczono liczbę

ruk. Obiecywano Henryecie posłać po nią, gdy zjawi się większy obstalunek.

Tymczasem żyć było trzeba. Janka słyszała od Kuniewicza, że po drugiej stronie Sekwany mieszkają studentki Polki. Kto wie? może one skierowałyby ją na właściwą drogę i wskazały jej jakie odpowiednie zajęcie.

Lecz sama myśl o spotkaniu kogoś z kraju, kogoś, kto mógłby dać znać do Warszawy o jej pobycie, napępiała ją grozą. Przytem narażała się na spotkanie Kuniewicza. Kto wie, pomyślałby może, iż to tylko pretekst, że chce go zobaczyć bądź co bądź i gdziekolwiek...

Sama ta myśl ścinała krew w jej żyłach... Wszystko, byle nie to!..

I znów ten człowiek rozdziwił się w jej umyśle i stawał przed nią kolejno: to jako istota banalna, z sercem kamiennym i niesprawiedliwym, zamkniętym na to, co pięknego w jej duszy było, lub jak pracownik silny i wytrwały, ogarniający pragnieniem szerokie i łzami drugich oblane horyzonty. Jeden z tych ludzi wyrządził jej krzywdę ciężką, osobistą, bolesną... Rzucił jej w oczy słowem: „Nie kochałem cię nigdy!” Drugi—kochał ją w tej ogólnej, zbiorowej miłości, która w jego sercu żyła. I gdy ten drugi brał górę nad pierwszym, pragnęła Janka całą duszą osiągnąć jak największą część tej miłości, która w chwilach szczególnego rozrzewnienia miała dla niej stokroć większy urok, niż indywidualne przywiązanie, podnieceniem chwilowym wzbudzone.

I teraz, coraz więcej rosła w niej ta chęć gorączkowa i silna. Czuła, że Kuniewicz, jako ten jej, ten ukochany, istnieje już tylko w dziedzinie mitów.

szarej godzinie, zwłaszcza gdy pozostawała sama, siadała na szeszlunku i wtedy zanurzała swą myśl w serdeczną ranę, jaką w sobie nosiła.

Tak!... cierpiała bardzo, cierpiała fizycznie i moralnie, cierpiała bez łez i jęku, gryząc tylko do krwi ręce lub zaciskając je koło szyi...

i nic więcej w tym cierpieniu nie słyszała i nie czuła, tylko jedną, wiecznie jedną myśl:

— Nie kochał mnie nigdy!

Gdyby podczas bywania u niej Kuniewicza zapytał ją kto: „Czy kocha cię ten człowiek”—odparłaby bez wahania: „Nie!” Dziś jednak wiła się z bólu, jakby nad zdruzgotanym i w pył obróconym pałacem.

I wtedy właśnie pragnęła zanurzyć się w bezmiernej powodzi nędzy i pracy czarnej i gorzkiej, aby zmusić tego człowieka do ukochania jej.

O tem wiedziała, tego była pewna, że nie cofnie, że jej powie, zmieszanej z proletaryatem: „Nie kochałem cię nigdy!, nie miałem dla ciebie nic w głębi mej moralnej istoty”...

Gdy szare cienie wieczoru słały się pod jej stopy, gdy znów—jak tam, w Warszawie—widziała przed sobą złotowłosą głowę i zgarbioną postać, majaczącą w przestrzeni — w duszy jej rosło rozmarzenie.

Aristofana od dwóch tygodni była niemal nie przytomna z radości i dumy. Pod wyżynami Mont martre, przed wejściem do kawiarni Dekadentów znalazła odpowiedzialnego redaktora dla swego „Kapuścianego Listka”.

Było to indywidualium mało znane, długowłose, pijące dużo kieliszków absyntu, występujące jedynie w chwili wyborów lub jakiej skandalicznej sprawy, w którą wmieszany był senat i izba.

Za cenę dwudziestu franków, wypłaconych gotówką, dał chętnie swoje nazwisko i poprawił artykuły Aristofany, która wypełniła cały numer.

Tytuł wymyśliła pewnej nocy—i teraz tryumfowała, biegając ciągle do małej drukarenki, gdzie kończono druk pierwszego i prawdopodobnie ostatniego numeru.

— Chodź, ma chere—prosiła Janki—pójdziemy do drukarni...

Lecz Janka wstrząsnęła głową.

Nie! woli pozostać w domu.

Była już kilkakrotnie w tej małej drukarni i wczoraj nawet poszła sama, pragnąc dostać w niej zajęcie przy składaniu i przygotowywaniu papieru, co pozwoliłoby jej zarobić od franka pięćdziesięciu centymów do dwu franków dziennie.

Lecz odmó

wiono jej, gdyż i tak za mało było pracy, a za wiele rąk w pracowni.

I Janka z żalem patrzyła przez szerokie oszklone okno, na tę niewielką sale, oświetloną żółtawym światłem gazu, która tonęła cała w masie pyłu, ze swemi wielkimi kasztami, ciągnącemi się wzdłuż ścian i pośrodku sali, jak puste katafalki, oczekujące na trumny trupów pełne. Wśród tej ciemni kupiło się kilkadziesiąt osób, ubranych w czarne, długie bluzy i tylko białe płachty papieru bieleły, jak całuny grobowe, sztywne i zupełnie świeże.

Kiedy niekiedy ponad tym papierem schylała się postać kobieca, czarno odziana, z rudawym lub bladożółtym warkoczem, wysoko upiętym na głowie i w żółtem świetle lamp przesuwiała po bieli arkusza ręce długie, chude, przysypane jakby pyłem, który już wrósł w tę skórę i pozostał w niej żalobnym stygmatem. Twarze tych kobiet były chude i nędzne.

Janka z żalem myślała, iż pośród tej, w czem odzianej bandy, jest jeszcze dosyć miejsca, gdyby chciano pozwolić tym bladym widmom mniej pracować i prędzej powracać do legowisk, które im za schronienie służyły...

Dlatego więc Janka nie chciała powracać do drukarni. Nie chciała, aby wobec Aristofany administrator ponowił swą odmowę... Wiedziała, że wyprowadzić się od panny Mathieu musi i wziąć skromniejsze, uboższe mieszkanie, lecz ta Aristofana była jeszcze jedyną istotą, z którą Janka mogła zamienić dwa słowa. Po za nią już nie było nikogo. A przy

tem, ten pokój, w którym błąkały się resztki wspomnień, stawał się Jance bardzo drogim.

Odkładała więc wymówienie mieszkania z dnia na dzień. Pozwalała sobie tej fikcyjnej rozkoszy obudzenia się w błękitnie, w którym niegdyś tonęła złotowłosa głowa Kuniewicza.

Pozostała więc w domu tembardziej, że rano spotkała ją dziwna przygoda.

Kilkakrotnie już w dziennikach czytała o zajęciu kilkugodzinnem dla „dam”, bardzo zyskownem. Udała się wreszcie pod wskazany adres. Była to piwiarnia, a raczej knajpa, gdzie „damy”, ubrane za żuawów, piły absynt i podawały „boki”.

Janka cofnęła się od progu, owiana całą atmosferą tytoniu i alkoholu, jaka po za temi drzwiami, złożonemi z drobnych różnokolorowych szyb, panowała. I

Powróciła do domu, unosząc w oczach wizję pstro odzianych kobiet, w szerokich, błękitnych spodniach, w kurtkach bez rękawów, wizye fatalne, majaczące w dymnej atmosferze rudawobiałej, wpozach półpijanych bachantek, wyszłych z zaułków ciemni bulwarowych.

Wizye te, błękitne i pijane, zmieszały się w umysł Janki z kohortą czarno odzianych drukarek

i teraz Janka nie wiedziała, które z nich były bardziej nędzne i o ratunek wołające: czy tamte, od piwnicy czarnej blade i nad pracą schylone, czy te w fezach purpurowych na fryzowanych włosach, trucizną alkoholu w żyłach, z twarzami niespo

kojnemi, czyhającymi na łup rzuconego na stół napiwka.

Janka stanęła w oknie swego pokoju i patrzyła

na ulicę, po której snuł się kot odzwiernej, węsząc i łasząc się koło przechodniów.

Na progu domu stała pani Lechemin, z uśmiechem śledząc przechadzki swoich faworytów.

Nagle, z poza węgła narożnego domu ukazała się Aristofana; biegła szybko, jak tryumfatorka, kapelusz przekrzywił się jej na bakier, mantylka spadła z pleców. W jednej ręce trzymała dużą płachtę papieru i powiewała nią, jak sztandarem.

Dopadła wreszcie do bramy i przed oczy odzwiernej podsunęła papier.

Janka z wysokości swego okna dostrzegła wielkimi, czarnymi literami, nasmarowany tytuł.

Aristofana tryumfowała! Tak! to ona zredagowała cały ten dziennik. Artykuł wstępny był jej pióra, i następne artykuły także. Ten przeciw klasztorom, ten tryumfujący z powodu przejścia prawa wojskowego, zastosowanego do kleru, ten zaś przeciw panu Rouvier'owi, a ten, masakrujący pana Clemenceau; tu zaś siostry miłosierdzia...

Nagle Aristofana wydała wrzask przeraźliwy. Ponad głową jej śmignęła dyscyplina, czarna i żyłasta ręka wydarła jej dziennik i poszarpała w kawałki.

Z krzykiem nieludzkim rzuciła się Aristofana naprzód i porwała za kołnierz od flanelowej koszuli stojącego przed nią waryata. Lecz kołnierz został

w jej rękę, a waryat powtórnie śmignął w powietrzu dyscypliną...

Pani Lechemin, ironicznie uśmiechnięta, cofnęła się do sieni.

Z zaułków, z bram, nieledwie z kamieni ulicznych zaczęły wyrastać postacie dzieciaków w czarnych fartuchach i z ostrzyżonymi głowami, pędzące z szybkością lokomotywy w stronę wojujących.

Janka zbiegła szybko ze schodów, chcąc Aristofanę wciągnąć do mieszkania; lecz próżne były wszelkie jej wysiłki... Aristofana, purpurowa z gniewu, pędziła już w stronę ulicy Martyrs, aby na rogu alei Trudaine znaleźć wечно tam drzemiącego agenta.

Za kilka chwil zjawiała się znów w towarzystwie pana z policji, ubranego w czarną tunikę i zniszczone kepi.

Ujrzawszy go, waryat, do tej chwili cały krwią nabiegły, zbladł i drzeć począł. Chciał uciec, lecz zastąpiły mu drogę chmury dzieciaków, skaczące i wyjące kawiarniane piosenki.

Jak zwierz nagie osaczony, zakłówał waryat wśród tego drobiazgu, który zgnieść mógł jednym uderzeniem pięści. Podniósł nawet rękę, lecz wnet pięść opadła bezsilnie, jakby lękając się uczynić krzywdy tym drobnym i małym głowom.

Lecz już z drugiego końca ulicy zjawili się znów agenci, biegnąc przyśpieszonym krokiem. Dzieci ścisnęły koło, skacząc coraz zapamiętałej.

Waryat rzucił dyscyplinę i wyciągnął bezbronne ręce. Agenci dopadli do niego i uderzywszy go

kilkakrotnie, pochwycili w moc swoją. Szybko związali mu ręce, jakby w przewidywaniu oporu, lecz on nie bronił się wcale. Zamknął nawet oczy i tak poszedł ku ulicy Rochechonart, pomiędzy dwoma agentami, i otoczony całą chmarą wrzeszczących dzieciaków.

Janka patrzała za nimi ze smutkiem najwyższym.

Waryat przerastał głową cały tłum i szedł powoli; dokoła niego roiły się dzieci. Śpiewały teraz marsza komiwojażerów, ochrypłymi już i przedartymi głosy:

„S'il pleut, s'il vente, Toujours ii chante, Soir et matin, Sur le chemin!...”

Chwilę jeszcze—i orszak cały zniknął na skrócie ulicy.

— Jest pani teraz zupełnie szczęśliwa?...

To Bervisier rzucił pytanie Aristofanie, która, przysiadłszy na ziemi, zbierała kawałki swego dziennika i wydierała je z paszczy Rikiego i z pod szponów kota.

Aristofana podniosła głowę.

— Pewnie, że jestem szczęśliwa! Zamkną go w SaintAnne. Będzie tam siedział do śmierci. Po

darł mi pierwszy egzemplarz, ale jutro setki tysięcy egzemplarzy rozlecą się po całym Paryżu... Bervisier wzruszył ramionami.

— Dlaczego pani to robi?..

— Jestem wolnomyślicielka

— Jeśli jesteś pani wolnomyślicielka, to dajże innym także wolność myśleć według ich pojęć. Zdaje mi się, że wolnomyślicielstwo powinno być czysto indywidualne, bez narzucania komukolwiek swych przekonań, bez walczenia z wiarą innych. Myślisz pani wolno, myśl pani zdrowa; dla czego chcesz pani pętać myśl innych, narzucając to, co według ciebie jest wolnością myśli? Ciesz się, żeś sama przyszła do tego przekonania, i nie chciej nigdy „poddawać” wolności myśli, bo wtedy ta wolność stanie się niewolą...

Aristofana skrzywiła się.

— Turlu tu tu wszystko to są frazesy! Byłam wychowana w klasztorze i wiem czego się mam trzymać. Nawet mnie pisać porządnie nie nauczyli, a przecież byłam w ich szkole siedem lat! Wszystko to jedno kler i arystokracja!..

Inkwizycya więzienie...

Nagle przebiegła się i wrzasnęła przeraźliwie:

— Lolotto, wylecisz! nie wychylaj się tak, nieszczęśliwe dziecko!..

Podniosła pozostawioną przez waryata dyscyplinę, machnęła nią ku kotce, która najspokojniej

spacerowała po framudze okna i, szastnąwszy spódnicami, popędziła na górę.

W sieni pozostali Bervisier i Janka, która, oparłszy się o ścianę, patrzyła na Rikiego, łaszącego się u stóp malarza.

— Waryatka! — wyrzekł wreszcie Bervisier waryatka! wraskiem i hałasem chce w umysłach ludzkich wszczepić to przekonanie, że człowiek nie jest zwierzęciem religijnem. Jak Comte, zbuduje sobie kaplicę i z pewnością obwoła się arcykapłanką nowego kultu pod koniec dni swoich!..

Milczał chwilę; później dodał z uśmiechem:

— A przecież mogłaby żyć inaczej!

Podniósł oczy i spotkał się ze wzrokiem Janki, która patrzyła teraz na niego smutnymi i zażawionymi źrenicami.

— Wszyscy wy gonicie za marami, przynoszącami wam tylko cierpienia... Pani wydajesz mi się dziś istotą bardzo zgnębioną i smutną. Dlaczego pani się martwi? Niech pani odrzuci od siebie cierpienie materyi i pomyśli, jak bardzo szczęśliwą i wielką czuje się pani duchowo. Wydostań się pani poza mury miasta i ogarnij okiem przestworze. To wszystko do ciebie należy!.. Możesz upajać cząstkę bóstwa, jaką masz w sobie, bezmiarem bóstwa, który cię otacza... Toniesz w swym pierwiastku, łączysz się z nim i cierpieć przestajesz. Jesteś wtedy szczęśliwą!..

Janka oddychała ciężko i zaciskała nerwowo ręce, aby opędzić się tej wielkiej senności, jaka ją powoli ogarniać zaczęła. Zielone, wielkie oczy ma

larza zdawały się jej teraz ciężać na powiekach i zamykać je gwałtownie, pomimo oporo, jaki jej z głębi się wydobywał.

Przez chwilę starała się zatrzymać uwagę na drobnych, zewnętrznych szczegółach, otaczających postać malarza.

Dostrzegła, iż ma na nogach saboty, z których wysuwały się źdźbła siana. O saboty te ocierał się Riki, i szerść jego żółtawa mieszała się z jasną barwą drzewa, podniesioną tylko złotem blachy, opasującej część wierzchnią sabotów. Przez chwilę Janka pozostała tak nieruchoma i, gdy podniósłszy oczy, objęła niemi głowę malarza, wydał się jej tak pięknym w rudozłotem rozwichrzeniu swych włosów i brody, ze spokojem mistycznym w głębi zielonych źrenic, iż przerażona tem nowym wrażeniem, które uderzyło o jej zbolące serce—krzyknęła, wyciągając przed siebie ręce, jakby broniąc się przed nowem, a nagle na drodze spotkanem niebezpieczeństwem.

Krzyk ten i ruch oprzytomnił ją zupełnie. Z mocą jakąś rozpaczliwą oderwała się od ściany i przebiegła schody. Znalazła drzwi uchylone i Aristofanę, czekającą na nią w przedpokoju.

Widząc zmieszanie Janki, Francuzka zapytała:

— Co się stało?.. Czy waryat powrócił?.. Janka usiadła na krzeselku i potarła ręką rozpalone czoło.

— Nie... nie... to nic!..

Aristotana patrzyła na nią z pod brwi ściągniętych. Miała minę napuszoną i niezadowoloną.

Dolna warga zwiesiła się z jakąś nieokreśloną pogardą.

— Mówiono mi dziś w drukarni—wyrzekła powoli, przeciągając sylaby — że byłaś tam, ma chere, wczoraj, prosząc, aby cię przyjęto do składania papieru... Czy to prawda?...

Janka podniosła głowę.

— Prawda—odparła gorączkowo.

— Dlaczego to zrobiłaś?... Jako cudzoziemce, a więc istocie barbarzyńskiej, przebacza się wiele dziwactw... ale to przechodzi granice... Po co ci było chodzić tam i prosić o przyjęcie?...

Janka powstała z krzesła. Czuła, że przyszła chwila stanowcza wyjścia z fałszywej sytuacji.

— Prosiłam o przyjęcie, bo fundusze moje prawie są wyczerpane... będę musiała zacząć pracować...

Aristofana parsknęła śmiechem i zmrużyła oczy,

— Pracować?... czy tak, jak Henryetta?... Ależ

ma chere chyba żartujesz!... Żadna z moich lokatorek, które zajmowały przed tobą niebieski pokój, nie pracowały! Skończ te żarty!..

— To nie są żarty! — odparła Janka — mam bardzo niewiele pieniędzy i chciałam właśnie powiedzieć pani, że będę zmuszona wyprowadzić się od pierwszego.

Aristofana zaczerwieniła się i przygryzła wargi. W jednej chwili wyprostowała się i zmieniła do niepoznania. Janka poczuła chłód, jakim ogarnęła całą jej postać, chłód, jaki hołdujący potędze pieniężnej

wydają z siebie w chwili zbliżenia się istoty, skazanej na nędzę.

— W takim razie, ma chere, zapłacisz mi całe trzysta franków za przyszły miesiąc... Dziś mamy dwudziestego...

Pokoje pojedyncze wymawia się w Paryżu przed piętnastym...

Janka otworzyła drzwi i wbiegła do swego pokoju. W szafie, na półce, pomiędzy odrobiną bielizny, miała swoje pieniądze. Wydobyła szybko franków i otworzyła drzwi do przedpokoju.

— Oto pani pieniądze! — wyrzekła, rzucając banknoty — proszę je wziąć... wyprowadzam się dzisiaj!...

Zamknęła znów drzwi i, drżąc cała nerwowo, porwała za kapelusz. Pójdzie, poszuka innego mieszkania, wyprowadzi się dziś jeszcze —zacznie nowe życie— i pozostawi może zarazem niezdrową atmosferę tego dwuznacznego pokoju — przygniatający smutek, który ją ogarnia...

Jance zdawało się w tej chwili, że wystarczy najzupełniej uciec od Aristofany, jej błękitnych kotar i zapachu pizma, aby zapomnieć o Kuniewicza i odzyskać utraconą od roku swobodę. Była w stanie takiej egzaltacji i nerwowego rozdrażnienia, że śmiała się płacząc, i wyciągnąwszy rękę w stronę, w której bezustanną halucynacją widziała postać Kuniewicza, zawołała:

— Ucieknę!... ucieknę stąd!... pójdę tam, gdzie ciebie niema!...

Potem, porwawszy list, który leżał ciągle w ką

cie półki, jak upiór uśpiony, poszarpała go w drobne kawałki i rzuciła na ziemię...

I sama upadła na ziemię, pomiędzy płatkami owego zabójczego listu, które obsypały fałdy jej sukni, jak śnieg mroźny i fatalny, nigdy nie topniejący i jadem swym zabójczy...

Na drugi dzień, wczesnym rankiem, zajrzało słońce do pokoiku, w którym Janka spędziła noc prawie bezsennie.

Usiadłszy na łóżku, dziewczyna patrzyła długo na swą nową siedzibę, zdziwiona niemal, że się tu znajduje.

Pokój ten, a raczej klatka z dość dużym oknem, wychodzącym na dachy, miał najwyżej dwa i pół metra długości, a ściana, przy której stało łóżko, cała była zajęta fałdami firanek brudnych i ciemnych, zwieszających się od sufitu na krawędź łóżka.

W tę smutną i małą przestrzeń, zawieszoną nad dachami ulicy Lafayette, spadła Janka od wczoraj wieczorem. Jak szalona wybiegła na ulicę, szukając nowego schronienia. Wybrała loch, położony w hotelu nędznym i brudnym na małej i czarnej uliczce Buffault, wychodzącej na zbieg ulic, przy zaułku przedmieścia Montmartre. Nie chciała prywatnych mieszkań, bała się mieć do czynienia z nową Aristofana; przytem środki jej nie pozwalały na ten zbytek.

Dlatego rankiem wczesnym, rozejrzawszy się po tej swojej nędznej i smutnej siedzibie, znalazła w niej nawet pewien urok własnego i nowego kąta.

Wszyscy lokatorowie spali jeszcze, i tylko w oddali słychać było leniwe kroki kelnera, zabierającego obuwie do czyszczenia i schodzącego powoli ze schodów, wysłanych dywanem.

Janka wyskoczyła z łóżka, a energia rosła w sercu dziewczyny. Wymyła i oczyściła szyby, marmur kominka, lustro, zegar, szafę.

Gdy siódma wybiła na korytarzu i ruch rozpoczął się w całym hotelu, zamieszkanym przeważnie przez komisantów handlowych, Janka, umyta i uczesana, wyszła na ulicę, ze stałym postanowieniem znalezienia sobie zajęcia.

Wiedziała i widziała, że drobny zwłaszcza handel jest w Paryżu przeważnie w rękach kobiecych— i tu skierowała się, sądząc, że łatwiej znajdzie pomieszczenie. W kieszeni miała całą listę adresów, przepisanych z „Petit Journalu”, lecz te pozostawiła jako ostatnią ucieczkę.

Wiedziała dobrze, co myśleć o tych zapotrzebowaniach gwałtownych, głównie do pracowni krawieckich. Była już w kilkudziesięciu pracowniach: zwykle przychodziła za późno, przed chwilą był już ktoś, kogo zatrzymano. Patrzano się przytem z nieufnością na jej wyniosłą, królewską postać i słuchano z uśmiechem ironicznym jej wadliwej wymowy. Nie! nie! nie potrzebowano już nikogo. Brano jednak jej adres, zapewne dla osłodzenia pigułki.

W kilku miejscach dano jej wymownie poznać, iż za dużo Francuzek robotnic jest bez zatrudnienia, ażeby dawać zarobek cudzoziemkom.

Na zewnętrznych bulwarach sklepy otwierały się już jedne po drugich; handlarze starożytności wynosili przede drzwi złożone krzesła, świeczniki żydowskie, trupie głowy, potłuczone talerze i rozpadające się stare ornaty.

Janka zatrzymała się przed jednym ze sklepów i patrzyła długo w okno wystawowe, w którym właśnie dwie młode dziewczyny układały kolorowe koszule, przeplatając je zwojami bladoliliowych wstążek.

Pracowały szybko i zręcznie. Ich grube i ordynarne ręce zdawały się igrać z koronką i jedwabiem, jak ze świeżo zerwanymi kwiatami.

Janka zapytywała sama siebie, czy potrafiłaby ułożyć taką wystawę i nie znajdowała na to odpowiedzi. Wreszcie postanowiła zdecydować się i wejść, i ofiarować swe usługi. Cała energia, jaką miała w sobie, opadła na widok tych kilku stopni, na które wstąpić miała, aby wejść w to, co jeszcze reszta niewykorzenionej w niej szlacheckiej dumy nazywała kramarstwem. Lecz szybko porwała tę buntującą się w sobie moralną istotę i zgniotła ją nerwowym wysiłkiem woli.

Weszła do sklepu i stanęła przed kasą, za którą siedziała surowa i niemal nieruchoma staruszka,

— Navez vous pas besoin d'une vendeuse? spytała cicho, połykając zgłoski.

Staruszka podniosła głowę i spojrzała na Jankę z poza szkieł okularów.

— Parfaitement—odparła—notis en avons besoin fuste pour le moment.

W Jankę wstąpiła otucha; lecz gdy staruszka zapytała, gdzie jest kandydatka, i Janka odparła, że ona sama jest nią właśnie —staruszka wzruszyła ramionami.

Przedewszystkiem, źle mówi po francusku, powtóre— nie była poprzednio w żadnym magazynie, po trzecie — powierzchowność jej nie nadaje się do tego rodzaju zajęcia, po czwarte —jeżeli myśli, że dużo zarobi, to myli się najzupełniej. Będzie miała życie bardzo skromne, dziesięć franków miesięcznie i mały, bardzo mały procent od sprzedanych przedmiotów, co może wynieść drugie dziesięć franków na miesiąc. Oto wszystko. A zresztą — rzecz najgłówniejsza — nie mogą jej przyjąć, gdyż właśnie dziś rano zatrzymano już prawie kogoś, kto się przedstawił wcześniej od niej...

Janka wyszła ze sklepu i szła już teraz cierpliwie, systematycznie zachodząc do każdej mercerie lub magazynu bielizny. Zauważyła, iż tylko pierwszy krok kosztuje—teraz wchodziła do sklepu pewna, że jej odmówią, i nawet z najwyższą niecierpliwością oczekiwała końca tej odmowy, stojąc przy drzwiach, z ręką na klamce, cała już myślą i duszą po za progiem sklepu.

Koło południa zatrzymała się wreszcie w tej wędrownicy. Uczuła głód, ściskający jej wnętrzności. Widziała, że robotnice wchodziły do małych restau

racyjek, że siadały na werendach przed sklepami winiarni. Nie śmiała zasiąść pomiędzy niemi. Weszła do cukierni i zjadła kilka ciastek. Wypiwszy trochę wody, uczuła się znów silną i rzeźwiejszą.

Wyszedłszy z cukierni, usiadła na ławce bulwarowej i przez kilka chwil patrzyła na dzieci, grzebiące się w piasku. Od tej drobnej gromadki wzrok jej pobiegł: dalej i nagle zatrzymał się na dużych szybach, poza którymi całymi rzędami stały manekiny, przystrojone w ciemne lub jasne płaszcze. Na dole, jasnoliliowe i purpurowe blaski ożywiały jednostajne linie okryć. Po bokach zaczepiono całe masy delikatnych, koronkami obszytych spódniczek, z materyi, mieniących się w słońcu, jak skrzydła motyli.

Janka zauważyła, że ruch przed tym sklepem był wielki. Co chwila wchodziły do niego lub wychodziły kobiety i dzieci. Te drzwi, otwarte i ukazujące wnętrze sklepu, ciągnąć zaczęły wzrok Janki ku sobie. I nagle wstała, przeszła ulicę i sama nie wiedząc w jaki sposób znalazła się na progu sklepu.

Składał się on z wielkich dwóch pokojów, wybitych czerwonym dywanem, i obstawiony był szafami. Kilka dużych lusterek stało pośrodku, a całe masy manekinów, okrytych płaszcami, zajmowały jak armia nieruchoma—prawie całe wnętrze sklepu. Każdy z manekinów, zamiast głowy, miała dużą kartę z nakreśloną na niej cyfrą.

Na środku pierwszego pokoju, pomimo upału, stał duży piec, rozpalony do czerwoności i połączony

ny z ulicą długą, czarną rurą, przeciągniętą wysoko ponad szafy i lustra. Koło tego pieca siedział mężczyzna, owinięty szalem, tak blade i straszny, że Janka drgnęła cała, spotkawszy się z jego wzrokiem. Oczy tego człowieka miały powłokę szklaną, po za którą tliły się iskry gorączki. Twarz, zaledwie obciążona żółtą skórą, miała zupełny pozór trupiej głowy, obrosłej trocha nędznych i rudawych włosów.

U jego nóg, mały chłopczyk, o twarzy podobnej do japońskiej maski i ubrany w czarny fartuch, bawił się połamanymi i zniszczonymi zabawkami.

Dokoła nich wrzało od ruchu i gwaru. Koło każdego lustra stały kobiety, przymierzając płaszcze i żakiety.

Wszystkie towary w tym sklepie były przeważnie jasne, jaskrawe, słoneczne. Purpurowe, błękitne, żółtawe barwy przeważały.

Kilka manekinów miało na sobie liliowe, mieniące się rotundy.

Kobiety ciągnęły, jak ćmy do światła, do tych barw jasnych, letnich, ciepłych... Te, które z powodu wieku lub z konieczności były zmuszone ograniczyć się do ciemnych kolorów, brały okrycia, podbite jaskrawymi podszewkami.

Janka w pierwszej chwili doznała olśnienia, tak pełna była przestrzeń tej tęczy, przeważnie mieniącej się purpurowobłękitnej. Powoli oswoiła się i zaczęła wzrokiem szukać właścicielki. Nie mogła odnaleźć jej jednak wśród tej masy kobiet, które

prawie wszystkie pozdejnowały kapelusze lub przyszyły z gołą głową.

Zbliżyła się do mężczyzny, siedzącego z gołą głową.

— Avez vous besoin dum vendeuse? Mężczyzna splunął w kubek, kaszlnął i chrypliwym, strasznym głosem wołać począł:

— Adrienne! Adrienne!.

Z całej masy okryć, zrzuconych na ziemię, podniosła się drobna postać kobieca, ubrana w skromną, wełnianą suknię. Szybko zbliżyła się w stronę pieca.

— Tu destres, cheri? — spytała.

Lecz mężczyzna nie mówił już nic, dławiony napływającą do gardła flegmą, tylko wskazał wychudłym palcem Jankę. Ta ostatnia powtórzyła swe sakramentalne pytanie.

Mała kobietka pokiwała głową.

— Parfaitement — doskonale się zdarza — właśnie ruch jest w sklepie szalony — ona i dwie jej pomocnice nie mogą dać sobie rady; musiała aż wezwać z kuchni sługę, i będą dziś jedli w restauracyi. Niech Janka zostanie natychmiast i zajmie się układaniem żakietek i wieszaniem porozrzucanych płaszców... I szybko, nerwowo wciskała już w ręce oszołomionej dziewczyny całe stosy ubrań, popychając ją w kąt sklepu. Tam, w tamtej szafie, trzeba wszystko porozwieszać, stopniując numera, zaczynając od , a kończąc na ym.

Janka zdjęła kapelusz i, zgorączkowana, pra

wie nieprzytomna, upojona powodzeniem, zaczęła swą pracę.

Lecz za chwilę „patronka” odwołała ją stamtąd i posłała razem z drugą sklepową po nowy tuzin rotund, które w pracowni właśnie kończono.

Janka włożyła kapelusz i wyszła ze sklepu. Ody znalazła się na ulicy, odetchnęła trochę. Kobieta, która szła obok niej, patrzyła na nią nieufnie z pod nastroszonego, siwego czuba. Miała twarz płaską, żółtą, zestarzałej przed czasem kobiety.

Janka miała w duszy serdeczne pragnienie zespolenia się ze swem otoczeniem. Dlatego pierwsza zaczęła rozmowę.

— Czy daleko pracownia?

— Daleko!... — odparła robotnica grubym, chrapliwym głosem.

Skręciły wszakże w boczną uliczkę, i Janka ze zdziwieniem dostrzegła, że jej towarzyszka zatrzymuje się przed wysoką, ciemną kamienicą.

— To tu!... — wyrzekła, nie patrząc na Jankę.. — Niech panna poczeka: ja sama zniosę rotundy. Na schodach ciemno... jeszcze panna sobie nosek rozbije!

Znikła w ciemnej sieni i wróciła w kilka

chwil, uginając się pod masą zielonego i piaskowego sukna.

Janka odebrała połowę ciężaru i szła teraz szybko, z twarzą rozpaloną, czując się trochę upokorzona tym towarem, który całym ciężarem legł po raz pierwszy na jej ramiona i chylił ku ziemi jej wyniosłą, majestatyczną postać.

Idąc obok niej, robotnica patrzyła na nią z gorzkim, ironicznym uśmiechem.

— Czy to panna z Taiti przyjechała do nas?— zapytała wreszcie.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— A bo to może u dzikich robotnice po towar w kapeluszach chodzą... — wycedziła przez zęby kobieta. —U nas, dzięki Bogu, uczciwa robotnica nie wstydy się wyjść z odkrytą głową!

Na Jankę uderzyły płomienie.

Uczuła się rzeczywiście śmieszną w tym kapeluszu z szafirową kokardą i masą płaszczów na ramieniu. Szczęściem, dochodziły już do sklepu.

Wchodząc, Janka przytuliła głowę w fałdy płaszczów, nie chcąc, aby patronka zwróciła uwagę na jej kapelusz.

Lecz mała kobietka była nadto zajęta swymi klientkami.

Właśnie jakaś mulatka przymierzała jasnozielony kolet, i pani Marte wspinała się na palce, chcąc podnieść opadające fałdy wykładanego kohnierza. Nic mogła jednak dosięgnąć karku mulatki; zniecierpliwiona, przywołała Jankę.

— Proszę to ułożyć w kontrafałdy.

Janka, drząc cała zarumieniona, starała się odgadnąć rysunek fałd i miała w palcach tkaninę. Pani Marte zwróciła się tymczasem w stronę

— Jakże się czujesz, kochanie?—spytła siedzącego tam mężczyzny.

Lecz on machnął ręką.

— Złe, źle bardzo... idę spać.

— Idź, idź!...

Powstał, czepiając się krzesel, foteli. Był bardzo wysoki, zgarbiony, z piersiami wpadłymi pomiędzy złamane ramiona. Pani Marte patrzyła chwilę i westchnęła ciężko, gdy portyera opadła za nim, i tylko słysząc było chrapliwy odgłos jego kaszlu, kaszlu, podobnego do zgrzytu zardzewiałego klucza, obracanego w zamku więziennym.

Jedna z klientek zapytała z roztargnieniem:

— Pan Marte ciągle chory?. Pani Marte skinęła głową.

— Ciągle... lekarze mówią, że byle tylko zimę przetrzymał, wszystko będzie dobrze... Ach, ten Luwr przeklęty!...

Schyliła się i ze stosu żakietów wydobyła jeden, podbity bładozielonym atłasem.

— Ten będzie dobry, to numer czterdziesty czwarty. Lub... może... panno!... jakże imię panny!

— Jeanne.

— Dobrze. Panno Jeanne, proszę mi podać wszystkie żakiety, znaczone numerem czterdziestym piątym.

Janka szybko podeszła do szafy i dość zręcznie rzucała sobie na lewe ramię jasne okrycia. Pot obfitemi kroplami spływał z jej skroni. Piec rozpalony aż huczał od gorąca.

— Moznaby ogień zgasić! — zamruczała stara robotnica.

Pani Marte szybko wyciągnęła rękę.

— Bron Boże!... pan Marte może powrócić do sklepu; skoro nie znajdzie ognia, będzie się gniewał...

Stara sklepowa wzruszyła ramionami.

— Udusimy się z gorąca...

Pani Marte wyprostowała się, jak struna. Jej małe, czarne oczka zaświeciły pod długimi, czarnymi rzęsami. Nozdrza rozdeły się gwałtownie. Ujęła się pod boki.

— Proszę! panna Eugenia znów zaczyna pokazywać zęby?... Skoro się panna Eugenia dusi, to może w tej chwili przestać się dusić... Zrobimy obrachunek!

Stara sklepowa schyliła głowę w milczeniu. Przycięła tylko usta zżółkłymi zębami i zajęła się sortowaniem świeżo przyniesionych rotund.

Pani Marte, już uśmiechnięta i uprzejma, zwracała się ku klientkom, zachwalając towar, starając się dogodzić ich różnym grymasom.

Janka z pewnym rodzajem trwogi spoglądała na tę drobną figurkę, prawie miniaturową, mającą w sobie tyle energii i silnej woli. Zrozumiała, że najbliższy opór może wywołać ze strony pani Marte objawy nerwowego gniewu.

Stała więc cicho i posłusznie, nagle sterroryzowana już przez swą patronkę, i podawała jeden po drugim zakłady, które tłusta burżuazka, cała purpurowa z gorąca i umęczenia, usiłowała wtłoczyć na swoje szerokie plecy.

Wieczorem, gdy Janka powróciła do domu, uczuła takie zmęczenie, że ledwo dowlokła się do swego pokoju.

Znalazszy się jednak w czterech ścianach swej izdebki, miała jeszcze tyle siły, iż zawiesiła skromne firanki, kupione po drodze, i włożyła w szklane wazony trochę kwiatów, które rozweseliły natychmiast pustkę i nadały więcej ożywioną barwę tej szarej przestrzeni.

Usiadła na łóżku i zamknęła oczy.

Kolana jej drżały, a ręce miała jakby przetrącone.

Do późnej nocy pracowała w sklepie, za ledwie mając czas na zjedzenie skromnego obiadu, podanego poza sklepem, w małej izdebce, gdzie pan Marte jęczał i kaszlał, przewracając się, ubrany, na łóżku, okrytem ciemnoczerwoną draperią. Jakkolwiek pani Marte nie zwróciła uwagi na ubranie Janki, jednak ta ostatnia postanowiła zastosować się zupełnie do przyjętego we Francji zwy

czaju: noszenia wełnianej czarnej spódnicy i takiegoż trykotowego stanika.

Powracając do domu, znalazła jeszcze na FaubourgMontmartre otwarty magazyn. Kupiła tam gotową spódnicę, stanik, czarny kamlotowy fartuch i włóczkową pelerynkę. Miała ochotę na nożyczki, które ciągnęły ją magnetycznie ku sobie, — ale nie dostrzegła, aby sklepowe w magazynie pani Marte miały owe nożyczki, zawieszane u boku.

W kasie dała adres i kazała odnieść natychmiast wybrane przedmioty do domu.

Teraz czekała, siedząc na łóżku, znużona i zgorączkowana. Pani Marte, stara sklepowa, dziecko o japońskiej twarzy, ten sklep pełen barwy i świecących połysków — migały przed jej oczyma. Na lewym ramieniu zdawało się jej, że czuje ciągle całą masę odzieży, ciężkiej i gniotącej jej ciało.

Zastukano do drzwi. Janka porwała się szybko i otworzyła. Przed nią stał mężczyzna wysoki, w cylindrze z dużym pakietem w ręku.

Wszedł do pokoju, nie zdejmując kapelusza,
i patrząc bystro na Jankę, pakiet rozwiązywać
począł.

— Oto przedmioty, a oto nota! — wyrzekł przez zęby. — Czterdzieści ośm franków i trzynaście su.

Położył papier na stole i śledził Jankę, która otworzyła szafę i wyjęła banknot stufrankowy.

— Proszę o resztę!

Mężczyzna wyjął gruby pugilares i odliczył na stole pięćdziesiąt jeden franków i siedm susów.

Janka stała zakłopotana, nie wiedząc, czy ma temu eleganckiemu panu w cylindrze ofiarować cokolwiek na piwo.

Wreszcie odsunęła franka.

— Proszę, to dla pana...

Lecz on uśmiechnął się do niej w jakiś dziwny sposób.

— A gdybyśmy się tak trochę pobawili! — szepnął wreszcie i wyciągnął rękę.

Janka otworzyła szeroko oczy i spojrzała na tego człowieka, stojącego przed nią w kapeluszu na głowie, z zuchwałym gestem pewnego siebie uwodziciela.

— Co panu jest?... — spytała, marszcząc brwi.

— Co mi jest?... to, że jesteś piękna i że cię kocham! — zawołał już teraz głośno kupczyk.

Wszystko, co było z krwi Podolskich, zawrzało w jej żyłach; wyprostowała się, oczy jej zaiskrzyły się, jak dwie błyskawice.

W tej chwili podobną była zupełnie do swego ojca, gdy marszczył brwi, wydymał usta i ciskał obelgi.

Postąpiła kilka kroków naprzód i dumnym gestem wskazała drzwi:

— Za drzwiami... kanalio!

Kupczyk popatrzał na nią chwilę, parsknął śmiechem, sięgnął po franka, leżącego na stole, i wsadziwszy rękę w kieszenie od spodni, wyszedł, śmiejąc się ciągle.

Janka dopadła do drzwi i zamknęła je na

klucz. Drżała cała z oburzenia i w jednej chwili dziwną a niepojętą dla niej asocjacyjną myślą z brutalną dokładnością na miejscu, gdzie przed chwilą stał kupczyk, zjawilo się przed nią... widmo Kuniewicza.

Dech zamarł w piersi dziewczyny. Zdawało się jej, że ta, prześladowająca ją postać, tak wyraźna że prawie dotykalna — pozostała tam, na Condorcet, w mieszkaniu Aristofany, pomiędzy fałdami błękitnych tkanin. Lecz nagle dostrzegła, iż była w błędzie: wampir, żrący jej życie i siły, poszedł w ślad za nią i stał teraz w ciemnej przestrzeni jej izdebki, na tle brudnego zielonawego obicia, w niepewnym świetle migającej świecy jak widmo nieruchome i fatalne, mistyczną mgłą spowite, zakłęte w milczeniu sfinksa, z aureolą złotych, w puch rozplywających się włosów dokoła trupio smutnej głowy.

Gdy po raz pierwszy Janka wyszła na ulicę z gołą głową i w swej liberyi robotniczej, zdawało się jej że ma przyczepioną bryłę lodu do czoła. Kurczyła się moralnie i fizycznie przez pierwszych chwil kilka, wyobrażając sobie, że wszyscy przechodnie patrzą na nią i dziwią się tej przemianie. Powoli wszakże podniosła rozpalone czoło. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Zmieszała się teraz z czarnym tłumem, który zalegał ulice. Była jednym pyłkiem więcej wśród tysięcy. Przez trzy dni trwał szalony ruch w sklepie pani Marte. Janka zaledwie oddychać mogła w tej duszącej atmosferze. Piec gorzał dniem i nocą; wczesnym wieczorem zapalano gaz dla oświetlenia wystawy. Pani Marte na drugi dzień zawołała Jankę do

pokoiku poza sklepem i, ściągnąwszy brwi, wyrzekła pośpiesznie:
— Zatrzymam panią na próbę... tymczasem dostanie pani śniadanie i obiad, co zaś do zapłaty, umówimy się później...
Janka skinęła głową i powróciła szybko do sklepu.
Pracowała gorliwie, podpatrując czynności i ruchy swych towarzyszek. Najgorzej jej szło z porozumieniem się z klientkami. Bełkotała, nie mogła znaleźć słów. Burżuazki i episyerki, zniecierpliwione, wrzeszczały ramionami. Cóż to za moda przyjmować cudzoziemki! Lecz pani Marte zjawiała się zawsze w porę i tłumaczyła się z uśmiechem z trudności dostania zdolnych pomocnic.
— Naturalnie! — mruzczała w kącie stara robotnica — kto się może zgodzić pozostać w takiej brudnej budzie!...
Janka, stojąca w tej chwili obok zwróciła się ku mówiącej:
— Dlaczego?... Sklepowa pokiwała głową.
— Zobaczysz, moja piękna!.. zobaczysz, co to za brudny charakter ta nasza patronka!...
Pani Marte zwróciła się właśnie w stronę meza.
— Czy nic ci nie trzeba, kochanie?... — pytała troskliwie.
Pan Marte zajęty był właśnie obliczaniem kawałów antracytu, który sypał do pieca.
— Nie... czuję się nawet lepiej...

Ale sylwetka jego mówiła o dogorywaniu suchotnika, którego zabijały miazmaty płócien, gnijących w zaduszonej przestrzeni pokoju. Ponad niemi, tryumfująca, zgorączkowana, pokonywająca osłabienie swych nóg, pani Marte obliczała znów ilość potrzebnych na jutro zakupów z hurtowych składów, aby je odprzedać natychmiast z silnie nadłożoną ceną, która, pokrywszy lokal, wydatkiienne, rządową opłatę sklepowych, ich wyżywienie — pozwoliłaby odłożyć na bok olbrzymią, stosunkowo, sumę, tworząc nowy kapitał, potrzebny na rozszerzenie i powiększenie handlu. W dziesięć dni później ruch w sklepie znacznie się zmniejszył! Klientki stawały się coraz rzadsze i Janka często stała teraz koło szaf, zakładając na piersiach ręce. Pani Marte snuła się pomiędzy manekinami, chmurna i zirytowana, — pan Marte nikł z dniem każdym i teraz już siedział nieruchomy, nie dokładając do pieca antracytu i pozostawiając tę funkcję służącej. Były chwile nawet zupełnej pustki, ku wielkiej radości panny Eugenii, która z pod swych siwych brwi śledziła wówczas minę pani Marte i nie trzymała się nawet ukryciem swego zadowolenia.

Jakkolwiek była zainteresowana w pewnej, śmiesznie małej części dochodu od sprzedaży towaru, doszła już do szczytu obojętności na swe własne dobro. Niepowodzenie interesów wprawiało ją w dobry humor. Stawała się uprzejmiejszą dla Janki i mruzczała w swym kącie, jak pieszczona kotka.

Lecz Janka czuła od dni kilku, iż pani Marte zatrzymuje na niej swój wzrok z pewną niechęcią i ciągle stara się znaleźć coś do przyganiania, czy to w jej robocie, czy to w zachowaniu się wobec klientek. Pod surowym okiem patronki Janka stawała się niezgrabną i ręce jej drżały, a czoło okrywało się potem.

Te czarne, piekące oczy pani Marte, śledzące ją bezustannie, wżerały się w jej mózg i piersi, jak gdyby szpony drapieżnego zwierza.

Wreszcie jednego dnia, gdy Janka weszła rano do sklepu, ujrzała na progu Eugenię, trzepiącą z kurzu swą starą zniszczoną pelerynkę.

— Miej się pani na baczości! dziś panią wyrzucą za drzwi! — szepnęła, nie patrząc na Janke.

Dziewczyna czuła, że wszystka krew zbiega jej do serca.

— Za co?... dlaczego?... — zapytała.

— Wzięli cię wtedy, gdy było dużo zysku; dziś raniej klientek, i dlatego pójdziesz precz, moja mała...

Roześmiała się ironicznie i wzruszyła ramionami.

— Dziwną masz myśl, moja piękna, z taką twarzą iść na robotnicę!... Czyste szaleństwo!... Co

ja przez całe życie, uczciwe i pracowite, zyskałam? Nędzę! ot, tyle! Starą pelerynę na zgarbione plecy.... Idź, baw się! użyj życia.... będziesz szczęśliwa!....

Idź!... idź.... tam!.... Dla takich pięknych, jak ty dziewczyn, tam jest karyera — nie tu, nie z peleryną na grzbiecie i z fartuchem u pasa. Płuca zjesz, oczy stracisz, kości ci się pogną od ciągłego schylania, a kto się tobą zбоgaci?... Ty?... ha! ha!

Janka, cała zdrętwiała, weszła do sklepu i na progu spotkała świecące oczy pani Marte, czyhające na nią, jak oczy zaczajonego kota. Z poza kotuaru wydobywało się stłumione, przeciągłe rżenie.... To pan Marte konał powoli, oczekując na obiecaną mu podróż do Rogat—„skoro się interesu poprawia”.

Janka zbliżyła się do kąta i, wydobywszy z kieszeni igielnik, naporstek i nici, zaczęła przyszywać do kołnierzy zakietów wąskie tasiemki jedwabne z wybitym złoconymi literami adresem i firmą domu Marte. Ręce jej drżały, kurcze nerwowe ścisnęły jej wnętrze...

Czuła, że lada chwila spadnie na nią katastrofa.

I znów—jak w każdej trudnej chwili—porwał ją żal do Kuniewicza, żal niesformułowany, ale gorzki i gniewu pełen. Nie obwiniała go za to, co się stało, boć obwiniać go było trudno — ale nie mogła powstrzymać się od tego uczucia, które ogarniało ją w chwili zniechęcenia lub doznanych prze

I powoli pogrzyżała się w tych fatalnych myślach, które, jak morze czarne i gorzkie, porwały ją w swe fale. On —on! wiecznie on! nawet w chwili tak stanowczej, gdy straciła po raz pierwszy zdobyty z takim trudem zarobek.

Znużona, wykonywała już teraz machinalnie swą robotę, nie patrząc prawie na igłę, kłując się co chwila do krwi.

Zaczynała zapominać o oczach pani Marte, o wszystkim. Ogarniało ją zmęczenie fizyczne i moralne.

Machinalnie obejrzała się i usiadła na stojącym obok krześle.

Natychmiast, jak pantera w klatce, czyhająca na odrobinę mięsa, poskoczyła pani Marte i stanęła z nadzwyczajną szybkością przed siedzącą dziewczyną.

— Dlaczego panna Jeanne siada w sklepie?... Wszak panna Jeanne wie, że to nie jest dozwolone...

Janka podniosła głowę i spojrzała zamyślonemi oczyma na stojącą przed nią patronkę.

— Jestem zmęczona... zresztą szyć stojąc trudno...

Pani Marte zmarszczyła brwi i zacięła usta.

— Proszę wstać natychmiast!—krzyknęła rozkazująco. —Mój dom należy do tych domów w quartier, w którym klientki są szanowane i sklepowym nie wolno rozwalać się po krzesłach.

Lecz Jankę ogarniał stopniowo jakiś nerwowy i niewytłómaczony upór, nie mogła podnieść się

nalnie i prawie bezwłasnowolnie.

Pani Marte stała się cała purpurowa z gniewu. — Proszę w tej chwili wstać!... i wynosić się precz! Dostyc mam i tak próżniaków na karku! Nie potrzebuję żywić jeszcze cudzoziemców!...

Janka wstała i skierowała się ku drzwiom. Zaciśnęła tak gwałtownie ręce, że paznogie wpiły się w jej ciało.

Gdy była już koło progu, spojrzała na panią Marte, która zrzucała w głąb szafy całe stosy towarów.

Chciała powiedzieć tej kobiecie słowa praw. iy, przypominając jej, że sama nabawiła się chronicznego cierpienia wskutek barbarzyńskiego zakazu, nie pozwalającego sprzedającym siadać w chwilach przerwy.

— Adrienne!... rozległ się chrapliwy jęk z poza kotary.

Pani Marte szybko poskoczyła w głąb sklepu.

Nagle rozległ się z po za tej zasłony jej wrzask, tak straszny i przeraźliwy, że wypełnił sobą nietylko wnętrze sklepu, lecz i duszę Janki.

Kotara opadła, szarpnięta szalonym ruchem, i, gnąc się w pół, z ustami rozchylonemi, na które wybiegła piana, czepiając się fałd firanki, które rwały się z suchym trzaskiem, ukazała się pani Marte, krzycząc przeraźliwie:

— Umarł!... umarł!...

Dwa tygodnie minęły, a Janka spędziła je w przymusowej bezczynności, biegając dni całe po przedmieściach i zaułkach Paryża, oswojona już teraz poniekąd z tem poszukiwaniem pracy, z tą pogonią za zarobkiem, wymykającym się bezustannie z jej rąk, do produkcji chętnych i zdolnych. Dwukrotnie zatrzymano ją w mercerie na małych uliczkach Batignollów, ale oddalono ją zaledwie po jednodniowej próbie. Mogła być przyjęta jako apprentie—rodzaj popychadła sklepowego, na co jednak była za duża i za okazała.

Dni całe spędzała teraz Janka na ulicach, chodząc od sklepu do sklepu. W quartier znano już tę wysmukłą i piękną dziewczynę, stającą w progach sklepów z tem samem zawsze pytaniem na ustach.

— N'avez vous pas besoin d'une vendeuse?

Wieczorami siedziała w domu, czytając przy świetle lampki książki, które kupowała na strąga

nach o handlarzy starożytności. Był to rodzaj sała ty umysłowej.

Jedna książka, która wpadła jej wypadkowo

w ręce, pochłonęła całą jej duszę. Były to symbolistyczne wiersze przedwcześnie zgasłego poety Auriera.

Na pierwszej stronnicy był portret autora, wspaniała, tajemnicza sylwetka z dwiema plamami ciemnymi w oczodołach, ciągnąca ku sobie jak morskie tonie...

Na rogu karty Janka odkryła ukośny napis: Louis Bervisier.

Drgnęła cała.

Postać malarza stanęła przed nią doskonała, spokojna i piękna. Poznała tę głębię duchową, cechującą tak dobitnie jego dzieła.

Janka całymi godzinami wpatrywała się w tę drobną i ciemną sylwetkę, naszkicowaną zaledwie kilku liniami. Nie wiedziała, kto ją ciągnął więcej ku sobie: czy Aurier, czy Bervisier?...

Widziała to tylko, że twarz zmarłego poety, jego wiersze, płynące w słodkiej i doskonałej harmonii, jak głos pogrzebowych dzwonów—i myśl, iż tych kilka linii tworzyła ręka Bervisiera, uspokajały ją i dawały złudzenie wytchnienia. Była bowiem bardzo zmęczona, i sztuczna energia, jaką miała rano, w chwili rozpoczęcia swej wędrówki po sklepach, opadała ku wieczorowi w powolne i smutne wleczenie się duszy i ciała, przez konieczność samotnej egzystencji.

Jednego z dni październikowych spotkała Henryettę na rogu ulicy Montmartre, kupującą żółtą satynę na ulicznej wystawie sklepu.

Janka poznała od razu szwaczkę, lecz Henryetta patrzyła na nią obojętnie, nie mogąc poznać w bladej i już pochylonej, czarno ubranej dziewczynie —pięknej lokatorki Aristofany.

Pierwszym odruchem Janki było przejść niepostrzeżenie.

Zawstydziła się nagle swego ubrania i owego bezrobocia, jakby fatalnej plamy — lecz szybko pokonała to pragnienie i zatrzymała się obok Henryetty.

— Dzień dobry!... — wyrzekła prawie nieśmiało.

Henryetta otworzyła szeroko oczy.

— To pani?...—spytała zdziwiona.

— Tak... to ja... Nastąpiła chwila milczenia.

Obie młode dziewczyny stały naprzeciw siebie, zmieszane i zarumienione.

— Widzi pani —wyrzekła pierwsza Janka—że teraz jestem, tak jak pani... prostą robotnicą.

— A!...—odparła Henryetta, śmiejąc się — ja myślałam, że...

Urwała zakłopotana.

— Znalazła pani zajęcie? — rzekła po chwili Henryetta.

— Byłam dwa tygodnie w magazynie konfekcyi.

— Ja jestem teraz u tapicera na ulicy de Rome—rzekła Henryetta —zarabiam trzy franki dziennie... Chce pani zjeść ze mną śniadanie?... Ja proszę!

Uśmiechnęła się, dzwoniąc pieniędzmi w kieszonce fartucha.

Janka patrzyła z zajęciem na jej twarzyczkę drobną, zmiętą, prawdziwie paryską — uśmiechniętą teraz i rozjaśnioną.

Pod oczyma tylko miała Henryetta dwie duże, sine podkowy i usta jakby spieczone gorączką.

Po upływie kilku chwil, obie dziewczyny siedziały w małej restauracyjce, przy stoliku, zasłanym brudną i zmiętą serwetą.

Henryetta kazała podać kartę i widocznie siliła się na ułożenie dobrego menu, chcąc więcej olśnić i upokorzyć Jankę, niż odwzajemnić się w ten sposób za pożyczzone pieniądze.

Jadły potrawkę z królika, i Henryetta zarumieniona opowiadała Jance szybko wszystkie plotki, pozbierane na schodach kamienicy.

Waryat był zawsze w St. Anne, generałowa odwiedzała go co czwartek i niedzielę. Aristofana morzyła głodem Lolotę i przestała wydawać ów dziennik, który przyniósł jej tylko straty i proces ze strony odpowiedzialnego redaktora; pani Lechemin obija Rikiego; w pokoju Janki mieszka murzyn!... oh! ma chere, murzyn czarny jak but i podobno syn jakiegoś księcia...

Gorąco, dym, fałszowane wino zawróciły w głowie Jance.

Z pod przymkniętych powiek patrzyła na Henryettę, i zdawało się jej, że zna tę dziewczynę doskonale, że jest nawet jej dobrą przyjaciółką.

Nie raziło ją to, że szwaczka — spoufalona tem śniadaniem, które fundowała — mówiła jej nma chere i kiedy niekiedy pod stołem trącała ją kolanem, dla pokazania jej jakiego „typu” ciekawszego lub mającego skandaliczną historię. Henryetta znała prawie wszystkich i wszystkie robotnice, siedzące za stołem. Dość już dawna oblatywała pracownie i magazyny... Nigdzie chyba łańcuchem tak silnie spojenym nie ciągną jedni za drugimi, jak w ich fachu. Według Henryetty, wszystkie robotnice, siedzące po za stołami, były próżniaczki i niewiele warte... Szczególnie ganiła ich poufalenie się z mężczyznami. „Kupczyki!... mówiła, wydymając usta — ma chere, aby dojść do stanowiska, trzeba patrzeć wyżej i umieć się postawić. Ona, na przykład, obecnie ma piękną sytuację u swego patrona, bo wie, jak postępować trzeba. Zależy od niej teraz wszystko!...

Nagle Henryetta pochyliła się ku Jance i spytała prawie szeptem:

— A twój ami ma chere, ten wysoki blondyn, który cię wyprowadzał na spacer? Co się z nim stało?... Jesteście ciągle razem?...

Janka powstała nagle, odsuwając krzesło. Nie odpowiedziała nic na pytania szwaczki. Serce jej przeszło rozpalony grot... Pociemniało jej przed oczyma.

— Wychodzimy? — spytała Henryetta, powstając także.

— Tak!... gorąco nie do zniesienia! Henryetta zapłaciła należność i z głośnym

brzękiem rzuciła cztery susy dla usługującej. Pieniądze potoczyły się po podłodze, a kelnerka je podniosła.

Znalazłszy się na ulicy, Janka pod wpływem wina i koniaku poczuła, że wszystko wiruje dokoła niej. Równocześnie ogarnęło ją silnie rozrzewnienie i chęć płaczu. Usiłowała przecież mieć twarz wesołą i zaczęła uśmiechać się głupkowato.

Lecz Henryetta wzięła ją pod rękę, i szły teraz wolno trotnarem, wyprostowane, zarumienione, uśmiechnięte—a przechodnie ustępowali im z drogi, gdyż spiczaste i sterczące łokcie Henryetty miały pozory dobrej broni.

Zatrzymywały się przed sklepami i patrzyły chwilę na brylanty. Janka porównywała ich wodę i ogień do brylantów, pozostawionych przez matkę i chowanych starannie przez Podolskiego w głębi ogniotrwałej kasy. Henryetta zaś piszczala, wzdychała i przewracała oczy.

— Ach, ma chere, ta kolia!... ta gałąź szafirów i brylantów!... Gdyby tak pan Fayolles chciał...
Urwała nagle i, patrząc na Jankę, spytała odmiennym zupełnie głosem:
— Możebyś chciała mieć robotę u nas?... Jeżeli tak, powiedz jedno słowo, ma chere, a jutro możesz przyjść o ósmej.
Patron gotów dla mnie

wszystko zrobić. To ja właściwie rządzą całą pracownią!
Nadymała się, poprawiała wstążkę na szyi, czekając na odpowiedź Janki.
Ta z trudnością zbierała zmysły.
— Naturalnie...—wyrzekła wreszcie—przyjmuję twoją propozycję, i to z wdzięcznością. Właśnie jestem bez miejsca, a rozumiesz taki stan anormalny...
Lecz Henryetta parsknęła śmiechem, a potem rzekła:
— Chodź... przejdziemy się trochę po bulwarach...
Lecz Janka ciągnęła ją w przeciwną stronę.
— Chodźmy lepiej do pracowni; przedstawiś mnie patronowi...
W gruncie rzeczy Janka wstydziła się jeszcze spacerować tak otwarcie po wielkich bulwarach w południowej porze, z Henryetta pod rękę.
Z daleka, z otwartego łóżyska ulicy Montmartre, widać było Wielkie Bulwary, czarne od snujących się ludzi i złote od promieni jesiennego słońca.
Główny element owej tali ludzkiej stanowiły w tej chwili kobiety robotnice, mężczyźni, kupczyki.
W jasności dnia, po wypiciu miarki fałszowanego koniaku, zajmowali brutalnie jak najszerzą przestrzeń, obsypując żartami i śmiechem przechodniów, biorąc tak swój rewanż za długie godziny bezowocnej pracy w ciemniach nor sklepowych.

Pomiędzy tą falą, czarną od długich kamlotowych fartuchów i złotą lub rudawą od poskręcanych w torsady włosów — snuli się milczący i tajemniczy, wybledli starcy, zwykle ubrani bardzo starannie i z komfortem, w grube angielskie tkaniny. Idąc powoli z wargą obwisłą, ssąc gałki lasek, patrzali z pod brwi siwych i powiek nabrzmiątych na sunące w słońcu dziewczyny... Pożądliwym wzrokiem ogarniali te młode, a już wyniszczone nędzą ciała, i jak hyeny do trupów — tak dążyli tam, gdzie największa przeświecała nędza, przez wykrzywione i dziurawe buciki, łatane spódnice i usta, wypełnione trochę zmurszałych orzechów.
Było to polowanie straszne, ohydne, potworne, wołające o pomstę, a przecież dozwolone i tolerowane przez społeczeństwo, dokonywane codziennie z zuchwałością bezczelną i kończące się finalnym tryumfem ciała nad resztą jeszcze wal. czącego ducha.
Od tygodnia pracowała Janka razem z robotnicami pana Fayolles'a nad zszywaniem dywanów i przygotowywaniem portyer w nowo meblującym się apartamencie przy ulicy de Bruxelles.

Henryetta dotrzymała słowa. Gorąco poleciła swą protegowaną patronowi i ten, po chwilowym wahaniu, kazał przyjść Jance nazajutrz, aby razem

z robotnicami i robotnikami udała się na ulicę de Bruxelles.

Pan Fayolles wydał się Jance niesympatycznym i zupełnie podobnym do owego kupczyka, proponującego jej... „miłość”—i wyciągającego ku niej brutalną rękę.

Pan Fayolles zmierzył ją przeszywającym i ostrem spojrzeniem.

Zdawało się Jance, że uczyniła na uim odpychające wrażenie, tak zmarszczył brwi i przygryzł usta.

Sklep, w którym pan Fayolles rezydował, był olbrzymim składem mebli wszelkiego rodzaju i wszelkiego stylu.

Fayolles skupował za bezcen swój towar na licytacjach i pokątnych sprzedażach, czyhając jak jastrząb na jakąś złoconą i piękną zdobycz, mogącą mu przynieść duże zyski. W swym kabryolecie czarnym, zaprzężonym w chudego i kościstego konia — sam śniady i zawsze czarno ubrany—przelatywał olbrzymie obszary miasta, węsząc owe occasions, stanowiące podstawę jego handlu.

Dawał meble na rozplaty, przeważnie kobietom i, umiejętnie biorąc się do rzeczy—często w połowie otrzymanej należności odbierał swój towar, wskutek niezapłaconej jednej raty.

Korzystał ze wszystkiego: z łez, z chwilowego bankructwa, z choroby... Spadał, jak sęp, niszczył i rozrywał z trudem zbudowane gniazdo i unosił szczątki do swego składu. Odświeżał je, odczyścił i podstępnie, układnie, drugie gniazdo budował, obliczając chwilę, kiedy je w puch rozbije.

Wdowiec — szalenie namiętny — pan Fayolles tyranizował swe robotnice wymaganiami nigdy niezadowolonego w swej pasji samca. One — nadto szczęśliwe żądaniem patrona—szły same, iak ćmy do światła, łudząc się możliwością legalnego związku.

Lecz najczęściej Fayolles, zaspokoiwszy swą żądzę, wyrzucał za drzwi nudzącą go kochankę.

Tak samo postępował i z temi, które mu się opierały.

Był to rodzaj sułtana, a raczej koguta na małym śmietniku, na którym nędzne kury grzebały ciężko, szukając okruszyny jadła, które im patron pozostawić raczył. Kiedy niekiedy kogut trzepotał skrzydłami i piał radośnie. Kury milkły w gdakaniu swoim i drżały, myśląc o możliwym wyrzuceniu ze śmietnika. Mimo to, żadna nie uciekała dobrowolnie, olśniona chwilowym blaskiem i marzeniem lepszej przyszłości. Tem bardziej, że Fayolles, znając ową słabość robotnic, dążących przedewszystkiem do zaślubienia jakiego „patrona”, — bardzo umiejętnie rzucał w rozmowie zdanie, iż jeżeli się ożeni, to tylko z robotnicą ze swej własnej pracowni, zdolną, pracowitą i oddaną mu bez żadnych zastrzeżeń.

Na tej taktyce zyskiwał podwójnie: miał dobre robotnice i cały harem kochanek.

Obecnie Henryetta była tą „wybraną”—i sprytna dziewczyna trzymała się przez pewien czas na tem stanowisku. Była to lepsza zapłata, drobne zyski, krótszy dzień pracy i możność przewodzenia nad całym personelem pracowni.

Janka przez tych dni kilka przeszła ciężkie moralne chwile. Dziewczyny, z którymi pracowała w zimnych ścianach pustego jeszcze mieszkania, były to małe, gadatliwe sroki, pełne niewysłowionej głupoty. Śmiech ich, żarty i koncepty drażniły Jankę niewypowiedzianie.

Zacinała zęby i szyla grube sukno dywanów drżącymi z wysiłku rękoma.

Chwilami desenie dywanów przypominały jej buduar Minuśki Grabowieckiej, Warszawę, rodzinę i poznanie Kuniewicza.

I zaczynała wtedy cierpieć podwójnie, bo moralnie i fizycznie, ogarnięta w owej chwili tym dojmującym bólem serca, który dręczył ją, jak piekąca rana w chwili niezaspokojonej tęsknoty i rozpacz.

Podczas gdy inne dziewczyny tarzały się po ziemi, wrywając sobie kłębki szpagatu lub wyjąc piosenki o Josychinie, ona szyla bezustannie, z jakąś rozpaczliwą energią zaprzęzonego w jarzmo zwierzęcia.

Często dziewczyny wychodziły do innych pokoi i tam biegały, goniły się lub żartowały z malarzami, kończącymi tapetowanie jadalni i gabinetów toaletowych.

Janka pozostawała sama i przymykała zmęczone od patrzenia w purpurę oczy. Migwały przed nią wtedy smugi zielone, a myśl krążyła uparcie około Kuniewicza.

Gdzie był w tej chwili?... co robi?... może jest teraz w bibliotece... może u siebie, w domu.

Jak ten dom jego wygląda? czy tak, jak w Warszawie, na Chmielnej?... czy trupia głowa wiecznie bieli się na środku stołu?... Dlaczego on jej nie kocha?... dlaczego nie miał dla niej nic w głębi duszy?... dlaczego nie pozwolił jej, aby teraz, znużona po pracy fizycznej, usiadła wieczorem u jego stóp i słuchała jego głosu?... Wybrałaby sobie jaki kącik niewielki, cichy i ciemny. Nie widziałby jej nawet... nie domyśliłby się, że jest obok niego!...

Chwilami przychodziło jej na myśl napisać do niego długi list, powiedzieć, ile cierpi i jaką wyrządził jej krzywdę, zdzierając brutalnie ostatnią osłonę iluzji, która ją przed ostateczną rozpaczą broniła...

I zaczęło to przechodzić u niej w rodzaj manii—układała w myśli zdania tego listu, kreśliła go na niewidzialnej ćwiartce papieru, kładła w kopertę i następnie wrzucała do skrzynki.

Powoli—widziała już nawet Kuniewicza, rozrywającego kopertę i zaczynającego czytać ów list. Ale tu—myśli jej się mieszały, wyobrażenia nie pracowała więcej. Widziała tylko Kuniewicza, trzymającego w ręku list, ale wyrazu jego twarzy, ani wrażenia, jakie jej pismo uczyniło na niej, dostrzedz nie mogła.. Rozpocząła więc znowu od początku całą sceoę i kładła przed sobą w myśli ćwiartkę papieru, czystą, niezapisaną. Na nagłówku tego listu było tylko jedno słowo: — Panie!...

I dziś, zszywając z najwyższym trudem bryty

dywanu, powróciła do swej manii. Ręka jej i wyobraźnia pracowały na wyścigi...

Nagle uczuła się dotkniętą w ramię. Obejrzała się. Przed nią stał pan Fayolles, który wszedł ci cho, stąpając jak kot po rozłożonych dywanach. Końcem wielkiego palca dotknął łokcia Janki i ostrym, suchym głosem rzucił pytanie: — Ca va?...

— Oni, monsieur—odparła Janka i, sama nie wiedząc dlaczego, drzeć zaczęła.

Fayolles stał wciąż, trzymając ręce w kieszeniach.

Przychodził teraz często do apartamentu, doglądając wykończenia robót. Często ścigał Janke oczyma. Inne dziewczyny już to spostrzegły i szeptały pomiędzy sobą. Jedna Henryetta nie widziała jeszcze nic, zaufana ślepo w pasyę „patrona” dla niej jednej tylko.

Fayolles pochylił się nad Janką. — Masz panna ładne włosy... — zaczął z uśmiechem.

Janka schyliła głowę. Zdawało się jej, że ktoś leje jej cały strumień wrzącej wody na kark.

— Tu es belle... je t'aime! — zaszumiało jej nagle nad uchem.

Pierwszą myślą Janki było wspomnienie, że już ktoś powiedział jej te słowa! Kto—nie mogła dokładnie przypomnieć sobie... Mniejsza o to!...

Wstała zupełnie spokojna z ziemi i złożyła porządnie trzymaną przed chwilą w rękę robotę. Na

Fayolles'a nie spojrziała nawet. Powoli skierowała się ku drzwiom i wyszła.

Na schodach spotkała Henryette.

— Wychodzisz?—spytała szwaczka.

— Tak—odparła Janka—wychodzę i już nie wrócę. Dziękuję ci serdecznie za to, coś dla mnie zrobiła. Nie mogę tu pozostać dłużej!

Zeszła ze schodów i dopiero na ulicy oprzytomniała.

Straciła znów zarobek, lecz teraz nie czuła takiego żalu i smutku, jak wtedy, gdy ją pani Marte wypędziła ze swego sklepu.

Jakaś siła i energia wstąpiła w nią nagle. Nie czuła nawet oburzenia miłości własnej i godności kobiecej.

Szła szybko w stronę hotelu. Nagła myśl zaczęła dojrzewać w jej umyśle. Zapragnęła nagle opaść Paryż, gdzie nieszczęścia zdawały się spadać na nią silnie zwartym gradem. Pragnęła wyjechać do Wiednia, który w umyśle jej pozostawił pogodny i jasny wrazenie.

Jak ptak zraniony, tak biedna dziewczyna rwała się znowu do odlotu, sądząc, że znajdzie gdziekolwiek spoczynek i siły.

Biegła szybko w stronę hotelu. Myślą liczyła pieniądze: pozostawało jej zaledwie franków.

Mogło jej to wystarczyć na podróż i pierwsze chwile pobytu w Wiedniu. Może tam łatwiejszy jest zarobek, może tam znajdzie łatwiej miejsce i zatrudnienie.

Nie zamykała nigdy drzwi swego pokoju na klucz — znalazła je przymknięte. Nie zdziwiła się wcale. Często w tym hotelu numery stały tak otworem; nikt się o to nie troszczył. Otworzyła szatę i zaczęła szukać koperty, w której chowała pieniądze. Nie znalazła jej. Nerwowo zaczęła przerzucać tę trochę bielizny, jaką posiadała. Wyjęła wszystkie przedmioty po jednemu i roztrząsała je nad dywanem. Nagie eos zaszeleściło. Na ziemię upadła pusta i rozerwana koperta. Janka przypomniała sobie, iż zakleiła brzegi, gdy ostatni raz chowała pieniądze. Poznała, iż ją okradziono, i świadomość ta spadła na nią, jak uderzenie maczugi. Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby broniąc się przed niewidzialnym, a czyhającym na nią wrogiem. Wrogiem tym—była nędza.

Pani Paul grzecznie wskazała Jance miejsce naprzeciw siebie.
— Niech panna tu usiądzie... tu dobre światło... będziemy gawędzić...
Janka usiadła na ławce i, wzięwszy scyzoryk do ręki, pruć suknię zaczęła.
— Tak, więc panna po raz pierwszy jest w pracowni szwaczek? — pytała dalej pani Paul, pilnie fastrygując bryty wełnianej granatowej sukni
— Po raz pierwszy — odparła Janka cichym głosem.
Szarawe, niezdrowe światło padało teraz z boku na twarz dziewczyny i ujawniało bladość, która w ciągu dni ostatnich okryła jej lica. Oczy zapadły głęboko, nos, broda, wystąpiły ostre liniami. Dokoła źrenic zarysowały się zmarszczki, usta opadły w kącikach bolesnym skrzywieniem. Przeszła bowiem kilka strasznych dni, podczas których żywiła się bułkami; posiadając bowiem jeszcze trochę pie

niędzy, przedłużyć pragnęła te kilkanaście franków
O ile możności najdłużej.

Gospodarz hotelu, w którym mieszkała, z wielkim gniewem i oburzeniem zrzucił z siebie wszelką odpowiedzialność za spełnioną kradzież i wyraźnie zapowiedział Jance, aby po upływie miesiąca, za który zapłaciła z góry, szukała sobie innego mieszkania.

Janka całe noce trawiła bezsennie, leżąc z otwartymi oczyma, zziębła i zastygła poprostu w moralnym odrętwieniu. Razem z dniem powracała jej świadomość całego nieszczęścia, w które wpadła. Nie miała nawet nadziei znalezienia zarobku. Nie szukała go już prawie.

Listopad zbliżał się szybko, z wilgotną, smutną mgłą, zalewającą ulice Paryża.

Janka zesztukowała i dokończyła płaszcz, który Henryetta popruła. Owijała się nim w nocy i kaptur zasuwiała na głowę. Wiatr jesienny rwał ramę u okna. Czasem w nocy okno otwierało się nagle z łoskotem i cała masa deszczu wpadała siekącą chłostą do wnętrza pokoju.

Janka wstawiała powoli i zdrętwiałymi rękoma zamykała okno.

Skoro się rozwidniło, dziewczyna brała do ręki poezje Auriera, otwierała tytułową kartę i patrzyła długo w twarz poety. Miał policzki zapadłe, jak ten, który przeszedł nędzę. Czy przeszedł ją rzeczywiście?..

Teraz już mania napisania listu do Kuniewicza opuściła ją zupełnie. Co napisałaby mu wobec

tego, co się w jej duszy działo?.. Czy znalazłaby iłowa, mogące dostatecznie określić tę czernь bezdenną, która ją otaczała? Zresztą, po cóż pisać miała do człowieka, który nie miał dla niej nic w głębi swojej duszy?..

Po co?.

Po upływie dni kilkunastu, wyczerpana moralnie i fizycznie, zwłóczyła się tylko na dół, aby kupić sobie trochę pożywienia. Zaczęła myśleć o samobójstwie, z początku z trwogą, później oswajając się powoli z tą myślą. Imaginacja jej rzuciła się pośpiesznie w tę stronę. Zdawało się jej, że to jest jedyny punkt wyjścia, który przyjdzie jej spełnić z łatwością.

Odsuwała jednak od siebie oznaczenie terminu spełnienia tego czynu. Miała jeszcze siedm franków: to mogło jej wystarczyć na pewien przeciąg czasu.

Powziąwszy prawie to postanowienie, uspokoiła się nagle i zapadła w stan martwoty...

We dnie stała przy oknie godzinami całami i patrzyła, jak deszcz strumieniami oblewał dachy domów i płynął szumiącą falą, aż ku rynnom, świecącym srebrem świeżo sprawionych blach.

Ten las domów, ta masa sterczących małych, czarnych kominków, zaczyna teraz dla Janki przedstawiać świat cały.

Pewnego poranku drzwi od jej pokoju otworzyły się i zjawił się w nich kelner hotelowy.

Był to stary, siwy człowiek, włóczący się całe dni po korytarzach w swych haftowanych, aksamit

nych pantoflach. Dla Janki był zawsze nadzwyczaj uprzejmy. Dawniej był lokajem w arystokratycznych domach. Poznał w dziewczynie rasę i krew dobrze hodowaną. Usuwał się jej z drogi, imponowała mu bowiem urodą i majestatyczną postawą.

W tej chwili trzymał w ręku pęk świeżo upranych skarpetek.

— Podobno panna jest szwaczka? — wyrzekł z odcieniem nieśmiałości w głosie. — Mogłaby też panna pocerować te skarpetki?.. To tego kupczyka, który mieszka obok. Zapłaci po susie od sztuki. Nie jest to wiele, ale zawsze i to dobrze zarobić, zwłaszcza, skoro pannę okradli...

Janka zbliżyła się do stołu. Pierwszy jej odruch był odmówić i odsunąć od siebie robotę, która wzbudzała w niej pewne obrzydzenie.

Zastanowiła się przez chwilę i zmieniła zdanie.

— Proszę położyć... jutro będą gotowe. Kelner położył skarpetki na stole i wyszedł cicho, zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

Cały dzień, aż do zmierzchu, cerowała Janka skarpetki, jak mogła najlepiej i najdokładniej.

Wieczorem obliczyła zarobek.

Cały dzień pracy przyniósł jej siedm susów, to jest trzydzieści pięć centymów.

Tego dnia Janka kupiła sobie płatek szynki na obiad i zgniłą, wybrakowaną gruszkę.

Od kilku dni kelner dostarczał Jance zarobku.

Płaciła mu za to susa od zarobionego franka. Przynosił jej bieliznę lokatorów hotelowych, często brudną i niepraną.

Z początku brała Jankę odraza do tej pracy, ale pomału poskromiła w sobie i te resztki buntu.

Pracowała dni całe.

Lecz po upływie pewnego czasu, bielizna hotelowa była naprawiona, i kelner zawiadomił Jankę, że nie powinna liczyć więcej na dalszy zarobek. Równocześnie jednak oznajmił jej, że zna pokątną szwaczkę, panią Bernard, która właśnie potrzebuje robotnicy.

Janka udała się nazajutrz pod wskazany adres. Znalazła w małych dwóch pokoikach, w oficynie ponurej kamienicy na wyżynach Montmartre, bladą kobietę o płaskiej twarzy i dużych błękitnych oczach.

Kobieta ta mówiła cichym i spokojnym głosem i zdawała się być ciężko chorą.

W mieszkaniu jej panowała widocznie nędza. W pokoju pierwszym, oprócz stołu, dwóch ławek i maszyny, nie było nic więcej; w drugim pokoiku stało łóżko, narzucone nędzną pościelą i duże lustro, sięgające do ziemi.

Koło stołu siedziały trzy robotnice: stara kobieta o dużych, czarnych oczach, młoda dziewczyna, blada, o delikatnym profilu i silnie zaczerwienionych oczach—i rodzaj karlicy, o dużej głowie, silnie skudłanej, pokrytej gęstym i czarnym włosiem.

Pomiędzy temi trzema kobietami zajęła Janka miejsce i wzięła się natychmiast do prucia sukni,

którą jej pani Bernard w tym celu na kolana położyła.

O godzinie dwunastej pani Bernard włożyła kapelusz.

— Wychodzę!—wyrzekła nagle, zmierzając ku drzwiom.

Lecz pani Paul porwała się z miejsca. — A... tak?., dokąd pani idzie?
— Po nici... zaraz powrócę!
— Po nici pójdzie Margot, a pani da nam tymczasem trochę pieniędzy.
Pani Bernard stała się jeszcze bledszą.
— Nie mam ani susa. Wieczorem oddam tę lila suknię i to, co dostanę, natychmiast wam oddam...
Błada dziewczyna, pani Paul i karlica parsknęły śmiechem.
— Aha! tak, jak zawsze!...
— Przysięgam wam, że wieczorem dostaniecie po pięć franków! Eugenia może iść ze mną, jeżeli chce...
Dziewczyna, nazwana Eugenią, wzruszyła ramionami.
— Po co te komedye? — rzekła, wydymając usta. — Pani pójdzie na górę, a mnie w bramie stać każe. Przypnie pani sobie pieniądze do sukni, albo, jeżeli wypłaca złotem, to schowa pani w kapelusz! Karlica zatkała sobie usta kułakiem.
Pani Bernard posunęła się ku drzwiom
— Zaraz wrócę...

Lecz wszystkie trzy robotnice poskoczyły i za tarasowały jej drogę.
— Niech nam pani da pieniędzy na śniadanie?..
Janka patrzyła ze zdumieniem na tę scenę. Uczuła wielką litość dla pani Bernard, która kurczyła się teraz, błada jak płótno — i tylko jej przejrzyste, błękitne oczy świeciły zdaleka, jak dwa turkusy.
— Moge wam dać cokolwiek! — wyjąknęła wreszcie. — Oto dla pani Paul dwadzieścia susów, dla Eugonii piętnaście, a dla Margot sześć...
Podawała robotnicom susy, wyjmując je z kieszeni na pasku pod zwierzchnią spódnicą.
Nagle pani Paul zastąpiła jej ponownie drogę.
— A dla nowej?..
— Jakiej nowej?..
— A no tej, co przyszła rano. Jeżeli pani myśli, że pozwolimy ją skrzywdzić, to się pani myli...
— Niech pani da sześć susów dla tej... nowej!
— Tak! tak! — krzyczały razem karlica i Eugenia — sześć susów dla nowej!..
Pani Bernard rzuciła sześć susów na stół, i, szarpnąwszy drzwi, uciekła.
— Wesołej podróży!... zaśpiewała pani Paul. — A teraz złożmy wszystko razem i Margot pójdzie po prowizye. Mamy czterdzieści jeden susów. Dwa franki i jeden su. Moje dzieci! możemy zjeść książęce śniadanie... Panno Eugenio, ciesz się pani, będziesz miała sałatę!..

Nagle dawno niewidziany promień słońca wpadł przez okno i żółty, smutny, a przecież rozweselający dusze rozjaśnił całą pracownię.

— Słońce!..—krzyknęła karlica, składając ręce.

— Słońce!—powtórzyła Eugenia, prostując się i podając naprzód.

— Słońce — wyszeptła pani Paul, wyciągając ręce.

Tego rodzaju sceny, jak owa poranna, przedśniadaniowa, powtarzały się teraz bardzo często, prawie codziennie.

Janka nie upominała się prawie nigdy, powierzając swoje interesy pani Paul, która czuwała nad nimi troskliwie i wydierała dla „nowej”, ile tylko mogła, z kieszeni patronki.

Nadszedł wreszcie czas, w którym Janka powinna była wyprowadzić się z hotelu. Nie miała mieszkania i, pracując od rana do nocy, nie mogła znaleźć czasu, aby zająć się szukaniem jakiegokolwiek kąta.

Rozmawiając ze swymi towarzyszkami pewnego razu, zwierzyła się im ze swego kłopotu.

Natychmiast Eugenia zaproponowała jej zamieszkanie u siebie, w małym gabinecie, który pozostawał niezajęty od ślubu jej siostry.

— Dziura metr szeroka, metr wysoka, ale, dobrze się skurczywszy, można się przespać. O to przecież głównie chodzi! Pomyślała chwilę i wreszcie dodała:

— Mama będzie uszczęśliwiona i ja także! Mamy ten lokalik pod dachem już od trzech lat... Tam umarł mój brat, Józef... Biedny chłopak!...

Pani Paul westchnęła ciężko.

Eugenia zwróciła się znów ku Jance:

— Cóż, zgoda?..

— Dobrze! — odparła Janka niemal machinalnie—przeprowadzę się jutro.

— Mama przyjdzie ci pomódz. Nie masz chyba wiele rzeczy, tak jak my wszystkie!

Westchnęła i zanurzyła żółtkłe ręce w masie miękkiego, wełnianego wigoniu.

Janka w tem nędznym otoczeniu, wiecznie zgłodniałych i bijących się o grosz potrzebny na zakupienie pożywienia istot, nie czuła się moralnie i nieszczęśliwą i upadłą. Przeciwnie — miała w tem ! pewną rozkosz, aby sprowadzać kiedy niekiedy rozmowę na kwestye społeczne, i dziwiła się, jak wiele zdrowego rozsądku mieściło się w głowie pani Paul, jaką dużą i dziwną intuicyją obdarzona była Eugenia.

— Tu pani sobie pomieści swoje rzeczy, na gwoździkach; dam pani stare prześcieradło, to je pani okryje, aby się nie zniszczyły... Ot, łóżko... nie wielkie, nie wspaniałe, ale czyste. Robactwa ani j śladu. Dam pani jeszcze krzeselko, to sobie na niem świecę pani postawić będzie mogła.

Pani Hortensya wyszła szybko do drugiego pokoju i powróciła, niosąc małe krzeselka. Ustawi

W otoczeniu tem i nędznem odżywianiu niknęła powoli siła fizyczna Janki.

ła je koło ważkiego żelaznego łóżka, na którym leżała uboga pościel, złożona z wełnianej kołderki i małej poduszeczki. Janka starała się okazać wesołą i zadowoloną ze swej nędznej siedziby.

— Dziękuję pani... proszę się tak nie troszczyć o mnie. Czuję, że mi tu będzie doskonale...

Patrzała na te ciemne ściany, oklejone połatanym papierem — na tę klatkę bez okna, w której obecnie mieszkać miała. Schodziła coraz niżej, a właściwie wznosiła się coraz wyżej.

Z antresoli u Aristofany wspięła się na piąte piętro hotelu — dziś znalazła się na poddaszu ulicy Rodier, w komórce dusznej, ciemnej i zimnej,

Przez otwarte drzwi widać było pokój, zamieszkały przez Hortensję i jej córkę.

Janka usiadła przy stole i usiłowała przełknąć zupę, którą jej Hortensya na talerz nałała. Była to woda gorąca, po której pływały kawałki chleba.

Zimno było przeraźliwe—natomiast od rozpalonego do czerwoności piecyka bił żar, połączony z czadem węgla.

Wybiła dziesiąta. Drzwi się otworzyły i weszła przez nie Eugenia. Oddychała ciężko i, wszedłszy, oparła się o poręcz łóżka,

W progu już pytała oczyma, chciwie na piec patrząc:

— Zupa gotowa?

Gdy siedziała koło okna w pracowni pani Bernard, prześliczny jej profil rysował się jak zjawisko na szarem tle szyby — lecz już postać jej królewsko wyniosła chyliła się, jakby pod ciężarem, spadającym na jej plecy i zbyt trudnym do zniesienia. Ręce miała wychudłe, i ślady desperacji rozdzielały jej palce czerwone i wiecznie zziębłe.

Zima zapowiadała się ostra. Jesień była już w całej pełni, fatalna i dżdżysta. Z kominów opadał czarny dym i w postaci sadzy zalegał flizy trotuarów.

Janka nie miała ciepłej odzieży; dostając tę trochę susów od pani Bernard, nie była w stanie kupić sobie nawet wełnianych pończoch.

Hortensya złatała jej spódnicę z kawałków flaneli i położyła ją cicho pewnego poranku na łóżku Janki.

Tak, jak kelnerowi w hotelu, tak i Hortensji rasa Janki imponowała i dawała przewagę nad jej umysłem. Nie pytała nigdy o nic, o żadne szczegóły, dotyczące przeszłości dziewczyny — ale widocznym było, iż traktowała ją z pewnym szacunkiem i wyróżnieniem, a w otoczeniu swych sąsiadów mówiła o niej z odcieniem pewnej dumy.

Jance nieraz obecnie się wydawało, że jest znów na ulicach Warszawy, tam — koło kolumny Zygmunta, i widziała tajemniczą dal, w którą wszedł Kuniewicz, pozostawiając ją brutalnie na chodniku.

I zdaleka, wśród tej ciemni, zdawało się rozegzaltowanej dziewczynie, iż dostrzega promienną postać Kuniewicza patrzącego na nią łagodnie, smut

nie —spokojnemi oczyma, w których nie było cienia zwykłego mu chłodu. Oczy te, z ciemnych i przejmujących, stawały się jasne i uspokajające, zielonawy, łagodny blask wypełniał te źrenice. Rzęsy przybierały kolor złotawy i Janka ze zdumieniem poznawała w tych oczach zagadkowe źrenice Bervisiera, patrzące na nią z łagodnym uporem. Zamykała swe powieki i tuliła do nich ręce, jakby chciała to widmo wcisnąć sobie w mózg zmęczony—i chłodzić niem niezasklepioną jeszcze ranę swej duszy.

Pewnego dnia jesiennego, Eugenia, prasująca właśnie talbanę przy spódnicy czarnej jedwabnej sukni, odstawiła żelazko i wyrzekła zmienionym głosem:

— Jestem chora... jadę do Maternite.

Wszystkie robotnice zbladły nagle, tak przejmujące uczyniły na nich wrażenie słowa Eugeni.

„Maternite!”... przytułek zimny i chłodny dla

tych, które, wchodząc do niego, wnoszą z sobą kołyskę i trumnę, pozostawiając losowi prawo wyboru: życia lub śmierci.

Wśród ciemni klatki schodowej ukazała się nagle Hortensya, biała, jak płótno, z rozwiązanymi włosami dokoła swej trupiej twarzy. Biegła szybko i, dopadłszy do córki, porwała ją w objęcia.

Był to jeden z najpiękniejszych dni jesiennych, jaki na świecie kiedykolwiek zabłysnął złotem słońca, nawpół już przygasłego i spowitego w welon szarawej mgły, rozwłóczącej się nitkami po drzewach, płaczących deszczem suchych liści.

Janka wstała cokolwiek spokojniejsza i ubrała się powoli, po raz pierwszy od chwili rozstania się z Kuniewiczem patrząc dłużej w małe lusterko, zawieszzone nad łóżkiem Hortensyi.

Oczyściła płaszcz, włożyła czapkę i zeszła na dół.

Ulice były pełne ludzi.

Te ostatnie promienie ciepłego słońca zwały się do siebie spowitych już we flanelę Paryżan.

Janka szła prosto, na ulicę Condorcet, patrząc chciwie na kosze fijołków, roznoszonych przez przekupniów.

Za dwa susy kupiła sobie maleńki bukiet i trzymała go w ręku, nie śmiąc go przypiąć do zniszczonego płaszcza.

Wszedłszy na ulicę Condoreet, doznała scisnienia serca. Nie była na niej od dnia wyprowadzenia się—i w jednej chwili wszystko, co przecierpiała, stanęło jej żywo przed oczyma.

Z uczuciem niesmaku weszła do łóżki pani Lechemin.

Odźwierna siedziała na fotelu, owinięta w stos pledów i okryć. Przed nią stała miska czekolady i leżał chleb trzyłokciowej długości.

Zobaczywszy Jankę, uśmiechnęła się.

— Dzień dobry pannie!... Przyszła panna oddać wizytę Aristofanie?

Janka potrząsnęła głową.

— Nie... odniosłam napastrzek, który zabrałam z memi rzeczami. Czy zechce pani Lechemin oddać go pannie Mathieu?

Janka wyjęła z kieszeni napastrzek i położyła go na stole.

Riki otarł się o jej nogi, schyliła się i głaskała psa, czując jakąś rozkoszną boleść w pozostawaniu w murach tego domu, w którym przeszła tak bolesne i rozkoszne zarazem chwile.

Nagle posłyszała za sobą głos Bervisiera:

— Dzień dobry pani!

Obejrzała się szybko i radosne ciepło wstąpiło w jej duszę.

Bervisier stał za nią i, nie zdejmując kapelusza, podawał jej rękę. Wyciągnęła swoją i poczuła w tej chwili, że dłoń malarza była zgorączkowana i rozpalona.

— Co pani tu robi? — spytał Bervisier.

I w tej samej chwili, nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Ja idę do SaintAnne... Odźwierna roześmiała się głośno.

— AL. odwiedzić waryata? Pani generałowa nie pójdzie dziś, bo jest chora.

— Tak! — odparł Bervisier — wziąłem jej kartę wstępu na dwie osoby.

Nagle zwrócił się do Janki.

— Może pani ze mną pójdzie?

— Dokąd?...

— Do szpitala obłąkanych. Zobaczy pani dysharmonię dusz i ciał... Chce pani?...

Janka uśmiechnęła się smutnie.

— Chętnie! — odparła pełna radości, że wreszcie znalazł się ktoś, z kim zamienić parę słów będzie mogła.

Przez dziedzińce duże, widne, zalane światłem jesiennym, zeszła Janka i Bervisier do oddziału, w którym pan Piotr, siostrzeniec generałowej, kończył swoje nędzne, cielesne istnienie.

— Dzień dobry! — wyrzekł malarz, gdy zobaczył Piotra. — Jakże zdrowie?...

Pan Piotr wstrząsnął głową.

— Nieszczęśliwie!... ciało zdrowe... dusza cierpi...

Bervisier popatrzał uważnie na oczy waryata.

— Cierpliwości!... — wyrzekł przyciszonym głosem — cierpliwości! niezadługo cierpieć przestaniesz...

— Ach!... myślisz, że umrę... że wyswobodzę się wreszcie z tego worka ciała, które mnie dręczy i do ziemi przykuwa?

— Tak! jestem pewien, że to nastąpi niezadługo.

— Bądź błogosławiony!... i mów tak jeszcze, mów tak ciągle!... Ty nie wiesz może, jak bardzo potrzebuję słyszeć głośno twoje myśli. Widzisz... jestem tu w otoczeniu waryatów — nikt mnie nie rozumie... Szydzą z moich modlitw!... To są wolnomyśliciele... Wrywają pióra gołębiom... Gołąb symbol ducha... Duch—częstka boskości... Gdym mieszał ci farby, mówiłeś tak do mnie. O!... to dawno było!

Nagle zwrócił się ku Jance:

— To pani Carnot? przyszła w odwiedziny?... Dzień dobry pani prezydentowej republiki!... Oto tam, koło muru, najciekawszy okaz waryata. Stoi nieruchomo dni całe... Ha! ha! pani o tem powie mężowi! Republika cała położy się ze śmiechu!

Pragnął rozwiązać tasiemkę różową, oplatającą pakiecik biszkopcików. Janka wyciągnęła rękę.

— Pan pozwoli! ja panu pomogę.

Piotr podał biszkopty i ruchy jej palców śledził ciekawie.

— Mnie ręce drgają... pani Carnot wie dlaczego?... Ciotka mówiła, że to przez picie absyntu, a przecież nieprawdą jest, jakobym absynt pił.

Mnie tylko jadło sponiewieranie słów Bożych i negacya tego, co jest... co jest... co jest w nas sa mych...

Rękoma rwał swą szafirową bluzę, a dolna szczęką wysunęła mu Się naprzód.

Bervisier oparł się o drzewo i w dal patrzył...

— Negacya... Mefistofeles — wyrzekł przygasłym głosem.

Na. Jankę spojrział i nagle zapytał!

— Czy i pani neguje?...

Piotr szybko ręce wyciągnął, jakby słowa na ustach Janki zatrzymać pragnął.

— Nie neguj!—zawołał—nie neguj! Co mi z tego przyjdzie!... |

I tak rozmawiali długo.

Gdy wychodzili ze szpitala, spotkali Kuniewicza, który w parę chwil potem szedł sam na sam z Janką do parku, jedno obok drugiego, nie mogąc znaleźć słów i nie chcąc widocznie poruszać i dotykać tego, co między nimi zaszło.

Janka nie czuła już w tej chwili żadnego żalu.. Gdybyby Kuniewicz zapytał jej, czy ów list pamiętny sprawił jej boleść, odpowiedziałaby bez wahania: nie! — tak wielką była jej radość z tego niespodziewanego spotkania.

Patrzyła ukradkiem na twarz Kuniewicza i zauważyła, że cera jego stała się przejrzystą i zupeł

nie żółtą, że policzki mu zapadły i rysy wystąpiły z nadzwyczajną ostrością. Odnalazła jednak w tym delikatnym, a teraz trochę ściętym owalu cały dawny wdzięk i w ustach spieczonych dostrzegła czar, który ją podbił i przykuł.

Kuniewicz mówił mało i monosylabami, — kilkakrotnie spojrzął na Jankę uważnie z pod brwi ściągniętych. Ona wzrok ten schwyciła i drżała znów, w obawie przed jego stalowem spojrzeniem. Wzrokiem osuwała się do jego ust i szukała w nich złagodzenia tego wrażenia.

Wówczas przypominała obie namiętne pocałunki, jakimi okrywał ją niegdyś Kuniewicz.

Krew uderzyła na jej policzki i ustąpiła znów miejsca bladości, gdy usłyszała, jak banalne i płaskie pytania zadawał jej Kuniewicz.

Pytał ją, co robiła? czy dobrze się bawi w Paryżu? czy długo jeszcze tutaj pozostanie?...

Janka nie odpowiadała mu prawie, oburzona, że nie umiał znaleźć nic, aby jej powiedzieć po tak strasznych chwilach, jakie przez niego przeżyła.

Kuniewicz opowiadał jej, że cement wybiera się w ten, a nie inny sposób.

Chwilami tylko przestawał mówić, i wtedy widocznem było, iż czyni jeszcze wysiłek, aby wynajdować coraz nowe, a zupełnie neutralne przedmioty rozmowy.

Janka byłaby wolała, ażeby stanął przed nią brutalnie i zawołał:

„Nie kochałem pani nigdy!... nie miałem dla pani nic w głębi duszy!”

Mogłaby wtedy osunąć się do jego kolan i wyplakać całą swą rozpacz, cały swój ból, który dławił ją w tak straszny sposób.

I podczas gdy onadrzała coraz więcej, i gdy w jej sercu otwierała się bolesna rana, on powoli odzyskiwał władzę i panowanie nad sobą. Puścił jej rękę i szedł teraz obok niej, pochylony, zgarbiony, z piersiami zapadłemi pomiędzy wystającemi łopatkami. Jance zdawało się, że Kuniewicz postarzało jakie lat dziesięć.

Idąc, pluł co czas jakiś i powłóczył nogami po kłębach liści, które szumiały, jak fala nagie rozdarta.

Wreszcie stanął i, nie patrząc na Jankę, zapytał:

— Skąd się pani wzięła w quartier?... co pani tu robi?... Czy się pani zapisała na jakie kursa?..

— Nie!—odparła Janka—pan wie, że ja przecież nie jestem w stanie zdać bakalaureatu.

— To źle!... Nie trzeba próżnować i bawić się w Paryżu—trzeba pracować!

— Ja pracuję...

— Och; pani praca!...

Roześmiał się i powtórzył raz jeszcze:

— Pani praca!...

Janka zacięła usta. W głosie jego było tyle ironii, że uczuła się zbyt dumną, ażeby rzucić mu w oczy jakiego to rodzaju pracą wydzierała społeczeństwu okruszynę chleba, którą do ust niosła.

Kuniewicz usiadł na ławce. Janka stała opodal, oparta o drzewo; z ramion jej zsunął się płaszcz

i do stóp jej przypadł pokornymi kręgi. Przez purpurowy baldachim liści płynęło światło słoneczne i wyłacało delikatnie kontury twarzy i ciała dziewczyny. Co chwila spadał złoty liść i niektóre czepiały się jej ramion, rąk, piersi i sukni, jak rój żółtawych motyli.

Kuniewicz oparł jedną rękę na poręczy ławki i na stojącą przed nim kobietę patrzył przygasłymi oczyma.
— Mam ideę i ta jest najwyższem niezapreczenie pięknem i winna mi starczyć za wszystko!... ciągnął dalej. —Ale, co pani chce! w naturze mojej są nerwowe nierówności. Są chwile, w których mnie coś rwie i szarpie straszną tęsknotą do tego, co ludzie utartą formułką nazwali pięknem... A przecież— sztuka dla sztuki i rymy dla rymów, świetlanych marzeń gwiaździste wszechświaty i my, w promienne przystrojeni szaty, dobre dla karłów, albo dla... olbrzymów!... Powracali statkiem już o późnej porze, gdy wszystko tonęło w wilgotnym zmroku, i na wybrzeżach płonęły światła, a mosty znaczyły się sznurami latarni w przestrzeni.
Usiedli pod pomostem, na którym stał sternik. Naprzeciw, na ławce, mieli przed sobą cały pęk zebranego siana, związanego w białą płachtę i jeszcze świeżego, pomimo masy żółkłych liści paproci i zeschniętej trawy. Pęk ten woniejący zasłaniał im resztę statku i odcinał ich niejako od reszty świata.

Siedzieli obok siebie, mówiąc mało i trzymając się za ręce.

Cały ból i smutek Janki stopniał teraz w półśnie, w którym pogąrzyła się cała jej istota, jak w delikatnej i kołyszącej się lekko substancji.

Statek płynął wolno, mijając brzegi, na których błyskały światła, mistycznym trójkątem jaśniała wśród ciemni wieża Eiffel i jasna smuga biła od fabryk, zalegających Grenelle.

Na statku słychać było gwar rozmów, jakby zdławionych szmerem wody.

Ponad głową Janki sternik zaczął nagle nucić piosenkę niskim i trochę zmęczonym głosem. Janka wyraźnie rozróżniła słowa:

— Manon, voici le soieil! Cest le printemps, c'est l'aveil, Cest l'amonr, maitre des choses...

Razem z temi słowami przyszło Jance na myśl wspomnienie owej chwili, w której Kuniewicz, usłyszawszy głos robotnika, odsunął ją od siebie tak gwałtownie.

Czekała znów podobnego wybuchu z jego strony.

Lecz Kuniewicz siedział nieruchomy, przytulony do jej ramienia, z rękoma ukrytymi w fałdy jej płaszcza. Zdawał się nie przypominać sobie nic, słysząc dźwięki tej piosenki.

I w Jankę wstąpiła nagle nadzieja, że może ten człowiek, który w tej chwili tulił się do niej z takim oddaniem, ma dla niej coś w głębi duszy,

pomimo okrucieństwa, z jakim wszystkiemu zaprzeczył. Postanowiła nie mówić mu nic nigdy o liście i starać się pozyskać jego miłość na nowo. Lecz z przerażeniem pomyślała o poprzednich słowach Kuniewicza:

„Ciągnął mnie do pani ów artyzm, jaki masz w sobie..

Artyzm kojarzył się w jego umyśle z pewnym wykwentem barw, tkanin i otoczenia. Jakież artystyczne wrażenie mogła mu teraz ofiarować Janka, mieszkająca w ciemnym alkierzu Hortensyi, latająca kawałkami tektury swe podarte

trzewiki?... Cała ta piękna myśl, która dozwalała jej znosić nędzę, identyfikującą ją z tym proletaryatem, który pochłonął serce i umysł Kuniewicza— rozwiała się nagle w myśli dziewczyny.

Nie miała dosyć odwagi, aby podnieść głowę i powiedzieć temu człowiekowi, który łgał do niej, sądząc, iż przy niej znajdzie błyskotliwość piękna, którego łaknął, jak kwiaty łakną słonecznych promieni: — „Nie mam żadnych artystycznych wrażeń do przyniesienia ci w udziale; jestem sama nędzarka, jestem jedną z tych, od których w tej chwili odwracasz się znużony”.

Na to wszystko Janka nie miała odwagi. Kilku słowy Kuniewicz zamknął jej usta i uwięził ją w błędnym kole, z którego wydostać się nia było sposobu.

Drżała na myśl, że go utracić może... nie wiedziała, czym go związać i obudzić cień sympatii dla siebie.

I siedziała tak, cicha i nieruchoma, nie śmiejąc prawie oddychać, czując, że głowa Kuniewicza, oparta o jej ramię, zamiast rozkosznego wrażenia ciepła — sprawia jej uczucie coraz więcej dojmującego bólu, który powoli, jak nóż fatalny i nieubłagany, ku jej sercu się posuwa, otwierając niezagojoną jeszcze ranę jej duszy.

Przez cały wieczór włóczyli się po ulicy, wstąpiwszy zaledwie do podrzędnej kawiarni, ażeby wypić szklanek czarnej kawy.

Szli więc tu i owdzie po ulicach, bez celu, jedno obok drugiego, zamieniając rzadko słów kilka, niemal obojętnych, nie wiążących niczem ani ich myśli, ani ich dusz zmęczonych...

Widocznym jednak było, że w tej chwili obecność Janki była niezbędną Kuniewiczowi i że nie mogli pogodzić się z myślą rozłączenia się z nią nagle.

Wzdłuż wybrzeży Sekwany, ku Mordze sunęli powoli, jak dwa pokutnicze cienie, oboje słabi i wycieńczeni, spleceni z sobą niewidzianym i mistycznym łańcuchem.

Nagle Kuniewicz stanął i ujął Jankę za rękę:

— Czy pójdzie pani ze mną do Czerwonego pałacu?...

— Pójdę...

— Ostrzegam panią, że jest to miejsce bardzo nieartystyczne. To pałac nędzy... Czy zechce pani tam wstąpić raz jeden, przypadkiem?..

Janka brwi zmarszczyła.

— Raz jeden?... Kto wie, czy częściej do takich pałaców nie będę zmuszona zaglądać, niż paa przypuszczasz...

Kuniewicz wzruszył ramionami.

— Nie, nie!—zawołał żywo—zostań pani tem, czem jesteś! pięknem, kwiatem, słońcem!... to dla ciebie wystarcza. Zanadto miałaś wyherbowaną kolebkę, ażebyś mogła przydać się na co w tej rozpaczliwej walce. Przez chwilę sądziłem, że będzie inaczej, ale tam, na Condorcet, miałem dowody wręcz przeciwnego pani usposobienia. Dlatego więc...

Urwał nagle, przesunął rękę po czole i podał Jance ramię, które ona przyjęła z biernym posłuszeństwem.

— Chodźmy!...

Już na ulicy, na widok domu, oblanego ciemną posoką purpury, ogarnął Jankę dziwny niepokój i uczucie strachu, Grupy ludzi, tworzące masy, snuły się tu i owdzie, niknąc w cieniu.

Kuniewicz wszedł do bramy szeroko rozwartej i szybko razem z Janką skierował się na lewo.

Znaleźli się w obszernej izbie, w której stał buiet z płytą cynkową, błyszczącą złowrogo w półcieniu.

Janka spojrzała dokoła i dostrzegła, że ściany, sufit, podłoga, ławki—wszystko pomalowane było cie

ianoczerwona farba, na której zastygły jaśniejsze smugi, jakby pasma świeżo utoczonej krwi, kroplami ku ziemi spadającej.

Na ścianach wisiało kilka kinkietów z błyszczącymi reflektorami.

Eoło bufetu stało kilkanastu ludzi obdartych i rozmawiało przyciszonym głosem.

Weszli do następnych sal, które miały wszelkie podobieństwo z podziemiami jakiejś twierdzy, obryzganej purpura krwi tysięcy świeżo pomordowanych trupów.

Przez arkady widać było dalsze sale i zakamarki, ciągle purpurowe, ciągle krwawe, ciemne i zadymione.

Całe kłęby siniego dymu unosiły się pod sufitami, z których na cienkich drutach zwieszały się zadymione lampy.

Dokoła czerniały tłumy ludzi, poruszających się z trudnością w tej ciasnocie i zaduchu.

Janka usiadła na ławce za stołem, a obok niej Kuniewicz. Dziewczyna oparła głowę na dłoniach i skurczyła ramiona instynktowym ruchem.

Tymczasem Kuniewicz zdawał się być zupełnie spokojny i na twarzy jego nie malowało się żadne wrażenie. Uderzył w stół laską i zawołał:

— Deux bocksl

Lecz już dokoła nich zaczęły się gromadzić i skupiać postacie ludzi, na których widok krew zastygała w żyłach Janki.

Nie były to twarze ludzkie, lecz zwierzęce pyski, straszne, zarosłe, zwalane krwią i błotem. Odzież, złożona z łachmanów, wisiała na ramionach,

sterczących, jak kości szkieletów; szmaty trykotów kąpielowych zastępowały koszule.
I nagle Janka ujrzała przed sobą tę część społeczeństwa, którą wielkie miasta ukrywają w podziemiach, jak zguiliznę hańbiącą... jak trąd szpetny i fatalny, a przecież nieunikniony.
Cały ten tłum poruszał się, żył, oddychał, pragnął czegoś, cierpiał i myślał. O czym?—nie mówiły te twarze zwierzęce i usta nabrzękle, oczy zaszele krwią, ręce nawykłe do zatapiania nożów w ciele bliźniego.
— Nie wesoło tu! — odezwał się nagle Kuniewicz. . ;r {
— Nie...! — odparła Jaaka i sama przeraziła się, tak głos jej był chrapliwy i różny od harmonii zwykłego jej głosu.
Po za plecami jej zbierała się teraz cała masa ludzi i cisnęła się do stołu, chcąc zobaczyć na wprawy byłych.
Jakaś niewidzialna ręka postawiła przed Janką i Kuniewiczem dwie szklanki z grubego szkła, napełnione płynem nieokreślonego koloru.
Setki oczu z poządlwością patrzyły na ten napój cuchnący.
Na purpurowym stole zielone tło szklanek jasne tworzyło koło.
Dziewczyna z czarną grzywą i papierową różą pokazywała Jance język i mówiła grubijańskie wyrazy.
Janka czuła w krzyżu dziwne uczucie, jakgdyby oczekiwanie pchnięcia nożem—i dreszcze zimne płynęły jej z mózgu wzdłuż całego ciała.

Wyciągnęła rękę, chcąc napić się trochę piwa, lecz ręka jej opadła—nie miała odwagi wobec tych śledzących ją zrenic umaczać ust w szklance.

Kuniewicz dostrzegł jej gest i uśmiechnął się ironicznie. 'mJ*W:

— A!... przejmuję panią wstręt i obrzydzenie.

Co?... Cóż pani chce! nie każdy może pozwolić sobie na kryształowe kieliszki.,

Wstręt? obrzydzenie? Nie!—człowiek ten mylił się najzupełniej co do uczuć, jakie ogarniały jej serce i duszę. Ani na chwilę nie czuła wstrętu do tych istot o zwierzęcych twarzach, o ciałach, stoczonych robactwem, o rękach tatuowanych, wydzielających z siebie woń nigdy nie mytej skóry i zasklepionego potu.

Nie — zupełnie inne uczucie zaczęło wzbierać w piersi Janki.

Była to nie litość, nie współczucie, lecz zrozumienie ogromu równoczesnej nędzy fizycznej, jak i nadnędzy moralnej tej bandy paryasów, kryjących swe zbrodnie, głód, pragnienie życia i użycia w piwnicach.

Nowy świat stanął przed oczyma Janki. Słyszała o nim potrosze z ust Kuniewicza, czytała o nim w felietonach „Petit JournalV — lecz był dla niej jak cholera lub inna zaraza—nieuchwytny i w krainie legend przebywający.

Dziś stanęła nagle brutalnie, oko w oko z najniższą warstwą społeczeństwa—z tą, która zabija i kradnie, która ręce w posoce drugiego ciała macza bez drgnienia, która ma żyły od poczęcia przepojone alkoholem, a mózg całą masą pożądań zbrodni

Ł

ich, nie widząc nikogo. Za nią biegł Kuniewicz, ki wreszcie na zakręcie ulicy dopadł do niej i zarękę ją porwał.

— Co pani wyrabia?..—zawołał ostro. —Gdybym wiedział, że pani ma tak delikatne nerwy, nie poprowadziłbym pani do Czerwonego Pałacu... Mogła się pani jednak pohamować i obrzydzeniem swoim nie znieważać nędzy tych ludzi... Ostrzegałem panią przed wejściem do tego szynku — to nie warszawskie salony! Ludzie ci mają tylko tego rodzaju rozrywki. Trzeba je umieć zrozumieć!..

W żyłach Janki zawrzała nagle krew.

Jak to? więc on aie zrozumiał, eo spowodowało w niej ten nagły wybuch, którego powstrzymać nie była w stanie! I nagle—odtrąciwszy od siebie rękę Kuniewieza, patrząc mu prosto w oczy, które w ciemności doskonale widziała, wyrzekła urywanym głosem:

— Nie obrzydzenie, nie wstręt im okazałam! Dlaczego płakałam, dlaczego uciekłam, zdaję sobie doskonale sprawę, i to mi wystarcza. Pan tego nie zrozumiesz nigdy! nigdy!.. Pan mnie nie rozumiałeś i dlatego nic nie odczułeś dla mnie w głębi swej duszy... Pana duch... ach!., pana duch... biedny on!..

Dławiła się teraz łzami, drżała cała. Kuniewicz patrzył na nią z podziwem. Zdawała mu się # wiele wyższą niż zwykle. Światło łątami padate prosto na jej twarz, i w niem rysy jej nabierały ostrych tonów, czyniących ją o wiele jeszcze bledszą i chudszą, niż była w istocie.

W tej chwili dopiero dostrzegł zmianę w jej twarzy i całej postaci. Chciał coś przemówić, wy

ciągnął rękę, lecz dziewczyna nagłym buntem zdjęta, szarpnęła lli cała. .

Teraz brutalna niesprawiedliwość, z jaką on względem niej postąpił, stanęła jej przed oczyma. Krew zalewała jej mózg i oczy — szybkim ruchem ręki utorowała sobie drogę do odejścia. — Janko!..

Lecz ona, zacięta teraz w upornem milczeniu, przebiegła ulicęmimo fizycznego bólu, jaki ten postępek sprawiał jej sercu, biegła dalej, nie oglądając się po za siebie, sądząc, że pozostawia w tej chwili za sobą udrczenie swego życia.

Na drugi dzień nad wieczorem zjawiła się Eugenia i blada, wyczerpana, położyła się na łóżku matki. v

Janka powróciła właśnie od pani Bernard. Kokoty nie było i cały dzień przesiadziała beczynnie, nie jedząc śniadania, gdyż pani Bernard nie dała ani susa dnia tego swoim robotnicom.

Lecz Janka była w tak gorączkowem podnieceniu, iż ani na chwilę nawet nie uczuła głodu.

Dziś jaz żalowała swego postępku względem Kuniewicza i obwinała siebie, że to ona teraz właśnie zniszczyła swe szczęście. Czyż nie było jej sądzone, niemal od pierwszej chwili, ażeby ten człowiek nie znał nigdy jej myśli, ani istotnego stanu jej umysłu i wewnętrznego usposobienia?.. Dlaczego więc wczoraj właśnie uczuła się tak bardzo dotkniętą i zbuntowała się w tej samej chwili, gdy

może on się do niej zwracał w tacie jakiejś duchowej rozterki? W dodatku przypomniwała sobie, że nie wiedział jej obecnego adresu, nie mógł więc do niey napisać i żądać widzenia.

Ona natomiast pamiętała adres jego mieszkania, a nie na samą myśl napisania do niego Itata drętwiała cała. Kochała go znów jak szalona, i cała potęgą tego uczucia, uśpiona przez ciężki przejścia i czas niewidzenia go, odżyła w niej ze zdwojoną siłą. Gdy ułuda pozyskania jego uczucia opuszczała ją, wpadała w krańcową rozpacz na myśl o tej konieczności.

Przez dzień wczorajszy Kuniewicz odżył cały w jej wspomnieniu i gdziekolwiek się obróciła, miała go znów przed sobą najwyraźniej—tak blisko, iż zdawało się jej, że rękę tylko wyciągnąć powinna, aby go do siebie przygarnąć. Co się z nią stało?... dlaczego uciekła tak nagle, rzuciwszy mu kilka słów hardych?—tego pojąć nie mogła. Zdawało się jej, że gdyby go dziś zobaczyła, przypadłaby mu do ramion, pokorna i cicha, że słowo buntu nie wyszłoby z jej ust zdrczonych.

Stało się jednak. Rozeszli się — teraz z jej winy, gdyż w rozżaleniu swoim winę tej rozłąki przypisywała sobie jedynie.

Cały dzień wyczekiwała na coś, gdyż po wczorajszych niespodziewanych zdarzeniach miała nadzieję, że nastąpi dalszy łańcuch nadzwyczajnych wypadków.

Powróciła do domu i zastała Eugenię, którą regulamin szpitala Maternite, jeszcze chorą i osłabioną, po ośmiu dniach do domu odesłał.

Eugenia leżała blada jak płótno i febrycznie poczęła Jankę opowiadać cały przebieg swojej słabości. O swej córce mówiła z uniesieniem, nazywając ją najpiękniejszą dzieckiem z całej sali, w której leżała.

Janka siedziała koło łóżka Eugenii, chmurna i milcząca. Poznawała teraz, że ludzie są nadto wielcy egoiści, którzy nie pozwalają nawet drugim być aieszczęśliwymi i nie chcą zrozumieć, że są na świecie inne cierpienia, prócz ich własnych.

Hortensya wróciła późno i przyniosła trochę resolu w garnuszku i bochenek czerstwego chleba. Eugenia wypila rosół z chciwością. Janka odmówiła przyjęcia posiłku i zgorączkowana, z niezmiernym bólem głowy położyła się spać, znajdując w tem fizycznym udrczeniu rodzaj oderwania się od moralnego bólu, który torturował jej duszę.

Zaledwie zgasła świecę, postać Kuniewicza stanęła przed nią z taką subtelną dokładnością, że dziewczyna porwała się z pościeli i, gwałtownym ruchem wyciągnawszy przed siebie ręce, zdawała się chcieć odepchnąć od siebie to potworne widziadło, jaśniejące prawie wśród ciemności nocy.

Ręce jej opadły i siedziała teraz, oparta o wilgotną ścianę, drżąc jak w febrze, z oczyma szeroko otwartymi, z których płynęły dwie strugi łez, mając przed sobą tę mare upartą i mistyczną, stojącą przed nią, jak nieubłagane i fatalne zjawisko.

W kilka dni później gdy Eugenia leżała w gorączce mlecznej, bredząc i męcząc się w ciemnym zaduchu stancyjki, otworzyły się drzwi i wszedł przez nie mężczyzna niemłody, ubrany w cienkie palto i lśniący cylinder. Wszedłszy, nie zdjął kapelusza, lecz z dość zuchwałą miną stanął obok łóżka i patrzył na chorą z pod przymrużonych powiek. Janka, wybierająca się właśnie do pracowni, podawała Eugenii trochę ślazu.

Hortensya poszła do swych zajęć, znalazłszy jeszcze jedno miejsce, które obecnie dawało jej piętnaście franków więcej miesięcznie zarobku.

Nieznajomy zapytał o imię i nazwisko Eugenii, jej lata, wiek matki i środki do życia. Był wydelegowany z dobroczynności publicznej, ażeby zaopiniować, czy rzeczywiście owa Eugenia zasługuje na pomoc dziesięciu franków miesięcznie, jaką jej państwo udzielić miało.

Wypytywał brutalnie o ojca dziecka i zmusił Jankę do ostrej odpowiedzi:

— Gdyby ojciec dziecka był w stanie się niem zająć, nie potrzebowałaby matka zwracać się po pomoc do państwa.

Spełń pan swoją powinność i nie bądź zanadto ciekawy...

Mężczyzna wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Przez cztery tygodnie wegetowała jeszcze Janka, w nadziei znalezienia sobie zatrudnienia.

Teraz już i Eugenia podniosła się z łóżka, i obie codzień rano wychodziły na wiatr, śnieg i deszcz, żebrząc o zarobek, pukając do wszystkich drzwi, wyciągając niezajęte ręce po pracę.

W kantorach stręczeń pracy kazano im naprzód płacić wpisowe.

Kilkakrotnie Hortensya zdobyła się na zapłacenie wpisowego Eugenii, lecz i to na nic się nie zdało.

Wieczorem, gdy dziewczyny wróciły i siadały dokoła stołu, na którym Hortensya zastawiała trochę zupy i chleba— panowała cisza smutna i zgnębiona, przerywana tylko pluskiem deszczu, płynącego ze szmerem z dachu w rynnę.

Lecz już Hortensya, powoli — widząc, że córka jej straciła ostatni arobek, a w dodatku rzuciła jej na ręce dziecko, za które płacić trzeba było trzydzieści franków miesięcznie — zaczynała swoje żale i narzekania.

Eugenia blada, chuda, z oczyma podsiniałymi trzymając się pod boki, zionęła złością, lamentami i przekleństwem. „

Nazajutrz przyniesiono telegram, adresowany na ręce Eugenii.

Dziewczyna, drżąc, rozłamała pieczętkę i przebiegła błękitny świstek oczyma.

— Dziś w nocy Jeaune* umarła!

Zmarła córeczka Eugenii...

Eugenia rzuciła telegram na ziemię i z głośnym krzykiem wybiegła nagle z mieszkania.

Chwilę jeszcze słyszała Janka ten krzyk, niknący w klatce schodowej, aż wszystko ucichło zupełnie.

Janka podniosła telegram i długo patrzyła na tych słów kilka, oznajmujących, że zgasło drobne, maluchne stworzenie, dla którego na wielkim, ucywilizowanym i wyrafinowanym świecie nie było miejsca.

Eugenia nie wróciła ani na noc, ani na dzień następny.

Hortensya czekała na nią do późnej nocy, odgrzewając pupę. Stara kobieta miała oczy zapuchłe od płaczu i co chwila chwytła się za głowę, jęcząc cicho. Po kilku dniach wreszcie napróżno usiłowała powstać z łóżka: leżała jak martwa, tak drobna i chuda, że niknęła prawie cała w fałdach prześcieradeł.

Sprawdzony przez Jankę doktor cyrkulowy rozpoznał początki gorączki tyfusowej i kazał natychmiast przenieść chorą do szpitala.

W pół godziny później w lektyce, której towarzyszyła Janka, odniesiono Hortensję do Hotel Dieu i pomieszczono w sali gorączkujących.

Janka powróciła ze szpitala i, gdy weszła na próg pustego i zimnego mieszkania, łzy zasłoniły jej oczy. I teraz—rzecz dziwna—gdy jej istnienie było tak fatalną nędzą, myśl samobójstwa oddaliła się od niej zupełnie. Instynktem samozachowawczym rwała się do życia i pragnęła przedłużyć chwile tego istnienia.

Biblioteka.—T. IO

Lecz nikąd nie miała ratunku. Teraz już traciła głowę i błądziła po ulicy, nie umiejąc nawet logicznie pokierować swych poszukiwań pracy. Była tak nędzna, tak fatalnie ubrana, tak blada, i mówiła z taką trudnością, że w pracowniach patrzano na nią z niedowierzaniem. Jej nadzwyczajna piękność uwidoczniła się jeszcze więcej w tej nędzy i opuszczeniu. Gdy zjawiła się na progu sklepu lub pracowni, mimowoli pytano się siebie, co zmusza tę niezwykle piękną dziewczynę o rasowym, wielkopańskim wyglądzie, do ślania się z anemii i wycieńczenia i proszenia o pracę. Podejrzewano w niej awanturnicę, jakąś nieczystą sprawę, ucieczkę z domu... ba! często co gorszego.

Janka traciła świadomość miejsca i przestrzeni. Często powracała do jednego i tego samego sklepu lub pracowni, pomimo otrzymanej przed chwilą odmowy. W quartier zaczęto ją uważać za waryatkę. Pokazywano ją sobie palcami. Janka zauważyła, iż była przedmiotem obserwacji, ciekawości, a nawet pogardy ludzkiej. Pomimo to co rano zbiegała na dół i szła, gnana niepojętą dla niej siłą, żywiąc się kilku suchymi bułkami i trocha wody, którą rozgrzewała własnym oddechem.

Zastawiła resztę bielizny, sprzedała wszystkie swe szmaty i została literalnie w jednej kuszui, którą prała w nocy po ciemku i rozwieszała na krześle.

Często koszula nie schła zbyt prędko. Janka kryła swą przepyszną nagość w wełnę kołdry, wziętej z łóżka Hortensji. Wreszcie jedne

go dnia, zdreźzona nadto głodem, ściągnęła z łóżka poduszkę i zaniósła ją do zastawu.

Gdy dnia tego kupiła sobie jajko i trochę masła, uczuła nagle straszny wyrzut sumienia. Jakiem prawem rozporządziła się cudzą własnością? Chciała się uchronić od głodu,.. Zwierzę w niej było tak silne, iż zmuszało ją do spełniania czynów, które uważała za niemoralne.

Zrozumiała potęgę wpływów i okoliczności. Złodzieje przestali być w jej oczach występny. Czuli, że jeśli dalej tak pójdzie, może zdoła znaleźć nawet usprawiedliwienie zbrodni.

W szpitalu Hortensya walczyła ze śmiercią.

O Eugenii krążyły głuche wieści. Mówiono, iż widziano ją w niedzielę z bandą obszarpańców, śpiewającą na fortyfikacjach miasta.

Po kurytarzu snuły się coraz smutniejsze i więcej znużone cienie. Ogieńki w małych piecykach migotały o późnej nocy. Ci, którzy mieli pracę, kładli się spać coraz później, a ci, którzy jej nie mieli, nie spali wcale.

Janka całe noce spędzała bezsennie, doprowadzona do krańcowej rozpacz. Przebiegała myślą swe życie i robiła obrachunek z tego, czem była i do czego doszła?

Była... zerem, obecnie jest czymś, bo cierpi, bo tworzy sobie system wiary, moralności i swego względem społeczeństwa stosunku.

Był to jeszcze chaos, jaki tworzył się w jej umyśle—wiedziała jednak dokładnie, co było słusnością i niesprawiedliwością. O ojcu swym, bracie siostrze myślała długoi sądziła teraz ich postępo

wanie z innego punktu widzenia. Powrócić jednak do tego koła, otoczyć się znów nimi, żyć ich życiem nie byłaby nigdy w stanie. Wolałaby zamrzeć tu z głodu i zimna, niż powrócić do nich.

Grudzień nadszedł, ostry niezwykle i nadzwyczaj mroźny.

Paryżanie kurczyli się, poowijani we flanele, grzejąc końce nosów i rąk u kominków, a na ulicy biegali jak waryaci i pochłaniali masę absyntu i innych obrzydliwości.

Z nor, podziemi i fortyfikacyi zaczęły wylegać bandy nędzarzy i nadciągać do miasta, jak chmary robactwa, wykurzonego ze swych kryjówek dymem.

Na odczepienie się od tej nędzy ropalono na placach ogniska, damy zaczęły myśleć o urządzeniu wenty, Kotschild dał dziesięć tysięcy franków. Dobroczynność publiczna powiększyła liczbę swych urzędników, przeważnie protestantów.

Tymczasem zimno zwiększało się z każdą chwilą.

Koło hall gromadziły się całe bandy ludzi, zbijające się w masy dla wspólnego rozgrzania, jak trzody zwierząt, nagle zawieją w polu zaskoczonych.

Całemi nocami rozlegały się teraz śpiewy nędzarzy, zawodzących kawiarniane piosenki do dnia białego, dla wyzebrania w ten sposób choć kilku susów, na opłacenie sobie dachu nad głową lub kilkunastu kropli alkoholu.

Pewnego dnia, gdy Janka wybierała się właśnie do fabryki cukru, gdzie, jak słyszała, potrzeba

było kobiet, zajętych przy rąbaniu maszynowem cukru na kostki—weszła do jej kąta odźwierna domu i w imieniu gospodarza oświadczyła, że Hortensya winna jest za cały kwartał, a ponieważ piętnaście dni nowego kwartału upłynęło, gospodarz jest w prawie roporządzania lokalem i wynajęcia go innemu lokatorowi. Meble Hortensyi będą złożone na strychu i wydane jej lub Eugenii w chwili uiszczenia należności. Co zaś do Janki—skoro nie jest w stanie zapłacić zaległego komornego—prawdopodobnie dom opuści i przeprowadzi się gdzieindziej. Gospodarz tylko pragnie, aby oczyszczenie mieszkania nastąpiło jaknajprędzej.

— Dziś jeszcze — wymówiła Janka, sięgając po swój płaszcz i czapeczkę. Wychodzę w tej chwili...

Odźwierna zamknęła za nią drzwi na klucz i zeszła ze schodów, chowając klucz do kieszeni.

Janka znalazła się na ulicy, mając w kieszeni pięć susów, stary naparstek i zardzewiałe nożyczki.

Ściemniało się już i liliowy cień powstawał z ziemi, sunąc ku górze, z której spadał znów deszcz szarego popiołu.

Janka szła powoli, mijając oświetlone już wystawy sklepowe.

Przed wielkimi magazynami podrygiwały sylwetki kupczyków, skaczących dla rozgrzania się przed stosami towarów.

Starzy mężczyźni zaczęli zaczepiać kobiety, biegnące szybko, z rękoma utopioncami w muflach lub kieszeniach paltotów.

Janka poczuła obok swego ramienia drugie

ramię. Jakiś głos niski wymówił kilka słów, które rozplynęły się w przestrzeni.

Janka nie odwróciła głowy i szła ciągle dalej.

Śnieg zaczął padać cieniuchnymi płatkami i nagle ustał, a po powietrzu przeciągały teraz miliardy zimnych nitek, wilgotnych i lodowatych.

Nagle Janka ocknęła się ze swego odrętwienia. Była teraz na placu Karuzelu pod pomnikiem Gambetty. W mgle żółtej i zgniłej majaczyła płaska przestrzeń Tuileryów. Ponad nią twórca oportunistycznego rządu wyciągał swą prawicę.

Wszędzie migotały żółte światła latarni.

Janka usiadła na stopniach pomnika, otuliła się płaszczem i siedziała tak nieruchoma w ciemni zapadającej nocy, jak jeden więcej geniusz z brązu odlany, ku zmarłemu trybunowi ludu dłonie swe wyciągający.

Minęło kilka godzin wieczornych — nadeszła noc. Przechodnie stawali się coraz rzadsi, nawet dorożki turkotały w coraz większych odstępach, i tylko omnibusy zjawiały się regularnie, jak zabawki, w zegarach norymberskich godziny znaczące.

Janka miała jedno tylko pragnienie—to jest aby pozostawiono ją tak noc całą na tych stopniach, schowaną po za front pomnika, nikłą, nędzną, w fałdach zmocznego płaszcza.

Nie czuła głodu, jakkolwiek od rana nic w u, stach nie miała. Przez chwilę zamajaczyło w jej umyśle iść do jakiego hotelu — lecz trwoga przed bardzo możliwą odmową lub żądaniem z góry zapłaty wstrzymywała ją od tego kroku.

W myśli przebiegła całą seryę swych znajomych w Paryżu; nie miała nikogo, ktoby mógł jej w tej strasznej chwili przyjść z pomocą.

Kuniewicz w tej chwili istniał dla niej znów w krainie legend i z życia rzeczywistego wycofywała go zupełnie.

Noc zapadła ciemna i fatalnie zimna. Kłęby białawe włóczyły się po powietrzu. Janka otaczała się parą swego oddechu i ta zasłaniała jej resztę świata. Dla niej zimno nie było tak dokuczliwe, jak dla Francuzów. Siedziała więc spokojnie, zrezygnowana, czując niemal jakąś ulgę w tem oczekiwaniu katastrofy, która powinna była jej egzystencyi i cierpieniom kres położyć. Myśl samobójstwa nic przeszła przez jej umysł, przeciwnie—pragnęła żyć i dalej cierpieć, gdyż cierpienie to było teraz koniecznem dla jej duszy.

Przez chwilę jedną sięgnęła w przeszłość. Przypomniła sobie szare godziny tam, w alejach Ujazdowskich, w ciemni ważkiego pokoju—bezczyenne i straszne, wyczekiwanie herbaty wieczornej, kłótnie z Połą, maltretowanie przez ojca. Z pewnem uczuciem zadowolenia poprawiła się na płytach kamiennych i oparła głowę o skrzydła geniusza. Stanowczo było jej teraz lepiej tu, niż tam, w tem kole zwierzęcych czynności, wykonywanych mechanicznie, w imię narzuconego przez fałsz obowiązku.

Z odrętwienia tego zbudziły ją kroki agentów. Cała eskorta zbliżała się ku niej szybko, gimna stycznym krokiem. Instynktem wiedziona, porwała się z miejsca i poszła w stronę ulicy Kivoli. Agenci

W myśli przebiegła całą seryę swych znajomych w Paryżu; nie miała nikogo, ktoby mógł jej w tej strasznej chwili przyjść z pomocą.

Kuniewicz w tej chwili istniał dla niej znów w krainie legend i z życia rzeczywistego wycofywała go zupełnie.

Noc zapadła ciemna i fatalnie zimna. Kłęby białawe włóczyły się po powietrzu. Janka otaczała się parą swego oddechu i ta zasłaniała jej resztę świata. Dla niej zimno nie było tak dokuczliwe, jak dla Francuzów. Siedziała więc spokojnie, zrezygnowana, czując niemal jakąś ulgę w tem oczekiwaniu katastrofy, która powinna była jej egzystencji i cierpieniom kres położyć. Myśl samobójstwa nic przeszła przez jej umysł, przeciwnie—pragnęła żyć i dalej cierpieć, gdyż cierpienie to było teraz koniecznem dla jej duszy.

Przez chwilę jedną sięgnęła w przeszłość. Przypomniła sobie szare godziny tam, w alejach Ujazdowskich, w ciemni ważkiego pokoju—bezczyenne i straszne, wyczekiwanie herbaty wieczornej, kłótnie z Połą, maltretowanie przez ojca. Z pewnem uczuciem zadowolenia poprawiła się na płytach kamiennych i oparła głowę o skrzydła geniusza. Stanowczo było jej teraz lepiej tu, niż tam, w tem kole zwierzęcych czynności, wykonywanych mechanicznie, w imię narzuconego przez fałsz obowiązku.

Z odrętwienia tego zbudziły ją kroki agentów. Cała eskorta zbliżała się ku niej szybko, gimna stycznym krokiem. Instynktem wiedzioma, porwała się z miejsca i poszła w stronę ulicy Kivolli. Agenci

i ów pochylił głowę na ramiona sąsiada, który się nie usuwał przed tym smutnym ciężarem. I Z nawpół otwartych drzwi szynków biły smugi światła. Co chwila wchodziły tam lub wychodziły postacie ludzkie, plując i klnąc głośno, i Na wozach siedziały kobiety skurczone, w postaci niewolnic.

I Cały ten obraz, ponury i tajemniczy, przesunął się przed Janką, jakby zasnuty mgłą szarą i niepewną. Przez chwilę przyszło jej na myśl zmieszać się z tym tłumem—i tak spędzić resztę nocy, lecz w tej samej sekundzie zbudziła się w niej cała jej arystokratyczna i artystyczna natura. Pragnęła cierpieć sama i w milczeniu. Nie dorosła jeszcze do tej pełni, w której ginie już indywidualność własna i cierpi się wspólnie z innymi, przyjmując ich niedolę za swoją i nawzajem—oddając im część swego cierpienia.

Poszła dalej powoli, i dokoła niej znówu snuły się inne kobiety, ubrane tak, jak ona, nędznie, zziębłe i drżące.

U Janka sama nie wiedziała, w jaki sposób wydostała się na ulicę Royale, i przed sobą bardzo niewyraźnie dostrzegła olbrzymie ciało kościoła św. Magdaleny. Pomyślała, iż dobrze byłoby wejść poza kraty i usiąść pod kolumnadą, gdzie nawet i zasnąć możnaby było—lecz kraty były zamknięte, i ręka Janki, spotkawszy zamarźle żelazo, cofnęła się ze wstrętem.

i Zaczęła okrążać kościół, wsłuchując się w dzwoniące powoli godziny. Wybiła trzecia.

I nagle Janka usłyszała za sobą przyspieszone kroki. Tu i owdzie uciekały kobiety i niknęły w zaułkach, otaczających piazę dokoła...

Nim Janka opamiętać się zdołała, ujrzała pędzącą naprzeciw siebie eskortę agentów, którym wiatr rozwiewał pelerynki. Dopadli w jednej chwili Jankę. Kilku najbliższych schwyciło ją brutalnie za ramiona i szarpnęło ku sobie. Czapeczka spadła jej z głowy, płaszcz z pleców. Próbowwała się bronić, lecz jeden z nich pchnął ją w plecy kułakiem.

— Allons! au depo ti...

Krokiem pośpiesznym, gimnastycznym, biegli znów, formując się w kolumny, ścigając wszystkie napotkane kobiety i otaczając je zwartym pierścieniem. Pomiedzy sobą mieli teraz Jankę i zmuszali ją biec tak w pościgu za innymi kobietami, które jak szalone rzucały się w cienie domów, klękały w zagłębieniach, padały na ziemię, j

Na drugi dzień koło południa Janka, blada jak widmo, czepiając się murów, wyszła z dziedzińca Pałacu Sprawiedliwości, w którym noc całą spędziła.

Wypuszczono ją po zadaniu jej kilkunasto pytań, które purpura wstydu okryły jej lica. Wzięto jej nazwisko, zapytano o adres. Podała mieszkanie Horteosyi. Mówiącemu do niej urzędnikowi odpowiadała spokojnie, z oczyma, utkwionymi w scia

ne, nie widząc nawet zdziwionych spojrzeń, iakie rzucały na nią inne kobiety. Były tam niektóre, tak jak ona, uczciwe i bez skazy, powracające późną nocą z roboty lub od chorych, zatrzymane przez agentów i przyprowadzone do Depôt. Te laniem* towaty, groziły procesem, mówiły o hańbie i straconym honorze.

W Jasne światło gazu, płonącego w wielkiej izbie, oświecało tą scenę fatalną i potworną.

B Pod ścianami, pokrytymi jasnożółtą barwą siedziały inne kobiety, w sukniach zniszczonych, dużych kapeluszach, połamanymi pięściami agentów,

twarzach strasznych, z których malowidło ciekło różnobarwną strugą.

Na środku sali, koło olbrzymiego pieca, rozpalonego do czerwoności, stali agenci, śmiejąc się na lamenty kobiet wzruszając ramionami.

— Pomyłono się!... wielka historia! Dostała w kark kułakiem!... cóż z tego?... Mówi, że jest szwaczką i że ją przetrzymano długo w nocy! Bardzo pięknie! Niech sama po ulicach się nie włóczy!... Może przecież znaleźć sobie „ami”, który ją odprowadzi... Gdyby szła z mężczyzną, nie zabranoby jej do Depôt. Samej kobiecie nie wolno chodzić po świecie. To wiadomo.

I Janka tak była przerażona tem, co słyszała, iż nie zdawała sobie sprawy z tego, że i ona właśnie jest jedną z tych „winnych”, które nic chcą znaleźć sobie towarzysza nocnych przechadzek.

I Oprócz nędzy materialnej, poczuła teraz grozę Amoralną, czyniącą z kobiet rodzaj zwierząt, ściga

sych i poniewieranych nawet w chwilach tak strasznych, jak te, przez które przechodziła.

Janka patrzyła na tych kilkanaście kobiet, splakanych i drżących, pilnowanych przez kilkunastu agentów, uzbrojonych w rewolwery i kastety.

Chwilami zdawało się jej, że śni i we śnie tym widzi obraz piekła. Cierpiała za siebie i za te inne, które ręce mężczyźni biły i szarpały.

Urzędnik dyżurny patrzył na nią z zajęciem. Natychmiast odgadł w życiu tej biednej dziewczyny tragedię, tak czyste, wielkie i piękne były jej یرenee, przygasłe i łzami zasnuęte.

Po skończonych pytaniach zwrócił się do agenta i kazał podać wyścielane krzesło.

— Prenez place, mademoiselle!—wyrzekł z wyszukaną grzecznością—rous seres mieux iei!... i

Lecz Janka potrząsnęła głową i powoli skierowała się w stronę, gdzie wszystkie kobiety, zbite w smutną masę, siedziały jak stado w pęty złowioaych zwierząt.

Janka usiadła pod ścianą i, założywszy ręce ca piersiach, pozostała tak, nieruchoma, wyniosła, piękna, nieskalana, jak uosobienie czystości dzie wiczej. Obok niej jakaś dziewczyna o rudych, po I malowanych włosach, chuda, zapadła w swym czer I wowym staniku i piaskowej pelerynie, splakana, ze I smugami różu na zapadłych policzkach, słańiała sic I ze snu i znużenia. Kilkakrotnie starała się przewyciężyć ogarniającą ją senność, wreszcie—osłabiona I i zmęczona—zasnęła. I

Głowa jej przez chwilę kołysała się, szukając

D

oparcia, wreszcie opadła na ramię Janki, która nie usunęła się przed tem dotknięciem.

Powoli— dziewczyna, jak małe kocię, smutne i zmoczone, przytuliła się do Janki, która siedziała nieruchoma, mając tuż obok swej twarzy tę głowę, rozczochraną i woniejącą piżmem, dla której społeczeństwo, zamiast gruntownej reformy duszy i ciała, miało—eskorty agentów, kraty SaintLazare, a Chrystus—słowa pociechy i bezgranicznego przebaczenia.

Następnego dnia, około godziny dziesiątej wieczorem, stanęła Janka przeddrzwiami przytułku nocnego, otwartego dnia tego na Polu Marsowem, w dawnych zabudowaniach wystawowych.

Przez cały dzień chodziła jeszcze po ulicach i około południa znalazła się w Potiva, gdzie potrzebowano robotnic do pakowania cukierków w pudełka, przygotowując je na podarki noworoczne.

Zapisano ją na liście, jako sto czwartą kandydatkę, lecz ponieważ robota była ciężka i źle płatna, robotnice zmieniały się często, tak, że Janka mogła się spodziewać wakansu za dni kilka. Tamże posłyszała o przytułku nocnym; dwie robotnice bez zajęcia rozmawiały o przeszłej nocy, jaką spędziły w pałacu sztuk wyzwolonych—w ciszy i ciepłe.

Janka przez cały dzień myślała jedynie ó tym porcie bezpiecznym i dążyła do niego myślą, ua* gle zdjęta znużeniem i gwałtowną chęcią wypoczynku.

Miała teraz gorączkę i drżała tak gwałtownie, że zakładała sobie palec w usta, aby powstrzymać szczękające zęby.

Śnieg padać zaczął dużymi płatami—na ulicach
zabiegało przez krótką chwilę.

W Jance śnieg obudził dziwne uczucie tęsknoty do kraju... A

Wyciągnęła rękę i łowiła te płatki śniegu w zezerniając od pracy i zimna dłoń. Piła je chciwie, jak rosę, odwilżając w ten sposób usta, spieczone gorączką.

Wreszcie nadszedł wieczór, i Janka podążyła szybko na pias wystawy.

Czekać musiała długą chwilę, bo przytułek otwierano dopiero o godzinie dziewiątej. Powoli ściągały wśród cieni całe masy ludzi, przeważnie] mężczyzn, i grupowały się w milczeniu dokoła ścian pawilonu.

Przez oszklone okna widać było płonące już I ogniska i masy agentów, rozkładających na ziemi I sienniki. I

. Nędzarze cisnęli się do drzwi, trzymając w re kach dowody legitymacyjne. Kilka cylindrów widać I było tu i owdzie. I

Janka ustępowała ciągle miejsca nowoprzy byłym, którzy ciągnęli coraz silniejszymi zastępy, I jak bosa armia, gotująca się do obozowania koło I rozpalonych ognisk. Wyrastali prawie z pod ziemi, I wyrzucani z wnętrza świata w nocne cienie, doma gając się w milczeniu dachu i ciepła — choć nocą, I skoro dniem społeczeństwo nie czuło się dość silne I i bogate, aby ich od chłodu i głodu uchronić. I

D

I znów Janka zapomniała, że należy do tej całej masy, bezdomnej i na rozstajne drogi rzuconej. Zdawało się jej, że jest jedynie widzem i przerażona patrzyła na tę czarną kohortę, cichą i smutną, która z drobnego strumyka wzrastała teraz w całą rzekę, grożąc pełnym grozy wylewem..

Wreszcie otwarto drzwi.

Cała ta fala wlewać się zaczęła powoli, powstrzymywana i nawoływana do posłuszeństwa przez agentów, którzy dziwnie złagodnieli i pełni byli uprzejmości dla bezdomnych nędzarzy. I Janka stała na uboczu i całą godzinę czekać musiała, nim te tysiące przeciągnęły przez krużganek i wreszcie znikły we wnętrzu gmachu.

Nareszcie zrobiło się przestronniej; Janka podsunęła się więc ku drzwiom i stanęła przy nich nieśmiało.

w — Vous desirez, madame?...—zapytał jej agent. m Ona wybełkotała kilka słów niezrozumiałych, agent jednak zrozumiał, o co jej chodzi.

— Kobiety wchodzą tamtymi drzwiami— odparł, wskazując jej mały promyk światła, przeciskający się opodal przez szparę drzwi, cokolwiek uchylonych.

I Janka poszła w tę sroflę. Przez chwilę jeszcze zawahała się w progu, wreszcie pchnęła drzwi i weszła.

I Znalazła się w przeforsztowanej sieni, oświetlo nej niewielką nafcianą lampką. Z poza oszalowania dobiegał ją szmer cichych głosów.

Uczuła się nagle bardzo onieśmieloną i skrępowaną. Dech jej zamarł w piersiach, serce biło

nierówno, od tyłu głowy wzdłuż krzyża przebiegały dreszcze.

Drzwi boczne otwarły się, i stanęła w nich niemłoda kobieta, ubrana czarno i opasana fartuchem, trzymająca dzbanek z wodą w ręku. Zobaczywszy Jankę, obrzuciła ją szybkim spojrzeniem i, usunąwszy się na bok, wyrzekła miłym głosem; — Entrez mademoiselle... Janka zdobyła się na ostatni wysiłek i weszła. Lecz już w tej chwili doznała uczucia, że wlecze za sobą jakiś ciężar zbyteczny, którego się pozbyć nie może.

Znalazła się w dość dużej sali, której ściany gubiły się w nadzwyczajnej wysokości budynku. Pod ścianami, na twardej, czarnej ziemi, jak płyty morgi, tak leżały wyciągnięte sino białe sienniki, przykryte kocami o czerwonych pręgach. Na środku płonęło olbrzymie ognisko purpurowe, rozrzucające dokoła złote, a ponure blaski. Tapczany bliżej ognia pozajmowane już były przez kobiety, i widać było tylko głowy czarne, blond lub siwe—twarze straszne, blade, sine lub purpurowe, poprzecinane plamami oczu i bliznami bezkrwa wemi ust. Koło ściany leżały także nędzarki; niektóre miały koło siebie dzieci i tuliły je, kołysząc i zwolna. i

Pod stopami Janki młoda dziewczynka, może i dwunastoletnia, siedziała na tapczanie i owijała od mrozone nogi kawałkiem czystych szmat, które po I dawała jej, klęcząc obok niej, infirmerka. I

Naprzeciw jakaś siwa, straszna kobieta sie I działa, oparta o poduszki i oddychała ciężko, mając I

trochę piany na obwisłych wargach, i przesuwiała po kocu rękoma o długich, zczerniałych palcach. Jankę uderzył szczególnie wyraz jej oczu, olbrzymich, czarnych, w głąb wsuniętych i prawie ćwierć twarzy zajmujących. Robiła wrażenie trupiej głowy, która ożyła i świeciła się parą źrenic potwornych, dreszczem grozy przejmujących.

Kobieta, która spotkała Jankę w progu, zbliżyła się teraz do niej i pytała uprzejmie, czy zechce co zjeść przed udaniem się na spoczynek.

Janka chciała odpowiedzieć, lecz nie mogła zebrać myśli. Wyrazy polskie, francuskie zaczęły migać w jej umyśle z przerażającą szybkością.

Ta fatalna cisza, panująca w tej sali — cisza prawie cmentarna, nie przerywana nawet kaszlem, nawet płaczem dzieci, pochłoneła ją całą i odebrała jej resztę siły. Doznała wrażenia, jakby rozdawiała się nagle, jakby to, co w niej było żywe, zdrowe, doskonałe, miało ulecieć w przestrzeń i pozostawić precz szmat ciała zużyty i posłuszeństwa odma* wiający.

B W tej chwili wspaniałej i porywającej, przez umysł jej przemknęła pewność o istnieniu duszy. Miała w sobie, w tem rozpaczliwym szamotaniu się, dowód niezbity i namacalny. Szalona radość, zmieszana z rozpaczliwym bólem, porwała ją całą. Wyciągnęła ręce i bez jęku osunęła się na podłogę. Zemdląła.

Jioteka.—T ,

VI.

„Chcę i muszę się z panią widzieć. Proszę mi naznaczyć miejsce, w którym mógłbym się spotkać z panią. Do pani przyjść nie mogę... Nie żądam tego — błagam! Zechciej mnie pani zrozumieć: jestem chory lub dziwnie wyczerpany... Przy pani znajdę może uspokojenie... Nie odmawiaj mi tego — ja proszę!

... i

Z rąk Janki wypadł ten list na ziemię. Znalazła go u odźwiernej, do której przyszła dowiedzieć się, co się dzieje z Hortensya.

Odźwierna nie wiedziała nic o stanie zdrowia posługaczki, ale natomiast podała Jance list, na którego kopercie dziewczyna poznała natychmiast pismo Kuniewicza., Adresowany był na ulicę Condor cet, odniesiony do hotelu, a stamtąd przesłany do

mieszkania Hortensyi. Leżał n odźwiernej) przeszło dni dziesięć, i na Jankę uderzyły płomienie, skoro spójrzała na date. Tak jest — dni dziesięć temu wyszła z tego domu błądzić po ulicach Paryża i upaść wreszcie na czarną ziemię przytułku, bezprzytomna i niemal martwa.

I Przyrowadzona do przytomności, odżywiona Iroehą zupy i wina, umyta i wyspana—obudziła żywe zajęcie w dozorczyńni, która w jednej chwili poznała w Jance nie zwykłą i nie profesjonalną nędzarke.

* Kobiety mogły pozostać w przytułku do południa, a gdy Janka podniosła się wreszcie z tapczanu i gotowała do odejścia, panna Richard wstrzymała ją szybkim ruchem. Bez nadzwyczajnych wstępów zapytała ją z prostotą, czy nie chciałaby pozostać w przytułku, jako pomocnica iafirmerki.

Janka, zarumieniona z radości, przyjęła natychmiast tę propozycję.

Panna Richard kazała jej położyć się spać do wieczora, aby z nastaniem nocy znalazła się na posterunku.

Bj* Wypiwszy trochę wina i zjadłszy odrobinę mięsa, Janka po raz pierwszy od dawna zasnęła snem spokojniejszym, bez ohydnych widziadeł, oblewających jej czoło potem.

Hf Nad wieczorem Janka wstała — i gdy przypasała fartuch i na włosy włożyła biały tiulowy czepek infermerki uczuła się dumną, szczęśliwą — prawie zdrową. Układała sienniki i koce, poprawiała

sianem wypchane poduszki, pragnąc uczynić, o nie możliwości, znośnym ten chwilowy dach dla ciemnej i smutnej armii, która z nastaniem zmroku nadcią* gnać miała. 'J.r'. : '; '.WMfli' Obok — w przytułku mężczyzn — przygotowano dziesięć tysięcy legowisk; dla kobiet zaś, które w bardzo małej ilości stawiały się w przytułkach, ułożono pięćset sienników. Ostatniej nocy weszło ich zaledwie osiemdziesiąt, gdy tymczasem siedem ty. sięcy mężczyzn zaległo ziemię, pokrytą wystawowym dachem.

Chwilami Janka, czyniąc i widząc te przygotowania, pytała samej siebie: czy rzeczywiście Kuniewicz nie miał słuszności, troszcząc się przedewszystkiem o byt materialny nędzarzy? — i czuła gama przez swe własne doświadczenie, że ciało, w najzwyklejszych swych potrzebach niezaspokojone, jest strasznym i fatalnym wrogiem ducha. „W głodzie i nędzy duch potężnieje — mówił Bervisier — lecz ciało odmawia posłuszeństwa, nie służy mu za dotykalne narzędzie i wreszcie wyrzuca z siebie boskiego gościa, w rozkład i zanik chwilowy idąc”.

Z nastaniem zmierzchu, przez drzwi uchylone zaczęły się wsuwać postacie kobiece — i na widok pierwszej z nich, ciemno ubranej i smutnej, serce Janki ścisnęło się. Zdawało się jej, że ona sama wchodzi i doznaje olśnienia od widoku purpurowego ogniska. Podeszła szybko do nieszczęśliwej i podała jej rękę.

— Proszę, niech pani zbliży się do ognia, odpocznie. Może trochę zupy i wina?...

IGI

K Głos jej drżał, twarz zbladła jeszcze więcej.,. Nowoprzybyła patrzyła ze zdziwieniem na tę dziewczynę, wzruszoną i drącą. Z pewnym rodzajem nieufności oddaliła się i usiadła na jednym z sienników.

Prawdziwa uędba nie lubi tego, co przypomi* na jej litość. Cierpi wtedy podwójnie i staje się też podwójnie dumną i nieprzystępną.

Lecz Janka na uwagi te nie miała czasu. Koło godziny dwunastej przeszło dwieście sienników zajętych było przez kobiety. I ciągle, ciągle z ciemni Marsowego pola. tam, het, z wnętrzości Paryża, ciągnęły inne zastępy, zwabione ciepłem ognia i łyżką nędznej strawy.

H| Oprócz Janki, panny Richard i dwóch intirmerek, zaproponowano dwom kobietom, mnie) znużonym i wyczerpanym, zajęcie się nowoprzybyłymi.

Janka podawała w blaszanych naczyniach wodę, grzejącą się w olbrzymim kotle, i stawiała te naczynia obok sienników z kawałkami mydła i szmatami płótna.

Nędzarki wysuwały ze swych przemokłych trzewików i łachów, naśladowujących pończochy, biedne, opuchłe nogi i pogrążyły je w ciepłej kąpieli. Na twarzy ich rysowała się wtedy błogość niezwykła. Często rany się otwierały pod wpływem ciepła.

fe Janka przyklękała i delikatnie brała w swe ręce te biedne stopy zranione, przeznaczone do wiecznej włóczęgi, jak stopy Ahaswera, obmywała je, przykładła szarpie, kawałki delikatniejszego płótna.

Ogarniało ją wtedy wielkie wzruszenie i tak doskonała radość, że chętnie byłaby całowała te zranione stopy wydziedziczonych, aby im podziękować j za to wrażenie nieme a uszlachetniające, jakie w niej obecnie panować zaczynało. Nie myślała teraz o I Kuniewiezu, podniecona, rozegzaltowana, cała od ś dana na usługi tej miljonowej części nędzy, która] swe zbolące stopy jej dłoniom powierzała. Chwila mi biegła za parawan, otulający łóżko panny Richard i tam kryła swe wzruszenie, które ją nad] to dławiło. I

Panna Richard, stała dozorczyni przytułku] w Fecamp i wydelegowana do zarządzenia czasowem schroniskiem w zabudowaniach wystawowych,] była owym wodzem doświadczonym, sumiennym i chłodnym nawet wobec najzaciętszego wroga. Walczyła z cholera, ospą, tyfusem, głodem, powodzią, pożogą. Nic dla tej kobiety nie było zbyt silnego, nic mocniejszego od niej. W aureoli swych włosów rudawych, z bladą twarzą neurasteniczki, stała zawsze na wyłomie z ręką naprzód wyciągniętą, pierJ wsza w ogniu niebezpieczeństwa, wychodząca obrosj ną ręką z cmentarnych trupów i morza zgnilizny, Na czole jej gładkiem i spokojnem nie było zmarszczki, usta zachowały łagodną linię dobrej Samarytanki. Nie wdając się w przyszłość, nie kierując ewulucją socjalną, walczyła z terażniejszością i oddawała swe życie ua usługi ludzkości.

— Wypełniam swój obowiązek! — wyrzekła z prostotą nad ranem, gdy promienie światła szare

i niepewne zaczęły rozjaśniać ciemnię przytułku i gasić swym blaskiem purpurę świetlaną ogniska. Janka spojrzała dokoła. Wszystkie kobiety spały cicho, jakby nie śmiejąc poruszyć się i oddychać głośniejsz pod tym dachem, udzielonym im, jak płaszcz chwilowo pożyczony.

Szary blask kładł zimne, trupie tony na ich fatalne twarze. Niektóre z nich były bardzo młode, niektóre stare, niektóre nie miały wieku. Wszystkie rysy zmięte, pokryte warstwą zgrubiałej skóry, miały jedne linje, usta z wydęciem warg bezkrwi stych i ku dołowi opadających.

W środku saii płonęło ognisko czerwone i te kobiety, które leżały bliżej ognia, oświetlone były z boku purpurową łuną o złotych odcieniach, fe Tu i owdzie malutkie dziecko, owinięte w łachmany, ginęło prawie w objęciu matki. Na jednym z sienników, jak w gnieździe, spało troje dzieci, przytulonych jedno do drugiego. Przyszły same, opowiadając, że ojciec ich przysła, i pozwoliły się umyć, rozebrać i do snu ułożyć bez skarg, narzekań i żalów. Janka otuliła je i chwilę siedziała koło nich na brzegu siennika, patrząc, jak te niewinne i czyste oczy zamykały się powoli, a drobne ciała ogarniał ten przedsmak śmierci, który suem się zowie.

Następnych dni coraz więcej przybywało nędzarzy. Już w przytułku męskim odmawiano przyjęcia. Janka przychodziła do siebie moralnie i fizycznie, jadła razem z panną Richard i innymi infirmerkami, sypiała trochę we dnie. W nocy zajmowała się umieszczaniem przybywających, kołysała i ką

pała dzieci, często naprawiała, a nawet prała ich odzienia. Suszyła je przy ognisku i kładła cicho na sienniku koło właścicielki, szczęśliwa na myśl chwilowej radości, jaką odczuje to biedne ciało, w czyste obleczone szmatę. Nie miała żadnego wstrętu do dotykania cuchnących i potem przepojonych gałganów. Czasem tylko w umyśle jej zrywał się chaos fatalny, i jakby masa lisci zaszumiała i zawirowała pod jej czaszką, wichrem jesiennym w ruch wprawionych. Odczuwała wtedy dojmujący ból w lewej stronie czaszki. Mijało to jednak szybko, równowaga powracała, tylko ręce jej drżały i ser* ce biło przez chwilę gwałtownie.

Ósmego dnia po południu postanowiła pójść dowiedzieć się o stanie zdrowia Hortensyi. Panna Richard pozwoliła jej przejść się i pozostać na mieście do godziny dziewiątej wieczorem. Janka roześmiała się. Tak późno? gdzie? po co? Stawi się koło siódmej najpóźniej.

— Może odwiedzisz rodzinę? — spytała dozorczyni.

— Rodzinę!...—odparła Janka — moja rodzina jest bardzo liczna... i ta do mnie teraz przychodzi w odwiedziny.

Panna Richard uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Egzaltujesz się trochę, moje biedne dziecko... I ja byłam taką, gdy zaczynałam mój zawód. Powoli ostygłam, i pozostał tylko we mnie bart i silna wola wytrwania do końca. Nie znam twego życia, nie wiem skąd przychodzisz, gdzie się uro

działaś. Widzę, że oddałaś się cała na usługi tym, którzy cierpią. Dlaczego to czynisz?... powiedz...

Janka milczała.

i Nie mogła i nie chciała odpowiedzieć słowami Kuniewicza i panny Richard „Wypełniam swój obowiązek.

rn Nawet teraz jeszcze nie sformułowała dokładnie, co ją zginało do stóp nędzarek. Nie była to czysta jak kryształ myśl i pragnienie poświęcenia się dla dobra innych. Był to chaos, z którego wyłonić się dopiero miał istotny stan jej ducha. Nie chcąc odpowiedzią swą szarpnąć struny prawdy, która była dla niej świątynią, wołała milczeć i panna Richard w milczeniu tem zrozumiała tylko chęć pokrycia tajemnicą swych myśli, i szybko, nie chcąc się wydać niedyskretną, na co innego rozmowę zwróciła.

I Janka czuła jedniak, że łagodne oczy Francuz ki niekiedy spoczywają na niej pytająco. Postanowiła wkrótce dać jej szczerą odpowiedź. Zaczęła badać się i analizować i z pewnego rodzaju radością dostrzegła, iż czyny jej obecne powstają zupełnie prawie niezależnie od jej miłości dla Kuniewicza. Bez wątpienia były ©ne wynikiem tego, co on w jej duszy obudził — lecz teraz Janka szła sama, bez podpory, prostą ścieżką, pchnięta tylko jego dłonią brutalną, lecz tak jej drogą.

I Wobec listu, który wręczyła jej odźwierna, oddech zamarł w piersi Janki. Dziesięć dni temu pragnął ją widzieć... co zaszło od tej chwili? może

eharakter jego, zmienny i nerwowy, chęć tę % jego piersi już wypłoszył?

Nie zastanawiała się ani chwili.

Panna Richard dała jej trzy franki a conto miesięcznej pensyi, jaką jej wyznaczyć miano. Janka wskoczyła do dorożki i rzuciła woźnicy adres Kuniewicza.

Dorożkarz zebrał lejce, i powóz potoczył się wolno w stronę Panteonu.

.....

Weszła szybko do wpół otwartej, starej bramy i dziwnie pokurczonej kamienicy.

Na lewo, nad małemi drzwiczkami, widać było napis:

„Concierge”.

Janka stanęła na progu małej lożki.

— Monsieur Kuniewicz?

Z kąta podniósł się barczysty mężczyzna, z twarzą pijaka, ćmiący fajeczkę z białej glinki.

— Sixieme a gauche.

— Meret.

Skierowała się na sebody i zaczęła iść, licząc piętra. Była ich moc niezliczona.

Przypomniała sobie ową wędrówkę na ulicy Chmielnej wieczorem, w kostiumie kupionym u Hersego, podczas gdy Justyn chorował w izdebce Kuniewicza.

Dziś tak samo jakaś egzaltacya pchała ją naprzód. Czuła, że jeśli się zatrzyma i zastanowi, nie

pójdzie dalej po tych schodach, które całą drabiną pięły się ku górze. Wreszcie dopadła ostatniego piętra i do drzwi na lewo zbliżyła się nieśmiało. Zapukała lekko.

Z wnętrza odezwał się natychmiast głos Ktniewicza: [— Entrez!

Weszła i w pierwszej chwili dostrzegła, jak z kanapki małej i dziwacznej formy dźwignął się Kuniewicz, okryty swem zimowem paltem i, stanąwszy tyłem do okna, twarz swoją w ten sposób w cieniu ukrył.

i Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Kaniewicz ku stojącej na progu Jance postąpił i, wyciągając rękę, zawołał:

i — To ty?... to pani?...

I Janka weszła szybko i podała mu obie dłonie.

I — To ja!... przepraszam, że tak późno, ale dopiero mi dziś list wręczono... Przepraszam....

r — To nic! to nic! — powtarzał Kuniewicz gorączkowo. — Myślałem, że pani się gniewa, że pani przyjść nie chce, że pani się bawi, zajęta czem ianem, a o mnie, dziwaku, myśleć nie ma czasu. By

f ło mi smutno! Zresztą... to przeszło... Pani przyszła... jestem już spokojny. Pani przyszła!...

f Posadził Jankę na kanapce, usiadł przy niej

i chwilę na nią patrzył.

rn — To pani?... — wyrzekł nareszcie—to pani? u mnie?... Byłaś tu tak często w myślach moich!... teraz jesteś wreszcie... to dobrze! to bardzo dobrze!...

IPochylił się i na ręce Janki głowę położył. — To bardzo dobrze?—dodał raz jeszcze. Janka spojrzała dokoła. Przez duże, bez firaaek okno wpadało światło brutalne i zimne. Pod oknem stał duży stół, nakryty zielonem sukniem i całą masą papierów i książek, porozrzucanych dokoła. Na środku zakurzona i smutna leżała trupia rłowa, mając za podstawę książkę w dość jaskrawej, żółtej okładce. Na niej leżała porzucona gałązka zeschniętych kwiatów. Na brzegu stała maszynka spirytusowa, koło niej czajnik i szklanka z resztką niedopitej herbaty. Na lewo, koło stołu, pod ścianą, łóżko zasłane tak samo jak w kraju, z kołdrą czerwoną, opiętą prześcieradłem, i poduszka wtłoczona w poszewkę o wstawce robionej szydełkiem. Firanki zielonawe i zniszczone zwieszały się z obu stron łóżka. Na ziemi leżała mata, koło kanapki stało krzesło z poręczą złamaną. I gdzie tylko było nieco pustego miejsca lub ściany, tam pietrzyły się książki całymi pakami, powiązane sznurkami, poustawiane na półkach, porozrzucane na podłodze. W kącie, w wyplatanym wazoniku, schła jakaś roślina.

Chłód, zimno, pustka, wiały z tych kątów, tak szczelnie wiedzą i nauką zapełnionych. Janka spojrzała na Kuniewicza. Siedział ciągle z twarzą okrytą w fałdach jej sukni. Palto zsunęło mu się pleców. Przez zniszczone i świecące sukno surduta widać było wychudłe łopatki i zgarbiony pałak kości pacierzowej. Kark miał żółte tony, trupie i fatalne. Ręce, które trzymały dłonie Janki, były jk

lód zimne, natomiast czoło Kuniewicza wydzielalo z siebie żar suchy i palący. Janka ciepłym i spo kojnyra gestem nagarnęła na plecy mężczyzny palto i otuliła go starannie.

Pv — Zimno panu? — spytała, sama nie wiedząc co mówić i pragnąc wreszcie przerwać to milczenie.

B On podniósł głowę.

B — Tak!... zimno!... — wyrzekł.—Pani będzie także zimno... Zapalę w kominku... dobrze... Lecz Janka go powstrzymała.

f — Nie! nie!... jeżeli dla mnie, niech pan tego nie robi.

— To zrobię trochę herbaty? Chce pani? nie pogardzi pani moją herbatą?...

I Uśmiechnął się, wstał i zaczął krzątać się po pokoju. Lewą ręką przytrzymał u szyi spadające palto. Janka położyła rękę na poręczu kanapki. Kuniewicz zbliżył się i delikatnie, ostrożnie pocałował jej palce.

W — Nie wiem, co mi jest — wyrzekł, nagie się prostując—od kilku dni jestem chory... Kłuje mnie w krzyżu... kaszlę... jestem zmęczony i senny... Przeziębłem się, przepracowałem trochę... I Janka śledziła go uważnie. Nędza wiała tu z tych kątów—nędza szczyrzyła zęby z zimnej jamy kominka, z tej biednej maszynki, w której gotowało się teraz nieco wody na herbatę, nędza z pochylonych ramion Kuniewicza i jego twarzy, która stała się teraz tak drobną i nikłą, jak twarz kilkoletniego dziecka. Jak potwory fatalne i zagadko

we, tak wznosiły się dokoła stopy książek, które w ciało swoje wessały młodość i zdrowie tego człowieka. I one to tryumfująco opadły teraz ten szkielet żyjący i tworzyły mu piedestał ironiczny, z wiedzy ukuty, który lodowatym tchnieniem mroził te stopy, ciężaru ciała już unieść dalej po ścieżce życia nie mogące.

Słaby ogieniek błękitny o złotych konturach migotał teraz w przestrzeni. Zdawał się być błędnym ognikiem, unoszącym się nad mogiłami, okrytymi płaszczem zeschniętych liści. Kuniewicz stał teraz obok maszynki i w ogień ten się wpatrywał.

— Co się też z panią działo?—zapytał i w tej samej chwili zwyczajem dawnym na inne pole myślą się przeniósł. — Powiedziała mi pani odchodząc: „Biedny pana duch!...” dlaczego?

Janka uśmiechnęła się smutnie.

— Powiedziałam i tego nie cofam — wyrzekła powoli — lecz dziś dodać muszę: biedne pana ciało!

— Ciało moje! — zawołał Kuniewicz—ono jaż dawno zmarło; to, co się jeszcze włóczy, to takie nędzne, takie chwilami słabe, że wolałbym, aby sic już raz wszystko skończyło, aby już raz było pu wszystkim!...

— Po czym?—spytała Janka.

— Po życiu...

— Nie! — odparła dziewczyna — nie może skończyć się wszystko. Śmierć to zmartwychwstanie!

W naszych czynach, które po sobie zostawiamy dla dobra tych, którzy przyjdą. Oto jedyna nieśmiertelność, oto wszystko, co po nas zostanie! Lecz dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie... śmierć to zmartwychwstanie. Kuniewicz usiadł obok niej i obie jej dłonie pochwycił.

— Jak się pani zmienia!—zawołał.—Wypiękniałaś mi i wyszlachetniałaś jeszcze więcej!... Czyś zapomniała o wszystkim, o tem, co pomiędzy nami zaszło? o mem nieszczęśliwem odezwaniu się p# wyjściu z Czerwonego Pałacu?... Gdyby nawet był to wybuch nerwowy, nie miałem prawa tak mówić. Czy mi przebaczyłaś?...

Lecz teraz Janka brwi silnie ściągnęła i odparła zmienionym głosem: I — Nie!

Kuniewicz się cofnął i ręce jej ze swych dłoni wypuścił.

I — Nie? to źle!... jesteś pani mściwą, jak widzę.

Lecz nagle w Jance zaczęło się burzyć i wrzeć w piersi gniewem.

— Nie jestem mściwą... ale panu nie wolno było mnie nie rozumieć... Panu jednemu! jednemu! Pan wiesz, jak powoli i prawie mimo mej wiedzy następowała we mnie przemiana, jak z lalki i zasnętego dziecka przemieniłam się i stałam kobietą i człowiekiem. Pan jeden widziałeś tę przemianę, bo ci wszyscy, którzy mnie otaczali, byli ślepi i głusi. Och! postąpiłeś ze mną okrutnie!... Obudziłeś we

mnie uczucia ludzkie i serdeczne — i potem poszedłeś, nie obróciwszy nawet za mną głowy. Poszłam za tobą... tak... ja poszłam za tobą, sądząc, zechcesz tu, w Paryżu, dokończyć zaczętego dzieła, i tę duszę, którą miałaś odwagę, i okrucieństwo wyrwać z odrętwienia, poprowadzisz dalej i pozwolisz żyć twem życiem, pracować twoją pracą!... To wszystko roiłam, jadąc tutaj, i od pierwszej chwili poczułam, że popełniłam błąd, narzucając ci gwałtem to, co we mnie życia się domagało, i że egoizm twój nie zastanowił się ani na chwilę nad następstwami twych słów, mówionych do mnie w Warszawie. A!... postąpiłeś pan lekkomyślnie!... a!... postąpiłeś pan jak samolub, dając mi tę odrobinę światła i jasności i rzucając mnie na pastwę ciemnościom...

Mówiła szybko, gwałtownie; rumieńce wystąpiły na jej twarz zmienioną. W tej chwili czuła się o wiele silniejszą moralnie i fizycznie od Kuniewicza, i ta świadomość zrywała z niej pęta zwykłej nieśmiałości i wzruszenia.

Kuniewicz pochylił głowę i słów jej słuchał długą chwilę, wreszcie odparł:

— Nie mogłem się panią zająć... nie miałem na to czasu... Zresztą, pomiędzy mnie i panią wkradło się inne uczucie...

Nie chciałem tego uczucia w mem życiu, nie wolno mi było nawet marzyć o niem..

— Nieprawda! — krzyknęła prawie bezwiednie Janka.—Pan mnie nie kochałeś... nie miałeś dla mnie nic w głębi swej duszy... nic!...

Nie mogła dokończyć—uczuła rękę Kuniewicza u swych ustach.

— Cicho! cicho!... — wyszeptał, do jej kolan się osuwając—nie powtarzaj mi w tej chwili tego, co pisałem jak szalony, walcząc z obowiązkiem i urokiem, jaki mnie rwał do ciebie. Cicho, Janko!...

Janka przez chwilę patrzyła na tę twarz, tak delikatnie piękną, iż zdawała się być raczej wizją niż rzeczywistością, i ogarnęło ją nagle uczucie wielkiego szczęścia, tak dojmującego, że przechodziło raczej w ból dręczący.

Z oczu jej zaczęły płynąć łzy i spadały z bladych policzków na fałdy płaszcza i na ręce. m Kuniewicz patrzył na nią i przygarnął ją ku sobie łagodną pieszczotą.

— Moje maleństwo!... — wyrzekł cichym głosem.

Wszystkie łzy, jakie miała Janka w sobie, wszystek ból, rwący nią od tych długich miesięcy, wstrząsnął istotą dziewczyny. Płakała, szlochając głośno, i teraz łzy jej padały na włosy Kuniewicza, na jego czoło i ręce.

I Ściemniało się powoli i z okna płynął szary zmrok o sinawoblękitnych cieniach.

I Kuniewicz usiadł znów obok Janki i położył głowę na jej kolanach.

Zdawał się być wyczerpany do szczętu; kaszlał i chwilami chwycił się za piersi — lecz ciągle starał się uspokajać Jankę i prosił, aby nie płakała.

Biblioteka. T.

I— To mi sprawia ból! — mówił, całując jej kolana. Lecz dziewczyna, rozżalona, bezprzytomna, powtarzała, łkając.— A!... i mnie sprawiało ból postępowanie pana, a przecież nad tem nie zastanowiłeś się, prawda? — Nie mogłem inaczej postąpić, przysięgam!.. Ustanowiłem z życia mojego usunąć wszystko, cokolwiek byłoby dla mnie zawadą do pracy. Pani byłabyś jednym z węzłów, wiążących mnie z powszedniem życiem. Poświęciłem ciebie i siebie... Daruj mi! Odetchnął ciężko i przyłożył dłoń do rozpalonej skroni.

— Byłem względem ciebie okrutny... prawda!—ciągnął dalej —ale i siebie nie oszczędzałem. Sądziłem, że o mnie zapomnisz, że wrócisz może do rodziny, do kraju. Pobudki, które mną kierowały, miały źródło w fanatycznym przywiązaniu, jakie mam do tego, czemu poświęciłem życie... Nazywasz mnie egoistą!.. O, spójrz tylko, patrz: zimno, pusto i smutno tutaj! Takie było moje życie: obowiązek i praca! praca i obowiązek! Spójrz na mnie... czy nie widzisz, że konam powoli?... A przecież nie wolno mi było nawet zaspokoić głodu serca, które rwało się chwilami do ciebie, do tobie podobnych istot! Nic! nic!... cztery ściany, książki i nędza!... Nazywasz to egoizmem, samolubstwem?... Janko! czy sądzisz, że ja nie mam krwi, nerwów i młodości? Słumiłem to

wszystko w sobie... Nie chciałem kobiety w mem życiu!

— Nie byłabym w życiu twem ciężarem! — wyrzekła Janka przyciszonym głosem — chciałam iść obok ciebie i z tobą... dlaczego mnie wziąć nie chciałeś?

— Bo pomiędzy mną i tobą nie było nic wspólnego, Janko! Ty byłaś tylko dyletantką w tej pracy, którą ja przedsięwzięłem, ja zaś wyrobnikiem. Pomiędzy mną i tobą była przepaść. Byłaś za piękna, za artystyczna, za kunsztowna... Ja kochałem nędzę, tyś jej nawet poznać nie chciała.

Przeciagły, bolesny śmiech Janki przerwał mu mowę.

Dziewczyna śmiała się, konwulsyjnie zaciskając ręce koło szyi. On kochał nędzę, a ona jej poznać nawet nie chciała! I nagle zaczęła mu mówić wszystko, wszystko to, co przeszła od wyjścia z domu, swą pracę, swój głód, zimno, bytność w pałacu Sprawiedliwości, włóczęgę nocną, wreszcie omdlenie na progu przytułku. Mówiła, dławiąc się własnymi wyrazami, tak jej spieszo było wyrzucić to wszystko z siebie, olśnić go tą smugą nieszczęść, które się za nią wlokły. Słuchał jej z oczyma osłupiałemi, powleczoneymi mgłą białą, skurczony w rogu kanapki, wreszcie wyciągnął ręce,

jakby chcąc powstrzymać potok tych słów, które go przygniatały, ecz ona rozegzaltowana, upojona własnym głosem, przeżywała znów te wszystkie chwile cierpień raz jeszcze i czyniła to z roszkowną dumą, zanurzając się

w cieuią tych wspomnień świeżych, od których da
sza się jej krwawiła.

Wreszcie umilkła i przymknęła oczy znużone i wyczerpane. I nagle na swej twarzy uczuła deszcz pocałunków i ciche jak szmer skrzydeł słowa: — Przepraszam! przepraszam.... Zacięła się w swym żalu, odsunęła twarz od jego warg, i nagle mimo jej woli wybiegło z jej ust pytanie:

— Dlaczego mi wyrządziłeś obelgę tak straszną? dlaczego napisałeś: „Nie kochałem cię nigdy?”

On zbladł jeszcze więcej, w oczach mu zabłyśły stalowe światła.

— Napisałem prawdę!... — wyrzekł głucho — nie kochałem cię nigdy!...

Janka porwała się z miejsca i stanęła przed nim z brwiami silnie zmarszczonymi.

— A!... — zawołała—dlaczegoż więc igrasz ze mną teraz? co?

Lecz on przytrzymał ją za fałdy sukni.

— Zostań! nie odchodź!... — wyrzekł błagalnie—nie kochałem cię tak, jak powinienem cię być kochać, tak, jak ludzie rozumieją miłość! nie znałem cię!... Dziś wydajesz mi się inną istotą, przeszłaś przez chrzest ognia i nędzy. Kocham cię, nie jak kobietę, ale jak drugiego człowieka, kocham cię w idei... Sądziłem, że się nie zadowolisz tą miłością i że zapragniesz być kochaną, jak... kochanka! Tak kochać cię nie mogłem. Dlatego napisałem ci ten list i te fatalne słowa. Dziś otwieram ci me serce i ramiona. Nie jesteś mi niebezpieczną. Owszem..

jesteś wcieleniem tego, co było mem ukochaniem najwyższem Jesteś... nędzą!...

Powstał wyciągając ręce. Janka upadła w jego objęcia, i pozostali tak długo, spleceni uściskiem, aż wreszcie on usunął się na krzesło i wyrzekł zmienionym głosem:

— Jestem chory.

Janka uklękła u jego stóp i dopiero teraz dostrzegła straszną zmianę, jaka zaszła w jego twarzy. Cera była szarawo biała, oczy zapadłe i podkrążone sinemi podkowami, nos silnie zarysowany, z nozdrzami posiniałymi i wklęsłymi. Ręce miał lodowato zimne, i teraz Janka rozgrzewała je pocałunkami i łzami, nie umiając sobie poradzić inaczej.

Nastało głucho, ciężkie milczenie.

Ściemniło się prawie zupełnie i tylko płomyk pod rondelkiem, w którym się grzała woda, migotał błękitnem światłem. I Janka dostrzegła ogarek świecy, zapaliła ją; naparzyła herbatę i nalała do szklanki. Zbliżyła się do Kuniewicza i, klęcząc wiewała mu gorący napój w zaciśnięte usta. Potem zaprowadziła go, jak dziecko, do łóżka, ułożyła i okryła paltem. Patrzyła na nią ciągle z pod wpeł przymkniętych powiek i co jakiś czas szeptał:

— Dziękuję.

Na jakimś zegarze poblizkim wybiła dziewiąta.

Janka przeraziła się, licząc uderzenia zegara. Czekano na nią w przytułku. Wiedziała, iż musi opuścić Kuniewicza, który leżał teraz spokojnie i tylko oddychał z trudnością.

Janka zbliżyła się do łóżka i pochyliła nad chorym.

— Już idę...

On wyciągnął rękę.

— Nie gniewa się pani? — zapytał,

Odgarnęła mu włosy z czoła delikatną pieśczołą.

— Nie... zapomniałam wszystko!... Proszę mi nie chorować!... Jutro przyjdę!... Dobranoc!...

Lecz on ujął jej rękę w swe dłonie. — Janko!...

W oczach mu zamigotały łzy i zasłoniły stało wy, zwykły blask łagodną krepą. Łzy te stoczyły się wzdłuż zapadłych policzków, zawisły, jak krople rosy, pomiędzy złotymi włosami brody.

Serce Janki ścisnęło się szalonym bólem. Wszystkie noce przeplakane znikły w jej umyśle i zmały wobec tych dwóch łez ukochanego człowieka.

— Nie płacz! — zawołała — nie płacz!... Co się dzieje?.., dlaczego?... Czy ja ci uczyniłam tyle zmartwienia?..

On uśmiechnął się smutnie.

— O, nie! Płaczę na myśl, że tak mało zdołał w życiu zrobić, pomimo tak nadludzkich, szalonych wysiłków... Dziś czuję, że stanąłem u kresu — a to, co po mnie zostaje, jest tak słabą, tak nędzną kruszyną wobec ogromu pracy...

Spełniłem jednak mój obowiązek. Oddałem się cały na usługi innym, sam nie żyłem — konałem!... Nie ambicyja pchała mnie naprzód... nie obłudna pycha...

Zamknął oczy wyczerpany i wypuścił rękę Janki ze swej dłoni.

Dziewczyna obrzuciła go jeszcze długim, serdecznym spojrzeniem i wysunęła się, cicho drzwi za sobą zamykając.

Gdy nazajutrz, około piątej, weszła znów do bramy, odźwierny zatrzymał ją na progu sieni schodowej.

— Panna do pana Kuniewieza?

— Tak. Czy niema go w domu?

— Pewnie, że niema. Pół godziny temu ponieśli go w lektyce do szpitala.

Janka doznała znów uczucia przejmującego chłodu, ogarniającego ją całą.

— Do szpitala?

— Tak, do Necker. Byli tu panowie, jego znajomi, i rano znaleźli go już nieprzytomnym. Mówili, że to zapalenie płuc i tam dalej. Ale ja, który już od pół roku noszę mu wodę i rozmaite oddaję posługi — wiem, jak rzeczy stały. Pan Kuniewicz się zapracował i zagłodził. Słowo honoru! Czem żył? Herbatą i bułkami. Albo to pożywienie?... Czasem sobie koński befsztyk usmażył — ale to bardzo rzadko. A książki to ciągle znosił i łykał je nocami i dniami, ciągle coś pisał i pisał, aż niemiło było patrzeć... I ot, jakie skutki! Do

szpitala poszedł, a kogo w lektyce do szpitala wniosą, to pewnie w trumnie wyniosą...

Janka skinęła głową i wyszła na ulicę prawie nieprzytomna. Czuła teraz głównie fizyczny ból głowy i niepokój w krzyżu. Do szpitala... Wynieśli go do szpitala... Necker!

Powtarzała kikakrotnie to słowo, obawiając się zapomnieć.

Postanowiła pójść tam jutro i dowiedzieć się u odźwiernego o stanie zdrowia Kuniewicza. Do szpitala!

Dziś, idąc do Kuniewicza, wstąpiła do dawnego mieszkania Hortensyi i dowiedziała się, że ta umarła wczoraj w nocy.

Byłoby to prawdą, co mówił ten człowiek, że ci, których w lektyce wnoszą, bywają w trumnie wynoszeni?...

Przez cztery dni pod szarymi murami szpitala ślaniała się Janka, jak widmo, jak cień, bledsza, niż trupy, wystawione w grabiami szpitalnej za białymi firankami, tworzącymi im oddzielne, dziewicze alkowy.

Wiedziała, że poza tym szarym, wysokim murem o żółtych pręgach, Kuniewicz walczy między życiem a śmiercią.

Powiedziano jej to w łożu odźwiernego, dodając, że wielu panów otacza go i pielęgnuje.

Kilku młodzieńców wyszło z bramy i szło teraz powoli ulicą.

Janka nie śmiała wejść tam i starać się dostąpić do jego łóża. Właściwie, czym była dla niego?... Niczem! Błąkała się więc znów po ulicach wśród dżdżu i zimna. Chwilami opierała się o mur i patrzyła w przeciwległe domy. To znów porywała się z miejsca i biegła wzdłuż murów, aż spotykała szare deski bramy.

Niekiedy wchodzili przez furtkę, znajdującą się obok, młodzi mężczyźni, a czasem przesunęła się kobieta.

Raz jeden zdawało się Jance, że słyszy polską mowę. Instynktownie odwróciła się i zaczęła uciekać.

Wieczorem wracała do przytułku i teraz nawet już pomocną pannie Richard być nie mogła.

Panna Richard zrozumiała, iż jakaś straszna rozpacz szarpie sercem dziewczyny. Usiłowała przywrócić ją do równowagi moralnej; pomimo jej starań, było to niepodobieństwem,

Janka doszła do szczytu rozdrażnienia nerwowego i całą noc kręciła się po przytułku, jak hyena w klatce, czekając tylko chwili świtu, aby mogła wymknąć się i biec pod mury szpitala—i tam, jak czarne widmo potępione, błędzić i oczy, od łez jak dwie rany krwawe, w nieprzebitą ścianę muru wlepić...

Z przeciwnej strony zbliżyło się dwóch innych.

— Kuniewicz umarł? — zapytał jeden z nich po polsku.

— Umarł! — odparł drugi. — Idziemy zakupić ziemię na JBagaceux. Chodźcie z nami!

Poszli. I

Opodal stała Janka i słyszała wszystko. Z ust jej nie wybiegł krzyk, z oczu łza. Stała nieruchof ma, trupio blada i tylko dokoła jej ust zarysowała się sina plama.

Z bezlistnych drzew, wystających z poza muro, wiatr krople deszczu strząsał, a niedaleko kilkoro dzieci, ująwszy się za ręce, tańczyło, śpiewając: j

Nous n'irons plus au bois, Les lauriers sans coupes...

Gdy karawan biedny, ubogi, w jednego zaprzężony konia, wyruszył z bramy szpitalnej, Janka, stojąca na ulicy w znacznej odległości, cofnęła się w bramę pierwszego lepszego domu, aby nie być przez kogokolwiek widzianą.

Okolo karawanu skupiła się garstka ludzi, ciemno ubranych i pomiędzy sobą rozmawiających.

W chwili, gdy z trupiarni wyniesiono długie pudło, zbite z tarcic, ubogie i smutne, nastąpiła wiel

ka cisza, przerywana tylko łoskotem butów służby pogrzebowej, wspinającej się na stopnie karawanu i ciągnącej trumnę za sobą.

Narzucono całun czarny i zniszczony, i na nim składać zaczęto wianki. Wreszcie karawan ruszył, a zanim szła gromadka ludzi razem zmieszana, kobiety z mężczyznami, bez porządku, bez symetrii.

Gdy wynoszono trumnę, Janka, stojąca w oddali, doznała uczucia, jakby jakaś pięść żelazna uderzyła ją nagle w czoło i zgruchotała jej czaszkę. I jui uczucie to pozostało w niej ciągle i nieprzerwane. Gdy minął ją orszak czarny i cichy, jak gromada cieniów w szarem świetle zimowego dnia kroczących, poszła w ślad za tą żalobną smugą, z oczyma, wlepionymi w czarną plamę karawanu, jakby słońce wygasłe ciemniejącą w przestrzeni. Suknia jej wlokła się po błocie, ręce opadły wzdłuż ciała, twarz cała pokryła się sinymi plamami. Nie czuła, nie widziała nic. Rozumiała tylko jedno, że ten człowiek umarł, że nigdy już nie ujrzy więcej jego twarzy, że nawet widmo jego, towarzyszące jej wszędzie od tyłu miesiący, znikło jej z przed oczu.

Zaczęła oglądać się za nim, szukać. I nagle, w pustej przestrzeni pomiędzy tłumem i nią samą dostrzegła wyraźnie postać Kuniewiczza, idącego powoli w ślad za swą własną trumną. Szedł schylony w palcie narzuconem na ramiona, w dużym kapeluszu, z pod którego wysuwały się jasnozłote włosy. Twarzy jego nie widziała, lecz to widmo uwidoczniało się doskonale przed nią, ciemne i wypu

kłe. Tylko kontury całej postaci były linią złotą i jaśniejącą, i jakby łączącą się z atmosferą powietrzną. Jauka nie drgnęła nawet, nie przyspieszyła kroku, szła ciągle prowadzona przez widmo zmarłego, dla niej tylko istniejące, widmo smutne, pogrążone w zadumie, towarzyszące zastygłym i wśród ścian trumny rozkładającym się już zwłokom.

Leniwe i żółta powleczone krepą ukazało się ua chwilę słońce na cmentarzu Bagaceux. W alei, obramowanej różgami zziębłych akaeyi, wśród szarugi błota i zimnem zwarzonych, na grobach więdących kwiatów, w jamie mogilnej znikła trumna, kryjąca ciało Kuniewiczza, i teraz wśród ciszy cmentarnej rozlegał się fatalny odgłos spadających na deski trumny wilgotnych grud ziemi. Ludzie, otaczający mogiłę, rozsypywali się już w gromadki, i sylwetki ich czerniały

wśród lasu ubogich nagrobków, zasypanych wieńcami z paciorek, w których słabe światło słońca zapalało anemiczne iskierki.

Wreszcie mogiła usypiana opustoszała nagle. Pozostawili ją wszyscy i odeszli, ciągnąc wśród przejrzystych tafli błota, jak sznur żurawi, czarny i zmęczony. Janka śledziła te postacie ludzkie, niknące w przestrzeni, i gdy ostatnia z nich zamajaczyła pod różgami akacyi, zmaląła i znikła na skręcie alei, dziewczyna łakomie, jak spragnione zwie

rzę, dopadła do grobu. Nareszcie i ona miała prawo zbliżyć się do tego szmatu ziemi, który krył przed je) oczyma to, co było człowiekiem,... to, co było jej ukochaniem najwyższym. Uklękła, kilkakrotnie poruszyła głową i czuła znów ową dłoń żelazną, rozbijającą jej czaszkę na części.

Przed nią była ziemia, pokryta całą wieńcami świeżych kwiatów i blaszanych laurowych liści. Ponad nią, nad morzem grobów, żółta kula słoneczna, zawieszona w szarej mgle jak mistyczna lampa, płonąca przed tabernakulum wiekuistego milczenia. Z masy tej, wonnej jeszcze i świeżej wyrastał ciemny słup z tablicą, na której białymi, niekształtnemu głoskami nakreślono słowa:

JEAN KUNIEWICZ ne en , mort a Paris en .

Z kaplicy dalekiej, zagubionej w tem moru mogił, nagle odezwał się delikatny i cichy głos dzwonów.

Pozdrowienie Anielskie płynęło w przestrzeni.

Janka wyciągnęła ręce, jakby chcąc zaczepić się za te skrzydlate tony i ulecieć daleko od ziemi, w której błocie stały jej stopy. Nie miała w sobie buntu, chęci odkopania trupa, ujrzenia raz jeszcze martwej twarzy Jana. Nie miała w piersi spazmatycznego łkania, krzyku ani jęku. Tylko jej u myśl pracował gorączkowo, cała boleść skupiła się pod czaszką i kłębiła się tam potwornymi sploty.

Umarł!... zniknął na zawsze....

Wszystko się skończyło.

Przed oczyma jej przemknęły błyskawicą sio wa:

Śmierć to zmartwychwstanie!

Bez jęku upadła znów na kwiaty, gniotąc j ciężarem swego bezwładnego ciała, i pozostała tak bez ruchu, bez jęku, bez świadomości istnienia

XVI

Już od granicy ocknęła się Janka z tego odrętwienia, które nie opuszczało jej ani na chwilę od samego Paryża i wprawiało w rodzaj półsnu i półlistnienia.

Wyjrzała przez okno wagonu i chwilę długą trzymała głowę opartą o ramę.

Pociąg pędził szybko. Dokoła w szarym, mroźnym świetle rozciągały się płaszczyzny, ciemniejsi swemi liniami odcinające się od horyzontu.

Janka płaszczyzny te chłoneła w siebie i ziemią tą zamrzłą karmiła się, jak życiodajną rosą. Wreszcie w oczach jej zabłyśły łzy. Przez tę mgłę przejrzystą patrzyła, jak nad zmarzłą grudą wznosiło się różowe światło jutrzeńki i przebijało chłodne mgły, zalegające powietrze.

Kilka czarnych kruków spadło na szaroliliowe pole, świecące martwo kałużami wody; jeden z kruków porwał się z krzykiem i leciał niedaleko od zie

mi ku bezlistnej wierzbie, stojącej nad graniczną miedzą.

Biernicki powstał z kąta wagonu i do Janki się zbliżył.

— Niech pani okno zamknie—wymówił uprzejmie—chłód poranny może pani zaszkodzić.

Lecz Janka nie cofała głowy, owszem, energiczniej jeszcze przytuliła ją do ramy okna.

— Proszę... — wyrzekła, Die patrząc na Biernickiego — proszę, niech mi pan pozwoli napatrzeć się przynajmniej...

— Nie w tej chwili... później, gdy będzie cokolwiek cieplej... Zwłaszcza, niech pani tak obnażonej głowy nie wysuwa na powietrze!...

Janka cofnęła się szybko, z czego korzystając Biernicki, podniósł szybę okna.

— Jak się pan troszczy o moją głowę! — wyrzekła Janka ze smutnym uśmiechem.

— Przeszła pani ciężką chorobę—odparł Biernicki, sadowiąc się wygodnie i owijając swe kolana pledem.

— Nie!—zaprzeczyła Janka — pan wie, że ja nie byłam chora; byłam tylko bardzo nieszczęśliwa...

— Tak, tak! — śpiesznie potwierdził Biernicki—była pani nieszczęśliwa, to wiadomo. Ponieważ nieszczęście pani minęło, powinna pani dbać teraz jedynie o swoje zdrowie.

— Nieszczęście moje nie minęło, mój dobry panie! Trwać będzie do śmierci.

Biernicki poprawił się niecierpliwie wśród poduszek, którymi się obłożył.

— Dobrze! dobrze!... skoro pani tak pragnie, miechże trwa do śmierci. A teraz radzę i proszę zasnąć. Jest jeszcze bardzo wcześnie. Do Warszawy przyjedziemy koło południa, ma pani jeszcze trochę drogi przed sobą... a w Warszawie czekają panią wzruszenia. Trzeba się wzmocnić i starać uspokoić, panno Janko!

Janka nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Pan widzi, że jestem zupełnie spokojna. Dlaczego pan chce koniecznie wmówić we mnie to, czego niema? Jestem zdrowa i przytomna, tylko bardzo smutna... To wszystko!

— Wiem, wiem! jest pani zupełnie przytomna, tylko smutna. Czy ja pani zaprzeczam?...

Nacisnął na uszy szkocką czapczkę, podciągnął angielskie rękawiczki, oparł głowę o gumową poduszkę i przymknął oczy. Był bardzo zmęczony tą forsowną jazdą z Paryża do Warszawy.

Janka patrzyła na niego przez chwilę zdziwiona, jak straszną i odrażającą była maska jego twarzy w tem porannem oświetleniu.

Potem założyła ręce na piersiach i, zamknawszy oczy, zatopiła się w swych myślach.

Podobno była obłąkana. Tak utrzymywano w szpitalu St. Anne, gdzie spędziła cały miesiąc, snując się po tych samych krużgankach, które przedstawiały się jej, jak skrzydła pałacu zaczarowanego, w chwili, gdy po raz pierwszy zwiedzała ten szpital z Bervisierem.

Leczono ją jak obłąkaną. Zalewano bromem, trzymano razem z waryatkami. Ona, posłuszna, nie Biblioteka.—T .

Ichcąc wszczynać dyskusji, brała brom, który pograżał ją w ciężkiem i męczącym odrętwieniu. Czasem kilka łyżek chloralu sprowadzało jej sen, z którego budziła się zgruchotana, zboląła, znużona fizycznie i moralnie. Znalezione ją na grobie Kuniewicza nazajutrz po pogrzebie, całą okrytą błotem, z rękoma i twarzą pokrwawionemi o blaszane liście wieńców i druty nieśmiertelników. Ponieważ zdawała się ciągle być oderwaną od świata — policya, a później lekarze orzekli zaburzenie mózgowe, wysłano ją w otoczeniu dwóch agentów ku murom szpitala SaintAnne. !

Janka bytność swą w szpitalu pamiętała jak sen, nie dręczący, nie dławiący—coś, jakby w spowiciu ciała kołysała się jej dusza zboląła i zmęczona. Towarzystwo waryatek, po większej części łagodnych i cichych, nie było jej wstrętne.

Przeciwnie, śledziła je z zajęciem i potrafiła wkrótce odczuć ich bóle, smutki i radości, jakie je dręczyły.

Zdawało się jej, że jest dalej w przytułku nocnym na Polu Marsowem—i że ta sama nędza, tylko w innej formie, otaczać jej nie przestaje.

Poddała się regulaminowi: pozwoliła obciąć sobie włosy, włożyła worek, naśladujący odzież. Była zawsze wyniosłą, wysmukłą i harmonijną. Rozpacz jej przeszła w cichą fazę, nie rezygnacyi, ale bezustannego, jednostajnego bólu, który nią nie szarpał, nie rwał, nie wstrząsał, ale i nie opuszczał ani na jedną chwilę. Czasem tylko oddalała się od ludzi, siadała na stopniach krużganku i z rękoma

założonemi na piersiach wpatrywała się w przestrzeń... Naprózno!., przestrzeń była próżna, a zmęczone oczy widziały wreszcie plamy puipurowe i złote, tańczące w powietrzu. Wyciągała ręce i twarz jej przybierała wtedy wszystkie oznaki ekstazy. Dozorczyni dawały jej wtedy podwójną ilość bromu. Pod czaszką Janki powstawała próżnia; nie pragnęła już nic Szła do sypialni i cicho kładła się na twardem łóżku, pokrytem białym kocem w błękitne pręgi. Nie spała wszakże, tylko leżała tak bez myśli, bez czucia, jakby w oczekiwaniu jakiejś katastrofy, która spotkać ją miała. Naczelnny doktor, siwowłosy mężczyzna o profilu drapieżnego ptaka, z uśmiechem udanej dobroduszości na wazkich wargach, wyegzaminował głowę Janki, macając czaszkę i patrząc w oczy dziewczyny. Razu jednego przesunął się

właśnie w chwili, w której Janka, siedząc na stopniach krążanku, wyciągała ręce przed siebie, a twarz jej przybrała wyraz mistycznej ekstazy i nerwowego oczekiwania.

Vallet kilku pociągnięciami ponad karkiem siedzącej pragnął spróbować swej siły, lecz dziewczyna rwała się wciąż w przestrzeń, z oczyma wlepionymi w roztaczającą się przed nią próżnię.

Vallet pochylił się nad nią i szepnął, gwałtownie wyciągając palce.

— Le voila... Ie voila...

Sądził, że w ten sposób podnieci imaginację dziewczyny, która wreszcie dojrzy to, co tak bardzo siłą swej duszy wywołać pragnie.

Lecz Janka powoli pokręciła głową. — Non... non...—odparła ze łzami w głosie.— Ma vision ne veut pas revenir!..

Vallet, nie pokazując swej twarzy, przyklęknął obok dziewczyny i jak duch niewidzialny duszę jej sondował.

Nie wiedziała, kto ją pytał; słyszała tylko głos tajemniczy, szept płynący ponad jej ramionami.

Ten szept podniecał ją i po raz pierwszy skłaniał do odmalowania słowami tego, co napróżno siłła się wywołać przed siebie za pomocą natężenia woli. * ' ..ry:'y

I rękoma kreśląc znaki w powietrzu, mieszając słowa polskie z francuskimi, siłła się na określenie swego widzenia.

Doktór słuchał uważnie, w milczeniu, i gdy dziewczyna umilkła, powstał z klęczek, mrużąc cicho:

— Folie mystique..

Odszedł, rozważając, czy Janka byłaby podatnym okazem do eksperymentów hypnotycznych. Właśnie brakowało w zakładzie ciekawych „suets”. Janka przybywała w dobrą chwilę.

Następnej niedzieli wypadła lekcja zbiorowa. Vallet chodził z sali do sali, otoczony grupą uczniów, pomiędzy którymi widać było i studentki. Zbliżał się do wybitniejszych okazów i zatrzymywał się przy nich.

Z tej masy ciemnej, która otaczała wtedy chórą, słyszała Janka tylko głos profesora, wznoszący się wysoko, wykazujący przyczyny choroby, której

nikt zbadać nie jest w stanie, opowiadający jej przebieg i dzieje.

Z wysokich i wązkich okien, wychodzących na dziedziniec szpitalny, padało bladawe światło zimowe.

Chore snuły się pomiędzy łózkami, niektóre leżały pod kocami, okryte ciemnymi flanelowymi kaftanami. "

Studenci zachowywali się cicho; żaden żart, żaden śmiech nie wykrzywił im ust. Gdy profesor kończył swą wiwisekcyę, zrywała się cała banda z szelestem i, jak stado kruków, spadała znów na jakąś istotę, która nędzę swą moralną miała nieszczęście okazać tłumowi.

znów słyhać było tylko głos profesora i czasami słabe mrużenie odpowiadającej mu chorej.

Janka, wtulona w kąt sali, zdawała sobie doskonale sprawę z tego, co miała przed oczyma. Wiedziała, że jest w szpitalu obłąkanych, że ta ciemna grupa ludzi to studenci, otaczający swego profesora. Wiedziała to wszystko dokładnie, gdyż ani na jedną chwilę nie straciła świadomości samej siebie, swych czynów, pragnień i dążeń.

Nagle cała grupa zwróciła się ku niej.

Vallet wyprzedza! wszystkich i przewyższał wzrostem i powagą postaci. Obok niego szła dziewczyna w swej czarnej sukni i czepeczku, z czarną chustką, skrzyżowaną na piersiach. Poza nią cisnął się tłum, w którym Janka rozróżniła dwie kobiety w jasnych filcowych kapeluszach. Reszta tych istot przedstawiła się jej oczom, jak zbiór plam.

Stanęli wszyscy tuż koło niej, otoczyli ją, przy parli do ściany.

Zacząła się komedia smutna, potworne widowisko, w którym profesor grał rolę jarmarcznego kuglarza, zachwalającego swój towar i opowiadającego o cudach, jakie w jego budzie zobaczą słuchacze. v Po raz pierwszy Janka zatrwożyła się i, oparłszy się o ścianę plecami, wpiła oczy w ziemię. Doznała uczucia wstydu, lęku, bojaźni przed tym tłumem, który chciał koniecznie widzieć jej duszę w rozterce i chorobie. Chciała krzyknąć: „Nie jestem chora!”—ale nie śmiała.

Vallet stał już koło niej i opowiadał teraz swym uczniom jej legendę. Znalaziono ją na grobie kochanka nieprzytomną, skrwawioną. Jest w szpitalu od trzech tygodni. Nie można wykazać jej dziedziczności, gdyż nie wiadomo jeszcze dobrze, kim jest i skąd pochodzi. To jednak pewne, iż ma wielkie skłonności historyczne i że obłąkanie jej jest obłąkaniem mistycznym.

— Folie mistique... — powtórzył raz jeszcze z pompą, zakładając rękę za kamizelkę, i siwe oczy jego z tryumfem przebiegły po otoczeniu. — Un eas tres curieux. Vous allez voir!...

Odsunął trochę od ściany Jankę i z precyzją pozera fotografa podniósł jej ręce w górę. Oua opuściła je natychmiast. Po raz pierwszy w jej obecności wymówiono tak bez żadnej osłony słowo— obłąkanie! Jakkolwiek czuła się zdrową, wszakże było to dla niej uderzenie maczugi. Bunt zrodził

się w jej piersi, i zaczęła w jednej chwili nienawidzić tę bandę ludzi, których oddechy niemal czuła na swej twarzy. Lecz Vallet pochylił się nad jej ramieniem, jak wtedy na stopniach krużganku, wyciągnął palce i wyszeptał gwałtownie:

— Le voila.. Ie voila..

Janka mimowoli spojrzała w tym kierunku i dostrzegła mur ściany żółtawej i czysto utrzymanej. Spuściła znów* oczy na ziemię i stała, mnąc w rękę ciężką tkaninę spódnicy.

— Le voila! ta visionL. — szeptał ciągle Vallet, i teraz dopiero Janka zrozumiała, o co im wszystkim chodziło. Przyszli tu torturować ją i wyciągać jej duszę na ruszt strasznych męczarni. Chciano, aby przed wszystkimi konała tak z bólu, jak wtedy na cmentarzu Bagaceux, wśród kwiatów, kryjących mogiłę Jana... I to wszystko chcieli wywołać w niej ci ludzie, otaczający ją w celu, który oni sami naukowym mienili, a który właściwie był tylko celem zaspokojenia pewnej zbiorowej cieką* wości. W imię wiedzy chcieli wlec ją znowu na rusztowanie bólu i zmusić ją do przeżywania po raz wtóry tego, co przeszła w owo pamiętne popołudnie zimowe...

— Voila Ie tornbeaul.—mówił do niej Vallet, wskazując podłogę i chyląc ją ku ziemi.

Janka patrzyła teraz w czysto wyfroterowaną podłogę i widziała przed sobą nogi studentów, którzy usuwali się z wolna, powiększając trochę półkole. W głowie jej myśli, jak spłoszone ptaki, wirować

zaczęły. Przeciągnęła ręką po czole, chwilę na podłodze zamajaczył przed nią cień jakby więdnących kwiatów i kształt grobu.

— Voila le tombeaul... — powtarzał Vallet szybko, jakby podrzucając jej przewodnią nić myśli i wrażeń. Lecz ona wyprostowała się i ostatnim wysiłkiem woli odepchnęła od siebie tę sugestię jawną, która chciała zniżyć jej objawienie do rozmiarów zwykłej szpitalnej komedyi. Wyprężyła się całym ciałem i, wyciągnawszy ręce, krzyknąć zaczęła przeraźliwym głosem po polsku:

— Niel nie! nie!., zostawcie mnie w spokoju!.. Przegięła się w tył, jakby niewidzialna ręka ciągnęła jej głowę ku środkowi krzyża. W jednej chwili maska jej twarzy postarzała o lat dziesięć, szczeka dolna wyrwała się, i cera z trupiobladej stała się powleczone zielonawym cieniem...

Studenci odwracali się z wyrazem zawodu. Oczekiwali ataku obłąkania mistycznego, a tymczasem mieli przed sobą zwykły atak nerwowy z odcieniem hiteryi. Ten i ów wzruszał ramionami. Ten Vallet zwykle spudłuje!

Infirmierka pochyliła się nad Janką. Vallet popatrzał chwilę uważnie i odsunął powieki dziewczyny, po za którymi błyszczały białka zasuniętych w głąb żrenic.

— Będzie z niej niezła „wielka bisteryczka!”— wymówił, odchodząc.

Dozorczyni zatrzymała go za rękaw paltota.

— Może odesłać ją do Salpctriere? Lecz Yallet rzucił się gwałtownie.

— Dlaczego? Pani wiesz pewnie, że nie bra kuje ciekawych okazów Materyi. Charcot ma ich aż nadto. Proszę tę chorą zostawić dla mnie, specjalnie dla moich doświadczeń!

I odszedł dręczyć dalej te nędzarki duchowe, które, jak stado spłoszonych zwierząt, kryły się po kątach, lub w fałdach prześcieradeł.

Za chwilę słyhać było, jak wymęczał na jednej z waryatek opowiadanie o małych czarnych gnomach, które ją prześladowają całymi nocami. Waryatka mówiła z początku spokojnie, powoli przecież podniecała się i wpadała w rodzaj ataku. Cierpiała wówczas rzeczywiście od tych niewidzialnych dla ludzkiego wzroku gnomów, które szarpały jej powłokę cielesną. Któż wie jednak, kto wtedy miał wzrok i czucie doskonalej rozwinięte: czy te nieszczęśliwe, wijące się wśród porozrzucanych koców i prześcieradeł, czy banda studentów, pochylonych nad nią z uśmiechniętym ironicznie Valletem na czele?..

Cały tydzień Janka była spokojna i nie torturowana przez lekarzy. Z najwyższą trwogą oczekiwała niedzieli. Teraz już była zupełnie przytomna i tylko doznawała uczucia zupełnego zubożenia co do swej przyszłej doli.

Gdyby Jance powiedziano, że całe życie pozostanie tu, w tym szpitalu, wśród waryatek, ich cichego śmiechu i szeptu w nocy, ich oczu, powleczone mgłą białawą—nie byłaby się wzdrzygnęła z odrazy. Było jej to obojętne. Czula i wiedziała, że musi gdzieś życia dokończyć. Jak i w jakim

otoczeniu?—pytanie to nie nasuwało się przed jej oczy. Wiedziała teraz, że długą agonię przejść potrzeba, nim się zdoła umrzeć z głodu. Nie pragnęła śmierci, nie wzywała jej, nie wywoływała. Miała teraz to przekonanie, że każde przezuaczenie spei nic się musi. Mogiła Jana nie ciągnęła jej teraz do siebie. Wiedziała, iż pod tą ziemią rozpada się obecnie bezwładne ciało i życie niskim tworom daje. Zdawało się jej, że z tej mogiły wypromieniowało już to, co było doskonałego, i że ona chwilę tego promieniowania widziała i część w siebie wchłonęła.

Następnej niedzieli, ku wielkiemu jej zdziwieniu, Vallet i grupa studentów ominęli ją i nie zaczepili nawet najlżejszym pytaniem. Opadli natomiast jakąś nowoprzybyłą, znaną na fortyfikacjach nędzarkę i dokonywali na niej wiwisekcji bardzo subtelnie i umiejętnie.

Słysząc tylko jej jęki, skargi i szlochania, obudzono bowiem w niej wszystkie moralne nędze i bóle, które kilkudniowy pobyt w szpitalu trochę ukoić zdołał.

Janka drętwiała na myśl, że społeczeństwo pozwala, a nawet nakazuje dokonywanie takich publicznych operacji i tortur moralnych na istotach biednych, zmuszonych z powodu braku środków na przebywanie we wspólnych salach. Majestat najwyższego cierpienia, jakie dotknąć może ludzkość, nie był uszanowany. I tu rozwiłmożyło się panowanie pieniędzy, gdyż stokroć ciekawsze okazy, których zbadanie byłoby o wiele korzystniejsze dla nauki, bógpieniądz chronił od

świętokradzkiego wdzierania się brutalnej ręki, którą zrywa zuchwale tajemniczą zasłonę, kryjącą poza | sobą zmęczony duch ludzki, jak zranione i wstydzające się tej rany zwierzę.

Janke uznano jeszcze za niedość „dojrzałą* — i postanowiono poczekać, aż pobyt w szpitalu zdoła rozwinąć w niej silniejsze ataki obłądki i histeryi i uczyni z niej w ten sposób ciekawy i bardziej jeszcze zajmujący okaz. j

Tymczasem jednak polieya nie próżnowała. Zdołano zebrać informację o Jance i dano znać do konsulatu; konsulat zawiadomił władze warszawskie, a te znów poinformowały Podolskiego o obłąkaniu córki.

I pewnego lutowego ranka zjawił się w gmachu szpitalnym Biernicki, zbrojny upoważnieniem Podolskiego, który swą niepełnoletnią córkę Janinę chciał wziąć do siebie i żądał, aby zarząd szpitala wydał ją natychmiast w ręce Biernickiego.

Gdy Janka, wprowadzona przez dozorczynię, ujrzała cienką i chudą sylwetkę starego kawalera, pierwsze jej uczucie było niemal radosne. Wyciągnęła rękę. Biernicki ujął jej dłoń po pewnym wahaniu.

Janka wydała mu się straszną i rzeczywiście obłąkaną. Ubrana w rodzaj bluzy, przepasanej fartuchem, w olbrzymich pantoflach filcowych, wychudła, z włosami obciętymi i gładko zaczesanymi w tył głowy, miała wygląd straszny, nędzny, ponury, w niczem dawnej Janki nie przypominający. Przytem nie wiedział, jakiego to rodzaju było owo obłą

Ikaniu; bał się ataków gwałtownej fury i i szaleń Tyraezayem Janka przemówiła do niego głosem naturalnym, trochę tylko złamanym i ochry— pan tutaj!... Jak to dobrze!... jak to Chciała pytać o ojca, Justyna, Polę, ale nie śmiała; czuła tylko, że kamienny chłód, który otaczał jej serce, topnieje zwolna na widok człowieka, przypominającego jej kąt rodzinny.

Gdy Kuniewicz żyć przestał, ten kąt nawet zaczął być jej drogim, tak bardzo potrzebowała jakiegokolwiek przywiązania i ciepła.

— Ja przyjechałem po panią!—wyrzekł Biernicki. ' ;v v."t" iż!:"

— A!... po mnie?... Nastąpiła chwila milczenia.

Przed Janką nagle rozjaśniła się jakaś ścieżka. Tak! powróci!... Co tam robić będzie—nie wie, ale przynajmniej uniknie lekcji Yaieta i będzie mogła żyć spokojnie, gdyż teraz o zamążpójściu mowy być nie może. n

— Pojedzie pani? spytał Biernicki.

— Pojadę—odparła spokojnie.

Biernicki zdziwił się tą łatwością, z jaką przyjęła jego projekt. Miał ją jeszcze ciągle za wariatkę, nie chcąc łudzić się jej rozsądkiem i spokojem.

W kancelaryi szpitalnej powiedziano mu, że Janka ma „folie misitque”.

Patrząc na tę wychudłą postać, owiniętą w grubą wełnę, z małą głową, pokrytą płasko leżącym włosiem, Biernicki powtarzał ciągle w myśli:

— Folie mistique! folie mistique... CCPH może być u dyabła rogatego?... czym się to objawia?...

Nagle Janka spytała po chwilowej wahaniu:

— A... papa?

— Papa? — odparł Biernicki — jest ciągle chory... Gorzej jest z J u a ty nem, który leży od trzech tygodni na zapalenie płuc, jak powiadają...

— Justyn jest w domu?...

— Tak!... na owej ekonomce doczekał się tylko zupełnego zrujnowania zdrowia. Pogodził się tedy z ojcem. Kanut mu przebaczył i obecnie Justyn . jest w domu. Zostawiłem go bardzo osłabionego i nie wiem, jak się teraz miewa....

— A... Pola?

— Panna Pola w klasztorze,

— Jak to? dlaczego?...

— Po ucieczce... to jest po wyjeździe pani, ojciec odwiózł ją sam do Krakowa, do Norbertanek. Podobno panna Pola już tam pozostanie...

— A!... dlaczego ojciec tak uczynił?—spytała Janka.

— Bał się, aby i ona nie poszła śladami pani... O, panno Janko! wiele zgryzoty przysporzyłaś pani ucieczką swoją całej rodzinie! Taka hańba!... Szczęściem, teraz wszystko się naprawi... Choroba pani przyszła...

Urwał, chrząknął i dodał szybko:

— Pojedziemy jutro.'

— Dobrze!—odparła Janka, teraz już nie czując dawnej radości na myśl powrotu.

Wyobraziła sobie zagniewaną twarz ojca, Justyna chorego, Połę za klasztorną kratą, i ta cała żałobna i smutna księga, którą otworzyć i czytać była zmuszona, zaczynała przejmować ją niepokojem.

Dlatego też teraz, gdy już zbliżała się do Warszawy, niepokój ten wrażał stopniowo, połączony jednak z uczuciem rzewności na widok rodzinnej ziemi. Czuliaby się zbawioną, gdyby ktokolwiek: ojciec, brat lub siostra, otworzyli jej objęcia i pozwolili płakać w nieb długo i serdecznie.

Czuła jednak, że to żądanie jej jest próżne. Czekał ją cblód i obojętność taka, jak dawniej. Widziała się znów o szarej godzinie przed szybami, poza którei majaczyły drzewa podwórka i postacie sług, idących z konewkami wody.

W tej chwili ogarnęła ją rozpacz po utraconej swobodzie. Lecz nie mogła się opierać i inaczej postąpić. Wszyscy ją mieli za obłąkowaną; była w ręku większości. Przemocą wsadzouoby ją do wagonu. Któż upomniałby się o pogwałcenie swobody istoty, wydobytej z St. Anne? Lecz jak przyjmie ją ojciec? co powie Justyn? czy widmo Kuniewieza w jego cielesnej formie nie odżyje tam znowu wśród ścian tego mieszkania, w którei go kochać zaczęła?...

Warszawa!...

Na peronie, wśród bardzo nielicznej grupy służby kolejowej, wysiadając z wagonu, dostrzegła

Janka Antoniego i drugiego jakiegoś człowieka w ciemnym ubraniu.

Obaj podeszli km niej szybko, jakkolwiek z pewnem zakłopotaniem na twarzach.

Antoni był pierwszym po Biernickim z domowych, którzy nasunęli się przed oczy Janki. Widocznem było, iż na lokaja zmieniona twarz dziew czyny, jej krótkie włosy i zaniedbane ubranie zrobiły głębokie wrażenie.

Zdjął z głowy kapelusz i, nie mówiąc ani słowa, nisko się skłonił, jak przed wiekiem trumny. Janka usiłowała się uśmiechnąć. — Jak się masz, Antoni?—wyrzekła zdławionym głosem.

On nie odpowiedział nic, tylko ciągle trzymając kapelusz w ręku, stanął po prawej stronie, dając znak swemu towarzyszewi, aby zbliżył się i zajął miejsce po lewej stronie Janki.

Człowiek ten uczynił to natychmiast. Janka uczuła się nagle opasana prawie temi dwiema milczącemi postaciami, blisko niej postępującemu Przed nią szedł Biernicki bokiem, patrząc na nią uważnie.

Janka zauważyła, iż służba kolejowa i urzędnicy stoją, patrząc na nią ciekawie, a podróżni zatrzymują się, szepcząc, i czynią rodzaj szpaleru. Spuściwszy głowę, szarpana fatalnem przecuciem, przeszła szybko i, wszedłszy do owej długiej i zadymionej poczekalni, ku drzwiom się skierowała.

Przed peronem czekało zakryte wielkie lando. Janka rzuciła okiem dokoła. Śniegiem pokrytabie

Jaa Warszawa i tylko .sanki dzwoniły, jakby na pogrzebową stypę. Jance ten zakąt miasta wydał się dziwnie małym po Paryżu i z tem wrażeniem ba j
aalneui wsiadła do powozu. ' W*']
Biernicki zajął miejsce obok niej i pojechali
z szaloną szybkością pomimo grud błota i śniegu.
Gdy Janka wysiadła z powozu, zdawało się jej, że na dole, poza szybami, dostrzegła postać Minusi, która'cofnęła się szybko.
Sień była otwarta narozcież i Janka zobaczyła stojących już w niej Antoniego i owego milczącego człowieka, którzy widocznie dorożką pierwej przybyć na miejsce zdołali. Wpół martwa, z bijącym sercem, bez tchu prawie, weszła Janka na schody. .";(' "A
Drzwi od przedpokoju były także otwarte i na półce paliła się lampa. Janka rzuciła okiem na pozamykane szczelnie drawi, i zdawało się jej, że wchodzi nagle do katakumb, z których niema wyjścia.
Nagle Biernicki uchylił drzwi na lewo. — Oto pani pokój — wyrzekł — może paai wejdzie!
Janka weszła i na progu zawahała się chwilę, ale Biernicki popchnął ją silnie i drzwi za nią szyb ko zamknął.

Janka posłyszała stuk rygła. Zdawało się ie} ie ktoś uderzył w pustą trumnę. Obejrzała się do, koła. Była w tym samym pokoiku, w którym po raz pierwszy ujrzała Kuniewieza, Do małego gabineeiku, który przylegał, drzwi były uebylone. Bielala tam przymocowana do ściany umywalka. W pokoju pod ścianą stało proste łóżko sosnowe, obciążnięte w kantach wałkami z szarego płótna, wypchanymi sianem. Zamiast krzesła dwie poduszki, wypchane sianem i związane sznurkami. Stół okrągły, naokoło obramowany wałkiem z płótna.
Drzwi okryte materacem, wypikowanym i grabo wypchanym sianem.
Janka powoli, machinalnie dotykała tych wałków, kryjących wszystkie kanty, i kilkakrotnie starała sic myśleć i zastanawiać spokojnie. Zmrok panował wr pokoju. Spojrzała na okno i głuchy jęk wydarł się z jej piersi. Gruba, silna siatka druciana, podwójnie malowana ciemno, pokrywała okna i nie dozwalała dostępu do szyb.
Dopiero teraz zrozumiała Janka, jak straszne zgotowano jej życie, w jaki grób żywy zamknąć ją zdołano. Przygotowano jej celę waryatki i ona weszła w nia dobrowolnie, nie broniąc się, nie protestując. Na światło, na ruch, na życie, narzucono siatkę na pozór słabą, lecz silną, jak więzienna krata, i poza tą siatką, która ją ogniwami swemi oplotła, żyć kazano! i

ILCTw K A
t. „gospoda polw
BibHouka. T.—.

Około godziny drugiej po południu, ostrożnie, powoli wszedł Antoni, niosąc na tacy kilka talerzy, napełnionych jedzeniem. Idąc, patrzył ukradkiem na Jankę z pod spadającej grzywy, którą zwyczajem chłopskim nawet przy surducie w Warszawie nosił. Była w tym wzroku nieufność, lęk i coś graniczącego z litością.

Janka leżała ubrana na łóżku, z twarzą rozpaloną i wilgotną od łez.

Antoni postawił tacę na stole, wydobył z pod pachy serwetkę, okrył stół i rozstawił talerze. Trzy łyżki srebrne, rozmaitej wielkości, leżały teraz obok talerzy. Widelca ani noża nie dano Jance.

Lokaj nalał wody w szklankę i postawił ją obok talerza z zupą. Wykonywając te czynności, ciągle z pod oka Jankę śledził. Wreszcie, widząc, że dziewczyna leży zupełnie spokojnie, nabrawł odwagi i śmieiej koło łóżka przeszedł. Przy drzwiach

stanął, odchrząknął, wyprostował się i przyciszonym głosem wyrzekł:

— Podano do stołu!

Na głos ten, na słowa te sakramentalne, uświęcone tradycją szlacheckich dworów, podniosła Janka szybko głowę.

W tej chwili Antoni, nie tając przerażenia, za klamkę u drzwi schwytał.

Janka poznała ten gest trwogi i zrozumiała, co się w duszy tego człowieka dziać musiało. Miał ją za waryatkę i bał się jej jak ognia. Zamknęła znów oczy i głowa jej opadła na poduszki.

Antoni postął chwilkę i wysunął się cicho, zaryglowując drzwi za sobą.

Janka powoli otworzyła znów oczy i wpatrzyła się w zastawę stołu. Poznała te same potrawy: brunatną masę cynader, zaprawionych wodą, trochę złotawej marchwi, kawałek ciemnego chleba. Na dnie talerzy pustych, czerniały plamy herbowe... Och, ten herb! Ileż razy migał jej przed oczyma w Paryżu, gdy walczyła z nędzą!

Wstała i wzięła w rękę kawałek chleba, który jeść zaczęła powoli. Dawno już nie czuła smaku tego chleba i jakieś niewyraźne uczucie zadowolenia ogarnęło ją na chwilę. Wypiła wodę i znów położyła się na łóżku, otulając kołdrą. To osamotnienie, w jakim ją zostawiono przerażało ją. Wyobrażała sobie, że w chwili powrotu spotka się na progu z rozniewaną twarzą ojca, kto wie — może uderzy ją nawet w chwili uniesienia. Tymczasem zobaczyła się nagle otoczoną masą mil

czących ścian, jakby murem nieprzeniknionym, poza którym żył jej brat, jej ojciec i wspomnienie jej siostry. I wyobraźnia jej pracować uparcie zaczęła. Co mówią? co robią w tej chwili? Zamykała oczy, przedstawiając sobie Justynę chorego, na łóżku, jak wtedy u Kuniewieza, w izdebce na Chmielnej. Na Chmielnej!...

Ulica ta była od niej o kilka kroków? Zaczęła jej się zdawać, że gdyby wyszła tylko na ulicę i przeszła obok domu, w którym mieszkał Kuniewicz, doznałaby wielkiej ulgi i uspokojenia.

Ściany tego pokoju, w którym ujrzała go po raz pierwszy, nie wywoływały w niej dokładnego obrazu jego postaci. Potrącała się ciągle wzrokiem o wałki z siana, materace, siatki druciane i całe akcesoria, które przypominały jej legendę, jaka się koło niej utworzyła.

Tam, na poddaszu, wreszcie na ulicy, koło kościoła zwłaszcza, zaczynała dokładnie teraz chwytać chwilami jego sylwetkę.

Ściemniło się zupełnie. Żaden odgłos nie dolatywał do Janki przez doskonale wysłane drzwi i szczelnie zamknięte okna.

Około siódmej wszedł znów Antoni, niosąc w koszu blaszanym węgle i, przykłęknąwszy przy piecu, ogień rozpałać zaczął.

Janka śledziła jego postać, ozłoconą wązkim promykiem światła, płynącego z zapalanej świecy.

Lokaj usiadł koło pieca i czekał, aż się węgle dobrze rozżarzą, a tymczasem znów na Jankę badawczo patrzył. Wreszcie podniósł się i Janka dojrzała,

że wysoko, ponad murem był przytwierdzony rodzaj latarki, silnie okratowanej, oszklonej i zamkniętej na kłódkę.

Antoni na krzesło wszedł, kluczyk z kieszeni wyjął, cienką świeczkę w latarce zapalił i napowrót drzwiczki zamknął. Potem wyszedł i powrócił z żelaznym kubkiem, pełnym herbaty, i dwoma rogalikami. Postawił to wszystko na stole i stanął na progu.

— Herbata na stole! — wyrzekł znów przyciszonym głosem.

Janka nie poruszyła się nawet, bojąc się zobaczyć ów ruch trwogi, jaki dostrzegła rano. Wydawał się jej jak spłoszone zwierzę, które najmniejszy szelest do ucieczki skłania. Zrozumiała, że ten chłop, wśród stepów zrodzony i na bruk warszawski przeniesiony, pozostanie jej jedynym towarzyszem i istotą ludzką, którą codzień wydawać będzie. Znała go od dziecka i wiedziała, że w człowieku tym było bardzo wrażliwe serce.

Z murów tych, które przygotowano na jej przyjęcie, wiał chłód, pustka, odosobnienie, graniczące nieledwie z okrucieństwem.

Antoni wyszedł i znów Janka posłyszała stuk rygła. Świeczka w owej latarce płonęła bardzo słabo, tak, że wszystko prawie tonęło w cieniu, z wyjątkiem owego kąta, w którym znajdowała się latarka.

Janka rozebrała się i usiadła na łóżku, owijając się kołdrą. Była tak zmieniona, że nikt w tej postarzałej kobiecie o drobnej trupiej twarzy nie

mógłby poznać owej Janki Podolskiej, uroczo pięknej, w osłonach bladoliliowej gazy, wchodzącej do salonu pani Grabowieckiej i opartej na ramienia damnie wyprostowanego Podolskiego.

Janka porównała daty. Mniej więcej rok teina włożyła się z balu na bal. I znów znalazła się Janka pod tym samym dachem, z pod którego uciekła dumna i pełna przekonania o własnej sile. Odosobniono ją, jak istotę zadżumioną, przywitano zabójczym milczeniem.

I to milczenie właśnie, tajemnicze i straszne, napęniało ją zalem i rozpaczą. Nikogo dokoła!... nikogo!... nawet widma Kuniewieza, które zdawało się być wypłoszone kratami i szpitalnym urządzeniem celi. Dreszcze nerwowe porwały ją znova, wszystko, co przeszła, mieszało się w tysiącnych kręgach pod jej czaszką i przygniatało ją. Zdawało się jej, że była pogrążona w jakimś olbrzymim morzu purpury i błota, że zdołała się wydostać na brzeg, lecz brzeg ten był pusty, zimny, pokryty lodowymi masami.

Z tej purpury i błota pozostała na niej szata ciężka, straszna, fatalna, owijająca jej ciało palącą tuniką, która ją tłoczyła ku ziemi i ani na chwilę swobodniej odetchnąć nie dawała.

Gorączka ją ogarnęła, w gardle uczuła silne ściskanie, oddychała ciężko. Wzdłuż ramion miała uczucie przesuwającej się jakiejś lodowato zimnej dłoni. Cisza, panująca dokoła, wywoływała na skroń jej krople zimnego potu. Nigdy w szpitalu, pomiędzy waryatkami, chychozącymi cicho, lub łkające

mi pod stosami kołder, nie doznawała tej trwogi i gorączkowego zdenerwowania.

Miała ochotę uderzać głową o ścianę i zacząć zawodzić, jak płaczka na kurhanie. I ciągle myśl jej uparcie kołowała po całym mieszkaniu, przed nią tak szczelnie zamkniętem.

Ojciec, brat... tych dwóch ciągle teraz odtwarzała sobie w zgorączkowanym umyśle. Zwłaszcza sylwetka ojca potężniała, groźna i nieubłagana. Poza tym murem czuła go pogardliwym i milczącym tajemniczo, jak sfinks zagadkowy.

Nagle usłyszała szelest koło drzwi. W półśnie, w jakim siedziała pogrążona, nie miała siły ocknąć się i poruszyć. Drzwi uchyliły się zwolna i na tle ciemni przedpokoju oświetlony z boku małym światłem latarenki, stanął Podolski.

Jance dech 'zamarł w piersiach. Nie drgnęła nawet, tylko oczy otworzyła szeroko i wpatrzyła się w ojca z wyrazem szalonej trwogi i przerażenia.

Podolski także nie poruszył się z miejsca, i % jedną ręką opartą o klamkę, drugą założoną za kamizelkę, stał tak olbrzymi, cały jasny, lśniący łysą czaszką wśród ciemności, z ustami otwartymi jak bezzębna jama, z oczyma silnie wpadłymi pod kępami brwi krzaczastych.

Nie zmienił się wcale. Ten sam strój uroczysty, poważny i bez skazy, perłowe spodnie, surduty długi, uroczysty, silnie wycięta kamizelka. Pochylił się tylko nieco więcej, i warga dolna obwisła mu nie nadmiarem dumy, ale cieniem cierpienia.

Stul tak krótką chwilę milczący i groźny, wpatrzony w córkę, jak w dzikiego zwierza.

Ona przytuliła się do ściany bez tchu, błada jak trup i tylko paznogie wpiła kurczowo w pościel, łamiąc je, nie czując bólu, nie widząc nic, prócz tej wyniosłej postaci, zjawiającej się tak nagle wśród nocy i stojącej przed nią jak sędzia groźny i nieubłagany, bez słowa litości na ustach.

Wreszcie Podolski usunął się, zamknął drzwi, i Janka usłyszała teraz wyraźnie jego kaszel ciężki i chrapliwy, kaszel, który wspomnieniem całej przeszłości targnął jej serce. Po chwili kaszel ustał, i znów zapadła głucha cisza.

Świeca w latarce dogorywała, zataczając co chwila po suficie niepewne, żółtawe kręgi. Janka siedziała ciągle, z oczyma utkwionymi we drzwi, poza którymi zniknął ojciec. Teraz nie miała zupełnej pewności, czy widziała go na jawie, czy we śnie, i zapytywała się siebie, czy nie podległa znów chwilowo halucynacyi. Lecz starannie, rozważnie ustawiła fakta i doszła do przekonania, że rzeczywiście Podolski przyszedł zobaczyć ją i odszedł, nie przerwawszy na chwilę swego milczenia, nic wyrzekłszy jednego słowa choćby gniewu, choćby groźby.

W kilka dni później Antoni, tak jak awykle, przyniósł Jance obiad i, stanąwszy koło progu, wyrzekł:

— Podano do stołu!

Nie odchodził jednak i na Jankę patrzył. Za u ważył y że dziewczyna nie jadła nic prócz chleba, herbaty i wody, i litość go zdjęła nad nieszczęśliwym stanem tej chorej istoty. Stał więc niepewny i wahający, pragnąc się odezwać, zachęcić ją do jedzenia. Miał ją, tak jak wszyscy, za obłąkaną, lecz w jego chłopskiej głowie, otrzaskanej od dziecka z istotami „niesaraowitemi, włóczącemi się samopas po rozstajach i „rozputijach”, uważał obłąkanie za rodzaj stanu duszy, chorej chwilami, a czasem niemal błogosławionej, krążącej „het, wysoko, aż u stóp Boga, ponad chmurami.

Janka ze swej strony, pozostawiona od tych dni trzech w samotności zupełnej, przyszła trochę do sił i odpoczęła z podróży. Nie mogła wszakże przełknąć jeszcze pożywienia i dlatego na wezwanie Antoniego nie poruszyła się z łóżka, na którym według swego zwyczaju obecnie siedziała.

Wreszcie Antoni odchrząknął i, przestępując z nogi na nogę, zapytał:

— Możeby jaśnie panienska co zjadła? Janka podniosła głowę. Po raz pierwszy przemówiono do niej tym ciepłym, serdecznym tonem. Proste wyrazy lokaja ugodziły w jej serce, jak sztylet. Łzy napłynęły jej do oczu. Całą siłą woli powstrzymała się od płaczu i wyrzekła najspokojniejszym, jak mogła, głosem:

— Dziękuję ci, Antoni, nie mogę jeść. Jestem jeszcze bardzo zmęczona.

Antoni słysząc jej głos spokojny, ośmielił się jeszcze więcej.

— Jaśnie panienska do reszty sic rozchoruje, jak będzie tak samym chlebem tylko żyła.

— Nie, mój Antoni! — odparła Janka — nie jestem chora i mam nadzieję, że nią tak łatwo nie będę. Nie jem, bo jeść nie mogę, oto wszystko!

— Możeby kazać kucharce befsztyk usmarzyć?...

— Nie! dziękuję Antoniemu za troskliwość. Później może, jutro, pojutrze, sama Antoniego o kawałek mięsa poproszę. Dziś jeszcze nie mogę!

— To... może w piecu raz jeszcze zapalić? Janka uczuła, że powinna coś przyjąć, a nie zrazić go zupełną odmową.

— Owszem! — odparła z uśmiechem — niech Antoni w piecu napali. Będę mu bardzo za to wdzięczna!

Antoni wyszedł szybko i powrócił z dużym koszem węgla. Przykląkł przed piecem i drzazgi u świecy zapalał.

Janka nie poruszyła się z miejsca, bojąc się go splotać. Milczała, gdyż nie wiedziała, co ma mówić, aby nie poddać swego rozumu w wątpliwość. Wreszcie odezwała się:

— Czy pan Justyn wstał dzisiaj?... jak się miewa? co mówią doktorowie?

Antoni ręką machnął.

— Pan Justyn nie wstał i pewno tak prędko nie wstanie. Doktorowie, ot! jak doktorowie! A... prawda! jaśnie pan kazał powiedzieć, że jeżeli jaśnie panienska zapotrzebuje doktora, to może mnie o tem powiedzieć.

D

— Mówiłam już Antoniemu, że nie jestem chora. Czy doktorowie często przychodzą?

— O!... dwa razy na dzień. Pan Justyn leży

w pokoju jaśnie pana, bo tam więcej przestronno, * a jaśnie pan sypia w dawnym pokoju panienek. Wszystko się zmieniło... oh..

Powstał z klęczek i ku drzwiom zmierzał.

— Może co przynieść jaśnie panience?... mleka, albo sodowej wody?

Janka wstała z miejsca; ujrawszy to, Antoni za klamkę pochwycił.

Dziewczyna zarumieniła się i wyciągnęła rękę.

— Dlaczego Antoni się mnie boi?—spytała. — Czy i Antoni myśli, że jestem waryatką?

Antoni nie odpowiedział nic, tylko głowę ki ziemi spuścił.

— Nie!—ciągnęła Janka —nie jestem waryatką; nie byłam nią ani na jedną chwilę... Nie wiem, dlaczego

wymateracowano mi pokój i na okno siatkę założono. To wszystko było niepotrzebne. Byłabym tak samo siedziała

spokojnie w kącie, jak i teraz. Mówie to wszystko Antoniemu dlatego, ażeby Antoni się mnie nie lękał, wchodził tu

śmiało i nie uciekał, skoro z miejsca wstaje. Czego się Antoni boi?... żebym mu co złego nie zrobiła?... Ok, Antoni!,,

przecież się ze mną Antoni jeszcze bawił, kiedy byłam dzieckiem, i zna mnie Antoni, jak swoją siostrę rodzoną! Taką,

jak byłam dzieckiem, tak i zostałam teraz. Krzywdy nikomu nie wyrządziłam i wyrządzić nie chcę. Po co? dlaczego?...

Antoni wciąż trzymał głowę spuszczoną, grzywa zasłoniła mu oczy; wreszcie ode drzwi odstąpił i ku Jance się zbliżył.

— JNiecb mi jaśnie panienka daruje — zaczął przyciszonym głosem — ale mnie i nam wszystkim powiedziano, że

jaśnie panienka z rozumu spadła, dlatego wtedy z domu nocą wyjechała Bóg wie dokąd, aż ją w szpitalu naszli i do

domu sprowadzili... Jaśnie panienka mówi, że jest zdrowa; ja tema ebcę wierzyć, bo już mi się serce spękało w

kawałki, jak patrzę na to, w co dom jaśnie państwa poszedł! Jaśnie pan chory, kaszle i pluje dni całe, jaśnie pan Justyn

to już skóra i kości, jaśnie panna Pola w klasztorze, a jaśnie panna Janka — oto zamknięta na rygiel, jak obłąkana..

Głos mu drżał, w oczach zaświeciły łzy. Janka doznała w tej chwili uczucia serdecznej wdzięczności; chciała

wyciągnąć rękę kn stojącemu w progu służącemu, ale nie śmiała; bała się jeszcze gestów gwałtownych, które mogły w

nim wzbudzić nieufność. Ograniczyła się więc na zbliżeniu się tylko do drzwi i zatrzymała się o kilka kroków od

służącego.

— Niepotrzebnie mnie zamykacie — wyrzekła z uśmiechem — ja sama nie wyszłabym po za próg tego pokoju!

Antoni podniósł głowę i popatrzał na nią u

ważnie.

— Jaśnie panienka się zmieniła... schudła... włosy ktoś jej obciął...

— To w szpitalu.

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie Antoni wyrzekł powoli, ze współczuciem:

— Jaśnie panienska przeszła złe i smutne chwile? v

Janka uśmiechnęła się smutnie.

— Smutne... tak, ale nie złe,.. O!... przeciwnie, bardzo dobre! bardzo piękne!...—odparła.

— Ale to jaśnie panienskę zjadło!

— Tak!... ale też i dużo mi życia dało!... Antoni tego nie rozumie, ale widzi Antoni, są takie zmartwienia, co człowieka lepszym robią.

Antoni patrzył już teraz prosto w oczy Janki.

— Dlaczego jaśnie panienska myśli, że Antoni tego nie rozumiem?... Ja zawsze, ile razy mam prawdziwe zmartwienie, to zaraz dla drugich się miększy i lepszy robię.

— A widzi Antoni! To i ja przeszłam przez takie smutki, a że się nie żaliłam, nie krzyczałam i przeciw Bogu nie bluźniłam, więc myśleli, że dostawałam obłąd.

— A co to paniencie się przytrafiło takiego? Janka umilkła. Stała teraz zakłopotana, nie umiejąc kłamać, nie chcąc zrazić skrytością tej jasnej, prostej, poczciwej duszy, która się ku niej garnęła.

— A może zmarł kto paniencie drogi? — pytał Antoni.

Nie mówił już „jaśnie” i całe jego oblicze, płaskie i biedne, powlokło się chmurą smutku i współczucia.

Janka poczuła, że wszystkie łzy, których nie wypłakała? jeszcze od śmierci Kuniewicza, cisną się jej do oczu na proste zapytanie tego człowieka.

— Tak!—odparła z prostotą — umarł rai ktoś fcardzo, bardzo drogi!...

Po raz pierwszy od chwili zgonu Jana stwierdziła głośno fakt jego śmierci. I razem z temi słowami, w błyskawicznym pędzie mignął przed nią szary mur szpitalny, karawan z tą prostą, sosnową trumną, mogiła na Bagaceux...

Łkanie rozdarło jej piersi. Cofnęła się ku ścianie, oparła głowę i płakała, szlochając głośno. Cała kobieca boleść spływała jej teraz z potokiem tych łez, które obmywały ożywczą rosą świeżą ranę jej duszy.

Koło drzwi wciąż zakłopotany stał Antoni i tylko niekiedy wyciągał rękę, powtarzając błagalnie:

— Panienko! panienko!..

Razem z tym płaczem serdecznym spłynęło na Jankę pewne uspokojenie moralne. Traktowano ją jak waryatkę, lecz oprócz Antoniego i rano jakiejś nieznannej jej posługaczki, która razem ze służącym wchodziła dla posprzątania i posłania łóżka, nie widziała nikogo.

Szyby okien, zamazane i pokryte siatką, odciąły ją od świata zewnętrznego. Rygle i drzwi, materacem osłonięte, czyniły z jej mieszkania prawdziwą celę więzienną. Powoli zaczęła się przyzwyczajać do tej myśli, że obok jest jej ojciec i brat, którzy nie chcą wiedzieć o jej istnieniu.

Ujrawszy raz jeden postać ojca, przestała pracować wyobraźnią w tym kierunku odtwarzania sobie jego osoby.

Chwilami teraz zwracała się ku Justynowi. Wiedziała, że był bardzo ebory, Antoni udzielał jej codziennie wiadomości, codziennie także powiększała się liczba lekarzy.

Podolski szalone sumy łożył na wydarcie śmierci syna. Zwyczajem dawnym płacił wizyty doktorów dukatami, i Antoni musiał biegać do bankierów, aby pańskiej fantazyi zadość uczynić.

Powoli Janka odnajdowała wszystkie przedpotopowe tradycje ojca, które zdawały się być wykopaliskiem jakiegoś muzeum starożytności. Ciągała poza i chęć olśnienia tych, którzy mieli mniej lub byli płatni, nie opuszczały Podolskiego ani na chwilę.

Na łóżku, w cieniu parawanu leżał Justyn, żółty szkielet, z brodą zarosłą rzadkim włosem, z czaszką obnażoną, straszny, potworny szpetnością powolnej, fatalnej agonii. Niewielkie siły, jakie przyniósł z sobą na świat, sterane i porwane na strzępy nerwową walką, dobrowolnem przeziębieniem się, szarganiem, a później pracą, do której wydelikaczone ciało nie było nawykłe, opuszczały go z każdą chwilą. Dokoła łóżka umieszczone spluwaczki przyjmowały w żółte gniazda trocin resztki płuc suchotnika.

Przy tem łóżku, obok tego trupa bez ruchu już i woli, Podolski spędzał całe masy doktorów, sądząc, że zdola pieniędzmi powstrzymać ów rozkład ciała, który z całą straszną a nieubłaganą systematycznością dokonywał się w jego oczach.

Ciągle wyniosły i dumny, ani na chwilę nie okazywał wobec ludzi i syna, że pojmując całą grozę sytuacji i tego, co przyjść musi nieuchronnie na zakończenie procesu agonii cielesnej. Z wielkopańską grzecnością, tragicznie uprzejmy, przyjmował doktorów, rozdawał im dukaty, przyprowadzał do łóżka syna. W swym długim surducie, którego teraz już od rana nie zdejmował, miał minę mistrza ceremonii, naznaczającego nowoprzybyłym miejsce dokoła katafalku zmarłej znakomitości.

Lecz skoro pozostał wreszcie sam, gdy noc zmorą fatalną zaczęła dławić gorączkowymi snami nieszczęsne ciało Justyna, gdy on sam, porwany atakiem kaszlu, siniał z duszności, oparty o krawędź łóżka—wtedy dopiero budziła się w nim cała rozpacz szarpanej na części duszy.

— Ginie ród! — powtarzał sam do siebie, i w swej długiej nocnej koszuli prostował się, jak posąg biały i straszny na straży rozpadającej się w gruzy świątyni.

Tymczasem Justyn, zimnym potem okryty, pasował się sam z sobą, chcąc pochwycić większą odrobinę powietrza w nieistniejące już płuca. I w tem niemem milczeniu chłopiec odzyskiwał nagle całą świadomość swego stanu, zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, co się w nim działo. Przystawał się ludzi nadzieją wyzdrowienia i, nie mając żadnej wiary, żadnej sformułowanej ściśle myśli o tem, co go czeka za grobem, leżał nieruchomy, z oczyma szeroko rozwartemi, oczekując na coś,

czego nawet określić w przededniu jego przybycia nie umiał.
Śmierć!..

Justyn nie widział nigdy kogoś konającego. Stąd nie mógł sobie nawet w przybliżeniu odtworzyć tej chwili. Nie mniej wszakże wyobraźnia jego pracowała bezustannie. Jak to będzie? Kiedy? W nocy? We dnie? Nie rwał się do życia, które nie ukazało mu się nigdy w kolorach tęczy. Przeciwnie, te krótkie chwile pozostawiły mu wrażenie niesmaku i szamotania się w próżni. Żelazna prawica ojca przygniotła go. Wątku jego istota ugięła się pod tym ciężarem i już wyprostować nie mogła. Dlatego też z jakąś chęcią samobójcy śmierci tej myślał i nie drżał przed nią zupełnie. Mimo bowiem tradycji i przesądów kastowych, dusza tego chłopca była czysta i prosta. Nie miała czasu rozwinąć w sobie szkodliwych ziarn, które kiełkowały na dnie. Rwała się w nim więc do innego świata, jak do morza ochłodzenia i spokoju.

była to straszna walka pomiędzy ojcem i synem, z których pierwszy wydierał drugiego śmierci, nie szczędząc kosztów, zabiegów, łudzac się chwilami nadzieją, ciesząc się polepszeniem, rozpaczając na widok pogorszeń, obecnie coraz częstszych. Natomiast syn szedł chętnie naprzeciw śmierci, śledząc niejako w sobie postępy choroby, przyjmując obojętnie chwilowe błyski zdrowia, a natomiast z jakąś gorzką radością witając każdą zapowiedź zbliżania się zgonu.

— Nie męczcie mnie!—powtarzał — dajcie mi

Biblioteka.—T* . 10

spokój z lekarstwami... mam galopujące suchoty... czy nie widzicie? Zostawcie mnie więc w spokoju. Chcę umrzeć przynajmniej bez udęczenia!..

Czasem śmiał się ironicznie, widząc baterie flaszeczek, zwiększającą się koło jego łóżka.

— A to wojsko!... — mówił wyraźnym i dość czystym głosem — armia, co pieniądze papie z kieszeni wyciąga!... A! doktorowie!... panowie, którzy to wiedzą, że nie wiedzą! Robią na mnie eksperymenta! Ot! lepiej mi jeść dajcie!

Co chwila żądał coś innego do jedzenia. Wymyślał rozmaite potrawy, często proste i ordynarne, czasem znów wyszukane i wyrafinowane. Nie jadł jednak nic, domagał się wszakże, aby to, co wymyślił, podawano mu natychmiast i jak w największej ilości. Na przyniesiony półmisek patrzył przygasłymi oczyma i odpowiadał niezmiennie:

— Już nie chcę!... Oddajcie to komu w kuchni... Niekiedy kazał sobie czytać gazety i interesował się polityką.

Biernicki podtrzymywał rozmowę i umyślnie starał się wszcząć dysputę. Z daleka Podolski z oczyma krwią nabiegłymi, ogryzając paznogie, przysłuchiwał się tej sztucznej dyskusji.

Justyn ożywiał się, próbował usiąść na poduszkach, machał rękoma. Kończyło się na tem, że i Podolski mieszał się do rozprawy. Zwykle napadali wszyscy trzej na Austryę, której ścierpieć nie mogli, nazywając ją „dziurawą chałupą."

Dysputa kończyła się na ataku kaszlu Justyna i duszności astmatycznej Podolskiego.

Zwykle Justyn domagał się piwa; od pewnego

czasu idee fixe jego było zjeść kawałek pieczonego prosięcia. Powstrzymywał się wszakże z wybawieniem tej cbeći. Ta tajemnica naiwna zapelniała mu myśli i dawała pewien rodzaj umysłowego podrażnienia. Był ciągle dzieckiem, pomimo chwilowych dui rozpusty banalnej, przez jakie przeszedł.

Wobec śmierci dziecinny podkład tego charakteru zarysowywał się coraz widoczniej. Był zawsze dość lekkomyślny i nie dbający wiele o jutro. Nie dbał też i o swe jutro grobowe... Chwilami nawet bawił się sytuacją dogorywającego suchotnika. Mimowoli czuł nieużyteczność swego na świecie istnienia. Ginał, jak motyl, trzepocząc skrzydłami, nie troszcząc się o to, co po nim zostanie.

Pomiędzy agonję tych dwóch ludzi, z których jeden szamotał się w rozpaczliwej walce, drugi z dziecinnym spokojem poddawał się przeznaczeniu — weszła teraz Janka odosobniona, odgraniczona nieprzebytym murem materialnej i moralnej przeszkody. I może właśnie pod niewidzialnym, a jednak niezaprzeczonym wpływem upadku tych sił żywotnych, zaczynała odzyskiwać swą potęgę duchową, przefiltrowano teraz przez doskonałą siatkę cierpień i niedostatku. Teraz już chwilami układała w warstwy i linie przeżyte wrażenia i duszę swą ku nim zwracała, przepuszczając ją niejako przez te smugi ciemne i smutne, i analizując wtedy skrupulatnie i sumiennie to, co się w niej działo.

Nie tylko ustrój społeczny ułożył się teraz przed Janką w widoczne i namacalne kręgi, ale i to, co się nazywa popularnie „wiarą”, zaczęło na

bierać w jej umyśle pewnych zdecydowanych form i cieni. Zrozumiała, że pierwszym czynnikiem zewnętrznego i wewnętrznego świata powinna być harmonia—i ku niej teraz myśl jej dążyła cała — tak, jak dążyło bezwiednie jej ciało, przybierając zawsze harmonijne linie nieruchomego posagu.

Przedewszystkiem odczuła i zrozumiała dwoistość, a nawet troistość swjej istoty. Często teraz bowiem zjawiały się przed nią postacie, daleko od niej będące materialnie: Bervisier, panna Richard, Tallet i inni. Widziała ich doskonale jakąś drugą powierzchnią swego ciała, pomimo, że oczy jej właściwie widziały ścianę lub przedmioty, przed nią się znajdujące. Nie była to wszakże dusza, bo ten duch odosobniony grał w tej chwili na uboczu rolę zwy kłego rezonera i zdawał sobie doskonale sprawę z tej dwoistości, w tej samej chwili prawie materialnych wrażeń.

I pojęła, że tylko od doskonałej harmonii tych trzech istot, z których dwie były silnie zaznaczone, a trzecia niezaprzeczenie istniejąca, zależy możliwość różnej egzystencji na powierzchni świata.

. W ten sposób wytworzyła sobie teraz kodeks moralności, polegający głównie na tem, aby nie przynosić szkody i krzywdy innym i nie torturować własnej duszy, każąc jej iść w służbę i wymagania ciała. Nawzajem rozumiała, że ciało nie może być umartwiane i tyranizowane przez duszę, bo w ten sposób powstanie ciągła walka i udręczenie, rozerwanie harmonii w dysonans i to, co Bemsier nazywał udoskonaleniem ducha, pozostać musi na ostat

nim planie, zaniebane i odsunięte w przyszłość, i i w tej przyszłości w innych formach cała pracę podjąć musi. Jak pszczoła miód zwleczony do gniazda, tak Janka zwlekła teraz obrazy cierpień materialnych i moralnych ludzkości—i to, co sama przeżyła, dorzuciła do ogólnej seryi faktów, z których wytworzyła sobie dokładny obraz obecnego stanu ludzkości. Nie potrzebowała na to czytać tomów traktatów filozoficznych, dzieł, traktujących o ewolucji socjalnej, rozpraw o okultyzmie i spirytyzmie, a brakujące luki zapełniała bólem ran własnych, smutkami własnej duszy.

W ciszy tego pokoju, do którego z poza wymateracowanych drzwi nio dolatywał najlżejszy odgłos zewnętrznego świata—przed oczyma Janki rozsnuwały się karty katechizmu o najpiękniejszej i najharmonijniejszej koncepcyi, w którym dla tych, którzy cierpią i gasną w oczach świata, najpierwsze i najlepsze miejsce zachowane było. Wychowana, pomimo chrztu i praktyk religijnych, jak poganka, tworzyła sobie kult Wszechpotęgi, której częstką oderwaną być się czuła, doznając na sobie wspaniałej a mistycznej władzy koncentrowania się powolnego w samej sobie i poznawania dokładnego, do czego dążyła i poczem tęskniła w chwili rozpacz.

Nieobecność mary Kuniewiczza w ciasnych ścianach jej więzienia sprawiała jej poniekąd ulgę. Widziała go, lecz w oddali — to pod murem szpitala, to w ciemni alei ogrodowej, to wreszcie schylonego nad Marysią podedrzwiemi mieszkania.

Lecz to było, jak we śnie, niewyraźne i zatarte wspomnienie, łagodne i słodkie. Kołysało jej duszę do snu, jak zdaleka słyszana piosenka, nie szarpiąc już jej namiętnym bólem.

Antoni przyniósł jej trochę bielizny, suknię w formie szlafroka z czarnej wełnianej tkaniny, spiętą paskiem w stanie. Umyta, ubrana, wyspana, odzyskiwała Janka trochę utraconej urody. Snuła się teraz po swojej celi, jak widmo ciche i milczące. Codziennie tylko rozmawiała z Antonim, który teraz uosabiał dla niej całą ludzkość, od której ją zupełnie odcięto.

Coraz więcej odkrywała Janka jasnych stron w tej prostej duszy, którą nawet otarcie o bruk miejski przetworzyć nie zdołało. Uparta wiara w fatalizm, owo „tak sądzono”, było główną cechą charakteru Antoniego.

Janka ze zdziwieniem miarkowała, że w tych burzanach snują się całe legendy deistyczne, przetwarzane i zastosowywane do potrzeby rozwijającej się leniwie i nieznacznie cywilizacyi. Owo „tak sądzono” nabrało już wczesnych subtelniejszych odcieni, godzących fatalizm z wpływem ubocznych i drobnych okoliczności.

Antoni chętnie rozmawia! z panienką. Miał ją ciągle za trochę „niesamowitą”, ale ta niesamowitość właśnie ciągnęła go urokiem fantazyi klechd i skazek, z których duch jego wyszedł, jak z fali tajemniczej i mistycznej, w formie bardzo prymitywnej, a przecież bliższej stokroć prawdziwej doskonałości,

niż duch pierwszego lepszego filistra, mówiącego wiele o analizie psychologicznej swej duazy.

O szarej godzinie wsuwał się Antoni do pokoju Janki i, zdając jej sprawę z tego, co się w domu działo, powoli sprowadzony z dziedziny banalności, pozwalał jej sondować duszę ludu pełną i doskonałą, smutną z natury i już ku złośliwości skłoną, daleką od fatalnego ducha miejskiego proletariatu, mniej silną niż on, mniej bogatą w krwawe pierwiastki, lecz mimo to mniej podatną i gibką do urobienia, bardziej jednolitą, skupioną, rozważającą, jak dusze fakirów, doskonalących się w odosobnieniu.

Była to wielka ulga dla Janki, ta możność czytania w księdze życia tego człowieka. Od materialnych warunków jego bytu się przesuwał, poznała teraz dokładnie, bez obłudy i pozy, wszystkie braki i doskonałości owej zaniedbanej kasty, które przecież w zaniedbaniu owym nie zdołały chwastem zagłuszyć szlachetnych zarysów i poetycznych tchnień duszy, skryzalizowanej wśród potęgi przyrody.

Pewnego dnia, zupełnie nagle i niespodziewanie, Justyn zagadnął Biernickiego o losy Janki.

Od chwili, w której na wsi otrzymał od niej ów list pożegnalny, nie wiedział, co się z nią działo.

Podolski nakazał, ażeby nie wspomniano wobec niego o tem, co się stało, nie chcąc rozdrażniać chorego.

Na pytanie więc Justyna Biernicki dał wynijającą odpowiedź.

— Nie wiem... podobno jest za granicą! Lecz Justyn zaczął nalegać.

— Gdzie? co robi?... z czego żyje?... Do czego to podobne, aby nie wiadano, co się z nią dzieje!...

Zdawało się, że obudziła się w nim nagle jakaś chęć ujżenia siostry. Było to obecnie w gruncie rzeczy tylko pragnienie nowej potrawy, fantazja chorego—nic więcej.

— Proszę... niech papa do niej napisze... Trzeba wiedzieć, co się z nią dzieje!

Podolski wpadł w gniew szalony i, nie zważając na stan syna, uderzył pięścią, w poręcz łóżka.

— Pisać do niej! — krzyknął ochryłym głosem — nigdy!... Dość mi hańby na dom sprowadziła! Daj mi święty spokój! nie wymawiaj nigdy tego imienia przede mną!

Na policzki Justyna wystąpiły dwie czerwone plamy. Oczy mu zamigotały dawnem ogniem. Przypomnił sobie dawne utarczki z ojcem i nagie przy* sła mu ochota zacząć znów walkę, nie ustąpić tak, jak dawniej, gdy z hałasem opuszczała jadalną sale, nie kończąc obiadu.

— A!... nie chce papa pisać! — odparł, uśmiechając się ironicznie — bardzo dobrze... to ja sam napiszę!

Podolski znów całem łóżkiem wstrząsnął.

— Nie waz się! zakazuję ci surowo!—krzyknął.

Justyn świecącemi oczyma na ojca przenikliwie patrzył. r v' | g

— Tym, którzy umierają, zakazywać nic można!... — wyrzekł, dobitnie słowa podkreślając.

Podolski spojrział ua trupią maskę, powieczęlią trocha żółtej skóry, i wyszedł szybko z pokoju, zagryzając do krwi resztki paznogi.

Justyn spojrział na Biernickiego i uśmiechnął się ironicznie.

— Zaczyna się — wyszeptał.

Po kilku chwilach jednak do swej myśli o siostrze powrócił.

— Niech mi pan da papier, ołówek i kopertę. Ja do Janki napiszę!... — prosił Justyn.

Biernicki uczynił zadość jego żądaniu.

Justyn, z wysiłkiem oparłszy się o poduszki, coś kreślił; wreszcie, włożywszy papier w kopertę, Biernickiemu podał.

— Pan napisze adres i do puszki wrzuci! A teraz chcę pozostać sam... jestem wyczerpany...

Głowa mu opadła na poduszki, oczy przyknuł i leżał tak nieruchomy, a Biernickiemu się zdawało, iż ma już przed oczyma trupa, z którego duch uleciał.

Biernicki wszedł z listem do pokoju Podolskiego, który siedział na fotelu, oparłszy głowę na rękę.

— Kanucie! syn twój napisał list do Janki — wyrzekł Biernicki — kazał mi go wysłać pocztą; masz ten list... nie wiem, co z nim zrobić...

Podolski rękę wyciągnął.

— Daj te grymoły... Widzę, że pan Justyn awet w chorobie szacunku dla ojca niema! Ha! trudno!

Rozdarł kopertę i wyjął z niej kartkę, nakreśloną drobnem, nieczytelnem pismem.

— Zobaczmy, czego on chce od tej... kanalii!...

„Droga si o tr o!

„Papa mówił mi, że jesteś w Paryżu i chora. Nie wiem, czy wiesz, że i ja jestem chory, a Pola w klasztorze. Jeże i li wiesz, to musisz się tem martwić, ale I to nie jest tak wielkie zmartwienie, jak się wydaje. Że jestem chory to nic dziwnego, bo się przeziębilem na tej ekonomce. Że mam podobno umrzeć, to mniejsza o to, je nCen fiche, jak tam mówią u was w Paryżu. Co ty tam robisz?. Chciałbym wiedzieć z czego żyjesz, bo to mój obowiązek, jako brata, myśleć, ażebyś nie włóczyła się z naszym nazwiskiem w biedzie wśród ludzi. Proszę cię — odpisz mi — i to zaraz, odwrotną pocztą, bo może już twój list mnie nie zastanie... takem bardzo chory.

Tout a tot

Justyn

„P. S. Mówili mi, że masz bzika— ale ja w to nie wierzę. Że uciekaś z do I mu, zrobiłaś źle, ale nie było wesoło u nas.

Ja to samo zrobiłem — tylko ty jesteś dziewczyna, to powinnaś była siedzieć w domu do śmierci... Całuję cię, moja Janko, i proszę odpisz zaraz. Spodziewam się, że za tydzień będę miał odpowiedz— jeżeli nie umrę..."

Podolski chwilę milczał, wreszcie machnął ręką i, zmiąwszy list, rzucił go z gniewem na ziemię.

— Powiesz, żeś wrzucił do puszki — rzekł do Biernickiego, wydymając usta.

Rezydent kiwnął głową:

— Dobrze!

Od pewnego czasu Biernicki osiedlił się już prawie na stałe w domu Podolskich. Był niezbędny w tej ruinie, na której progu stała śmierć. On sam, chudy i straszny jak szkielet, był jeszcze najżywotniejszą istotą w tej fatalnej masie.

Przez kilka dni sądzono, że Justyn zapomniał o Jance i liście. Chłopak nie wspominał nawet o siostrze, tem bardziej, iż nastąpiło silne pogorszenie, i teraz co wieczór ogarniała go gorączka, opuszczająca dopiero o północy, jak zmora, płonącym oddechem życie trawiąca.

Lecz po upływie tygodnia, zaczął nagle Justyn okazywać niepokój, wreszcie dzwonić co chwila na Antoniego, pytając, czy niema listu pod jego adresem. Skoro dzień cały minął, a Justyn ciągle odpowiedź przeczącą otrzymywał, niepokój chorego wzmógł się jeszcze więcej — i wieczorem gorączka okazała się tak silną, iż chory majaczył, wsłuchując się

z trwogą i rozpaczą w głuchy szelest deszczu, bijącego o szyby wśród szarugi wiosennej nocy.

U stóp łóżka Podolski z zacisniętymi ustami wpatrywał się w twarz syna i po cichu kłął Jankę, mimowolną sprawczynię zwiększenia się złego.

Nad ranem Justyn ocknął się z owego fatalnego stanu, lecz idee fixe tkwiła w jego umyśle, jak gwóźdź, i znów rozpoczęło się dzwonienie, sprowadzanie Antoniego i wypytywanie o listy.

Podolski zniecierpliwiony, zrozpaczony, nie u. miał znaleźć słów uspokojenia i tylko niezręcznym odezwaniem się rozdrażniał jeszcze więcej poszarpane nerwy Justyna. Na domiar złego, z oczu doktorów wyczytywał dziś już nieodwołalny wyrok śmierci syna.

Szaruga marcowa gięła drzewa alei ku ziemi, roztopiała ziemię w masę czarnej, zimową zgnilizną cuchnącej jeszcze kałuży.

Podolski śledził z okna ten rozpaczliwy smutek kończącej się zimy i w ponurem milczeniu słuchał skarg Justyna, który z poza swego parawanu miał już teraz tylko jedną, jedyną nutę żalu—jakby powtarzającą się przy kołowrotku piosenkę:

— Dlaczego to Janka nie pisze? Wreszcie Podolski wziął na bok Biernickiego i coś cicho szeptał, na drzwi, wiodące do przedpokoju, wskazując.

Stary kawaler, z początku zdziwiony, skinął wreszcie głową:

— Dobrze... ale na to potrzebuję mieć list Ju

styna.

go o

Podolski chwilę się zawahał, wreszcie ciężkim krokiem do komody podszedł i z pod stosu kamizelek wyjął ów zmięty i zbrukany świstek.

— Pokażesz to... tej... pannie! ale jej go nie zostawisz. Poczekaj! zredagujemy razem brulion odpowiedzi Długo szukał papieru, wreszcie znalazłszy kawałek czystej tekturki i gęsie pióro, usiadł za stołem i z wielkim zamachem zaczął pisać:

„Mój bracie!...

Otworzył szeroko usta i dalej już pisać nie mógł, bo nie był w stanie znaleźć dwóch zdań, sklejonych porządnie, pod swoją pustą czaszką.

Więcej nie wiedział, gdyż nigdy listów nie pisał, mając wykształcenie ograniczone do bardzo skromnych rozmiarów pod względem wiedzy i nauki, ale za to szeroko rozwinięte co do rozpusty, strzelby, sfor psów i gry w karty.

Widząc "jednak przed sobą pusty arkusz papieru, zaczął bezwiednie kreślić jakieś znaki.
„Kanut de Podół Podolski — Kanut...” — i nagle zatrzymał się, z piórem wzniesionem w powietrzu.
— Słuchaj, Biernicki — wyrzekł Podolski, zapominając o synu, o Jance i o brulionie listu. — Jak się pisze „hrabia”:
przez ch% czy przez hi...
Ze zdziwieniem najwyższym spójrzała Janka m stojącego przed nią Biernickiego.

— Więc pan chce, abym odpisała brat* u* list?... Wszakże byłoby o wiele prościej zaprowadzić mnie do niego, skoro jesteśmy pod jednym r dachem.

Biernicki pokręcił głową.

— Ojciec pani na to nigdy nie pozwoli... Nie .należy, aby Justyn wiedział o powrocie pani do Warszawy.

— Czy Justyn także sądzi, że jestem obłąkana?...

Na to pytanie, postawione z taką brutalną dokładnością, Biernicki zmieszał się cokolwiek.

— Nie... zresztą w liście o tem wspomina. Ucieczka pani była rzeczywiście faktem tak skandalicznym i okryła tak silną hańbą nieskalane imię Podolskich, że papa w pierwszej chwili starał się pokryć i upozorować wyjazd pani chorobą nagle rozwiniętą wskutek zbyt przedłużonych czuwań i przetańczonych nocy. Pani rozumie... że ta hańba spadła na pannę Połę i nie pozostało nic innego, tylko odesłać biedaczkę do klasztoru... Gdy dostaliśmy z konsulatu zawiadomienie o... chorobie pani — papa odetchnął i...

Urwał i stał zakłopotany, nie wiedząc, co ma dalej mówić.

Lecz Janka, spokojnie patrząc mu w oczy, kończyła z ironią:

— I przygotowawszy z wielkim hałasem cele, ogłosił światu, iż córkę obłąkaną odnalazł i sprowadza do domu... I otoż jestem, żywcem pogrzebana cielesnie... lecz, co pan chce!... dusza moja za

hartowała się w ogniu nieszczęścia i boju, jest zanadto silna i żywotna, aby miała zginąć, nawet w tem odosobnieniu, w którym pozostawać muszę. Według was, okryłam hańbą imię Podolskich?... A!., stokroć haniebniejszy był pręgierz, na który wystawiano mnie codziennie, włócząc wygorsowaną po balach, jak na targowisko, w celu zdobycia dobrze urodzonego i pełnej krwi męża! Tego znieść nie mogłam, przed tem dusza moja wzdrygała się i cofała, jak szalona... Poszłam w świat, ażeby uniknąć szafotu, na którym wystawiają panny dojrzałe do małżeńskich związków... Los mnie zgnębił i udurzył. Wychowana źle — a raczej wcale nie wychowana — nie umiałam w wielkim mrowisku świata odnaleźć sobie miejsca i pracy... A!., hańbą was okryłam?... ja?... Promienna ta moja hańba!... wielka i błogosławiona!... Czuję i żyję... kocham i cierpię...

Twarz jej płonęła, oczy nabrały blasku — postać jej zolbrzymiała i w tym półmroku, panującym w pokoju, wydawała się wniebowziętą chwilowo mniszką, o długich fałdach czarnego habitu.

Biernicki otworzył szeroko usta. Nie słyszał nigdy i nie widział kobiety, mówiącej w ten sposób.

Janka wydała mu się w tej chwili jakimś chorobliwym potworem, mówiącym słowa, które on spotykał czasami na szpaltach gazet — i rzuciwszy ją nią okiem, nie starał się nawet dochodzić ich znaczenia.

— Przepraszam panią—wyrzekł wreszcie Bier

ięki — że słowom jej, bardzo być może pięknym i wyegzaltowanym, odpowiem po prostu, po szlachecku. Rola kobiety ogranicza się jedynie do strzeżenia domowego ogniska. To jest tradycja uświęcona i boskim rozkazem potwierdzona przez nas kobiety. Do tego byłaś pani dostatecznie przygotowana. .

— Daj pan papier i pióro... napiszę do brata! " " " "yżń

— Oto brulion, przygotowałem go razem z papa. Niech pani dosłownie przepisze. Papa gniewałby się, gdyby zaszła z woli pani jaka zmiana.,

Janka usiadła przy stole i smutnym wzrokiem spojrzała na duży arkusz tektury, na którym koszlawami zgłoskami wypisano kilkanaście linii. Poznała pismo ojca i cały charakter tego człowieka, jego zaniedbane wychowanie, brak kierunku, olbrzymi zasób fizycznej siły, który zużyć musiał w kierunkach szkodliwych, nie potrzebując pracować i brać udziału w produkcji, wiara początkowo wpajana, jak masa dogmatów, zbijających jeden drugi, a później przechodząca w obojętność zupełną—oto co Janka wyczytała w tych pokoszlawionych literach, słowach, w których ortografia klóciła się co chwila z logiką i zdrowym sensem. I zdjęła ją olbrzymia, wielka litość nad zmarnowaniem ludzkiego życia, które przy fantazyi olbrzymiej, temperamentie i odwadze mogło dać wspaniałe rezultaty w dziełach, mogących przynieść pożytek ludzkości.

XVIII

Odtąd zaczęła się stała i nieprzerwana korespondencja Janki z bratem.

Justyn zaprzestał wymyślać potrawy i pochłaniać piwo, natomiast oddał się całej tej korespondencji, tak, jakby u progu śmierci zapragnął nagle trochę ciepła i uczucia rodzinnego.

Podolski z uczuciem zazdrości w sercu śledził postępowanie Justyna. Kochał teraz syna podwójnie, jak własny szmat ciała, który konał, i iak ostatniego przedstawiciela gasnącego rodu. Tak jedno, jak i drugie uczucie było egoistyczne, lecz mimo to człowiek ten cierpiał silnie, zwłaszcza, iż nawet tej miłości swojej w pieczętach lub dobrych słowach okazać już nie umiał. Często rwała go chęć zbliżenia się do łóżka Justyna, położenia ręki na głowie suchotnika, przytulenia tej głowy do swej piersi i wybuchnięcia wreszcie wielkim, szerokim płaczem. Lecz jakaś nieśmiałość krępowała jego woję Nie pieścił swych dzieci nigdy i teraz ręka mu opadała, skoro serce rzuciło się do jakiegoś

cieplejszego czynu. Czuł, iż z każdą minutą istnienie Justyna się kończy, gryzł do krwi palce i z paznogi nie miał już nawet śladów, a przecież ciągle chodził dumny, wyniosły, napuszony i z głową podniesioną wysoko, z połami surduta, rozwianymi na obie strony, z wargą obwisłą, z wyrazem nudy i obojętności na to, co go otaczało.

Tymczasem Justyn, jak do ostatniego promienia słońca, tak nagle ożywił się do wspomnienia tej siostry, która gdzieś, z oddali, przysyłała mu ćwiartki papieru, zakreślone nieforemnym pismem, zimne, obojętne, bez słowa gorętszego, lecz dla niego zupełnie wystarczające. Sam, tak jak ojciec, nie znajdował nigdy wyrazów lub czynów, malujących jakąkolwiek tkliwość serdeczną. Lecz to „coś”, czego nie zaznał zupełnie w życiu, to jest miłość i łącznik rodzinny, przejmowały go radosnym wrażeniem na widok listów Janki, które mu Biernicki podawał już wyjęte z koperty, utrzymując, iż Janka pisze zwykle na jego ręce, nie chcąc widokiem swego pisma drażnić rozgniewanego ojca. Pewnej nocy Justyn, dławiony dusznością, zasnąć wcale nie mógł. Umysł jego pracował. Przypominał sobie swą chorobę, przebytą na poddaszu u Kuniewicza; troskliwość, jaką go otaczał korepetytor, bytność Janki kilkakrotnie — owo znalezienie tych dwojga bez światła o szarej godzinie—i z tych danych rozpoczął snuć całą seryę wniosków i przypuszczeń. Wiedział, że Kuniewicz miał wyjechać do Paryża i wyjechał. Niezadługo później podążyła za nim Janka. Czyżby pomiędzy tym dwojgiem istnia

ło coś więcej, niż zwykła znajomość, związana w dość dziwacznych okolicznościach? Jeżeli tak, to Janka kochała Kuniewicza! Uciekając do niego, była występna i spełniła krok hańbiący, podrywając go niechęcią przyjęcia męża z ręki ojca i służenia za narzędzie, przedłużające istnienie rodu Podolskich. :v'

Justyn postanowił zaraz nazajutrz zapytać siostrę o Kuniewicza. Uczynił to natychmiast i cały tydzień czekał w gorączce i podrażnieniu na odpowiedź siostry.

Teraz już nie sypiał wcale, siedząc na łóżku, obłożony poduszkami, domagając się otwierania okien, pomimo strasznej słoty, w jakiej konał marzec i rozpoczął swe istnienie kwiecień. Przestał kaszlać, tylko grała mu w piersiach cała orkiestra potwornym hymnem agonii, i teraz, w nocnej ciszy, jęk ten miarowy i chrapliwy rozlegał się dokładnie przerywany tylko kiedy niekiedy cichymi słowy:

— O, Jezu! Jezu!

Na fotelu, poza parawanem, oświetlony słabo siedział Podolski i ze spuszczoną głową, sam krztusząc się astmą, głos syna w siebie łowił, z jakąś okrutną zaciętością wpijając sobie w pamięć ten chrapliwy dźwięk, tryumf śmierci zwiastujący.

Obie dłonie położył na poręczach fotelu—pochylony naprzód, z otwartymi ustami, nieruchomy, wpatrzony zalaniem krwią oczyma w ziemię, i każdą minutę na sekundy liczył, powtarzając z uporem maniaka całe kłęby cyfr, jakby chcąc przyspieszyć bieg czasu i świt czempredzej przywołać — świt,

który według niego śmieie z progu ploszył jasnym światłem promieni słonecznych.

Przeczytawszy w liście Justyna zapytanie o Kuniewicza, Podolski zafrasował się trochę. Nie mógł sobie przypomnieć, kto był ów Kuniewicz i dlaczego Justyn nagle zapytuje, co się z nim dzieje, czy Janka go widuje często, i prosi o jego adres.

Po ucieczce córki nie zastanawiał się nad tem, czy ta dziewczyna nie wydarła się z pod dachu rodzicielskiego, uciekając z jakim kochankiem.

Daleki był zawsze od wszelkich sentymentów i o to nie podejrzewał też Janki. Nie mogąc więc w swym umyśle odnaleźć właściwych przyczyn jej kroku, przestał się zastanawiać, a tylko cały wrzący gniewem za hańbę, jaką krok taki musiał sprowadzić na jego imię w kole, w którym przebywał, potępił córkę i mówić o niej nigdy nie chciał.

Była to „kanalia” i jako dziewczyna nie liczyła się obecnie do istot żyjących. Był wściekły na siebie za to, że na chwilę chciał z niej uczynić przedstawicielkę rodu i tak wielką misję na jej barki włożyć pragnął.

— Stanowczo, nawet ten „falszerm” więcej wart od niej — powiedział, myśląc o synu, którego już w imaginacji swojej „falszermem” zrobił. Uciął, ale mnie nie okradł, choć także mi nazwi

sko shañbił, idąc ua ekonoma. Trzeba tę drugą „kanalię” za kratę zamknąć, bo nie wiem, co jej znów do łba strzeli!..

I, nie pytając o przyzwolenie, wywiózł Połę do Krakowa, a dziewczyna, zawsze milcząca, chmurna i zamknięta w sobie, nie pokazała nawet ani jednym gestem, ani jedną łzą, że ją ten stanowczy krok ojca, oddzielający ją na zawsze od świata — dręczy lub obchodzi.

Gdy wiadomość o obłąkaniu Janki nadeszła z konsulatu, Podolski na chwilę przygnębiony, jakby uderzeniem maczugi, chwycił się tej myśli—i natychmiast na prawo i na lewo wiadomość tę głosić zaczął. Zdawało mu się, że w ten sposób zmazuje plamę, ciężącą na jego imieniu, które teraz w jego wyobraźni przedstawiało się jak podziurawiona tarcza herbowa, przez którą przeświecały jakieś luki, wyłomy, próżnie niepokojące, fatalne i dla niego niezrozumiałe...

Zaczawszy od służby i Grabowieckich, więc o obłąkaniu Janki rozeszła się szybko po całej kolonii, żyjącej na bruku warszawskim, i wszystkie Frankoporty składali biednemu Podolskiemu wizyty kondolencyjne, których on nie przyjmował, każąc wiecznie i zawsze wszystkich ode drzwi odprawiać. Bał się bowiem, aby ta wieść nie doszła do uszu Justyna i nie pogorszyła stanu chorego.

Gdy przywieziono Jankę i gdy Biernicki przyszedł mu oznajmić o jej wyzdrowieniu i o względnym spokoju, w jakim ją przywiózł, Podolski nie mógł w nocy oprzeć się jakiejś fatalnej potędze, która go zmusiła odryglować drzwi i popatrzeć

chwilę w milczenia na zmienioną postać córki. Nie uczył jednak żadnego cieplejszego drgnienia i zamknął drzwi tak obojętny i wyniosły, jak ie otworzył, nie zdając sobie nawet sprawy, co go do otwarcia tych drzwi skłoniło.

Zawołał więc Biernickiego i kazał um iść do Janki i odpowiedź, tyzącą się owego Kuniewicza zredagować samej. 'w' Gdy Biernicki wszedł do Janki, dziewczyna siedziała spokojnie na łóżku, trzymając ręce zało żone na piersiach. Miała teraz w sobie piękny, spokojny smutek, który zdawał się przysłaniać welonem krepy całą jej harmonijną postać. Ta

mistyczna kontemplacja, w jakiej musiała pogрузić się w tej ciszy i beczynności, odrywała ją od świata materialnego i czyniła z niej zjawisko, żyjące na ziemi, ale nie dla ziemi. Przebywała teraz jedynie tylko z milczącymi postaciami wywoływanych przez nią widm, lub z grobową sylwetką Jana, i sama miała teraz chwilami nieruchome i piękne linie trapów, stygnących pod wiekami trumien. Lecz jedynie tylko w powierzchowności Janki uwidoczniło się to oderwanie od zewnętrznego świata. W głębi duszy dziewczyny gromadziły się w tej chwili całe zasoby żywotnych sił, pełnych chęci zużycia się w walce, bogatej w następstwa i czyny. Miłość dla zgasłego ciała człowieka była dla niej teraz nie rozpaczliwą tęsknotą po uśpionym i robactwem stoczonym trupie, lecz ciągłą myślą i pragnieniem dorównania mu choć w części w tym moralnym kręgu, w jakim za życia przebywał i siły swoje w widom* i powoli kielkujące czyny przemieniał.

Gdy więc Biernicki stanął przed nią, Justyna, w którym brat pytał ją KuniLU? czytała z pewnym względny spokojem owolnt

Powoh równem a dziwnie podobnem do uia Jana charakterem, na końcu listu swego popisanego z brulionu ojca, dodała: '

— Pan Kuniewicz żyje, pracuje ciągle i liczy, a praca jego wyda piękne i doskonale owoce. W to wierzy.

Powtórzyła ostatnie słowa zgasłego. Nie dodała nic więcej. Nie napisała, że Kuniewicz umarł, raz dlatego, że nie chciała konającemu mówić o grobie jeszcze świeżym, a powtóre, że dla niej Jan żył ciągle najlepszą częścią swej istoty, podczas gdy druga, już tam na cmentarzu rodziła całe legiony niskich organizmów i rozkładem swoim nowe życie tworzyła.

XIX.

— Czy papa wie z kim uciekła Janka?—spytał nagle Justyn, nerwowo mnąc list w wychudłych i poźółkłych rękach. Podolski przy łóżku syna się zatrzymał.

— Jak to z kim?

— No tak!..—odparł Justyn—przecież nie uciekła sama. Musiał być ktoś, kogo kochała, i z nim prawdopodobnie uciekła. Ja nawet wiem, kto jest ten człowiek. To mój dawny korepetytor... Są razem w Paryżu...

Podolski wyprostował się. Oczy mu zabłyśły jak u kota. Całe nowe horyzonty odsłoniły się nagle przed nim. Podniósł ramię i zaciśniętą, pięścią w stronę przedpokoju pogroził.

— Kanalia!—wynurzył chrapliwym głosem.

Justyn leżał nieruchomy, nie mając już sił drugi raz przeczytać listu siostry, gdyż od samego rana w oczach mu się dwoiło, tracił przytomność, lecz przyznać się do tego nie chciał. Owszem, przeciwnie, nie pragnąc życia zupełnie, czepiał się go i cu

cił sam resztą siły, jaka w nim tłała, rzucając kiedy niekiedy fałszywe blaski. Teraz uprzytomniał sobie z pewną nawet jasnością życie Janki w Paryżu, jej widywanie się z Kuniewiczem, kto wie, może nawet pożycie wspólne, bez przejścia przez ołtarz i błogosławieństwo. Justyn, sam rwany ciągłą rozterką z ojcem, nie zaznał nigdy rzeczywistych wrażeń cichej i spokojnej miłości. Kochał niegdyś małą chórzystkę, ginącą z głodu i biorącą piętnaście rubli miesięcznej pensji. Wywłóczył dla niej z domu co mógł i starał się dopomódz jej wszelkimi siłami. Przychodziło mu to z trudnością, a Podolski, dowiedziawszy się o stosunku syna, wpadł w szal i zaczął tragedję zlorzeczeń i szereg scen, które tak znużyły wątłe siły chłopca, iż owa Natalia, powracająca ciągle na usta Podolskiego, poszła w zapomnienie. Później zadawała się Justyn dorywczymi miłośkami; przeważnie służące w domu były jego kochankami, a nawet podobno Marysia zjawiała się niekiedy w kuchni z malutkiem dzieckiem na reku. Lecz to wszystko nie było prawdziwą, wielką i piękną miłością. Justyn, nie znając jej, nie mogąc zbadać, czem było w istocie to uczucie, wiążące dwoje istot tak silnym węzłem, tak jak wobec śmierci, odczuwał tyl ko prostą ciekawość, połączoną z trocha ironii. Myślał więc o Jance i Kuniewicz z I mieszaniną dziwnych uczuć, które go jakimś słodkim niepokojem przejmowały. Zagłębił się w tych myślach, jak w puchu, i uczuł się bardzo lekkim, gpojojnyra, bez śladu fizycznych cierpień i bólu. I dziwna jakaś harmonia myśli i barw ogarnęła go dokoła przez

roczystą atmosferą błękitu. W błękitcie tym, jak w przestworzu szafirowej pary, widział postacie Janki i Kuniewieza, błądzące sennymi ruchami prawie uśpionych widziadeł. Przestał oddychać, bojąc się spłoszyć te wizye błękitne, które mu nagle rozjaśniły ciemną pustkę powszedniego życia. Było to delikatne, subtelne widzenie dwóch istot, złącz* nych w przestworzach szafiru, wysoko ponad ziemią i tłumem ciał ludzkich.

Podolski na twarz syna spojrział i przeraził si* tą błogością, jaka na licach syna osiadła. Nie wyobrażał sobie, iż duch tego człowieka opuszczał już prawie swe cielesne schronienie i łączył się z bóstwem, którego był częstką. W bóstwie tem Justyn ujrzał połączone dusze Janki i Jafy. Było to jasnowidzenie tak błogie, tak doskonale harmonijne, że biedna istota suchotnika drgnęła cała, porwana chęcią dostania się w tę Nicość, tak pełną Istnienia.

Otworzył raz jeszcze oczy i spojrział dokoła.

Ujrzał u stóp łóżka ojca, który objawił mu sic w tej chwili, jak widmo senne, lodowe, ciężarem swym gniotąc mu piersi. Ten pokój o ścianach banalnych, pokrytych żółtym pokostem, z otworami okien, pokrajanych ciemnią szyb; te skrzydła parawanu, otulającego ką, w którym dogorywał od tak długiego czasu, jak nietoperz, przypadły do mogiłki dziecka, te spluwaczki, ustawione dokoła łóżka i zieleniejące tajemniczymi szmaragdami resztek jeg* płuc na złotej pościeli trocin — wszystko to byU ostatniem wrazeniem, jakie od życia odebrał.

Siłą woli zamknął oczy i znów błękitnej wizyi

zakał, postacie o szafirowych, promiennych konturach Janki i Jana wywołując przed sobą.

Błękit znów go ogarnął, lecz niepełny — pt prawej stronie była jakaś pustka niezapełniona, którą go bolała. Uczynił ostatnie wysilenie i błękit starał się przenieść i rozlać na całą przestrzeń, aby otulił go, jak skrzydła anioła.

nagle uczył się tak lekkim, jak to, co gi otaczało; otworzył usta i wielkim, niskim, czystym głosem zawołał:

— Umieram!..

Podolski przez chwilę stał jak skamieniały. Posłyszał ten głos, lecz nie zrozumiał znaczenia wyrazu.

Lecz Justyn teraz jak echo powtórzył, prawie szeptem:

— Umieram,,,

Szept ten przeniknął jakby pchnięciem nota umysł Podolskiego. Teraz wiedział, że śmierć stoi w progu, i że nic, nic— zaden lekarz, żadne worki dukatów odwrócić jej nie mogą.

Zakołowało dokoła niego. W tej sekundzie mignęła mu przed umysłem trumna, śpiew żałobny, kołyska Justyna...

Jak szalony rzucił się na syna i w objęcia gi porwał. Lecz Justyn nie otwierał już powiek. Na matach mu zastęgał uśmiech tajemniczy, zagadkowy.

Przestał oddychać.

Równocześnie Biernicki wpadł z salonu i siłą Podolskiego od trupa odciągać zaczął. Odebrał mu eiało Justyna i ułożył je na poduszkach.

Kanucie! Kanucie!..powrzał, drząc sa iak w febrze — upamiętaj się!., zdaj się na woię Bożą...'

Lecz Podolski zaczął z głochjm jękiem bić głową o ścianę.

— Nie wam syna...—wołał, jak wówczas, gdy Justyn z domu wyszedł, drzwiami trzaskając.

Z głębi mieszkania ściągała powoli służba bla da i przerażona. Na czele szedł Antoni z oczyma lex pełnemi, z rękoma do ust przytulonemi. — Młody pan skończył... Kucharka uklękała na progu i pochyliła twarz spowatą, nacechowaną silną a naiwną wiarą. Obdk niej przyklękała młodsza. Posługaczka stała z daleka, nie śmiejąc nawet w chwili śmierci zrównać się z tymi, którzy według niej stali... tak wysoko.

Antoni oglądał się za zapalkami, aby zaświecić trochę więcej światła, bo dzień był dżdżysty i cienie snuły się po wszystkich kątach.

Na łóżku, pod lekkim pokryciem koldry, tnp sztywniał, uśmiechnięty, łagodny, piękny — jakby przez ten uśmiech, rozchylający blade, o sinych pręgach wargi, wybiegła w przestwór dusza lekka, czysta, szczęśliwa...

Lecz nagle Podolaki porwał się z krzykiem zbuntowanego zwierza. Nie! nie! Justyn nie umarł. To być nie mogło! to być nie powinno!.. On tego nie chciał! On — ojciec, i ten szmat ciała, który z niego samego powstał, powinien mu być posłuszny po śmierci, tak jak i za życia.

Odrząc Biernickiego i Antoniego, do łóżka *yna przypadł i znów trupa w swe objęcia schwy

eił. Szybko wywłócił go z tej śmiertelnej pościeli i na środek pokoju zaniósł.

Z pod długiej białej koszuli, zsiniałe i sztywne nogi Justyna zabłyśły nagie, jak nogi marmurowej statui i z łoskotem uderzyły o woskowaną posadzkę.

Lecz Podolski nie widział nic, słyszeć nic nie chciał. Twarz swoją do twarzy syna przysunął i głosem strasznym wołać zaczął:

— Justyn! Justyn!... synu!...

Kilkakrotnie ciałem tem bezwładnym wstrząsnął z okrucieństwem i siłą szaloną. Z oczu ciekły mu łzy, otarł twarz o ramię Justyna i znów, wpijając wzrok w przymknięte źrenice chłopca, trząsnął niin, jęcząc ochryplym głosem:

— Justyn! Justyn!...

I nagle w piersi Justyna odezwało się łkanie. Łkanie to przeszło w kaszel; trochę zielonej śliny zjawilo się na ustach, z których zuił uśmiech, a natomiast wystąpił wyraz bezmiernej boleści.

Justyn otworzył oczy i wlepił je w źrenice

oj ca.

Przez chwilę patrzali tak na siebie, i u obu źrenice powiększały się stopniowo i świecić się zaczęły nadnaturalnym blaskiem.

W progu cała służba odrętwiała z przerażenia.

Z tryumfem zwycięzcy podniósł Podolski wysoko nędzne ciało syna, wołając z dziką radością:

— Żyje!... żyje!...

Do pokoiku Janki wsunął się wczesnym rankiem Biernicki i stał chwilę zakłopotany, jakby nie wiedząc, w jaki sposób rozpocząć rozmowę.

Dziewczyna stała około stołu w postawie wyczekującej. Stary kawaler wydał się jej dziś dziwnie zmieniony i uroczysty. Ubrany był bardzo starannie w stary surdut Podolskiego i zniszczone, perłowego koloru spodnie. Janka całą noc miała sny smutne i dręczące. Zdawało się jej, że widzi Justyna, który pragnie przedostać się do Jana przez przejście ciemne i niezgłębione. Widząc te wysiłki brata, dziewczyna cierpiała podwójnie, gdyż niewidzialna jakaś siła przykuwała ją do miejsca i przyjść mu z pomocą nie dozwalała. Od tej chwili, w której Janka otrzymała pierwszy list Justyna, serdeczne przywiązanie zaczęło się budzić w sercu dziewczyny. Nie mogła myśleć o tym biednym chłopcu bez łez i, oceniając jego wyjątkowo prostą naturę, spaczoną wychowaniem i otoczeniem, zastanawiała się, jak bardzoiękną istotą mógł być ten człowiek, winnych postawiony warunkach. Widząc, że Biernicki nie mówi nic, lecz patrzy na nią z dziwnym zakłopotaniem, zapytała nagle:

— Co się dzieje z Justynem? niech mi pan całą prawdę wyjaśni! proszę pana o to!

Biernicki pokiwał głową.

— Justyn wczoraj prawie skonał. Ojciec mu ie pozwolił zastygnąć. Siłą woli zmusił go do życia. Justyn niby żyje, ale się bardzo męczy... Trzeba, ażeby pani przygotowała się do jego śmierci i spokojnie ją przyjęła.

Janka uśmiechnęła się smutnie.

— Jestem przygotowana do śmierci brata od dawna!—wyrzekła spokojnie.—Antoni mi mówił, że Justyn śmierci się nie lęka, wita ją obojętnie. Wolałabym, aby się cieszył na myśl o skończeniu tej formy istnienia. Nie był szczęśliwy... o!... nie wiem, czy miał jedną chwilę jasną w życiu. Jakże pan chcesz, ażeby wobec tego rozpaczła, iż brat mój cierpieć przestanie? dlaczego?

— Nie wiedziałem, że jesteś pani egoistką!

— Używasz pan wyrazu tak utartego, jak owe „tradycje”. Przeciwnie, nie jestem egoistką, i dlatego z całym spokojem, a nawet ulgą przyjmuję wiadomość o zbliżającym się zgonie Justyna. Brat mój powróci, a że była to dobra i już w stan prostoty przechodząca dusza, wierzę, iż cierpieć tak więcej nie będzie. Choć i cierpienie oczyszcza!...

Biernicki otworzył szeroko oczy. Ta dziewczyna, którą przywiózł z poza krat szpitalnych, jako obłąkaną, imponowała mu spokojem i tą prostotą, jaką mówiła rzeczy, dla niego niezrozumiałe i niepojęte. Było to coś graniczącego z religią, ale Biernicki zapomniał już dawno, jak katechizm wy—wygląda, a w czasie swego próżniaczego i bezużytecznego życia nie potrafił sobie urobić nowego Credo w któreby się, jak w gwiazdę przewodnią, wpatrywał. Lecz natomiast pod łusą czaszką jego urodził się projekt, który zaczął powoli dojrzewać, jak gruszką, zakopaną w słomę.

Projektem tym było ożenienie się z Janką. Po śmierci Justyna i umieszczeniu w klasztorze Poli, Janka pozostawała główną spadkobierczynią majątku Podolskiego.

Kanut chory, zdrczony astmą i wstrząśnięty do głębi śmiercią syna, nie mógł żyć długo, według orzeczeń doktorów. Janka wtedy pozostawała panią sytuacji. Skompromitowana w oczach świata czułaby się rada, mogąc wreszcie wyjść z ukrycia i nazwać się mężatką i istotą, prawo do ogólnego użycia mającą. Dlatego Biernicki starał się być teraz coraz słodszy dla Janki, grzecznym i uprzejmym. Nie wierzył już w jej obłąkanie. Widział doskonale, iż była przytomna, tylko egzaltowana, i że samotność ógzaltację tę spotęgowała. Postanowił jednak zachwycić dziewczynę szczerością i prostotą. Owo oświadczenie miłosne, uczynione jeszcze wobec krat i aparatu szpitalnego i przed śmiercią Justyna, mogło ocalić sytuację i sprawić dobre wrażenie.

— Niewesoło tu pani! — zaczął, przestępując z nogi na nogę.

— Przeciwnie — odparła Janka — zareczam panu, że czuję się nawet chwilami szczęśliwą.

— Jesteś pani sztucznie egzaltowaną, widzę to...—odparł Biernicki—lecz jesteś pani jeszcze młodą i masz prawo do innego życia. Panno Janko! jestem szlachcic, duszę mam na dłoni, szczerzy jestem i otwarty. Czy chce mnie pani za męża?.., co?..

Janka długą chwilę patrzyła na tego człowieka. Całe wyrachowanie, jakie go wiodło ku niej, zarysowało się najdokładniej w jej oczach.

Ten ton dobroduszości wiejskiej, jaki przybrał Biernicki, nie był już śmieszny w jego wąskich i obłudnych wargach, lecz wprost tragiczny, tak ujawniał trwogę, jaką miał ten człowiek przed pozostaniem w nędzy na swe stare lata.

Wreszcie Janka pokiwała głową.

— O, panie Biernicki—wyrzekła z najwyższym spokojem—czy rzeczywiście upadłeś już tak nisko?.. Nie lękaj się... dziś jeszcze tacy, jak ty, próżniacy, znajdują do ostatniej chwili kawałek chleba.

Odwróciła się od niego i do siatki, kryjącej okno, podeszła.

Nie czuła do Biernickiego żadnego gniewu, nauczyła się bowiem już nie winić ludzi za ich postępkę. Ogarnęła ją tylko wielka nad tym łysym i bezzębnym starcem litość—który wszystko to, co jedynie z rozbicia wyniósł, to jest trochę kości, skóry i poszarpanych mięśni, wystawiał jeszcze na targowisko, chcąc je sprzedać, biorąc za żonę kobietę, według niego okrytą niesławą i odepchniętą przez świat fałszywej moralności, w którym przebywał...

W trzy dni później, nocą, około jedenastej, Justyn słabym gestem przywołał drzemającego w kącie Antoniego.

— Co papa robi?—zapytał.

Lokaj wyszedł do drugiego pokoju na palcach i powrócił.

— Spi, jaśnie panie.

— To dobrze... zamknij drzwi, Antoni!... tak... zamknij papę na klucz.

— Proszę cię, zamknij drzwi na klucz... i te drugie drzwi, co wiodą, zdaje mi się, do jadalni... idź i zamknij także...

— O, jaśnie panie!...

— Nie bój się... zrób to, o co cię proszę, mój Antoni... Chcę umrzeć spokojnie...

Antoni wyszedł i spełnił rozkaz Justyna—drzwi skrzypnęły cicho.

Podolski, drzemający na łóżku, poruszył się, lecz się nie obudził.

Antoni powrócił.

— Już zamknięte...

— Dobrze... usiądź przy mnie... tak! Słuchaj... jak tam u was, na wsi, kto umiera... co wy wtedy jiiijto bicie?...

— Modlim się, jaśnie panie.

— Af... tak... tak... przy umierających się modlą...

Milczeli chwilę, wreszcie Justyn nerwowo rąk Antoniego szukać zaczął, znalazłszy, schwycił i lo kajśH sobie przyciągnął.

— Niech... Antoni mówi jaką modlitwę!—wyrzekł—jaką prostą... coś, co i ja powtarzać mogę...

Antoni drżał cały—łzy mu zalewały oczy...

— No...—szeptał Justyn chrapliwie—niech się Antoni modli...

Antoni osunął się na klęczki, nie puszczać z dłoni swych, zimnych jak lód, rąk Justyna.

Głowa umierającego opadła na czoło lokaja i zaciążyła, jak stufuntowy ciężar, zmoczony wilgotnym potem.

W ciszy nocnej, Antoni, prawie nieprzytomny, mówić zaczął:

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie... Powoli, jako echo, bez dźwięku w przepaść wpadające, powtarzał Justyn:

— Ojczy nasz... któryś... jest w niebie... Nagle z poza drzwi zamkniętych rozległ się głos Podolskiego:

BBSl Ito 'r

— Justyn! Justyn!...

Podolski, zbudzony straszem przecuciem, ze snu się porwał i do drzwi dopadł. Znalazłszy je zamknięte, rzucił się ku drzwiom, prowadzącym do jadalni, lecz i tu napróżno targał nieustępującą klamkę.

Znów ku pierwszym drzwiom się zwrócił.

— Justyn! Justyn!

Antoni chciał się z klęczek porwać, lecz z nadnaturalną siłą Justyn wpił mu palce w dłonie i całym ciężarem na szyi zawisł. Widocznym było, iż umrzeć chce i musi spokojnie.

— Święć się imię Twoje!... — powtarzał teraz dobitnie i wyraźnie Justyn.

Krzyk Podolskiego przeszedł w ryk zwierzęcy. Słysząc było głuchy łoskot głowy, którą chciał rozwalić dzielącą go od syna zaporę.

Justyn oczy przymykał tak, jak dui temu kilka, chcąc wywołać wizję błękitną, do której się garnął, lecz krzyk ojca płoszył mu te widziadła.

— Przyjdź królestwo Twoje!... — szlochał Antoni.

Nagle przed Justynem roztoczył się krąg przepięknej światłości i oblał go całego.

— Przyjdź... królestwo... Twoje... — wyszeptał

Justyn i — skonał.

Antoni klęczał długo i, gdy zwłoki Justyna zastygły zupełnie, znakiem Krzyża je naznaczył i ku drzwiom zamkniętym podszedł.

Na podłodze, tuż koło progu, leżał Podolski, twarzą do ziemi, zemdłony, z ustami pokrytymi pianą. Ręce miał potłuczone do krwi, a na białych deskach drzwi widniały purpurą osiłek ślady.

xx

Przed siatką, poza którą Antoni przed chwilą otworzył narozcież okna, stanęła Janka, patrząc na czerń powozów i lokajów, zalegających szeroką przestrzeń alei.

Tuż przed jej oknem, zajmując nawet szerokość trotuaru, stał wspaniały dwupiętrowy karawan, szamerowany srebrem, przetykany świecącymi trupiemi głowami, które wdzięczyły się na tle czarnego sukna z gracyą elegantów. Pęki piór wiały ponad baldachimem. Koło karawanu, jak stado kruków, krążyli karawaniarze, wystrojeni, olbrzymi wzrostem, wypomadowani, z twarzami hiszpańskich torreadorów.

Konie, okryte kapami, stały spokojnie długim sznurem, a woźnica już na koźle prezentował długie lakierowane buty, świecące, jak świeżo zamarzłe |

błotO. V..'' X':f:'Ky ""i

Powoli zajeżdżały karety i zajmowały miejsce poza karawanem. |

Deszcz ze śniegiem bil ukośnemi strugi. Damy pozostawały w karetach, i tylko mężczyźni wyiadali szybko, przechodzili przez trotuar i ginęli w sieni.

Zakrystyan, ubrany w wykrochmaloną komżę, którą deszcz moczył Nielitościwie, wyniósł wielki krzyż srebrny, a dwóch małych chłopczkótt, ustrojonych w czerwone płachty, ochraniało zsiniałemi od zimna rękoma pochodnie, zapalone wewnątrz kryształowych latarek.

Z wnętrza domu zaczął wysuwać się sznur księży, ubranych w białe komże i birety. Księża przeciskali się przez tłum widzów i szli zająć miejsca przed rzędem koni, zaprzężonych do karawanu.

W Jance szarpało się teraz serce wielkim smutnym żalem. Przypomniała sobie nędzne istnienie brata, jego brak moralny i materyalny, który znosić musiał od kołyski, ten szereg dni powszednich, pełnych scen o drobiazgi z ojcem, spędzanie nocy na ławkach w Łazienkach, ogłoszenie w „Kuryerach,” śmierć jego moralną, poprzedzającą o wiele śmierć fizyczną...

Na dole powstał ruch.

Żałobny śpiew wzbił się teraz w powietrze. Z wnętrza sieni zaczęły się wysypywać całe masy czarno ubranych mężczyzn, którzy widocznie stali na schodach. Pomimo drzwi starannie obitych, połyszała Janka ciężkie kroki karawaniarzy. Zrozumiała, że to ciało Justyna wynoszą z domu. Zabalsamowano je, włożono w szklaną trumnę, zamknięto w inne trzy pudła i teraz z wielkim ha*

Jasem, szumem i pompa wieziono do grobów rodzinnych. . . . i.*.jt — Ostatni z rodu.'... — mówił Podolski, który po chwili pierwszej boleści odżył cały sztucznem ożywieniem starego aktora, widzącego przed sobą główną rolę we wspanialej tragedyi wobec napelnione; widowni. Sam rozporządził ceremoniałem, oznaczył liczbę księży, obejrzał karawan i konie. I znów wyniosły, wspaniały, w nowym surducie z połami, sięgającemi do ziemi, przyjmował kondolencye Frankoportów, podając im dwa palce lub całą rękę, stosownie do starożytności rodu.

Nie chciał, aby ciało Justyna wystawione było w kościele. Uważał to za rzecz spospolitowaną i dobrą dla innych, ale nie dla Podolskich.

Niekiedy wlepiął oczy w ziemię i powtarzał półgłosem.

— Coż panie!... ród wygasł!... Wreszcie na dole zjawiała się trumna i Janka mimowoli drgnęła cała na widok tego pudła ołowianego, pokrytego masą tasiemek i pieczętek. Śpiew księży wzbił się w górę z przerażającą dysharmonią i nagie ucichł. I wtedy ukazał się Podolski, straszny, olbrzymi, ze lśniącą czaszką, po której deszcz zaczął bić z wielką gwałtownością. Chwilę stał na progu, patrząc na tłum gawiedzi, zbity dokoła w ciemną i milczącą masę, objął okiem pióropusze karawanu, niepoliczoną masę księży, z których trzech miało wspaniałe czarne ornaty, przeliczył prawie ilość karet, tłoczących się pod drzewami alei i wspaniałym gestem wielkiego pana, zapraszającego sproszonych gości do sali balowej, zakreślił ręką,

Proszę za mną. wymwil dob zdziwieniu wszystkich miejsce zakrystyaua zajął wyprzedzając szereg księży, karawan, pozostawiaj za sobą wszystkich, odosobniając się od tluinu L wet w chwili żałoby. Zakrystyan stanął z krzyżem poza nim, widząc, iż Podolski idzie, nie oglądając się nawet, czy orszak za nim dąży. Księża ustawili się w dwa szeregi, karawaniarze porwali pochodnie w ręce, mężczyźni niektórzy w kaloszach, z otwartymi parasolami, poza karawanem miejsce zajęli. I wśród tej szarugi, strug wody zimnej i zamarzłej w powietrzu, wyruszył wspaniały ów pochód, kapiący od srebra i świateł, a wiedziony przez tragiczną postać starca, który szedł przez ulice miasta, olbrzymi, nieugięty, z głową w górę wzniesioną, z wargą wyдутą i obwisłą, z oczyma w przestrzeń wlepienemi.

XXI.

W ciepłą noc gwiazd pełną i całą od szafiru ciemną, na balkon, pod którym kwitły lipy, wyszła Janka powolnym krokiem.

Przed chwilą Biernicki wręczył jej telegram, w którym zawiadamiano ją o śmierci ojca, śmierci prawie nagłej, zaraz po przybyciu do Meranu, dokąd Podolski po śmierci syna natychmiast podążył, sądząc, że zdoła w ciepłe innej ziemi odzyskać gasnące i zanikające siły.

Janka oparła się o balustradę balkonu i patrzyła na pogrążone w cieniu drzewa alei, pomiędzy którymi migąło niekiedy światło latarek toczących się powozów.

Z dołu, od okien pani Grabowieckiej, biła jak zawsze luna światła. W oddali Janka zgadywała więcej niż widziała piae św. Aleksandra, stanowiący jakby głowę miasta, którego ciało leniwe i tysiącami świateł przystrojone, układało się powoli do snu, kryjąc w sobie nędze, fałsze, obłudę, kłamstwo i szlachetne i piękne czyny, jak bagnisko, w które wrzucono przez szaleństwo sznur koszo-

wnych nerei.

Rano dostała Janka od Poli Ust, w którym Pola pisała jej stylem dawno już za kratami przebywającej istoty: „Jestem szczęśliwa. Pozostanę tutaj. Świat przestał mnie nęcić—nie mam co robić na nim, woję więc żyć w spokoju!...”

List ten jednak nie miał krzyku egzaltacji duszy, odczuwającej potrzebę ekstazy ciągłej i oderwania się od tego, co się troską doczesną zowie.

Janka nie traciła nadziei, że z czasem Połę z poza krat klasztornych wydobyć zdoła.

Lecz teraz pozostała sama jedna i ten telegram z Meranu, oznajmiający o śmierci ojca, a więc zarazem zwiastujący jej wolność, swobodę moralną i fizyczną, przejął ją niewypowiedzianem wzruszeniem.

Dokoła niej snuły się same pozagrobowe cienie. Podstawą jej istnienia były mogiły i trumny. Powstała z nich iak kwiat, nagle wśród cmentarza zakwitający. Uboga trumna, tam, na cmentarzu paryskim, tego, który był kochankiem jej duszy, biała i pokryta purpurą nieśmiertelników, wzniosła ją do rzędu istot, rozumiejących, że życie człowieka nie jest prostym wypadkiem, lecz jedną cegłą więcej w budowli ogólnoludzkiego dobra.

I teraz przed Janką roztworzyło się życie pełne czynu, pragnień i chęci ujęcia w swe dłonie choć jednego z tych kwiatów, które tam, na grobie Jana, z rąk i czaszki szkieletu wyrosły i, złocistymi pręty strzelając ku górze, kaskadą harmonii na świat spadały.

W tej chwili Janka poczuła się pełnym człowiekiem, kobietą, której duch rwał się ku przestworzom, ciągnąc za sobą zbolące jej ciało. W ciele tem, jak w mogile cichej i już tylko prochem wypełnionej — leżało jej serce, promieniejące jak ognisko, pragnące ogrzać i oświecić tysiące. Ognisko to powstało powoli z pojedynczej iskierki i, pożarem rozpaczy przetrawiwszy duszę kobiety, płonęło teraz jasno, domagając się tylko wielkim głosem możności zużycia tego poczucia sprawiedliwości, które w środku płomieni świeciło.

Janka wzniosła oczy ku górze i pozostała tak chwilę harmonijna, smutna, dziewiczo piękna, promienną szlachetnością swych cierpieniem udoskonalonych pragnień jaśniejąca. Na niebie płonęły gwiazdy całymi miliardami i wszystkie teraz zdawały się być chórem jasnej harmonii, otaczającej nimbem świętości milczący i ogromem przerażający wszechświat.

Ponad głową Janki, na tle mlecznej, tajemniczej drogi migotały cztery gwiazdy, w których Janka nagle odkryła znak krzyża — brylantami tymi znaczący się w przestrzeni.

I ku temu symbolowi najwyższej abnegacji, na jaki duch najwięcej już wydoskonalony i najbliższy powrotu do swego pierwiastka zdobyć się zdołał, wyciągnęła Janka błagalnie ręce, a asta jej

— Adveniat reghum Tuum!...

N I E C.

ć) o